

GORDON R. DICKSON

SMOK

DZINN



Gordon R. Dickson
Smok i Dzin

Przełożył Zbigniew A. Królicki

950



REBIS

Dom Wydawniczy REBIS

Poznań 1998

Tytuł oryginału

The Dragon and the Djinn

Copyright © 1996 by Gordon R.

Dickson

Copyright © for the Polish edition

**by REBIS Publishing House Ltd.,
Poznań 1998
Redaktor
Renata Bubrowiecka-Kraszkiewicz
Opracowanie graficzne
Jacek Pietrzyński
Ilustracja na okładce
Den Beauvais
Wydanie I**

ISBN 83-7120-631-3

**Dom Wydawniczy REBIS, Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49 60-171
Poznań
tel. 867-47-08, 867-81-40;
fax 867-37-74**

**e-mail: rebis@pol.pl
<http://www.rebis.com.pl>**

**Druk i oprawa:
Zakład Poligraficzny
ABEDIK
ul. Ługańska 1, 61-311 Poznań
tel./fax 877-40-68**

***Craigowi Dicksonowi -
i tym, którzy go kochali***

Rozdział 1

Od sześciu dni i nocy wiało nieustannie z północnego zachodu. Słudzy kulili się w swoich kwaterach, opatuleni we wszystkie ciepłe rzeczy, jakie mieli. Zdawało im się, że w podmuchach śnieżycy słyszą głosy szepczące ponure przepowiednie. Wiatr nawiał wysokie zasy pod bramę zamku, tak że trzeba było spuścić ludzi na linach z murów, żeby odgarnęli śnieg – dopiero wtedy zdołano otworzyć wrota.

Gdy zamieć się skończyła, nastał idealnie bezwietrzny, okropnie mroźny i bezchmurny dzień. Potem wiatr znów zaczął wiać jeszcze silniej niż przedtem, tym razem z południowego wschodu. A nazajutrz przywiał sir Briana Neville'a-Smythe'a przez niedawno otwartą bramę Malencontri.

Kowal oraz jeden ze zbrojnych strzegących wrót przeprowadzili siedzącego na koniu Briana przez dziedziniec do drzwi wielkiej sali, po czym pomogli mu zsiąść i strząsnąć z odzienia lód, który grubą warstwą pokrył narzuconą na zbroję opończę. Strażnik odprowadził wierzchowca do ciepłej stajni. Kowal, jako osoba znaczniejsza od zwykłego strażnika, wszedł razem z sir Brianem, żeby zapowiedzieć jego przybycie.

Nie zdążył tego zrobić. Kiedy weszli do środka, ujrzeli lady Angelę Eckert, żonę sir Jamesa Eckerta, lorda Malencontri oraz okolicznych ziem, spożywającą popołudniowy posiłek, a ona natychmiast rozpoznała gościa.

–Brianie! – zawołała z odległego końca długiej sali. – Skąd przybywasz?

–Z dworu – rzekł Brian, który wszystko brał dosłownie.

Podszedł do umieszczonego na podium stołu górującego nad komnatą oraz dwoma innymi, długimi i ustawionymi prostopadle do niego, które oczekiwały na mniejszej rangi biesiadników. W tym momencie były puste. Angie jadła obiad sama, lecz w sposób godny jej stanowiska.

–To widzę – powiedziała nieco ciszej, gdyż zdążył podejść bliżej. – Ale skąd wyruszyłeś?

–Z zamku Smythe. Mego domu – odparł Brian z lekkim zniecierpliwieniem. Skąd bowiem mógłby przybywać pod koniec stycznia, po kilkudniowej śnieżycy?

Jednakże zniecierpliwienie nie trwało długo, gdyż już zerkał na stojące przed Angie jadło i trunki. To, co Angie – razem z mężem przypadkowo przeniesiona z dwudziestego wieku do tego czternastowiecznego świata – uważała za lunch, dla Briana było obiadem, głównym posiłkiem dnia. A dzisiaj nie jadł nic od spożytego o świcie śniadania.

–No, usiądź, proszę, zjedz coś i napij się – zachęciła go Angie. – Na pewno przemarłeś do szpiku kości,

–Ha! – rzekł Brian z błyskiem w oku, gdy usłyszał oczekiwane zaproszenie.

Słudzy już przyszykowali mu miejsce na końcu stołu, sadzając go bokiem do Angie. Ledwie usiadł, a już inny sługa przybiegł z parującym dzbanem, z którego nalał gorącego wina do czary – wielkiego, prostokątnego, metalowego pucharu postawionego przed Brianem.

–Grzane wino, na Boga! – rzekł uszczęśliwiony Brian.

Pociągnął kilka długich łyków, sprawdzając, czy nie myli go węch. Odstawił

puchar i rzucił Angie promienne i życzliwe spojrzenie. Kolejny sługa postawił przed nim pasztet i nałożył mu spory kawał na wielką, grubą pajdę razowego chleba, pełniącą funkcję talerza. Sir Brian z aprobatą kiwnął głową, zręcznie chwycił największy kawałek pasztetu, a potem wytarł do czysta palce w leżącą obok serwetkę,

–Sądziłem, Angelo, że kiedy jesteś sama, spożywasz obiady w słonecznym pokoju – powiedział, gdy zdołał przełknąć kęs.

–Zazwyczaj tak – odparła Angie. – Tutaj jednak jest wygodniej.

Wymieniła z Brianem spojrzenie świadczące o zrozumieniu; przynajmniej w tej kwestii byli całkowicie zgodni.

Służba. Angie wolałaby jadać w pokoju słonecznym – prywatnej komnacie pana i pani tego zamku znajdującej się na szczycie wieży Malencontri. Pokój był ciepły i wygodny dzięki oknom z szybami z prawdziwego szkła chroniącymi przed kapryсами pogody oraz zainstalowanemu przez jej męża podłogowemu ogrzewaniu, stosowanemu do ocieplania domostw już przez wczesnych rzymskich zdobywców Brytanii, a zapomnianemu w średniowieczu. Pomiędzy dwiema kamiennymi podłogami pozostawiono po prostu puste przestrzenie, w których krążyło powietrze ogrzewane ogniem płonącym w kominku znajdującym się na zewnątrz pomieszczenia. W pokoju słonecznym też był wielki kominek, który w taką pogodę nie służył jedynie jako dekoracja, ale był także użyteczny.

Oczywiście, w wielkiej sali również były kominki. Nawet trzy – i to duże. Jeden znajdował się za honorowym stołem, przy którym siedziała teraz Angie, a dwa pozostałe w połowie obu dłuższych ścian. Teraz, ze względu na obecność Angie, na wszystkich trzech płonął ogień. Pomimo to jednak w komnacie było nadal zimno.

Dlatego Jim i Angie niechętnie jadali tutaj popołudniowe posiłki. Wprawdzie żaden sługa nie przyszedł do nich i nie błagał, aby jadali w wielkiej sali, chociaż robiono aluzje na temat wygodnej bliskości kuchni i honorowego stołu, dzięki której potrawy byłyby gorące. Nikt jednak oficjalnie nie protestował.

Mimo to były pewne niepisane granice tego, co wolno panu i pani – nawet jeśli ten lord był sławnym rycerzem i czarodziejem. Ci, którzy służyli szlachetnie urodzonym, słuchali rozkazów. Zbrojni mężowie byli gotowi ruszyć w bój i polec za swego seniora. Jednakże słudzy, zbrojni, kmiecie czy dzierżawcy, ani inni żyjący w ich włościach, nie sprzeniewierzyliby się zwyczajom. Wszyscy – aż po królewski tron – słuchali tradycji.

W końcu dotarło do Jima i Angie, że w Malencontri panuje zwyczaj, iż pan i pani takiego zamku powinni spożywać popołudniowy posiłek we właściwy sposób i we właściwym miejscu. Do tego służyła wielka sala. Słudzy donoszący do gotowni potrawy ze znajdującej się na zewnątrz kuchni mogli marznąć. To nie miało żadnego znaczenia. Tak powinno się jadać i tak będzie.

–Gdzie James? – zapytał po dłuższej chwili Brian, pochłonawszy w końcu dość pasztetu i wina, żeby uciszyć burczenie w brzuchu.

–Niebawem przyjdzie – odparła Angie, – Teraz jest tam.

Wskazała palcem niebo.

–Ach tak – rzeki ze zrozumieniem Brian. Gest Angie, który zbiłby z tropu kogoś obcego, gdyż sugerował, że jej mąż opuszczał ziemski padół, był dla Briana najzupełniej sensowny i zrozumiały.

–Uznał, że powinien przyjrzeć się naszym ludziom mieszkającym poza zamkiem – powiedziała Angie – i upewnić się, czy wszyscy przetrwali śnieżycę.

Brian skinął głową, ponieważ znów miał pełne usta. Przełknął.

–A zatem, za twoim pozwoleniem, milady, zaczekam do jego powrotu – rzekł – i dopiero wtedy powiem wam to, co przybyłem obwieścić. Chcę, żebyście wysłuchali tego oboje. Zaprawdę, mam wspaniałe nowiny. Raczysz mi wybaczyć, jeśli nie wyjawię ich teraz?

–Oczywiście – przytaknęła Angie. Pomimo uprzejmego pytania na zakończenie tej krótkiej przemowy zrozumiała, że Brian nie zamierza nic powiedzieć do powrotu jej męża. Dostrzegła czerwone światło. Skoro Brian chciał porozmawiać z Jimem i z nią, to zamierzał poprosić o coś jej męża; Angie wiedziała z doświadczenia, że powinna się temu przeciwstawić. Ostrzeżony – uzbrojony.

–Powinien niebawem wrócić – stwierdziła.

Rozdział 2

W tym momencie Jim przelatywał nad południowo-wschodnim krańcem ziem, których był właścicielem jako sir James Eckert, baron Malencontri. Przeważnie były to uprawne pola i łąki. Wśród białego krajobrazu w dole szukał tych nielicznych dzierżawców i farmerów mieszkających daleko od zamku, aby przekonać się, czy któryś z nich nie potrzebuje pomocy po zamieci.

Szczerze cieszył się tym lotem. Dziwne, pomyślał, jak szybko zapominam o tej radości, kiedy nie przyjmuję smoczej postaci. I jak gwałtownie wraca to uczucie, kiedy unoszę się w powietrze. Dawało mu to o wiele więcej zadowolenia niż kilka lekcji pilotażu małego samolotu, które wziął w swoim dwudziestowiecznym świecie, nawet więcej niż lot szybowcem, którym dwukrotnie podróżował jako pasażer. Tym razem dzięki powietrznym prądom unosił się samodzielnie, czemu towarzyszyło triumfalne poczucie wolności i siły.

W tym ogromnym smoczym ciele, mającym znacznie większy od ludzkiego stosunek masy do powierzchni, nie dokuczało mu zimno. Upał natomiast oddziaływałby całkiem inaczej. Przed kilkoma laty o mało się nie roztopił, podróżując w środku lata w smoczej postaci przez Francję. Teraz ten chłodny powiew powietrza był po prostu przyjemny.

Czuł życie aż po końce rozłożystych, imponująco wyciągniętych po obu stronach ciała skrzydeł, umożliwiających mu unoszenie się w powietrzu. Jak większość dużych ptaków szybował, a nie leciał, gdyż machanie skrzydłami wymagało ogromnej energii. A wzbiwszy się na odpowiednią wysokość, mógł płynąć na prądach powietrznych dzięki ostrożnym zmianom ustawienia skrzydeł, jak żeglarz manewrujący żaglami, tak by wiatr pchał go po powierzchni wody.

Jego ciało reagowało instynktownie, ale cieszył się lotem jak nabytą umiejętnością. Sprawiał, że czuł się niczym król w swym podniebnym królestwie.

Obejrzał już niemal wszystkie swoje ziemie i nadszedł czas, by wrócić do zamku. Spóźnił się na lunch. Rozpoczął długi skręt w prawo, kierując się do domu. Wtedy dostrzegł małe, zbudowane z gliny i gałęzi igloo wdowy Tebbits.

„Igloo” nie było właściwym określeniem, ale nie przychodziła mu do głowy żadna nazwa, która lepiej oddawałaby charakter tej konstrukcji. Wzniesiono ją ze splecionych i uszczelnionych gliną pędów i gałęzi. Nie miała dachu albo zapadł się on z biegiem lat, upodabniając chatę do igloo. Pośrodku dachu, tuż nad wypełnioną piachem skrzynią, w której wdowa rozpalala ogień do gotowania i ogrzewania, znajdowała się dziura.

Z otworu nie wydobywała się nawet najcieńsza smużka dymu. Co więcej, zatkano go od wewnątrz.

Jim zatoczył krąg i z łoskotem wylądował przed drzwiami, spod których wiatr – zmieniwszy kierunek – odwiał śnieg. Odgłos jego zetknięcia z ziemią najwidoczniej zaalarmował mieszkańca chaty, gdyż ktoś przez chwilę szamotał się z drzwiami, a potem otworzył je na oścież. Stała w nich wdowa we własnej osobie, zakutana w ciuchy, koce i przeróżne szmaty, w których bardziej przypominała pluszowego niedźwiadka niż ludzką istotę.

Natychmiast rozpoznała go i wydała krótki, grzecznościowy okrzyk, jakim mieszkańcy Malencontri uważali za właściwe witać pana w jego smoczej postaci, a potem próbowała dygnąć. Był to poważny błąd. W tej grubej warstwie odzieży niemal runęła w śnieg. Jim powstrzymał się w ostatniej chwili i nie spróbował jej złapać. Nigdy nie wybaczyłaby sobie, gdyby jej pan musiał zrobić coś takiego. Na szczęście zatrzymała się na framudze drzwi i jakoś złapała równowagę.

–Milordzie! – powiedziała.

Spod zawojów otaczających owalną, łagodną, starą twarz zerknęła na niego para bystrych, czarnych oczu.

–Jak się macie, Tebbits? – spytał Jim. Wdowa miała imię, ale chyba nikt w jego włościach nie pamiętał jakie. – Zauważyłem, że nad waszą chatą nie unosi się dym,

–Och nie, milordzie – powiedziała wdowa. – Dziękuję, milordzie. Miło z pana strony, że zechciał pan do mnie przemówić. Jestem taka wdzięczna. Nie ma dymu, bo nie pali się ogień.

–Czy coś stało się z paleniskiem? – zapytał Jim, nakazując sobie w myślach delikatnie poruszyć temat.

–Nie, milordzie. Dziękuję, milordzie.

–A więc dlaczego nie pali się ogień?

–Ostatni węgielek dopalił się i zgasł, jak to bywa z ogniem, co mówię, prosząc o łaskę i wybaczenie, milordzie.

Jim westchnął w duchu. Czuł się jak człowiek z grubym pękiem kluczy próbujący po ciemku znaleźć ten właściwy, który otworzy drzwi. Wszyscy dzierżawcy wystrzegali się narzekania jak ognia. Umieci wyrazić swoje potrzeby w okrężny sposób – ale zawsze udawali, że całkowicie panują nad sytuacją i nie potrzebują jakiegokolwiek pomocy... Gdyby jednak przypadkiem zauważył, że właśnie przydałoby się...

–Chyba nie zabrakło wam drewna podczas śnieżycy? – zapytał Jim.

–No cóż, chyba tak – odparła wdowa Tebbits. – Ostatnio jestem taka zapominalska, milordzie.

–Wcale nie – zaprzeczył serdecznie Jim. Nie miał pojęcia, jakim cudem, szczególnie w jej wieku, przeżyła kilka tych ostatnich dni w nie opalanej chatce. – Wiecie co, zdaje się, że w tamtym zagajniku widziałem jakąś złamaną gałąź. Pójdę po nią.

–Och, błagam, nie trudź się, milordzie.

–Tebbits – rzekł Jim autokratycznym, ostrzegawczym łonem. – Zamierzam przynieść wam tę gałąź!

–Och, błagam o wybaczenie, milordzie. Bardzo przepraszam, milordzie. Wybacz mi!

–Zaraz będę z powrotem.

Odwrócił się i z szumem skrzydeł wzbił się w powietrze, pokonał niewielki dystans do pobliskiego lasu, o którym wspomniał, przeleciał jeszcze kawałek, żeby po wylądowaniu zniknąć z oczu wdowie Tebbits. Nigdzie nie zauważył żadnych ułamanych gałęzi i nawet nie zamierzał fatygować się szukaniem ich w śniegu.

Wybrał pięciometrową gałąź dębu i po prostu odłamał ją od zamrożonego pnia. Po namyśle poszukał drugiego konaru podobnej grubości i długości. Chwycił je za końce, żeby zwisały mu z łap i nie haczyły o skrzydła, ponownie wzbił się w powietrze i po chwili wylądował przed wdową Tebbits.

–Gotowe! – rzucił szorstko, a potem zauważył, że stara w zadumie spogląda na grube końce konarów. – Och, przy okazji, czy macie pod ręką siekierę?

–Niestety, milordzie – powiedziała Tebbits. – Obawiam się, że chyba ją gdzieś zapodziałam.

Niemal na pewno nigdy jej nie miała, pomyślał Jim. Żelazo było kosztowne. Będzie musiał postarać się dla niej o jakieś narzędzie do cięcia grubszych kawałków drewna.

–No tak, rozumiem – rzekł. – Cóż, w takim razie...

Podniósł jeden z dwóch konarów i wykorzystując siłę smoczych łap, zaczął z łatwością łamać ciężką główną gałąź, a także boczne, które przeszkadzałyby przy wkładaniu do paleniska. Później nałożył na wyciągnięte ramiona wdowy tyle krótkich kawałków, ile mogła unieść. Tebbits chwyciła je niezgrabnie, lecz z wyraźną wdzięcznością, co można było zauważyć mimo spowijającej ją grubej warstwy odzieży.

–Jeszcze dziś każę Dickowi Foresterowi przysłać tu kogoś z zapasem drewna – obiecał Jim. – Macie krzesiwo i hubkę? Zdołacie rozpalić ogień?

–Och tak, dzięki, milordzie – odparła Tebbits. – Zawsze jesteś taki uprzejmy dla bezużytecznej staruszki.

–Bynajmniej. Niewątpliwie ja też pewnego dnia będę stary! – rzekł obcesowo. – Zostańcie z Bogiem, Tebbits.

–Niech was Bóg błogosławi, milordzie.

Jim z łopotem skrzydeł wzbił się w powietrze uradowany tym, że choć raz zdołał pozdrowić kogoś ze swoich poddanych, zanim ten zdążył pozdrowić jego.

Osiągnąwszy odpowiednią wysokość, ponownie skierował się w stronę zamku.

W trakcie tego manewru znów coś zauważył. Tym razem nie na swojej ziemi, ale w małych, przyległych włościach sir Huberta Whitby'ego. Ich właściciel wymachiwał rękami, wykrzykiwał coś niezrozumiałego z tej odległości oraz wydawał jakieś polecenia kilku swoim sługom lub dzierżawcom – co Jim dostrzegł dzięki teleskopowemu smoczemu wzrokowi.

Sir Hubert nie był najlepszym sąsiadem. Prawdę mówiąc, niewiele brakowało, żeby uznać go za najgorszego z nich, pomyślał Jim. Zaraz jednak skarcił się w duchu. Sir Hubert nie był naprawdę zły, niebezpieczny, zdegenerowany, nieuczciwy czy chciwy – nie wykazywał także wielu innych wad, jakie miewali sąsiedzi w czternastowiecznej Anglii. Po prostu był wiecznie niezadowolony, zawsze czymś rozgniewany, uparcie i bez końca narzekał.

Przez moment Jim miał ochotę zapomnieć, że cokolwiek widział. Zaraz jednak sumienie oraz typowe dla tych czasów silne poczucie społecznego obowiązku względem sąsiadów kazały mu zawrócić. Poszybował w kierunku sir Huberta i jego kłopotu.

Kiedy podleciał bliżej, wykorzystując sprzyjający kierunek wiatru, natychmiast

pojął, na czym polega problem. Jedna z krów sąsiada wpadła do zasypanego śniegiem rowu lub małego parowu, a sir Hubert i jego czterej pomocnicy usiłowali ją wyciągnąć.

Krowa nie mogła im w tym pomóc albo nie rozumiała, czego od niej oczekują. A ważyła tyle, że czterej mężczyźni nic byli w stanie jej podnieść ani wywlec z zasy. Sir Hubert robił tyle hałasu, że nie spostrzegli nadlatującego Jima, dopóki nie wylądował obok nich z takim samym głuchym łupnięciem, z jakim opadł na ziemię przed chatą wdowy Tebbits. Wszyscy obrócili się na pięcie i przez moment po prostu wybałuszali na niego oczy.

–Smok! – ryknął sir Hubert, wrywając miecz z pochwy. Twarz miał bladą, ale krzepko trzymał bron. Pomimo wszystkich swych wad sir Hubert nie był tchórzem. W owych czasach nikt kto nim był, nie dożyłby męskiego wieku, obojętnie do jakiej klasy społecznej należał.

Widocznie nie rozpoznali go, co często zdarzało się nawet jego własnym poddanym. Czterej ludzie sir Huberta nie mieli broni, pomijając przypięte, do pasa noże. Wszyscy wyjęli je i chwycili, to co było pod ręką. Dwaj trzymali długie kije, a jeden – zabawne – kawałek sznurka.

Rzecz jasna, zachowali się głupio. Nawet w pełni uzbrojeni i opancerzeni nie uszliby z życiem, gdyby naprawdę spróbowali zmierzyć się ze smokiem takich rozmiarów. Chociaż przed śmiercią mogliby zadać mu poważne rany, to z pewnością on umarłby ostatni.

–Nie bądź osłem*, sir Hubercie – rzekł Jim, z przyjemnością zauważając, jak zręcznie zabrzmiało to brytyjskie wyrażenie. Jak że przydatne zdanie w takich sytuacjach jak ta, powiedział sobie w duchu. – Jestem James Eckert, twój sąsiad, tylko w smoczym ciele. Przybyłem sprawdzić, czy mógłbym jakoś pomóc.

Sir Hubert nadal miał pobladłą twarz i miecz w dłoni, lecz trochę opuścił ostrze.

–Ha! – rzekł z powątpiewaniem.

–Przypadkiem przelatywałem tędy, sprawdzając, jak moje włości przetrwały śnieżycę – rzekł Jim – i zauważyłem, że macie jakieś kłopoty. Dlatego tu jestem.

Sir Hubert opuścił miecz, ale jeszcze nie schował go do pochwy.

–Hmm, jeśli to ty, to czemu nie w ludzkiej postaci?

–Kiedy trzeba pomóc w takich sytuacjach jak ta, smok ma znacznie więcej siły – odparł Jim. – Zastanów się chwilkę, Hubercie!

* Żart autora. Angielskie słowo om, dawniej oznaczające osiołka, obecnie używane jako synonim słowa arse (d...,a) [przyp. tłum.].

–A niech to lichu! Skąd, do diabła, miałem to wiedzieć? – rzekł rycerz. – Mógłby to być jakiś inny smok, chcący zakosztować naszej krwi!

–Nie piję krwi – stwierdził Jim. – Dostatecznie często jadłeś obiad w Malencontri, Hubercie, żeby o tym wiedzieć.

–Hmm... – sir Hubert schował miecz. – Jak możesz nam pomóc?

–Jeszcze nie wiem – odparł Jim. – Niech zorientuję się w sytuacji. Jak głęboka jest dziura, w której ugrzęzła ta krowa?

–Zwykle wgłębienie w ziemi, nic więcej – warknął sir Hubert. – Gdyby miała

odrobinę oleju we łbie, sama by wyszła. Przekłęte krowy.

–Ściany są strome czy pochyłe?

–Pochyłe – odrzekł rycerz. – Gdyby zechciała nam trochę pomóc, wyciągnęlibyśmy ją stąd.

–Jeśli są pochyłe, spróbuję się tam dostać. Potem podniosę ją, wy pociągniecie i może uda się ją wywlec.

–Kopnie cię – rzekł z zadowoleniem sir Hubert.

–Może – odparł Jim. – Zobaczymy.

Podszedł do dziury, a krowa – która dotychczas miała go po zawietrznej – nagle wyczuła i dostrzegła w pobliżu smoka, więc zaryczała z przerażenia. Jim sprawdził skryte pod śniegiem zbocze i po chwili zsunął się po nim do krowy. Znow ryknęła przeraźliwie. Jim przyciskał ją do przeciwległej ściany tego, co sir Hubert uznał za płytkie wgłębienie, więc teraz nie mogła wymierzyć mu solidnego kopniaka w głębokim po pas śniegu.

Jim nie miał pojęcia, czy naprawdę zdołała go kopnąć. Udało mu się ustawić tak, że jedno złożone skrzydło wsunął pod jej brzuch. Kiedy znalazła się między barkiem a ścianą rozpadliny, przestała ryczeć, wydała jedno smutne, pełne krańcowej rozpacz „muu” i ucichła.

Jim nabrał tchu i wstał jak człowiek podnoszący ciężar na ramieniu. Krowa nie była lekka, ale Jim posłużył się mięśniami znacznie potężniejszymi od ludzkich, więc wyleciała w powietrze i upadła na bok z drugiej strony rozpadliny. Ludzie sir Huberta natychmiast złapali ją, odciągnęli po śniegu od pułapki i postawili na nogi.

Jim też wy dostał się z dołu.

–No, łatwo ci to poszło – rzekł z urazą sir Hubert, jakby oskarżał Jima o wyrządzenie mu jakiejś krzywdy.

–Nie ma o czym mówić – odparł Jim, wiedząc, że słowa sir Huberta są najgorętszym podziękowaniem, na jakie potrafi zdobyć się ten rycerz. Wzbił się w powietrze i znow zaczął nabierać wysokości przed długim lotem do domu.

Wiatr wiał od południowego wschodu, musiał więc wzlecieć wysoko i zatoczyć szeroki łuk nad ziemią sir Huberta, zanim zawróci i skieruje się ku Malencontri. Właśnie to robił, kiedy zorientował się, że jest dostatecznie wysoko, aby dojrzeć lasy, w których stała chata Carolinusa. Poczł wyrzuty sumienia.

Od miesiąca, czyli od powrotu Jima i Angie z młodym Robertem Falonem z bożonarodzeniowego przyjęcia u earla Somerset, zamierzał porozmawiać z Carolinusem, swoim mistrzem magii. Jednak nawał zajęć nie pozwolił mu odwiedzić starego maga.

To idealny moment, żeby wpaść na krótką pogawędkę i omówić kilka niepokojących Jima od pewnego czasu spraw związanych z dwunastoma dniami świąt u earla. Przede wszystkim miał niemiłe wrażenie, że powinien przeprosić Carolinusa za to, że rozgniewał się na niego podczas tamtych dwunastu dni.

Tymczasem w zamku minęła już pora lunchu. Angie będzie czekać na niego w wielkiej sali. Może jakieś obowiązki związane z Robertem będą wymagały jego obecności...

Robert był przyczyną problemów, pojawiających się w rozmaitych, skądinąd zupełnie zwyczajnych, sytuacjach. Prawdę mówiąc, Jim wcale nie był przekonany, że jest odpowiednią osobą do sprawowania opieki nad sierotą szlachetnego rodu, gdyż w czternastym wieku wszystkich takich chłopców wychowywano na wojowników. Jim zaś nim nie był. Młodzieńcowi mogą zaszkodzić odmiennie, dwudziestowieczne zapatrywania Jima na..., Odepchnął od siebie tę myśl. Robert był jeszcze za mały, żeby jadać z nimi lunch w wielkiej sali. Pomimo to... sumienie ciągnęło go w dwie różne strony. Zaraz jednak przypomniał sobie, że Angie nie będzie długo na niego czekać i sama rozpocznie posiłek. Tak więc nic złego się nie stanie, jeśli się spóźni. On może zjeść cokolwiek po powrocie do Malencontri, niezależnie od pory, o której to nastąpi.

Zmienił kąt ustawienia skrzydeł i skierował się ku czubkom drzew zasłaniających małą polanę, na której stała chata Carolinusa.

Kiedy dotarł do polanki, wyglądała niemal tak, jak oczekiwał. Miała owalny kształt i była całkowicie otoczona bardzo wysokimi dębami i cisami. Jej wielkość była zbliżona do stadionu piłkarskiego. Śnieg oblepiał drzewa wokół polany i pokrywał ziemię, pozostawiając tylko idealnie równy, pięciometrowy krąg, w którym nadal panowało lato.

Chata Carolinusa stała w tym kręgu. Tu zieleniła się trawa, kwitły kwiaty i strumykiem wody szemrała fontanna małego stawku, w którym pluskały złote rybki – czy też małe złote syrenki? – wyskakujące w powietrze jak miniaturowe delfiny. Jim nie był w stanie pochwycić ich spojrzeniem, żeby stwierdzić na pewno, kim były.

Świeżo wygrabiona żwirowa dróżka prowadziła obok stawku do drzwi domku o dziwnie spadzistym dachu. Chata nie powinna pasować do tego miejsca. Tymczasem ze stawkiem, trawą i sporadycznymi błyskami złotych stworzeń wyskakujących z wody wyglądała tak, jakby nie mogła stać nigdzie indziej.

Jim z łomotem wylądował na końcu żwirowej ścieżki. Nikt jednak nie wyjrzał z domku, żeby sprawdzić, kto przybył. Jim wrócił do postaci człowieka odzianego w ciepłe rzeczy. Na początku, kiedy dopiero uczył się magii, miał trochę kłopotu z zaklęciami dotyczącymi odzieży, ale teraz opanował je już. Jim podszedł do drzwi i delikatnie zapukał.

Żadnej odpowiedzi. Lekko je pchnął, a drzwi otworzyły się. Wszedł do środka, –He? Kto tam? Ach, to ty, Jim – rzekł Carolinus, podnosząc wzrok.

Siedział w tym wielkim fotelu z wysokim oparciem, mając przed sobą jakąś otwartą, grubą księgę. Na jednym kolanie trzymał zieloną, wiotką i kruchą najadę, wyglądającą jak motyl na gałązce. Popatrzył na nią.

–Lepiej już leć, moja droga – rzekł łagodnie do najady. – Później dokończymy tę rozmowę.

Najada zsunęła się z jego kolana i stanęła obok, spuściwszy oczy. Wymruczała coś niezrozumiałego.

–Oczywiście! – zapewnił Carolinus.

Odwróciła się i ruszyła do drzwi. Jim odsunął się, dając jej przejść, a ona minęła go ze spuszczonej oczami, podnosząc je tylko na moment i mamrocząc coś równie

niezrozumiale jak poprzednio.

–Wcale nie – rzekł Jim. W przeciwieństwie do Carolinusa nie rozumiał jej, ale te słowa była stosunkowo bezpieczną odpowiedzią. Najada doszła do drzwi i zamknęła je za sobą.

–No, no, mój chłopcze – powiedział wesoło Carolinus. – Miło cię widzieć, szczególnie w twoim ludzkim, a nie smoczym ciele. No bo wiesz, to mały dom.

Istotnie, dom był niewielki, a ponadto zapchany po sufit księgami oraz wszelkimi możliwymi do wyobrażenia magicznymi akcesoriami. Prawdę mówiąc, bardziej przypominał skład niż dom. Ponieważ jednak wystarczyło jedno zaklęcie rzucone przez Carolinusa, aby potrzebna rzecz pojawiła się przed czarodziejem, taki bałagan nie przeszkadzał starem.

–No cóż – powiedział Jim. – Nosilem się z tym zamiarem, od kiedy wróciliśmy od earla, a ponieważ znalazłem się w pobliżu, postanowiłem wpaść. Chyba nie przeszkodziłem ci w czymś ani nie przyszedłem nie w porę, prawda?

–Wcale nie, wcale – odparł Carolinus. – Mogę porozmawiać z Lalline w każdej chwili. Z tobą widuję się zbyt rzadko.

Słyszając te ostatnie słowa, Jim miał ochotę przypomnieć Carolinusowi, że wielokrotnie próbował się z nim zobaczyć. To Carolinusa trudno było znaleźć. Mimo wszystko zmilczał.

–No, nic nie szkodzi, skoro tutaj jesteś – ciągnął jowialnie czarodziej. – Wyglądasz na wypoczętego i zadowolonego. Jesteś gotowy rozpocząć następną przygodę?

Rozdział 3

–Przygodę! – powtórzył Jim, czując, jak jakaś lodowata dłoń ściska mu żołądek, – Na pewno nie. Na długi czas mam dosyć wszelkich przygód. Przez kilka następnych lat Angie i ja zamierzamy żyć jak zwyczajni ludzie. – W jego umyśle zaczęło kiełkować paskudne podejrzenie. – Chyba nie szykujesz dla mnie jakiejś przykrej niespodzianki? – zapytał.

–Ja? Jamesie! – wykrzyknął Carolinus. – Z pewnością nie narzuciłbym ci tak szybko żadnych nowych obowiązków po ostatniej historii u earla. Nie, nie. Absolutnie nic dla ciebie nie szykuję. Jeśli zostaniesz w coś zamieszany, to wyłącznie na własne życzenie.

–Przepraszam – rzekł Jim. – Po prostu te dwanaście dni zupełnie mnie wykończyło. Pozwolisz, że usiądę?

–Usiądziesz? Oczywiście – rzekł Carolinus. – Oczywiście, jeśli znajdziesz jakieś krzesło. Jest tu gdzieś kilka.

Krótkowzrocznym spojrzeniem obrzucił wnętrze chaty.

–Wiem, że jest tu kilka krzesel. Spróbuj zajrzeć pod tę stertę ksiąg w rogu.

–Przykro mi, że zareagowałem tak gwałtownie – powiedział Jim, usiadłszy wreszcie po krótkiej, ale koniecznej zwłoce. – Angie uważa, że spędzam z nią zbyt mało czasu i nie mogę powiedzieć, bym miał jej to za złe.

–Na pewno nie – przytaknął Carolinus, – Czy krzesło jest wygodne?

–No... – mruknął Jim. – Szczerze mówiąc, nie.

–Powinno być! – rzucił Carolinus groźnym głosem.

Krzesło natychmiast stało się wygodne. Było chyba najwygodniejszym krzesłem, na jakim Jim kiedykolwiek siedział, mimo czterech krótkich nóg, twardego oparcia, braku podłokietników i wyściółki.

–Prawdę mówiąc, Carolinusie – wyznał Jim – przybyłem tu, ponieważ po namyśle doszedłem do wniosku, że może byłem wobec ciebie trochę nieuprzejmy przez tych dwanaście dni. Przywykłem mieć cię u boku w nagłych wypadkach, a nie mogłem się z tobą skontaktować.

–A niech mnie!

–Nie, nic nie szkodzi – ciągnął Jim. – Teraz rozumiem, że celowo zostawiłeś mi wolną rękę, co było najlepsze w tej sytuacji. Cieszę się jednak, iż znów mogę się do ciebie zwrócić i w razie potrzeby zasięgnąć twojej rady.

–Bardzo proszę, zwracaj się i radź, Jim – odparł Carolinus. – Aczkolwiek pamiętaj, że przeszłość nie wróci. Rozwinąłeś już skrzydła jako samodzielny czarodziej i od tej pory musisz latać samodzielnie.

–Naprawdę? – zapytał Jim. Parę lat wcześniej słowa Carolinusa nie miałyby takiego złowrogiego wydźwięku. Teraz zaczęły go niepokoić, gdyż lepiej pojmował możliwości magii i jej ograniczenia. – A zatem jakie są granice tego, co możesz dla mnie zrobić?

–Możesz zadawać mi pytania – odparł Carolinus – a ja odpowiem na nie w pewnych granicach. Nie ma całkowicie wyczerpujących odpowiedzi. Sam to odkryjesz, Jim, gdy zostaniesz magiem przynajmniej klasy A i będziesz miał do

czynienia z kolegami o mniejszych umiejętnościach. Albo ze swoim czeladnikiem.

–Mogę w to uwierzyć – rzekł Jim, który równie chętnie wziąłby sobie ucznia, jak skoczył w ogień.

–Zawsze pamiętaj – ciągnął mag – że nie ma sensu udzielać informacji ludziom, którzy nie są gotowi jej przyjąć. Jeśli jednak poczekasz, aż cię zapytają, staną się dwie rzeczy, które muszą się zdarzyć. Po pierwsze, będą gotowi wysłuchać tego, co masz im do powiedzenia. Po drugie, dopiero wtedy będą cenić twoje słowa, podczas gdy wcześniej ze zwykłej ignorancji mogliby kwestionować, a nawet odrzucać twoje wskazówki czy rady.

–Czy ja tak postępowałem?

–Nawiasem mówiąc – odparł Carolinus – nie. Ty jednak nie jesteś typowym czeladnikiem. Twój problem polega na czymś innym, w czym nie potrafię ci pomóc. Chodzi o to, że twoje myślenie jest głęboko uwarunkowane... jakby to ująć... mechanistycznym...

–Chcesz powiedzieć, że jestem uwarunkowany technologią dwudziestego wieku, z którego przybyłem – podsunął Jim.

–Tak – przyznał Carolinus. – Właśnie tak.

–Nie wiem, czy powinienem to zmienić.

–No cóż, to twój problem. A zarazem, paradoksalnie, podstawa twych niezwykłych umiejętności znajdowania wyjścia z sytuacji przekraczających możliwości terminującego czarodzieja. Gdybym próbował zmieniać twoje zwyczaje i przekonania w tej dziedzinie, zapewne pozbawiłbym cię zdolności, które są twoim największym darem. Tak więc musisz pływać lub utonąć samodzielnie, Jim. Nie tak jak w wypadku zwyczajnego czeladnika.

–Wszystko w porządku, jeżeli sam się w coś wdam – rzekł Jim. – Jeśli jednak ty zlecisz mi coś i będę potrzebował pomocy, to mogę cię wezwać i udzielisz mi informacji, o które poproszę?

–Niekoniecznie wszystkich informacji, o które poprosisz – odparł Carolinus. – Mam ich znacznie więcej, niż sobie wyobrażasz, Jim. Większości nie mógłbyś wykorzystać, nawet gdybyś je pojął. Jednak zawsze udzielę ci ich tyle, ilu, moim zdaniem, potrzebujesz.

–Ponieważ przybyłem z innych czasów i rozwiązuję problemy w taki sposób, w jaki ty nie chcesz i nie umiesz, nie możesz wiedzieć, jakie informacje mogą być dla mnie zrozumiałe i użyteczne.

–Możliwe. Całkiem możliwe, choć mało prawdopodobne. Jednak – ciągnął Carolinus – jeden z nas musi zdecydować, co powinieneś wiedzieć. A ponieważ to są moje wiadomości, a ja jestem jednym z trzech magów klasy AAA+ na tym świecie, podczas gdy ty jesteś tylko czarodziejem klasy C, moim uczniem i nowo przybyłym, to ja będę decydował.

–Innymi słowy – mruknął Jim – nie mam wyboru. No cóż, chyba nie mogę cię zmusić, żebyś wyjawiał mi więcej, niż zamierzasz.

–Zawsze szybko dochodzisz do sedna sprawy, Jim. To pierwsza rzecz, którą u ciebie zauważyłem, kiedy cię poznałem.

–Jednak zrobisz, co będziesz mógł, żeby pomóc mi w granicach, jakie uznasz za rozsądne, prawda? – spytał Jim.

–Tak – odparł Carolinus. – Pamiętaj, Jim, że bardzo cię cenię. Inaczej nie wziąłbym cię na czeladnika. Raduję się twoimi sukcesami i martwię, gdy masz kłopoty. Krótko mówiąc, możesz wierzyć w moją dobrą wolę.

–Właściwie nigdy w nią nie wątpił – rzekł Jim. Oczywiście, obawiał się, że Carolinus może wyciągnąć błędne wnioski, gdyż stary mag myślał zgodnie z własnymi, czternastowiecznymi doświadczeniami. A przynajmniej tak wydawało się Jimowi. Podczas bożonarodzeniowego przyjęcia u earla i później zastanawiał się, czy Carolinus nie wykorzystuje go do własnych celów. Okazało się, że nie. – Oczywiście ufam ci, Carolinusie. Angie również.

–Doceniam to, mój chłopcze – zapewnił czarodziej. – Nie zapomniałem też, że uratowałaś mi życie, kiedy tamte dwie kobiety chciały uśmiercić mnie swymi naparami i ludowymi sposobami leczenia.

Jim pamiętał. Wtedy Carolinus rzeczywiście był bezradny. Jim wraz z Angie i tuzinem zbrojnych oraz – przybyłymi dzięki pomyślnemu zrządzeniu losu – Johnem Chandosem, Giles'em i giermkim Chandosa w ostatniej chwili ocalili starego maga i zabrali go do Malencontri, gdzie doszedł do siebie. Wyrzuty sumienia dręczące Jima po tym, jak u earla zwątpił w dobrą wolę Carolinusa, jeszcze przybrały na sile.

–Ufam ci, Carolinusie – zapewnił. – Możesz na mnie liczyć.

–A ty możesz liczyć na mnie, chłopcze – rzekł mag. – Przy okazji, skoro już zapewniliśmy się o wzajemnym zaufaniu, jest coś, o czym chciałbym z tobą poważnie porozmawiać, skoro przenosisz się, nazwijmy to tak, w nowy obszar zastosowania magii. Wiesz, rzecz jasna, iż ze względu na twój niezwykle status masz nieograniczony limit, magicznej energii, co wywołało pewne niezadowolenie innych magów i ich uczniów, którzy uważają, iż jesteś faworyzowany.

–Wiem – powiedział ponuro Jim.

–Ich gniew mnie nie obchodzi – ciągnął Carolinus. – Oswoją się z faktem, że jesteś inny. Musisz także pamiętać, że dość obficie czerpałeś z tego konta podczas przyjęcia u earla. Dzięki temu wiele dokonałeś. Mimo to korzystałeś z niego dość niefrasobliwie.

–Tak uważasz?

–Jestem tego pewny – rzekł Carolinus. – Jak powiedziałem, nie przejmuję się narzekaniami innych magów. Natomiast martwi mnie to, że nie zauważasz czegoś, czego nie powinienesz przeoczyć jako zasadniczo samodzielnie działający czarodziej.

–Ach tak? – zdziwił się Jim. Jeszcze nigdy nie słyszał tak poważnej nuty w głosie Carolinusa. Ten ton obudził w nim czujność. Już wcześniej razem z Angie znaleźli się w niebezpieczeństwie w wyniku skarg innych czarodziejów na jego obchodzenie się z magią.

–Chciałbym, żebyś zawsze o czymś pamiętał – ciągnął Carolinus tym samym tonem. – Niezależnie od tego, jak niewiele energii zużyjesz przy magicznych czynnościach i jak duże są twoje zasoby magii, zawsze warto je oszczędzać. Innymi słowy, nie posługuj się magią, jeśli istnieje jakiś inny dogodny sposób zrobienia

tęgo, co chcesz zrobić. Wiem, że widywałeś mnie skaczącego tu i tam dzięki magii. Czasem nawet zabierałem cię ze sobą. Tyle, że ja jestem o wiele starszy od ciebie, a ponadto... no... są inne powody, które zrozumiesz, kiedy nauczysz się trochę więcej. Obowiązuje zasada: nie używaj magii, jeśli nie musisz. – Spojrzał groźnie na Jima, który starał się okazywać należyta uwagę. – Rzecz w tym – ciągnął Carolinus – że w pewnym miejscu i sytuacji możesz nagle i nieoczekiwanie potrzebować całej magicznej energii, jaką dysponujesz. W żaden sposób nie zdołasz przewidzieć, kiedy i w jakich okolicznościach to nastąpi. Tak więc uważaj. Trzymaj jak największe rezerwy. To bardzo, bardzo ważne, Jamesie!

Jim poczuł zimny dreszcz przebiegający mu po plecach. Te słowa brzmiały tak poważnie, że nagle obudziły jego czujność.

–Czy grozi mi jakieś niebezpieczeństwo, o którym ty wiesz, a ja nie, i przed którym będę musiał bronić się magią?

–Nie – odparł z naciskiem Carolinus. – Absolutnie żadne! Mówię ci o tym bez konkretnego powodu. Jednak ta zasada ma zawsze ogromne znaczenie. Szczególnie kiedy sam będziesz musiał dawać sobie radę.

–Cóż, na pewno ją zapamiętam – obiecał Jim.

–Doskonale! Pamiętaj o spotkaniu z Ciemnymi Mocami przy wieży Loathly. Opowiadałem ci także, jak długą odbyłem podróż, żeby skupić magię w lasce, którą niosłem. Potężna magia to niełatwa rzecz. A żadna nie jest lekarstwem na każdą sytuację. Przede wszystkim musisz polegać na sobie, swojej sile woli i rozsądku. – Gwałtownie urwał i zakaszał. – A teraz – rzekł raźnie swoim zwykłym głosem – czy jest jeszcze coś, o czym chciałbyś ze mną porozmawiać?

–Nie w tej chwili – odparł Jim dziwnie zadowolony, że po radach udzielanych niemal złowieszczym głosem wrócili do zwyczajnej, przyjacielskiej pogawędki. – W zamku wszystko w porządku. Będziemy w kontakcie, gdy tylko pogoda trochę się poprawi.

–Miło mi to słyszeć – rzekł Carolinus. – Zakładam, że polecisz z powrotem, a nie przeniesiesz się tam za pomocą magii?

–Tak zamierzałem zrobić – powiedział Jim. – Lubię latać. Skoro jednak o tym mowa, to czy przemiana w smoka i w człowieka nie jest zużyciem magii?

–Właściwie, w twoim niezwykłym i indywidualnym przypadku, nie. Jesteś tak odmienny, jak to tylko możliwe, nawet podobny do naturalnego, i przybyłeś do tego świata jako smok. Tak więc jeśli opuścisz go w postaci smoka, związana w tym procesie energia zniknie.

–Świetnie – powiedział Jim. – A zatem wyjdę na polanę i znów zmienię się w smoka.

–Zrób tak – stwierdził czarodziej. – Będzie mi bardzo miło.

Jim uczynił, o co go poproszono.

Wróciwszy do zamku jakieś dwadzieścia minut później, Jim wylądował na płaskim dachu wieży Malencontri, pod masztem flagowym, na którym w gwałtownych podmuchach wiatru łopotał proporzec z jego herbem. Powitał go tradycyjny ostrzegawczy okrzyk będący męską wersją uprzejmego wrzasku wdowy Tebbits. Jim

skinał głową zbrojnemu pełniącemu wartę, przybrał ludzką postać, zszedł po schodach, otworzył drzwi i wkroczył do słonecznego pokoju.

Angie siedziała za stołem, na którym porozkładała papiery i robiła to, na czym nie chciałaby zostać przyłapana żadna trzeźwo myśląca kobieta z czternastego wieku – prowadziła księgowość zamku.

Właściwie powinien to robić John Steward, jednak Angie odkryła, że John, zgodnie ze średniowiecznym zwyczajem, zagarnia dla siebie część funduszków potrzebnych do utrzymania zamczyska. Zaskoczona odkryciem, zasięgnęła rady Geronde, która sprawdziła księgi i doszła do wniosku, iż John bynajmniej nie był chciwy. Prawdę mówiąc, był wstrzemięźliwy w wykorzystywaniu sposobności. Geronde stanowczo radziła Angie zostawić tę sprawę w spokoju.

Angie jednak uważała, że rozsądniej będzie zareagować w bardziej dwudziestowieczny sposób. Sama zajęła się księgowością, podwoiwszy Johnowi roczną pensję, co dało kwotę większą od tej, jaką sobie przywłaszczał. Tak więc sama prowadziła księgi i robiła to staranniej niż John.

–Jim! – zawołała, podnosząc wzrok. – Gdzie byłeś?

–Och, zatrzymałem się u wdowy Tebbits, bo potrzebowała drewna – odparł Jim. – Potem zauważyłem, że sir Hubert ma problem z krową, która wpadła do dołu. A później znalazłem się w pobliżu chaty Carolinusa, więc postanowiłem wpaść do niego i sprawdzić, czy uda mi się odnowić przyjaźń z nim. Pamiętasz, że pod koniec naszej wizyty u earla nie miałem o nim najlepszego zdania.

–I to zajęło ci aż tyle czasu? Jest już dawno po południu!

–Tak. Musiałem porozmawiać z Carolinusem dłużej, niż zamierzałem. Powiem ci coś. Zaczął od zapytania, czy jestem gotowy na następną przygodę. A ja odpowiedziałem: „Na pewno nie. Przez kilka następnych lat Angie i ja zamierzamy żyć jak zwyczajni ludzie”.

–Powiedziałeś mu to?

–Oczywiście! Właśnie tak mu odpowiedziałem, prosto z mostu.

–A więc przez jakiś czas nic nie wyciągnie cię z domu.

–Na pewno! Możesz na to liczyć.

–Dobrze. Tak też zrobię – stwierdziła Angie. – Brian czeka na dole.

–Brian? A co go sprowadza?

–Chciał powiedzieć obojgu nam jednocześnie, więc czekał z tym, aż wrócisz – odparła. Wstała od stołu. – Teraz zejdźmy do sali. Miło spędza tam czas, gawędząc z twoim giermkim.

Giermkim tym był Theoluf, dawny zbrojny wyniesiony do rangi giermka przez Jima, który nie zdołał znaleźć nikogo innego. Miał co najmniej tuzin, a może więcej, lat doświadczenia w wojennym rzemiośle, które stanowiło sens życia rycerza. Brian z pewnością nie siedziałby i nie gawędził z nim, gdyby Theoluf nadal był zbrojnym, a nawet dowódcą straży – które to stanowisko uprzednio zajmował. Teraz, jako giermek, stał dostatecznie wysoko w hierarchii, by z nim porozmawiać. Aczkolwiek Jim był gotów założyć się, że podczas rozmowy Brian siedział przy stole, a Theoluf stał.

Jim, oczywiście, nie potrafił wyzbyć się dwudziestowiecznego nawyku zapraszania każdego, żeby usiadł. Angie przywykła do tego, że niżsi rangą ludzie rozmawiają z nią, stojąc. Razem z Brianem i Geronde de Chaney, narzeczoną Briana, usiłowała oduczyć Jima tego niestosownego zachowania. Szło mu coraz lepiej, ale nadal zdarzały mu się potknięcia. Jego słudzy na wyraźne polecenie Angie, przekazane za pośrednictwem Johna Stewarda, po prostu ignorowali propozycję Jima, kiedy zachęcał ich, żeby usiedli. – Z ulgą przyjęli ten rozkaz. Siedząc w obecności Jima, po prostu czuli się nieswojo. Podobnie jak ludzie, którzy nie wiedzą, czy używają właściwego widelca w czasie bardzo uroczystego obiadu,

Kiedy Angie i Jim weszli przez gotownię do wielkiej sali, zgodnie z przypuszczeniami Jima ujrzeli Theolufa stojącego obok głównego stołu, przed podium. Brian – jak zwykle – siedział sztywno wyprostowany, ale jednym łokciem opierał się o blat, a kiwając wskazującym palcem, podkreślał wagę słów, które właśnie przekazywał Theolufowi,

–...Ale jednego zawsze należy ich uczyć – mówił z emfazą Brian. – Powalony bynajmniej nie oznacza zabity!

–Ja także im to powtarzam, sir Brianie – rzekł z przekonaniem Theoluf. – Jednak pamiętać to jedno, a uwierzyć, zanim nie zaatakuje ich ktoś, kogo wzięli za martwego, to drugie. Kiedy byłem na zamku Warwick, jeden z moich ludzi dał się wypatroszyć przeciwnikowi, którego wziął za trupa i obszukiwał. A chwilę wcześniej bił się jak szatan i...

Theoluf urwał i skłonił się, gdy Jim z Angie podeszli do stołu. Czapkę trzymał w ręce, rozmawiając z sir Brianem, więc nic mógł jej zdjąć. Mimo to Jim zauważył, że giermek skłonił się bardzo gracko i wprawnie jak na byłego zbrojnego. Zupełnie nie przypominało to niezgrabnych podrygów, jakie Theoluf wykonywał zaraz po tym, gdy awansował na giermka.

–Theolufie – powiedziała Angie, kiedy usiadła z Jimem za stołem, na drugim końcu którego usadowił się Brian – skocz i postaraj się o coś do jedzenia dla pana. Na co masz ochotę, Jim?

–Och, ser, chleb, trochę zimnego mięsiwa i małe piwo – odparł Jim. Już prawie polubił piwo. Wino byłoby o wiele lepsze, ale usiłował walczyć z czternastowiecznym zwyczajem popijania go przy każdej nadarzającej się okazji.

–Tak, milady – powiedział Theoluf. Przepraszająco skłonił się przed sir Brianem i wybiegł przez gotownię w poszukiwaniu służby.

–Brianie! – rzeki Jim. – Naprawdę miło mi cię widzieć. Nie spodziewałem się, że możesz przybyć w taką pogodę. Wyglądasz doskonale. Czy Geronde czuje się dobrze?

Brian i jego narzeczona, Geronde de Chaney, wymienili się gołębiami, tak że zamek Malvern i zamek Smythe pozostawały w kontakcie nawet w taką niepogodę i w każdym nagłym wypadku. Zamek Malvern chlubił się posiadaniem księdza. Brian nie mógł się poszczycić takim luksusem, jednak wśród załogi miał byłego mnicha, który potrafił trochę czytać i pisać po łacinie. Tak więc wiadomości przesyłano w tym języku.

–Nigdy nie czuła się lepiej – odparł Brian. – Miały miejsce cudowne wydarzenia. Lecz nim zacznę o nich mówić, by nie zapomnieć, muszę powiedzieć wam, jak bardzo sir Giles zasmucił się tym, że nie zobaczył się z wami po turnieju.

–Mnie też jest przykro – rzekł Jim. – Przejechał taki kawał znad szkockiej granicy i ledwie mieliśmy okazję zamienić słowo. Sądziłem, że zechce nas odwiedzić i zatrzymać się tutaj, ale kiedy później szukałem go, nie zdołałem go znaleźć. Powiedziano mi, że już wyjechał. Mam nadzieję, iż nie z powodu czegoś, co zrobiłem lub powiedziałem.

–Wcale nie – zaprzeczył sir Brian. – Pamiętasz, że nie mogąc samemu uczestniczyć w turnieju, przyjął rolę giermka innego northumbriańskiego rycerza, sir Reginalda Burgha, który, jeśli sobie przypominasz, pojechał jako trzeci przeciwko Mnrogarowi?

–Owszem, tak mi mówiono – odparł Jim. – Dlatego nie szukałem Giles'a, dopóki nie było po wszystkim. Czy wiesz, dlaczego wyjechał tak szybko?

–Wydaje się, iż to sir Reginald zamierzał wyruszyć wcześniej – powiedział Brian. – Jakieś ważne sprawy na pograniczu wymagały jego jak najrychlejszego powrotu. Ponieważ jednak odniósł drobną ranę w pojedynku z Mnrogarem, och, nic poważnego, parę złamanych żeber albo wybite ramię, nie byłby w stanie walczyć, gdyby on i jego ludzie napotkali takich banitów, jakich Giles spotkał w drodze do earla. Dlatego też Giles, jako jego krajan, uznał za swój obowiązek towarzyszyć sir Reginaldowi. Ledwie zdążył przekazać mi tę wiadomość przed odjazdem.

–Może znów tu przyjedzie.

–Być może w przyszłym roku... – zaczął Brian, lecz właśnie otoczyli ich służby rozkładający czysty obrus i serwetkę oraz zamówione piwo, ser, chleb i mięso. Po krótkiej chwili odeszli, ale rozmowa się urwała.

–No cóż, miejmy nadzieję – rzekł Jim, zastanawiając się w duchu, czy byłaby to dla niego długa podróż, gdyby w smoczym cielem poleciał zobaczyć Giles'a i spędzić kilka dni z jego rodziną na zamku de Mer, – Wspomniałeś, że miały miejsce jakieś niezwykle wydarzenia?

–Tak mówiłem i tak też było – rzekł Brian. – Wprost trudno uwierzyć, iż dwa takie przypadki mogły szczęśliwym trafem wydarzyć się jednocześnie. Przypominacie sobie, że król Edward przysłał księciu garniec sztuk złota jako dar dla zwycięzcy turnieju? Zaprawdę, nikt nie spodziewał się tak królewskiej nagrody.

Niewątpliwie, pomyślał Jim. Król Anglii rzadko obdarowywał zwycięzców turniejów urządzanych poza królewskim dworem.

–Tymczasem, jak wiecie – ciągnął sir Brian – dar dostał się w moje ręce. Liczyłem tylko na konie i zbroje moich przeciwników. A w istocie zarówno rumaki, jak i pancerze, które zdobyłem, były znacznej wartości, szczególnie sir Harimore'a. Jednak zapragnął wykupić je, gdyż ceniał swego konia tak samo jak ja mego Blancharda z Tours, zaś zbroja była nań tak doskonale dopasowana, że obawiał się, iż nie znajdzie równie dobrej. Rzecz jasna, nie mogłem mu odmówić, chociaż uległem jego namowom i przyjąłem zapłatę, co czyniąc, nie okazałem najlepszych manier. Znaie jednak moją sytuację i stan zamku Smythe.

Jim i Angie znali. Zamek Smythe był bliski popadnięcia w ruinę, a chociaż Brian od czasu do czasu wygrywał jakiś turniej, większość pieniędzy szła na utrzymanie tych mieszkańców zamku, którzy nie chcieli opuścić rycerza, zadowolając się dachem nad głową i najnudniejszą strawą. Nawet te skromne potrzeby pochłaniały większość jego wygranych, tak więc zazwyczaj niewiele zostawało na niezbędne naprawy zameczku – choć ten składał się zaledwie z warowni i gąszczu otoczonych murem przybudówek.

–Cóż, w Boże Narodzenie poszło mi tak dobrze – mówił Brian – że miałem nadzieję naprawić w końcu dach wielkiej sali, przy czym pozostałoby mi dość, aby wyżywić nas wszystkich do pierwszych wiosennych zbiorów, kiedy ocieli się kilka jałówek z mojego stada,

Jim wiedział, że liczyło ono zaledwie sześć sztuk.

–Aż tutaj niespodziewanie spadł na mnie ten deszcz złotych monet. Policzyłem je po powrocie do domu i nie mogłem uwierzyć własnym oczom, – Przerwał, pozwalając Jimowi i Angie wydać uprzejme pomruki zdumienia. – Było tego dość, żeby wyremontować cały zamek Smythe – ciągnął – i zapewnić nam utrzymanie na ponad rok. A w przyszłym roku będą przecież następne turnieje. Po raz pierwszy miałem więcej, niż trzeba na zaspokojenie bieżących potrzeb. Któż wie, do jakiego bogactwa ziem i budynków mógłbym teraz dojść? Gdybym oczyścił południowo-zachodni kraniec moich włości z chaszczy i przeznaczył go na pastwisko... W każdym razie ten dar króla był darem Boga. Miałem nawet ochotę udać się do klasztoru Windom, by zapytać tamtejszych kapłanów, jak mu podziękować. Przyszło mi jednak do głowy, że równie dobrze mogliby powiedzieć, bym oddał wszystkie pieniądze lub ich znaczną część na kościelne potrzeby. A jako niepoprawny grzesznik nie chciałem tyle stracić. Och, szczerze ich obdaruję, ale sam zdecyduję, jak hojny to będzie dar.

–No cóż, przecież to ty go zdobyłeś – powiedziała Angie.

–Nie – rzekł Brian, potrząsając głową – fortuna mi sprzyjała, nic poza tym. Jednak, choć wtedy o tym nie wiedziałem, ten majątek miał już lepsze przeznaczenie. – Wyprostował się na krześle, rzucając im promienne spojrzenie, – O wiele lepsze! – powiedział. – Ponieważ kilka dni po moim powrocie gołąb przyniósł wiadomość od Geronde, która wzywała mnie do siebie. I tak zamierzałem pojechać tam za dzień czy dwa, ale wyruszyłem natychmiast. Kiedy mnie zobaczyła, zarzuciła mi ręce na szyję, gdyż otrzymała wspaniałe wieści. Przyniósł je stary rycerz wracający z Ziemi Świętej i przekazał królewskiemu sędziemu podążającemu do Devon, gdzie miał przewodniczyć sądowi. A sędzia przekazał je innemu szlachetnemu rycerzowi, sir Matthew Holmesowi, który wracając do Gloucestershire, uprzejmie zajechał do zamku Malvern i powiadomił Geronde, że jej ojca widziano żywego w mieście Palmyrze, w Ziemi Świętej. Aczkolwiek oprócz tego, że go rozpoznano, nie wiadomo, jak mu się tam wiedzie. Wiemy tylko, iż jest w dobrym zdrowiu jak na swoje lata, których teraz ma prawie pięćdziesiąt.

–A zatem nie wiecie, czy zamierza wrócić do domu, czy nie? – spytała Angie.

–Nie. I właśnie ten fakt ukazał Geronde i mnie, jakim cudownym zrządzeniem losu był ten królewski dar – odparł Brian. – Dysponując taką sumą pieniędzy, mogę

szybko podążyć do Palmyry, odnaleźć go i sprowadzić do Malvern. I zrobię to siłą, jeśli będzie trzeba, gdyż musi wyrazić zgodę na mój ślub z Geronde.

Urwał i popatrzył na Jima.

–Pojedziesz ze mną, Jamesie? Rzecz jasna, miło będzie zobaczyć Ziemię Świętą. Jednak, co ważniejsze, mając cię przy sobie, byłbym pewny, że wszystko się uda!

Jim spodziewał się tego już od kilku sekund. Pomimo to prośba Briana była dla niego jak cios pięścią między oczy. Czuł na sobie spojrzenie Angie.

–Briane – zaczął i zawahał się. – No cóż, widzisz, chociaż bardzo chciałbym jechać, nie mogę zrobić tego teraz. Sir John Chandos uprzejmie zaproponował, że postara się przyspieszyć bieg spraw na królewskim dworze we wszelkich prawnych kwestiach związanych z uzyskaniem opieki nad młodym Robertem Falonem. Dopóki król nie udzieli jej nam, muszę być tutaj, aby w razie potrzeby osobiście udać się do Londynu. Rozumiesz?

–Jamesie – nalegał Brian – przecież z pomocą dobrego sir Johna nie powinno to trwać zbyt długo. Wprawdzie zamierzałem wyruszyć najszybciej, jak to możliwe, dotrzeć tam, odnaleźć ojca Gcronde i wrócić, nim rozpoczną się tam straszliwe letnie upały. Mogę jednak poczekać kilka tygodni, powiedzmy...

–Nie – uciął Jim, czując na sobie kamienne spojrzenie Angie. – To zbyt wielkie ryzyko. Powinieneś wyruszyć jak najszybciej. Chciałbym pojechać tam bardziej, niż potrafię to wyrazić, Briane. Sądzę jednak, iż w tym wypadku powinieneś pojechać sam.

Światło, które rozpromieniało twarz Briana od chwili, gdy tutaj przybył, blask zrodzony z emocji, kompletnie zgasł. Wyprostował się.

–Oczywiście – rzekł – masz absolutną rację, jak zwykle, Jamesie. Ryzyko byłoby zbyt wielkie i naprawdę rozumiem, dlaczego chcesz czekać tu, aby mieć pewność, że otrzymasz prawo opieki nad Falonem. Nie będziemy już o tym mówić.

–Gdybym mógł ci pomóc w jakikolwiek inny sposób – powiedział poważnie Jim. – Nie wiem jak, ale skoro mam pewne magiczne zdolności, może moglibyśmy coś zrobić lub wymyślić... Chciałbym przydać ci się jakoś, pozostając tutaj.

–Nie, nie. To niepotrzebne – rzekł Brian. – Jak już powiedziałem, nie będziemy więcej o tym mówić. W każdym razie powinienem zapytać, jak wy i wasi ludzie przetrwaliście śnieżycę. Ja wraz z moimi byliśmy bezpieczni za murami, mając wszystko, co potrzebne do przeżycia. Tymczasem wasi kmiecie i dzierżawcy mieszkają w odległych budynkach. Czy ponieśliście poważne straty spowodowane śniegiem, wiatrem i gwałtownym spadkiem temperatury?

–Nie, ku naszemu zdziwieniu nie – powiedział Jim. – Właśnie w moim smoczym ciele obleciałem włości i nie znalazłem prawie żadnych szkód. Pomogłem niektórym ludziom, w tym wdowie Tebbits, której zabrakło drewna opałowego. Śnieżycą nie spowodowała u nas większych strat.

–Miło mi to słyszeć – powiedział Brian, wstając od stołu. – Właśnie doszedłem do wniosku, że jest jeszcze dość jasno, żebym zdążył wrócić na zamek Smythe przed zapadnięciem zmroku. Wprawdzie jest wietrznie, ale nie pada śnieg. W rzeczy samej, pogoda nie jest tak zła, jak nieraz bywało. Tak więc opuszczę was teraz. Rozumiecie,

że muszę poczynić różnorakie przygotowania, tak wszystko zaplanować i uzgodnić, żeby zamek Smythe nie ucierpiał podczas mojej nieobecności. Zapewne nie będę mógł zabrać ze sobą nikogo, nawet Johna Chestera.

John Chester był giermkim Briana, ostatnią osobą, bez której rycerz ruszyłby w drogę. W zachowaniu Briana dał się wyczuć chłód i nie ulegało wątpliwości, że jakiegokolwiek namowy ze strony Jima czy Angie, by został dłużej, byłyby skazane na niepowodzenie, a nawet pogorszyłyby sytuację. Jim i Angie również wstali.

–No cóż, powodzenia – rzekł Jim.

–Tak, Brianie – dodała Angie. – Bądź ostrożny dla dobra Geronde i twojego własnego. Naszego także.

–Rozważny rycerz nie podejmuje zbyt dużego ryzyka – odparł Brian. – To samo można rzec o rozważnym podróżnym, a zamierzam być oboma. Żegnajcie więc. Jeśli będę miał jakieś wieści po przybyciu do tej Palmyry, prześlę je Geronde. Ona da wam znać.

Dzień dobiegał końca, a spotkanie w wielkiej sali straciło już swój radosny charakter. Odprowadzili sir Briana aż do drzwi, gdzie słudzy pomogli mu nałożyć zbroję i podróżną opończę. Przyprawiono konia. Jim i Angie przez chwilę stali w progu, patrząc, jak przejeżdża przez dziedziniec i bramę, aż zniknął im z oczu.

Rozdział 4

Przez prawie pięć tygodni Jim i Angie nie wspominali w rozmowach Briana i Geronde, co było dość niezwykle, gdyż zazwyczaj wszystko omawiali ze sobą. Teraz jednak Jim miał poczucie winy po ostatnim spotkaniu z Brianem i podejrzewał, że Angie także – tak więc był to dość drażliwy temat.

Był jak na pół zapomniany ból głowy, który pojawia się od czasu do czasu, kiedy nie ma o czym myśleć. Mimo wszystko z czasem powracał coraz rzadziej, aż niespodziewanie pod murami zamku odezwał się głos srebrnego rogu – nie krowiego ani nawet zaopatrzony w ustnik zmieniający go w róg myśliwski – lecz prawdziwego instrumentu. Spod bramy przybiegł pełniący tam straż zbrojny. Spotkał Jamesa i Angie w chwili, gdy wyszli z wielkiej sali, aby osobiście sprawdzić, co się dzieje.

–Panie! Pani! – wysapał zbrojny, młodzieniec o często spotykanych u wieśniaków jasnoniebieskich oczach i grzywie rudawych włosów. – Yves Mortain zawiadamia, że nadjeżdża sir John Chandos z tuzinem konnych.

–Dobrze – odparł Jim. – Wpuśćcie go! Wpuśćcie! Biegnij z powrotem i powiedz tym przy bramie, żeby powitali go z najwyższym szacunkiem!

Posłaniec odwrócił się i pognął co sił.

–Można by pomyśleć, że do tej pory powinni się nauczyć – mruknął Jim. – Sir John jest tu zawsze mile widziany.

–To nieistotne – powiedziała Angie. – Robią to, co do nich należy. Poza tym, skąd mają wiedzieć, czy sir John nie stał się naszym wrogiem od swego ostatniego pobytu w Malencontri? Przecież wiesz, że tutaj zdarzają się takie sytuacje.

–Tak sędzę – rzekł Jim, wciąż niezadowolony. – Dałbym wszystko za jakiś rodzaj tuby, łączącej wielką salę z bramą.

Skulił ramiona, bo chociaż dzień był słoneczny, a zamkowe mury wokół dziedzińca chroniły przed wiatrem, jednak oboje z Angie wyszli z kasztelu w lekkich domowych strojach. Dzień był słoneczny i stosunkowo bezwietrzny – ale luty jeszcze się nie skończył.

–Yves Mortain po prostu robi swoje – powiedziała Angie,

–Tak, masz rację – przyznał Jim. Yves Mortain został mianowany dowódcą straży, kiedy Theolufa wyniesiono do godności giermka. Był niezwykle kompetentny.

Prawdę mówiąc, Jim zdawał sobie sprawę z tego, że Yves o wiele lepiej od niego orientuje się, jak należy bronić zamku i pełnić straż przy bramie.

Tymczasem od otwartych teraz na most wrót, doleciał stukot kopyt pierwszych dwóch wierzchowców, a potem na dziedziniec wjechał sir John. Zawsze elegancki, o młodzieńczym wyglądzie rycerz dosiadał wielkiego czarnego ogiera, który kroczył, machając ogonem, tak dumnie i wesoło, jakby dopiero zaczynał całodzienną podróż, a nie kończył ją. Zatrzymał się przed nimi.

–Sir Johnie! – powiedział uradowany Jim. – Miło mi cię widzieć!

Sir John dwornym gestem zdjął stalowy hełm.

–Sir Jamesie, lady Angelo – rzekł. – Przynoszę wam niezwykle wiadomości i chciałem być pierwszym, który wam je przekaże. Dlatego przybyłem tu z Londynu.

Możemy wejść do środka?

–Oczywiście! – odparł Jim. Rozejrzył się za swoim giermkim.

Theoluf jednak już się zjawił wraz ze zbrojnym, który miał poprowadzić eskortę sir Johna w kierunku stajni, gdzie mężczyźni znajdą schronienie dla siebie i koni, a także – niewątpliwie – jedzenie i picie. Gdy sir John zeskakiwał z siodła, Theoluf osobiście podskoczył, by przytrzymać uzdę rumaka.

–Za pozwoleniem, sir Johnie – rzekł – konia umieszczę w trzeciej przegrodzie od frontowych drzwi stajni i otrzyma najlepszą opiekę. Czy mogę spytać, jak się zwie?

–Tonnere de Beaudry – odparł sir John.

–Tędy proszę, Tonnere de Beaudry – Theoluf zwrócił się do konia z kurtuazją, na jaką zasługiwał tak cenny wierzchowiec, po czym odprowadził go.

Sir John, Jim i Angie ruszyli razem w kierunku wejścia do wielkiej sali. Zupełnie już przemarznięty Jim chętnie poszedłby żywszym krokiem. Jednak dobre wychowanie nakazywało dojść do frontowych drzwi spacerkiem.

–Mogę zostać tylko jedną noc – rzekł sir John. – Mam ważne sprawy do załatwienia na zachodzie. Zmierzając tutaj, przejeżdżałem obok zamku Malvern, gdzie miałem nadzieję zastać sir Briana, gdyż do zamku Smythe było mi nie po drodze. Pragnąłem przekazać mu osobiste gratulacje Jego Wysokości z okazji zwycięstwa w świątecznym turnieju earla Somerset. Jego Wysokość był oczarowany relacją z tego turnieju, którą usłyszał z ust Richarda de Bisby, biskupa Bath i Wells. Niestety, sir Brian udał się do Ziemi Świętej. Lady Geronde de Chaney udzieliła mi schronienia na noc. Przy okazji muszę powiedzieć, jak ogromne wrażenie wywarł na mnie sposób, w jaki troll earla, za twoją oczywiście sprawą, poradził sobie z pięcioma zacnymi rycerzami. Zaiste, niezwykle to troll zarówno pod względem rozmiarów, jak i usposobienia.

–Owszem, można tak powiedzieć – przyznał Jim. – Jednak nie widziałem cię na trybunach. Szukałem obok earla...

Ugryzł się w język, chociaż już było za późno. Ze względu na urodzenie, jeśli nie na zajmowane stanowisko, sir John powinien siedzieć tuż obok earla, lecz nie było go tam.

–Ach tak – rzucił niedbale sir John. – Usiadłem obok starego druha, towarzysza walki, na jednej z niżej stojących ławek. Jednak wszystko widziałem...

Zwrócił się do Angie.

–Również przedstawienie, jakie zaaranżowałaś dla nas w ostatnią noc tych świąt, wywarło na mnie ogromne wrażenie, milady.

–Cóż, dziękuję – odparła Angie. – Przygotowania do niego sprawiły mi chyba tyle samo uciechy, ile mieli ci, którzy je oglądali.

Konwersując, minęli drzwi i znaleźli się w stosunkowo ciepłym wnętrzu. Jim zauważył, że sir John nie spieszył się z wyjawianiem tego, z czym przybył. Zapewne miał złe wieści. Najprawdopodobniej wynikły jakieś nieoczekiwane trudności w uzyskaniu prawa do opieki nad Robertem Falonem i sir John zamierzał powiedzieć im o tym w delikatny sposób – zapewne przy obiedzie.

Jednak Jim mylił się. Już jakiś czas siedzieli pogrążeni w miłej pogawędce przy

stole zastawionym winem i babeczkami z odrobiną konfitur przypominającymi małe pączki o fantastycznych kształtach, gdy giermek sir Johna podszedł do nich i stanął, czekając cierpliwie, aż go zauważą. W końcu zrobił to sir John.

–Ach – powiedział. – Znalazłeś. Widzę, że jest w niezłym stanie. Podaj mi go.

Giermek podał mu coś, co wyglądało jak prostokąt złożonego pergaminu ze zszytymi brzegami zabezpieczającymi przed rozwinięciem.

–Możesz odejść – rzekł sir John do giermka, po czym z paczką w ręce obrócił się do Jima i Angie. – Zapewne powinienem poczekać z wręczeniem tego na bardziej podniosłą chwilę naszego spotkania. Wiem jednak, że bardzo chcecie dowiedzieć się, co jest w środku. Tak więc...

Podał paczkę siedzącemu obok Jimowi, a ten z trudem opanował chęć wręczenia jej Angie, dla której miała największe znaczenie – jeśli pakiet zawierał to, czego się spodziewał. Jednak zgodnie ze średniowiecznymi obyczajami powinien przyjąć paczkę jako jej adresat.

Jim wyjął zza pasa nóż, przeciął nici, którymi zaszyto pergamin. Po rozłożeniu zmienił się on w jedną kartę z grubą pieczęcią odcisniętą na wąskim pasku innego pergaminu przeciągniętego przez dwa rozcięcia na dole strony, tak że zwisała jak zawieszony na ludzkiej szyi medalion.

Spojrzał na pismo.

Było napisane dość łątwą, średniowieczną wersją łaciny i skreślone wprawną ręką w stylu właściwym tym czasom i autorowi. Litery zostały opatrzone rozmaitymi ozdobnikami, włącznie z popularnymi, tak zwanymi „sterczącymi pałeczkami”, czyli przedłużonymi i pogrubionymi pionowymi kreskami, dzięki czemu wyglądały jak uzbrojone w dzidy.

Jim z niejakim wysiłkiem, lecz dość szybko przeczytał nakreślone słowa,

Eduardus Dei gracia Rex Anglie et Francie et dominus Hibernie omnibus ad quos presentes litere pervenerint saluten...

Gdy patrzył na pismo, łacińskie słowa nagle rozmazały mu się w oczach i zmieniły w angielskie. Zdziałała magia od dawna nieustannie tłumacząca nie tylko słowa w innych językach, takich jak francuski, ale także niezliczone rodzaje dialektów, język wilków, diabłów morskich i tym podobnych stworzeń na rodzaj współczesnej, nowoczesnej angielszczyzny zrozumiałej dla Jima i Angie.

Po angielsku tekst brzmiał następująco: Edward z Bożej łaski Król Anglii i Francji oraz Pan Irlandii, który niepodzielnie włada owymi krainami, pozdrawia was.

W sprawie Roberta Falona, syna Ralpa Falona, barona Chene, obecnie zmarłego, dotyczącej opieki nad rzeczonym Robertem Falonem do czasu jego pełnoletności...

Jim pospiesznie przebiegł wzrokiem pismo. Na taką decyzję liczyli. Przyznano mu opiekę nad dzieckiem. Na samym dole listu była królewska pieczęć, którą po otwarciu natychmiast zauważył. Bez słowa podał pismo Angie. Miała łyzy w oczach.

–Musimy to uczcić – powiedział Jim. Zwrócił się do sir Johna; – Nie wiem, jak mam ci dziękować, sir Johnie, Nie oczekiwaliśmy odpowiedzi wcześniej, jak za kilka miesięcy. Prawdę mówiąc, liczyłem się z tym, iż mogą upłynąć lata, zanim zapadnie podobna decyzja.

–Czasem tak bywa – rzekł sir John. – Jednakże osoby z najbliższego otoczenia króla uznały, iż będzie najlepiej, jeśli Jego Wysokość niezwłocznie zadba o dobro spraw młodego Roberta Falona. Tak więc królewski rozkaz pozwolił ominąć zwyczajową procedurę. Częściowo zawdzięczacie to dobremu biskupowi Bath i Wells, Richardowi de Bisby, Złożył wizytę na dworze i jego argumenty wywarły silne wrażenie na Jego Wysokości, którego niech Bóg ma w opiece.

–Amen – zakończyli posłusznie Jim i Angie.

Jim odchrząknął zmieszany, gdyż sir John wypowiedział ostatecznie słowa z bardzo poważną miną. Jim doskonale mógł sobie wyobrazić, jak donośny głos i zdecydowanie biskupa podziały na króla, który nie miał ochoty zajmować się jakimikolwiek sprawami wagi państwowej.

–Nie masz nic przeciwko małej uroczystości, zważywszy, że jutro musisz znów ruszyć w drogę? – zapytał sir Johna.

–W tych okolicznościach absolutnie nic.

Tak więc świętowali w średniowiecznym stylu najlepszym winem i jadłem. A jakimś tajemniczym sposobem wieść o losie Roberta rozeszła się już po zamku. W rezultacie słudzy także chodzili rozpromienieni, jakby opiekunem uczyniono nie samego Jima, ale wszystkich mieszkańców Malencontri.

Ten radosny nastrój potrwał aż do rana, kiedy pożegnali sir Johna Chandosa, który ze swą zbrojną świtą ruszył w dalszą podróż. Potem jednak zaczął przygasać, gdy powoli wrócili do zamku i weszli po schodach na wieżę. Oboje zamilkli i przez jakiś czas w słonecznym pokoju zalegała cisza, aż Angie, nie patrząc na męża, lecz przez jedno z okien, przemówiła:

–No cóż – powiedziała cicho – teraz możesz już jechać.

–Jechać? – powtórzył zaniepokojony Jim, doskonale ją rozumiejąc.

–Wiesz, o czym mówię – powiedziała Angie. Odwróciła się twarzą do niego. – Do tej Palmyry. Tam, dokąd chce wyruszyć Brian. Choć zapewne już jest w drodze. Teraz możesz podążyć za nim.

–Nie, skądże – mruknął w zadumie Jim.

Angie znów odwróciła głowę, jakby nie słyszała tego, co powiedział.

–Wiesz co – ciągnęła tym samym cichym głosem – jakiś czas temu zaczęłam myśleć, jak czułabym się na miejscu Geronde, kiedy ty próbowałbyś odnaleźć mojego ojca i nie miałbyś przy sobie Briana.

–To nie to samo. Teraz, mając Roberta Falona, jesteśmy rodziną. Ponadto – usiłował ją rozbawić – jestem zraniony, głęboko zraniony, słysząc, że nie wierzysz we mnie na tyle, aby puścić mnie gdzieś bez opieki Briana.

–To nie jest zabawne – powiedziała Angie, spoglądając mu w oczy. – Znacznie mniej się martwię, kiedy Brian jest z tobą podczas takich wypraw. O wiele mniej, niż gdyby ci nie towarzyszył.

–Poza tym – ciągnął Jim – już powiedzieliśmy Brianowi, że nie pojedę. Niewątpliwie wyruszył kilka tygodni temu i nic już nie można zrobić.

–Naprawdę?

–Hmm – mruknął Jim, czując się nieswojo – pomijając możliwość, że mógłbym go

dogonić. Przecież tak naprawdę nie chcesz, żebym jechał?

–Jasne, że nie – odparła. – Może jednak się mylę. Może powinieneś.

–Tego nikt nie wie na pewno.

–Może jednak. W każdym razie sądzę, że powinniśmy porozmawiać z Geronde. Jim wytrzeszczył oczy.

–A więc już postanowiłaś, że pozwolisz mi wyjechać? – zapytał.

–Tak – rzuciła gniewnie Angie. – Ale najpierw chcę, byśmy oboje porozmawiali z Geronde.

–Może to dobry pomysł. Prawdę mówiąc, Angie, trochę gryzło mnie to, iż nie zgodziłem się od razu, kiedy Brian mnie poprosił. Jak najbardziej, powinniśmy poznać punkt widzenia Geronde. Może... no cóż, najpierw z nią porozmawiajmy.

Wstał.

–Chyba nie zamierzasz jechać teraz?

–Jest jeszcze wcześniej.

–Przy tej pogodzie to trzy godziny jazdy – stwierdziła Angie – a jeśli porozmawiamy z nią chwilę, będzie za późno na powrót. Tak więc będziemy musieli zanoćcować. A to oznacza, że musimy wziąć ze sobą pościel. Kocham Geronde, ale nie położyłabym się do żadnego łóżka w jej zamku, chyba że miałabym nóż na gardle. Czy nie możesz po prostu przenieść nas tam w magiczny sposób?

–Carolinus ostrzegał mnie przed nadużywaniem magii, nawet jeśli mam otwarte konto – odparł Jim. – Zamierzałem powiedzieć ci o tym. To było tego dnia, kiedy przyjechał Brian i Carolinus zupełnie wypadł mi z głowy. Przestrzegał, żebym zawsze starał się obywać bez magii, zachowując cały zapas na nadzwyczajne sytuacje.

–Hmm – nie rezygnowała Angie – a czy nie mógłbyś zmienić się w smoka i unieść mnie w powietrze?

–Nie – odparł powoli Jim. – Smok nie ma takiego udźwigu. Nie potrafi latać z dorosłym człowiekiem na grzbiecie. Pamiętasz te dwudziestowieczne opowieści staruszków o orłach porywających niemowlęta? No cóż, w rzeczywistości nie ma w nich ani słowa prawdy. Dziecko ważące ponad pięć kilo byłoby za ciężkie dla każdego orła. Z tego samego powodu dorosły człowiek stanowiłby dla mnie zbyt wielki ciężar. Mógłbym odbić się od ziemi i przelecieć niewielki dystans, ale potem zabrakłoby mi sił i oboje spadlibyśmy na ziemię. – Zawahał się. – Nie sądzę, żebyś chciała puścić mnie samego... Nie – odpowiedział sam sobie, widząc, że otworzyła usta.

–Masz rację. Nie – przyznała Angie. – Nie sądzisz, że tylko ten jeden raz mógłbyś skorzystać z magii?

**–W tym problem. Dotychczas za często robiłem to „tylko ten jeden raz”.
Chwileczkę!**

–Co takiego? – zdziwiła się Angie,

–To proste – wyjaśnił. – Wystarczy, że zamienię cię w smoka. Nie wymaga to prawie żadnej energii magicznej.

–Mnie? W smoka? Mógłbyś to zrobić? – Na twarzy Angie zdumienie mieszało się z zadowoleniem. – Tak. Dlaczego nie? Nigdy nie byłam smokiem. Dlaczego nie

pomyśleliśmy o tym wcześniej?

–Pewnie dlatego, że nie musieliśmy – odparł Jim, – Lepiej ubierz coś ciepłego, na wypadek gdybyśmy musieli z powrotem przybrać ludzką postać, zanim wrócimy na zamek.

Już zmierzał do swojej szafy po podróżną opończę. Ciepło ubrani weszli na szczyt wieży, gdzie Jim skinął na pełniącego tam straż zbrojnego.

–Możesz zejść na chwilę i ogrzać się, Thomasie – powiedział.

Wartownik z wdzięcznością przyjął polecenie i zniknął na schodach.

–Kiedy zamierzasz zmienić mnie w smoka? – spytała Angie.

–Właśnie teraz – odparł Jim. – Chodź ze mną.

Zaprowadził ją do postumentu, na którym spoczywał wielki kocioł. Teraz był, oczywiście, pusty. W czasie bitwy można go było napełniać olejem, ogrzewać i wylewać zawartość na głowy napastników, którzy chcieliby zaatakować bramę zamku. Jim wszedł na platformę i podał rękę Angie. Stali na wysokości najwyższych murów i spoglądali na otwartą przestrzeń wokół zamku i linię drzew w oddali,

–Odsuń się trochę ode mnie, żebyś miała miejsce – poradził Jim. – Tylko kilka stóp. O tak. Wystarczy, Zaczynamy.

Wyobraził sobie siebie i Angie jako smoki, bez ubrań, które czekały, by ich okryć, kiedy wrócą do ludzkich postaci. Poczynił ogromne postępy od czasu, gdy uczył się zmieniać w smoka i nieustannie niszczył przy tym ubranie albo musiał zdejmować je przed przemianą,

–Jesteś przystojnym smokiem – powiedział do Angie.

–Naprawdę? A może tylko tak mówisz?

–Nie – rzekł Jim. – Jesteś przystojną smoczą. Gdybym był prawdziwym smokiem...

–Hmm, chyba ci uwierzę. I co teraz?

–Teraz – powiedział Jim – wystarczy skoczyć z tej platformy w powietrze, rozłożyć skrzydła i polecieć. Będę przy tobie, więc po prostu rób to co ja: machaj skrzydłami, kiedy ja macham, rozkładaj je i szybuj, gdy ja to robię.

Angie spojrzała na krawędź platformy i pustą przestrzeń.

–Jim – powiedziała po chwili. – Zmieniłam zdanie. Chyba jednak nie chcę być dziś smokiem.

–Nie bądź głuptasem.

–Boję się.

–Pamiętasz, co mi powiedziałaś, kiedy byłem w smoczym ciele? Znalazłem się w jaskiniach smoków z Cliffside tylko z tobą. Zaproponowałaś, żebym poleciał po pomoc do Carolinusa. Ja także nie paliłem się, żeby skoczyć z jaskini w powietrze. Jednak ty powiedziałaś, że powinienem spróbować. Stwierdziłaś: „To zapewne przyjdzie samo. Sądzę, że instynktownie nauczysz się latać, kiedy znajdziesz się w powietrzu”. Pamiętasz?

–Tak powiedziałam? – zdziwiła się Angie. – Hmm, myliłam się.

–Nie. Miałaś rację. To przyjdzie samo, kiedy będziesz w powietrzu. Ciało, które teraz dostałaś, ma własne instynkty i odruchy.

–Mało mnie to obchodzi.

–Ponadto – dodał Jim – będę tam i pochwycę cię w powietrzu, gdyby coś poszło nie tak.

–Nie obchodzi mnie to. Boję się. Zmieniłam zdanie i nie chcę być smokiem. Zmień mnie z powrotem... Jim, przestań!

Ostatnie słowa zmieniły się w przeraźliwy krzyk, Jim wykorzystał swoją większą wagę (był znacznie potężniejszym smokiem) i po prostu zepchnął Angie z wieży. Rozpaczliwie czepiała się jej pazurami, ale ześlizgiwała się po kamieniach w przepaść.

–Tak robią ptasie matki z pisklętami, ucząc je latania – rzekł Jim. – I ptasi ojcowie – dodał, gdy Angie zsunęła się na skraj wieży, chwiała się tam przez moment i runęła.

Zniknęła mu z oczu, lecz niemal natychmiast rozległ się łopot skrzydeł i śmignęła w niebo, rozpaczliwie nabierając wysokości jak myśliwiec szukający optymalnego pułapu.

Dokładnie to samo zrobił Jim za pierwszym razem, kiedy poleciał z jaskini Cliffside, o której wspomniał wcześniej. Z początku myślał tylko o tym, żeby nie spaść. Ta ludzka myśl przeniesiona do smoczego ciała spowodowała natychmiastowe wykorzystanie wszystkich sił ukrytych w potężnych skrzydłach.

Pospiesznie zeskoczył z wieży i ruszył w ślad za Angie, szybko pnąc się w górę. Smoki były zdolne do takich gwałtownych zrywów, ale szybko opadały z sił. Po chwili ujrzał, że Angie słabiej uderza skrzydłami i zaczyna zwalniać. W końcu przestała i instynktownie rozłożyła je, usztywniając do szybowania. Jim podleciał i zrównał się z nią.

–Gdzie ja jestem!? – zawołała rozpaczliwie Angie.

–Och, jakieś sześćset metrów nad ziemią – odparł Jim.

–Sześćset... – Zerknęła w dół. Milczała przez dłuższą chwilę. – Faktycznie!

–Jasne – powiedział Jim. – To więcej, niż potrzeba na tak krótki lot do zamku Malvern. Teraz leć za mną. Umiem znajdować i wykorzystywać wstępujące prądy powietrza. Na takim teraz właśnie lecisz. Zaniosą nas do Malvern – Traktuj lot jak jazdę górską kolejką.

–Dobrze – powiedziała Angie, lecz ton jej głosu świadczył o tym, że jeszcze nie całkiem uwierzyła w to, co robi.

Lecieli, przenosząc się z prądu na prąd, kołując w górę w kominach cieplejszego powietrza, opadając w kierunku celu podróży, znajdując kolejny komin i wznosząc się, aby znów opaść. Jim nic nie mówił, pozwalając Angie przywyknąć do nowego sposobu podróżowania. Dopiero po dłuższej chwili przemówiła:

–To nie jest właściwy kierunek do zamku Malvern – zauważyła.

–Lecimy okrężną trasą ze względu na wiatr – odparł Jim. – Nie nadłożymy wiele. To tak, jakby nasze skrzydła były żaglami. Musimy złapać w nie choć trochę wiatru. Zbliżamy się do zamku Malvern szerokim łukiem.

Znów zapadła długa cisza, w której zmienili prądy, wzlecieli nad drzewami, wykorzystując wytworzony przez nie ciepły komin. Drzewa wchłaniały energię słońca i ogrzewały powietrze wokół. Po pewnym czasie Angie ponownie przemówiła.

–Nigdy ci nie wybaczę, Jim – powiedziała tonem towarzyskiej pogawędki. – Nigdy w życiu. Postąpiłeś okropnie, spychając mnie z wieży. Mogłam się zabić!

–Wiedziałem, że do tego nie dojdzie – odparł Jim. – Tak jak ja nie zginąłem, kiedy poleciałem pierwszy raz. Nie zabiłabyś się, nawet gdybyś chciała. Twoje ciało zareagowało odruchowo, jak ciało pisklęcia, które matka po raz pierwszy wypycha z gniazda.

–Mimo wszystko, nigdy ci nie wybaczę. Po prostu... och, Jim, jakie to cudowne! Uwielbiam to! Dlaczego wcześniej nie zmieniłeś mnie w smoka?

–Ponieważ wiedziałem, że nie będziesz chciała skoczyć z wieży – mruknął Jim.

Rzecz jasna, niezupełnie tak było. Po prostu nigdy nie przyszło mu do głowy, by przemienić Angie w smoka. Teraz pospiesznie wykorzystał zmianę jej nastroju.

–Podoba ci się to?

–Jeszcze jak! I wiesz co? Wcale nie jest mi zimno, a przecież ten wiatr musi być lodowaty!

–Smoki nie odczuwają zimna – wyjaśnił Jim. – Natomiast przeszkadza im ciepło; sama się przekonasz. Ponadto prawie cały czas lecimy z wiatrem, więc nie czujesz jego podmuchów.

–Tylko pomyśl – powiedziała Angie – teraz możemy razem podróżować w ten sposób!

O tym także nie pomyślał. Wciąż rozważał wady i zalety tego sposobu podróżowania, kiedy w dole pojawił się zamek Malvern i Jim długim ślizgiem opadł na zamkową wieżę.

Na jej szczycie, tak samo jak na wieży Malencontri, stał samotny wartownik. Oprócz miecza miał jeszcze krótką włócznię. Skamieniał na widok dwóch smoków zbliżających się do zamku.

Kiedy z głośnym łoskotem wylądowali dziesięć metrów od niego, wydał dźwięk bardziej przypominający autentyczny wrzask przerażenia niż rytualny okrzyk ostrzegawczy, jaki Jim przywykł słyszeć z ust swoich ludzi. Potem skoczył w otwór na szczycie wieży, skąd kamienne stopnie wiodły na niższe piętro.

Usłyszeli cichnący w dole tupot i szcęk. Trzasnęły drzwi, a potem otworzyły się ponownie. Piętro niżej dał się słyszeć głos Geronde:

–Co jest, do diabła!?! – warknęła.

Rozdział 5

Jim i Angie usłyszeli tupot lżejszych nóg wbiegających po schodach, po czym na wieży pojawiła się Geronde, trzymając w jednej ręce włóczęnię wartownika, a w drugiej jego miecz. Obrzuciła ich gniewnym wzrokiem.

–No dobra, smoki! – powiedziała. – Pomyliłyście zamki. Szukacie Malencontri. To dwanaście mil na zachód w tę stronę...

Wskazała kierunek mieczem.

–To tylko my, Geronde – rzekł Jim. Użył magii i w mgnieniu oka oboje z Angie przybrali znowu ludzką postać. Geronde wytrzeszczyła oczy i opuściła broń.

–To wy? – spytała po dłuższej chwili. – Ty też jesteś smokiem, Angelo?

–Jim zmienił mnie pierwszy raz – odparła Angie z dobrze skrywanym zadowoleniem w głosie. – Świetna zabawa. Słuchaj, Geronde, co do licha chciałaś zwojować tą włóczęnię i mieczem przeciwko dwóm smokom?

–Gdyby co pożałowałyby, że próbowały mnie niepokoić! – oznajmiła Geronde. – Jim przemienił cię w smoka i postanowiłaś tu przylecieć?

–Wprost przeciwnie – odparła Angie. – Zamierzaliśmy tu wpaść i postanowiliśmy przylecieć, a nie przyjechać. Tak było szybciej.

–Ach tak? No cóż, to miło z waszej strony, że odwiedziliście... – zaczęła Geronde, lecz przerwało jej szuranie dwóch par stóp, po czym na schodach pojawił się wysoki, czarnowłosy i długonosy człowiek, którym okazał się Bernard, dowódca straży Malvern, wlokący za kołnierz wartownika. Kiedy Geronde obróciła się do nich, przystanął, nie wypuszczając ofiary.

–Mam go powiesić, pani? – zapytał. – Opuścił posterunek, a ponadto tchórzliwie uciekł w obliczu wroga.

–Sądzę – rzuciła Geronde przez zaciśnięte zęby – że nie jest łatwo znaleźć dobrych zbrojnych... Z drugiej strony, nic nam po nim, jeśli brak mu odwagi...

Były wartownik osłabł w uścisku Bernarda, a teraz prawie zemdłał. Dowódca straży musiał przytrzymać go, żeby nie upadł. Jim pospiesznie wtrącił się do rozmowy.

–Jeśli mogę prosić o drobną grzeczność – rzekł – czy mogłabyś darować mu życie? Nadlecieliśmy tak szybko. Myślę, że zbiegł z wieży w przekonaniu, iż jego pierwszym obowiązkiem jest cię ostrzec i bronić. Tylko dlatego tak pochopnie opuścił posterunek.

–Jest na to za głupi – warknęła Geronde, spoglądając ze złością na omdlałego, mocno przytrzymywanego przez Bernarda wojaka.

–Hmm, tak – dodała szybko Angie – jeśli i ja mogę prosić cię o tę samą uprzejmość, Geronde, jestem niemal pewna, że słyszałam, jak krzyknął coś, zanim zbiegł po schodach. Chyba coś jakby „muszę ratować panią”.

–Ha! – powiedziała Geronde. – Akurat... No nic, Bernardzie, zabierz go z moich oczu. Przyślij tu kogoś. A co do tego osła, zamknij go na trzy dni w lochu o chlebie i wodzie. To go nauczy, że przede wszystkim należy wykonywać rozkazy!

Bernard powlókł nagle poweselałego wartownika, a Geronde znów zwróciła się do Angie i Jima.

–Zejdziecie do komnaty? Musisz wybaczyć mi jej wygląd, Angelo. Później przejdziemy do wielkiej sali, ale mam wrażenie, że najpierw wolelibyście porozmawiać ze mną w cztery oczy. Prawdę mówiąc, zamierzałam pojechać do Malencontri i porozmawiać z wami.

Poprowadziła ich na dół.

Jej prywatna bawialnia mieściła się na wieży Malvern i nie odbiegała od średniowiecznych standardów. Tylko w porównaniu z komnatą, jaką Jim i Angie zajmowali na zamku Malencontri, wykazywała pewne niedostatki. Był tam jednak spory kominek z płonącym na nim ogniem. A doceniwszy zalety szklanych okien w Malencontri, Geronde również kazała je tu wstawić, ponieważ miała na to pieniądze.

Mimo wszystko pomieszczenie wyglądało dość ponuro w porównaniu ze słonecznym pokojem Jima i Angie. Jim doszedł do wniosku, że to wrażenie – przynajmniej częściowo – wywoływał brak wyściełanych krzesel i ogrzewanej podłogi, do których to luksusów przywykli we własnym domu.

Ogień jednak płonął żywo, a opodal stało niezwykle duże łóż z czterema wysokimi słupkami podtrzymującymi baldachim oraz grube zasłony. W średniowiecznych sypialniach możnych ludzi stanowiły one pierwszą linię obrony przed chłodem nocy.

Kolejna różnica między tymi dwoma zamkami polegała na tym, że służba Geronde była naprawdę doskonale wyćwiczona. Zaledwie usiedli, a już ktoś cicho zastukał do drzwi. A gdy Geronde pozwoliła wejść pukającemu, okazał się nim sługa przybywający z ciastem, winem, wodą i pytający, czy pani życzy sobie, by podać do stołu. Ponieważ okazało się, że tak – a nie mogło być inaczej, skoro miała gości – postawił wszystko na stoliku.

–A teraz nie przeszkadzaj nam, chyba że paliłby się zamek – rzuciła ostro Geronde.

–Tak, pani – rzekł służący i wyszedł, gnąc się w ukłonach,

–Jak już mówiłam, i tak chciałam wpaść do was z wizytą – powiedziała Geronde, gdy już rozcieńczyli wino wodą i zaczęli skubać postawione przed nimi ciasto. – Może jednak powinnam pozwolić, żebyście pierwsi wyjaśnili, dlaczego zechcieliście tu przybyć.

–Nie, nie – rzuciła pośpiesznie Angie. – Mów pierwsza, Geronde.

–Cóż... – zaczęła Geronde, nadal nie odrywając oczu od stołu. – Właściwie nie powinnam przemawiać w imieniu sir Briana. Jest rycerzem i szlachcicem, więc może sam mówić za siebie. Niewątpliwie oświadczył, że nie należy już poruszać pewnego tematu, ja jednak pragnę omówić z wami tę sprawę.

–Omawiaj, na Jowisza – zachęcił Jim.

–Czasami wyrażasz się nieco dziwnie, Jamesie – stwierdziła Geronde. – Jednakowoż sądzę, iż rozumiem, co chcesz powiedzieć. Istotnie, omówię ją. To właśnie zamierzałam zrobić podczas odwiedzin u was. Cóż, niemal od początku naszej znajomości wiecie, że Brian i ja jesteśmy zaręczeni.

–Tak, rzeczywiście – odparł Jim. – Chyba pierwsze, co zrobił, to pokazał mi twoją wstążkę.

Oczy Geronde zasnuła leciutka mgielka.

–To do niego podobne – powiedziała. – Taki już jest. Zdaje się, że po raz pierwszy spotkaliście się jako dwaj rycerze gotowi rozstrzygnąć jakiś spór. Czyż nie?

–Zaproponował – odparł Jim – żebyśmy stoczyli walkę na cześć naszych dam. Powiedziałem mu, że kocham Angie, na co odparł, iż to niezwykley zbieg okoliczności, gdyż on kocha ciebie.

–Tak powiedział!?! – wykrzyknęła Geronde. – Ale nie walczyliście?

–Nie – odrzekł Jim. – Nie był to odpowiedni moment, ponieważ byłem wtedy w smoczym ciele i nie mogłem się z niego wydostać, a później, gdy znów przybrałem ludzką postać, zostaliśmy towarzyszami broni. Tak więc nie mogliśmy ze sobą walczyć. Niemal od pierwszej chwili wiedziałem, jak bliskie łączą was więzy i od jak dawna to trwa.

–Istotnie. Dłużej niż ci się zdaje – powiedziała Geronde. – Chyba nawet dłużej niż sami pamiętamy, on i ja.

–Znasz Briana prawie całe życie, prawda, Geronde? – spytała Angie.

–Istotnie, znamy się od dziecka. Chociaż nie jesteśmy spokrewnieni. On od małego nie miał matki i byliśmy dobrymi sąsiadami. Jego ojciec i mój byli bliskimi przyjaciółmi. Prawie braćmi. W rezultacie Brian i ja wychowywaliśmy się razem. Niemal nigdy nie bywałam na zamku Smythe, ale on spędzał tu większość czasu.

Angie spojrzała na nią z zaciekawieniem.

–Dziwne, prawda? – powiedziała Geronde, – Niemal tak, jakbyśmy byli sobie przeznaczeni. Ojciec Briana bardzo mocno związał się ze swymi kuzynami, Neville'ami z Rabę. Sądzę, że zamierzał, a przynajmniej miał nadzieję, że pomagając im, poprawi swoją pozycję. W każdym razie wciąż gdzieś jeździł, głównie nu kontynent, bowiem Neville'owie mieli wszędzie powiązania, a najwięcej we Francji i Włoszech. Kiedy wyjeżdżał, zostawiał Briana w Malvern.

–Brian musiał być bliższy twojemu ojcu niż własnemu – wtrąciła Angie.

–Nie – odparła Geronde – ponieważ mój ojciec też rzadko bywał w domu. Jednak w Malvern pozostała z nami dobrze wyszkolona służba, a kiedy moja matka umarła, również kobiety do opieki nad nami. Miałam wtedy siedem lat. Wszystko było jak należy. Podczas gdy zamek Smythe... no, wiecie, jak dziś wygląda. Nie było innego miejsca, gdzie można by umieścić Briana. Sir Edmar Claive i jego kuzyni mieszkający wówczas w Malencontri, nie należeli do tego rodzaju ludzi, u których można zostawić małego chłopca. A w pobliżu nie było innych odpowiednich dworów. Tak więc Brian przebywał u nas i, jak już mówiłam, wychowaliśmy się razem.

–Ile mieliście lat, kiedy się poznaliście? – zapytała Angie.

–Za pierwszym razem Brian miał siedem lat. a ja pięć – odparła Geronde – choć może chowaliśmy się razem jako dzieci zbyt małe, żeby to pamiętać. Jak powiedziałam, moje najwcześniejsze wspomnienia sięgają czasów, kiedy miałam pięć lat. Później spotykaliśmy się niemal każdego roku, tak często przebywając ze sobą jak brat i siostra, że nigdy nie przypuścilibyście, iż się pokochamy.

–Jednak tak się stało – powiedziała Angie.

Jim spojrzał przez okno na usiane chmurami niebo i sokoła, prawie na pewno

dzikiego, krążącego wysoko nad drzewami na krańcu polany. W głosie Angie słyszał nutę zainteresowania i zachęty, która zawsze go przerażała. Ciepło bijące z kominka i nie rozcieńczone wodą wino, którego nieopatrznie wypił pół kubka, nie tyle uspiły go, ile oszołomiły. Obawiał się trochę, że ta rozmowa zmieni się w jedną z rodzaju: „Och, a więc twój stryjeczny dziadek mieszkał tam-a-tam”! Ciekawe, czy znał paru moich krewnych, którzy mieszkali w pobliżu?” Walczył z opadającymi powiekami.

Geronde skinęła głową w odpowiedzi na pytanie Angie.

–Z początku nie zorientowaliśmy się – ciągnęła. – Wiedzieliśmy tylko, że jest nam źle, kiedy nas rozdzielano, a najszczęśliwsi jesteśmy razem. Och, czasami także okropnie się kłóciliśmy.

Mimo wszystko, jak już rzekłam, pewnego dnia stwierdziliśmy, że jesteśmy zakochani. Później, gdy byłam starsza, wyznałam ojcu, że zamierzam poślubić Briana; to był czas, kiedy ojciec był w domu i mogłam z nim porozmawiać.

–Tak rzadko bywał w domu? – spytała Angie.

–Wciąż wyruszał na jakąś wyprawę, z której miał wrócić obładowany złotem, ale jakoś nigdy do tego nie doszło. Jak już mówiłam, on i ojciec Briana tak samo uganiali się za mirażem bogactwa. W każdym razie, kiedy powiedziałam mu, co czuję do Briana, tupnął nogą i ryknął, że nigdy nie pozwoli mi go poślubić. Miałam wyjść za diuka. Księcia! To było kolejne z jego wielkich marzeń i nie przejmował się tym, że wolałam Briana od wszystkich książąt na ziemi. – Spojrzała na Jima, który ocknął się i robił, co mógł, żeby wyglądać na przytomnego i zainteresowanego. – Właśnie dlatego zamierzałam pojechać do Malencontri i porozmawiać z wami, Jamesie, Brian mówił mi, że czekacie, aż król uczyni cię opiekunem Roberta Falona i że może będziesz musiał osobiście stawić się przed Jego Wysokością. Tak więc na razie nie możesz opuścić Anglii. Doskonale to rozumiem, tak samo jak Brian.

–Cóż... – zaczął zmieszany Jim. Nie ulegało wątpliwości, że Brian był głęboko zraniony jego odmową pomocy w poszukiwaniach ojca Geronde w Ziemi Świętej. Jim uważał, że pozostając w domu, postępuje zgodnie ze średniowiecznymi obyczajami. Wybrał jedyne rozsądne rozwiązanie, nawet za cenę utraty przyjaźni. Dla tych ludzi ziemi i bogactwa były wszystkim, a zdobywanie ich było ważniejsze od wszystkiego.

Dlatego też trzeźwo myślący Brian musiał uznać postępowanie Jima za przejaw zdrowego rozsądku. Byli jednak braćmi krwi, gdyż obaj nieraz przelewali krew w tej samej sprawie, zaś idealny rycerz, jakim zawsze pragnął być Brian, wzgardziłby bogactwami i włością Falona, żeby pomóc towarzyszowi. Geronde zapewne choć częściowo podzielała zdanie Briana.

–Cóż... – powtórzył niepewnie Jim.

–Jamesie, nie sądz, że zamierzam w jakikolwiek sposób podważać twoją decyzję – rzekła poważnie Geronde. – W życiu musimy dokonywać trudnych wyborów. Dobrze wiem, iż serce zabiło ci mocniej, tak jak Brianowi, na myśl o wyprawie do Ziemi Świętej, nie mówiąc już o pomocy towarzyszowi broni. Ponadto na pewno będziesz musiał podjąć ważne decyzje w sprawach związanych z administrowaniem dobrami Roberta Falona. Pomyślałam jednak, iż mimo wszystko pojedę poprosić cię o coś.

–Prawdę mówiąc, Geronde... – zaczął Jim.

Geronde znów mu przerwała.

–Nie – powiedziała. – Błagam cię, wysłuchaj mnie, Jamesie.

–Oczywiście – zapewnił Jim, czując się bardziej nieswojo niż kiedykolwiek.

–Chcę powiedzieć wam coś, czego w innym wypadku nie wyznałabym nikomu, oprócz was, oczywiście – rzekła Geronde. – Mogę to rzec, ponieważ Brian i ja jesteśmy tak podobni do siebie. – Spojrzała na Angie. – Nigdy nie miałam lepszej przyjaciółki od ciebie – powiedziała. – Nie mogłam ich znieść. Gadatliwe, oprócz niektórych starszych dam, przeważnie pozbawione kręgosłupa istoty. Tak rozpaczliwie trzymają się zwyczajów i usiłują zawsze być w porządku, że mogłabym nieustannie się z nimi spierać. Tymczasem ty jesteś inna, Angelo.

–No cóż, Geronde... – powiedziała Angie wyraźnie zmieszana tak jak Jim przed chwilą, co zauważył z perwersyjną satysfakcją.

–To kwestia jedynomyślności w różnych sprawach – ciągnęła Geronde. Znów spojrzała na Jima. – Dokładnie tak jest z tobą i Brianem, Jamesie. On nigdy nie miał żadnych bliskich przyjaciół wśród ludzi jego sfery i rangi. Zawsze musiał z nimi rywalizować, być lepszym od nich, nawet gdyby miało go to zabić. I rzeczywiście był lepszy od większości z nich. W rezultacie niewielu ludzi szanował. Na przykład darzył szacunkiem lepszych od siebie, takich jak John Chandos, który jest o wiele starszy i tak zasłużony w czasach wojny i pokoju, że Brian nie może mierzyć się z takim rycerzem. Ze wszystkimi innymi, których mógłby szanować, musiał walczyć. Sam widziałeś, jak zachowywał się u earla wobec sir Harimore. Brian zabije go pewnego dnia, jeśli Harry nie zabije go pierwszy. Tymczasem jednak uznaje jego rycerskie umiejętności. Och, może lubić twego łuczника, Dafydd ap Hywela, ponieważ ten jest niskiego rodu. Tak więc nie ma mowy o jakiegokolwiek rywalizacji między nim a Brianem, który chętnie przyzna, że Dafydd jest nie tylko lepszym łucznikiem od innych, ale także od niego. – Znowu zwróciła się do Angie. – Czy nie słyszałaś o tym od Danielle? O tym, że Dafydd wśród swoich, tak samo jak Brian, nie może znieść rywala? Kiedy zamieszkali z jej ojcem Giles'em o'the Wold i wszystkimi jego banitami, Dafydd wciąż musiał mierzyć się z innymi członkami bandy, zanim znalazł spokój ducha. W razie potrzeby walczył z dwoma przeciwnikami naraz.

–Owszem – przyznała Angie, Zerknęła na Jima,

–Nikt mi o tym nie mówił – rzekł Jim. – Ale nie jestem zaskoczony.

–No, właśnie o to mi chodzi, Jamesie. Teraz, zgodnie z tym, co usłyszałam od zacnego sir Johna Chandosa, uzyskałeś już prawo do opieki nad Robertem Falonem. Tymczasem Brian pojechał sam. – Zawahała się. – Wcale nie oczekiwał, że pojedziesz za nim – dodała. – Nawet gdyby wiedział, że kwestia opieki została już rozstrzygnięta, nie prosiłby o to. Jednak bardzo wiele dlań znaczysz, Jamesie. Jesteś jedynym człowiekiem, którego może uznać za równego sobie. Ponadto jedynym, na którym może polegać w potrzebie.

–Geronde – rzekł Jim – wiesz, że niezbyt dobrze władam bronią. Brian mógłby znaleźć tuzin rycerzy, a nawet niekoniecznie rycerzy, znacznie wprawniejszych w walce, którzy byliby dla niego lepszym wsparciem niż ja.

–Nie o to chodzi, Jamesie! – odparła Geronde, pochylając się. – To prawda i

blagam o wybaczenie, że mówię ci to prosto w oczy, Jamesie: pewnie nigdy nie będziesz do... wspaniałym jeźdźcem czy mistrzem we władaniu bronią. Być może nawet nie osiągniesz przeciętnego poziomu. Pomimo to Brian ogromnie cię podziwia.

–Och, pewnie myślisz o mojej magii – rzekł Jim. – Musisz wiedzieć, że to czysty przypadek, Geronde. Gdyby los nie uczynił mnie smokiem, nigdy nie zostałbym uczniem czarownika, dzięki czemu wykorzystuję magię, jaką nieświadomie wytwarzam. Wszystko zaczęło się od przypadku.

–Nie! – zaprzeczyła. – To nie tak, choć wszyscy szanujemy twoją odwagę i silną wolę, które skłoniły cię do studiów nad tą dziwną sztuką. Nie. Chodzi o to, iż jesteś tak bliski ideałowi Briana, co podziwia także w sir Johnie. Jesteś naprawdę wielkim rycerzem, gdyż nigdy i w żadnym wypadku nie uczyniłbyś czegoś nierycerskiego.

–Geronde... – powiedział bezradnie Jim. Nie miał pojęcia, jak zareagować na taki komplement. Mógł tylko siedzieć i cierpieć. Był głęboko przekonany, że na pewno nie jest tak uprzejmym człowiekiem, jak twierdziła Geronde i za jakiego najwidoczniej uważał go Brian, a także głęboko przekonany, iż w tym momencie nie powinien się z nią spierać.

–Dlatego też bardzo cię proszę, Jamesie – ciągnęła Geronde – byś rozważył, czy nie mógłbyś pojechać za Brianem, dogonić go i towarzyszyć mu przez resztę podróży. Do tej pory nie dotarł dalej niż na Cypr. Mogę podać ci nazwiska tych, których tam zna. Łatwo mógłbyś go odszukać, dotarłszy do nich, a są znani na wyspie. Jamesie, bardzo proszę, nie odmawiaj bez zastanowienia.

–Geronde... – przerwała jej Angie, lecz tamta nie zważała na to i ciągle mówiła do Jima:

–Oto dlaczego jest tak ważne, żebyś był przy nim podczas poszukiwań mojego ojca. On posłucha cię, Jamesie, podczas gdy nie usłuchałby nikogo innego. A wiesz, że ma skłonność do pochopnego wdawania się w pojedynki i inne ryzykowne przedsięwzięcia. Przy tobie będzie silniejszy i rozsądniejszy. Jesteś mądrzejszy od niego. Oczywiście! Nie patrz tak na mnie. Jesteś mądrzejszy niż on! Tak więc z tobą będzie bezpieczniejszy, a wie tak samo jak ja, że nigdy nie zawiedziesz go w potrzebie. Dlatego błagam cię, błagam cię na klęczkach, jedź za nim i przyłącz się do niego, Jamesie!

–Och, uff! – wysapał Jim, łapiąc ją w samą porę, bowiem Geronde zamierzała przed nim klęknąć. Ze średniowiecznego punktu widzenia nie było w tym nic szczególnego, lecz wychowanemu w dwudziestym wieku Jimowi na samą myśl o klęczącej przed nim Geronde zrobiło się gorąco. – W porządku, Geronde. Jadę. Przybyliśmy tu, żeby ci o tym powiedzieć!

Spojrzała na niego i krew odpłynęła jej z twarzy. Przez moment wydawało się, że zemdleje jak tamten wartownik, który o włos uniknął powieszenia, ale Jim mocno ją przytrzymał.

–Właśnie, Geronde – dorzuciła pospiesznie Angie, przysuwając się do niej i mocno ją obejmując. – Jim postanowił jechać. Powiedz jej, Jim!

Zrobiła wielkie oczy, Jim jeszcze nie w pełni uświadomił sobie sens tego, co właśnie powiedział. Zrozumiał dopiero po chwili.

–Oczywiście! – powiedział Geronde najserdeczniej, jak potrafił. Puścił jej łokcie, ponieważ objęła ją Angie.

Rumieńce wróciły na twarz Geronde. Zerwała się z krzesła. Ucałowała Jima. Pocałowała Angie. Podskakiwała między nimi, jakby zamierzała puścić się w tany.

–Pora na obiad! – zawołała. – I to jaki! Hejże, służba! Do mnie!

Drzwi prowadzące z komnaty na korytarz otworzyły się na oścież, ukazując Bernarda i następnego zbrojnego z mieczami w rękach,

–Schowajcie broń, idioci! – warknęła Geronde. – Biegnijcie do kucharza i zawiadomcie czeladź. Będziemy mieć gości na obiedzie: lorda i lady Eckert. Podajcie, co macie najlepszego. Zejdziemy za pięć minut. Słyszycie, za pięć minut chcę zobaczyć zastawiony stół, a na nim pierwsze danie. Migiem!

–Biegiem! – ryknął Bernard na zbrojnego, który natychmiast zniknął im z oczu. – Wybacz, pani, wybaczcie, lordzie i lady...

Pospiesznie wycofał się, zamykając za sobą drzwi.

–A teraz pozwól, że poprosimy cię o wybaczenie, Geronde – wtrąciła Angie. – Powinniśmy powiedzieć o tym od razu, nie pozwalając ci mówić tego wszystkiego.

–Jakaż to różnica!? – zawołała rozradowana Geronde. Tym razem naprawdę okręciła się na palcach. – Cokolwiek by powiedzieć, na taką wieść czekałam i o nią się modliłam. Dziś wieczór odmówię pięć różańców, dziękując Opatrzności. Nie żałuję ani słowa z tego, co rzekłam, ani tego, że wcześniej mi nie powiedzieliście. Liczy się tylko to, że pojedziesz, Jamesie. Och, trzeba to uczcić!

–Muszę dowiedzieć się wszystkiego o tym, którądy mam jechać i gdzie go szukać.

–Dowiesz się wszystkiego, co wiem! – obiecała Geronde, – Powtórzę ci przy obiedzie każde jego słowo. To będzie długa, ciężka podróż, Jamesie. Mimo to pojedziesz, prawda?

–Oczywiście!

–Zatem wszystko będzie dobrze! – stwierdziła Geronde. – Choć czeka cię niełatwa droga.

–Wcale nie – rzekł Jim. – To dla mnie fraszka. Zapominasz, że jestem czarodziejem.

Rozdział 6

–Czarodziejem... ha! – mruknął ponuro Jim. Co z tego, że jest się magiem, jeśli nigdy nie można użyć czarów? A przecież powinien powiedzieć tylko: „Niech taki-a-taki, gdziekolwiek jest, stanie tu przede mną!” – żeby wymieniony natychmiast się stawiał.

–Czy coś się stało, panie? – zapytał Hob, nadworny skrzat Malencontri (nazywany jak każdy skrzat po prostu Hobem, gdyż został pozbawiony nadanego przez Jima imienia „Hob Jeden de Malencontri”).

–Nie.

Jednak, rzeczywiście, stało się. Hob wyszedł z umieszczonej na plecach Jima sakwy, w której zazwyczaj podróżował, i ulokował się na jego prawym ramieniu. Jim siedział na głazie na kamienistej cypryjskiej plaży, spoglądając na Morze Śródziemne i czekając. Trwało to już pięć godzin.

Od dawna przestał się niecierpliwić. Wygodnie wyciągnął się na skale i patrzył na morze, które akurat było w dobrym humorze, i starannie omiatało grzywaczami szaroniebieskie kamienie ciągnącej się w dal plaży.

Fale powracały, powracały, jedna po drugiej kładły się na piasku i umierały. Co jakiś czas któraś z nich sięgała nieco dalej. Zdarzało się to co ósmą lub dziewiątą falę, choć czasem morze pomijało cały jeden cykl i zmieniało go w szesnastkowy. Za każdym razem, gdy fala docierała do głazów, Jim miał nadzieję, iż wynurzy się z wody i stanie przed nim osobnik zwany Rrrnlfem. Jednak jego przyjaciel, morski diabeł, nie pojawiał się.

Było to tym bardziej irytujące, że kiedyś tylko raz Jim skorzystał z propozycji Rrrnlfa i wezwał go, wołając na brzegu morza, a diabeł morski przybył niemal natychmiast. Ponadto powiedział niegdyś Jimowi – a przynajmniej dał mu do zrozumienia – że zawsze usłyszy wezwanie i dołączy do niego w mgnieniu oka.

Rrrnlf był typowym przedstawicielem swego gatunku. Miał prawie dziesięć metrów wzrostu i klinowate ciało, które zwężało się ku dołowi, wielką głowę i szerokie bary, ale jego stopy były zaledwie trzykrotnie większe niż stopy Jima. Ten nie miał pojęcia, w jaki sposób tak ogromne cielsko może poruszać się na tak niewielkich nogach. Dysproporcje budowy morskiego diabła był szczególnie uderzające, kiedy patrzyło się na jego dłonie. Wydawały się dostatecznie duże, by w jednej garści pomieścić nie tylko ładunek wywrotki, ale nawet całą wywrotkę.

Rrrnlf należał do naturalnych, co oznaczało, że mógł robić rzeczy, które można było wytłumaczyć wyłącznie działaniem magii, ale nie potrafił świadomie posługiwać się nią. Bardziej przypominało to machanie ogonem przez zadowolonego psa. Diabeł morski zanurzony w wodzie nawet na głębokości setek metrów nie miał problemu z oddychaniem. Kiedy wychodził na brzeg, bez trudu oddychał powietrzem. Nie miał pojęcia, jak i dlaczego potrafi to robić. Po prostu przyjmował to jako rzecz oczywistą.

Hob – aczkolwiek mikroskopijny w porównaniu z diabłem morskim – zwyczajny kuchenny skrzat z Malencontri również należał do istot zwanych naturalnymi, chociaż można rzec, że on i Rrrnlf stali na dwóch biegunach ewolucji tego gatunku.

–Panie – pisnął nieśmiało Hob do ucha Jimowi – wydaje mi się, że jesteś smutny.

Czy pomogłoby ci, gdybym zabrał cię na przejażdżkę na smudze dymu?

Wystarczyłoby, gdybyś rozpałił małe ognisko.

–Nie – uciął Jim.

Nagle zdał sobie sprawę, że powiedział to trochę zbyt szorstko. Łatwo było zranić uczucia skrzata.

–Nie, dziękuję, Hob – powiedział nieco łagodniej. – Po prostu nie chcę się teraz nigdzie ruszać.

–Tak, panie.

Jim znów zapatrzył się w fale. Rrrnlf musi być gdzieś tam, pod wodą. Czy coś go zatrzymało, czy też nie chciał odpowiedzieć na wezwanie? A może coś mu się stało? W oceanach żyły stworzenia znacznie większe nawet od niego, na przykład Granfer, pradawna głębinowa mątwą inaczej nazywana Krakenem.

Jim już od tygodnia przebywał na Cyprze i nie znalazł Briana. Ten najwyraźniej dotarł tu, gdyż wiele osób widziało go, choć nikt nie przypominał sobie, aby rycerz opuszczał wyspę albo wspominał o wyjeździe. Mimo to dziwnie trudno było go znaleźć. Jeśli już ruszył do Trypolisu, Jim powinien niezwłocznie podążyć za nim. Z drugiej strony, jeżeli wciąż był na wyspie, Jim musi go odszukać i pojechać razem z nim.

Jeszcze raz zmarszczył brwi, patrząc na rozpościerający się przed nim widok. Trochę denerwowała go ta sielankowa, malownicza sceneria. Morze Śródziemne było w swym najlepszym, spokojnym nastroju, słony wietrzyk wiejący od niego był łagodny i ciepły, a sama plaża, chociaż wyglądałaby znacznie lepiej, gdyby kamienie zasypać kilkoma tysiącami ton bardzo czystego piasku, była całkiem przyjemna i usiana wyrzuconymi na brzeg otoczkami.

Jedynym nieładnym szczegółem tej scenki był brudny kundel kręcący się nieco dalej, wśród głazów i kamieni. Ten mały, wychudzony pies najwidoczniej miał kiedyś jasnobrażową sierść, która ubrudziła się lub po pewnym czasie przybrała zaniedbany wygląd. Tak więc, nie licząc Jima i Hoba, jedyne żywe stworzenie na tej plaży nie pasowało do reszty otoczenia. Jim nie myślał o tym i wcale się nim nie interesował.

Zapomniał o psie i znów zapatrzył się w fale. Wielekroć głośno wzywał Rrrnlf. Teraz próbował przywołać jego obraz. Starał się jednak nie używać magii. Skupił więc myśli na diable morskim, gdziekolwiek ten był. Wołania Jima musiały odbijać się echem w ogromnych uszach naturalnego.

To również nie poskutkowało.

–Och, wielki i potężny, litościwy magu – rzeki piskliwy, lecz dziwnie szorstki głos u jego boku. – O mocarny i dobry, pomóż mi w okropnej biedzie, a twa nagroda będzie większa, niż można sobie wyobrazić.

Wyrwany z zadumy Jim ujrzał koło siebie psa, który jeszcze przed chwilą kręcił się po plaży.

To, że zwierzę przemówiło do niego, wcale nie zdziwiło Jima, chociaż był to pierwszy mówiący pies, jakiego spotkał w tym magicznym, średniowiecznym świecie. Tutaj, oczywiście, rozmaite stworzenia umiały mówić, ale nie dostrzegał jakiegokolwiek prawidłowości związanej z posiadaniem tej umiejętności.

Chociaż do tej pory nie przemówił do niego żaden pies, jednym z najlepszych przyjaciół Jima był angielski wilk, Aargh, który nie tylko mówił, ale wydawał bardzo zdecydowane i bezkompromisowe sądy. Tak samo jak pewien northumbriański wilk, którego Jim spotkał w pobliżu szkockiej granicy. Do tej pory Jim po prostu zakładał, że w średniowiecznym środowisku niektóre stworzenia, umiały mówić, a inne nie. Widocznie trafiały się wyjątki od tej reguły. Zdażył jednak wysłuchać tylu dziwnych mówców, że w tym momencie tylko zirytował się, że pies przerwał mu medytacje.

–O co chodzi? – spytał ostrym tonem.

–Jestem w rozpaczliwej sytuacji i zdaję się na twoją łaskę, o potężny! – powiedział pies, machając ogonem.

–Tak, tak – mruknął Jim – ale czego chcesz?

Pies przycisnął się do jego prawej nogi i zaczął cicho mówić, Myśl o pchłach, wszach i różnych chorobach skórnych przemknęła Jimowi przez głowę, ale wrodzony odruch kazał mu okazywać przyjaźń psom, nawet takim nędznie wyglądającym okazom jak ten. Po prostu lubił je i zawsze dobrze traktował, tak więc powstrzymał się i nie cofnął nogi.

–Rozpaczliwie potrzebuję twojej pomocy, o wielki i niezwyknięty panie! – mówił pies niewiele głośniejszy od szeptu. – Uciekam przed kimś potężnym i złym, kto okropnie mnie skrzywdził. A kiedy ujrzałem cię tutaj, rzucającego zaklęcia na morze, od razu cię poznałem. Jesteś tyle większy i silniejszy od niego, co on ode mnie. Dlatego pragnę oddać się pod twoją opiekę, wiedząc, że dzięki twym umiejętnościom już poznałem we mnie dżinna – takiego jak ten, który mnie skrzywdził i ścigał. Nie muszę ukazywać ci się w mojej prawdziwej postaci.

Po raz pierwszy od kilku godzin Jim zapomniał o Rrrnlfie i podwodnych głębinach. W tym, co do tej pory powiedział mu pies, wyraźnie pobrzmiwała fałszywa nuta.

Nie było nic dziwnego w tym, że pies-dżinn rozpoznał w nim maga. Rozmaite nie-ludzkie istoty robiły to już wcześniej. Oczywiście, nie wszystkie. Lecz zawsze istniała możliwość, iż któraś z nich jakoś wyczuje jego magiczne umiejętności. Jednak to stworzenie zgadywało, że rzucał czary na morze, ponieważ Jim niczego takiego nie robił.

Natychmiast nabrał podejrzeń. Doświadczenie zdobyte w tym niezwykłym świecie nauczyło go, że zazwyczaj nie warto zbyt szybko prostować pochlebnych, acz błędnych wniosków wyciąganych przez nieznanym. Może dzięki temu zdoła dowiedzieć się, co naprawdę się dzieje (zwykle bardzo chciał wiedzieć, w jakiej jest sytuacji), dla własnego bezpieczeństwa, nie mówiąc już o małym Hobie.

Zdawał sobie sprawę z tego, że znalazł się na terytorium środkowowschodnich naturalnych, zwanych dżinami lub dżinnami. Jeśli ten pies naprawdę był dżinnem, najlepiej byłoby się dowiedzieć, jakimi magicznymi zdolnościami dysponuje, bez ujawnienia własnych.

–Powiadasz, że jesteś dżinnem – rzekł. – Zanim jednak udzielę ci jakiegokolwiek pomocy, muszę mieć pewność, że mogę ci zaufać. Muszę cię lepiej poznać. Na początek powiedz mi, czy naprawdę jesteś dżinem, jak twierdzisz?

–Och, tak, panie. Jestem! – zawołał pies piskliwym, cienkim głosem, a potem

szybko obejrzał się, jakby w obawie, że ktoś za nim stoi i słucha,

–Zobaczmy – rzekł Jim. – Masz rację, rzecz jasna, że poznałem w tobie dżinna, nawet nie widząc cię w twojej prawdziwej postaci. Jednak czy nie jesteś dżinnem pozbawionym przez kogoś czarodziejskiej mocy za nieczne uczynki i skazanym na wieczne życie w postaci psa? Najpierw udowodnij mi, że możesz odzyskać swój dawny kształt,

–Czy naprawdę musi? – szepnął trwożliwie Hob do ucha Jimowi.

–Cii! – syknął Jim. Spojrzał na psa. – No?

Pies zmienił swój wygląd.

–Powiedz mi, kiedy mam otworzyć oczy – powiedział Hob do Jima.

–Świetnie. Możesz znów zmienić postać. To mi wystarczy – rzekł pośpiesznie Jim.

– Już w porządku, Hobie. Możesz patrzeć.

To, co ujrzał, a Hob prawie zdążył spostrzec, było ogromnym mężczyzną o szarej skórze i wielkim brzuszysku, skąpo odzianym w rodzaj kusej kamizelki i luźne, bufiaste, purpurowe spodnie. Odrażająco brzydka twarz miała troje oczu – jedno na czole i dwoje nierówno rozmieszczonych poniżej – a jeden kącik warg był lekko rozciągnięty w bok i podciągnięty ku górze. Taki grymas powinien nadać ludzkiej twarzy miły wygląd. Tymczasem czynił ją niewyobrażalnie paskudną.

Potem naturalny znów zmienił się w psa.

–W porządku – rzekł Jim. – To potrafisz. Czy umiesz coś jeszcze? Na przykład, gdybym był zwyczajnym człowiekiem, a nie magiem, czy próbowałbyś przekupić mnie, obiecując wielki skarb?

–Wybacz mi, mistrzu – rzekł pies, znów łasząc się do niego – ale tak. Oczywiście, wiem, że nie ma co próbować przekupić kogoś tak nieprzekupnego jak ty.

–Udowodnij, że mógłbyś zrobić coś takiego – rozkazał Jim. – Na przykład wyczaruj kufer rubinów, szafirów, diamentów i innych klejnotów.

Pojawił się kufer, ale zamknięte wieko zasłaniało jego zawartość.

–Wybacz mi, wybacz... – zaskomlał natychmiast pies i wieko odchyliło się, ukazując zawartość, czyli wszelkiego rodzaju drogocenne kamienie, nie pocięte i nie oszlifowane oczywiście, gdyż na tym świecie jeszcze nie znano tajników obróbki klejnotów.

–Bardzo dobrze – rzucił niedbale Jim, machnąwszy ręką. – Zabierz to. Takie zabawki nie interesują mnie.

Kufer zniknął. Jim poczuł lekkie ukłucie żalu, ale za wszelką cenę musiał zachować pozory obojętności,

–A teraz – oznajmił – wysłucham twojej historii i podejmę decyzję.

–Słuchaj więc – rzekł pies. – Nazywam się Kelb. Przez tysiące lat nigdy nie popełniłem złośliwego czy okrutnego uczynku ani nie zrobiłem nic złego. Aż pewnego dnia zostałem niewolnikiem bardzo potężnego i niegodziwego dżinna zwanego Sakhr al-Jinni. Przez kilka stuleci zmuszał mnie do robienia strasznych i okrutnych rzeczy. W końcu, mając tego dość, próbowałem mu umknąć.

–Dobrze – mruknął Jim.

–Nie wierzę mu – szepnął Hob.

–Zostałem jednak pojmany przez olbrzyma zwanego Sharahiya, jednego ze strażników ogrodu Sakhra al-Jinniego, który przyprowadził mnie z powrotem – ciągnął Kelb. – Sakhr al-Jinni cisnął mnie za karę w jezioro ognia. Tam cierpiałem sześćset pięćdziesiąt dwa lata, trzy miesiące, dwa tygodnie, trzy dni, dziewięć godzin, czterdzieści siedem minut i dziesięć sekund. Jednak w końcu zostałem uwolniony,

Jim gorączkowo rozmyślał, usiłując coś sobie przypomnieć. Imiona „Sakhr al-Jinni” oraz „Sharahiya” brzmiały dziwnie znajomo. Może kojarzyły mu się z Tysiącem i jedną nocą w przekładzie Richarda Burtona. Nie – tam tylko wspomniano o Sakhrze al-Jinnim. Gdzieś czytał o nim więcej. Coś łączyło go z hebrajskim królem Salomonem. Kelb jednak wyraźnie czekał na jakąś reakcję, zanim zacznie mówić dalej.

–I co potem? – spytał Jim, siląc się na niecierpliwy ton. – Dlaczego Sakhr al-Jinni uwolnił cię z jeziora ognia?

–To nie on mnie oswobodził, ale wielki król Salomon, syn Dawida. Salomon uwięził Sakhra al-Jinniego oraz dwa inne złe dżinny w miedzianych butelkach, które następnie opieczętował swoim znakiem i wrzucił do Jeziora Tyberiadzkiego, aby spoczęły na zawsze tam, gdzie dżinny nikomu nie wyrządzą szkody. Kiedy Sakhr al-Jinni został zamknięty w butelce, jego moc trzymająca mnie w jeziorze ognia zniknęła i byłem wolny.

–A zatem – stwierdził Jim – skończyły się twoje kłopoty. Nie rozumiem, dlaczego zawracasz mi głowę.

–Niestety! – jęknął Kelb. – Zaledwie pięć dni temu niezdarny podwodny olbrzym, podnosząc butelkę z Sakhrem al-Jinnim poluzował zamknięcie i zło znów wydostało się na świat. Zieje gniewem i szuka wszystkich swych dawnych sług, a szczególnie mnie, który uniknąłem nałożonej przezeń kary. Sakhr al-Jinni jest o wiele silniejszy ode mnie. Nie mogę stawić mu czoła. Pomóż mi, o mistrzu!

Mocno naciągana historia, pomyślał Jim. Jednak ten świat był pełen magii i niezwykłych stworzeń. Wszystko możliwe. Bardzo prawdopodobne, iż Kelb tylko trochę ubarwił historię swego życia,

–Kim był ten niezdarny olbrzym, który uwolnił Sakhra al-Jinniego? – zapytał.

–Nie mam pojęcia – odparł Kelb. – Opowiedzieli mi o tym inni podobni do mnie, którzy uciekali przed gniewem Sakhra al-Jinniego.

Prawdopodobieństwo, iż to Rrrnlf pozwolił umknąć Sakhrowi al-Jinniemu z butelki, nie było zbyt wielkie, powtarzał sobie Jim. W dwudziestowiecznym świecie Jima ocean zajmował około stu czterdziestu dwóch milionów mil kwadratowych powierzchni Ziemi. Zapewne powierzchnia oceanu tego świata nie była wiele mniejsza. Tak więc było tu miejsce dla wielu morskich gigantów, nawet jeśli nie występowały powszechnie.

Ponadto, nawet gdyby Rrrnlf przypadkiem uwolnił Sakhra al-Jinniego, było mało prawdopodobne, że dżinn zdołał go zniszczyć lub unieruchomić. Jim jednak stracił mnóstwo czasu, próbując bezskutecznie wezwać Rrrnlf, a Kelb mógł zrobić wiele rzeczy, o jakie Jim zamierzał poprosić morskiego diabła.

–Czy masz jakieś miejsce, gdzie mógłbyś się ukryć do czasu, aż cię wezwę? – zapytał Kelba.

–Mam, mój mistrzu – odparł džinn.

–No cóż, więc ruszaj tam i schowaj się. Przywołam cię, gdy tylko podejmę kilka decyzji. Zważ, iż wcale nie obiecuję, że otoczę cię opieką. Jak wiesz, nie zapewniam jej wszystkim.

–Wiem o tym, mistrzu – rzekł pokornie Kelb.

–Zatem znikaj – nakazał Jim. – Wezwę cię, kiedy będę gotowy.

Wstał z kamienia, na którym siedział.

–Spędziliśmy tu dość czasu – rzekł. – Hobie, wracamy do Pafos i siedziby sir Williama Brutnora.

Ruszył z powrotem plażą wokół cypla oddzielającego ją od miasta Pafos – pół wioski, pół miasteczka, zamieszkałego głównie przez Greków, ale i licznych potomków krzyżowców, którzy pozostali tu po jednej czy drugiej wyprawie, nie dotarłszy dalej jak na Cypr. Ci ostatni prosperowali tu znakomicie i wybudowali sobie niemal europejskie posiadłości – może nie zamki, ale bardzo wygodne rezydencje. Sir William Brutnor, zgodnie z tradycyjną gościnnością okazywaną przez Brytyjczyków każdemu, kogo uznają za członka ich społeczności, zapewnił Jimowi nocleg i posiłki.

–Czy chcesz, żebym i ja nazywał cię mistrzem, panie? – spytał cichutko Hob, siedząc na ramieniu Jima.

–Nie, nie, jasne, że nie – odparł Jim. – Nie ty, Hobie.

–Ale mnie otoczysz opieką? – dopytywał się skrzat. – Nie jestem jednym ze „wszystkich”?

–Oczywiście, że nie – zapewnił go Jim. – Jesteś moim Hobem z Malencontri.

–Oczywiście – powtórzył dumnie Hob. Rozluźnił uścisk na szyi Jima i rozsiadł się na jego ramieniu.

Rozdział 7

–Tutaj jesteś, sir Jamesie – rzeki sir William Brutnor, wkraczając do komnaty Jima i łopocząc przy tym jedwabiami środkowowschodniej szaty. – Szukałem cię!

–Ach tak – odparł Jim. – Wybrałem się na spacer po plaży i zaszedłem daleko za przylądek. Piękny dzień.

–Tak. Robi się gorąco. Niezły spacer, ani słowa – rzekł sir William. – Opuściłeś obiad, Jamesie. Kazałeś przynieść sobie jedzenie i picie?

–Nie – odparł Jim. – Nie przyszło mi to do głowy, ale...

–Nic nie szkodzi, nie szkodzi – powiedział sir William. Był niskim, krępy męczyzną może z lekką nadwagą, ale nie rzucającą się w oczy. Miał prostokątną, opaloną i pomarszczoną od słońca twarz, siwiejące brwi, siwe wąsy oraz porywczy charakter. – Zabieram cię do kawiarni, a właściwie do kawiarni w łaźni. Jako chrześcijanie dostaniemy tam niezłe wino i posiłek. Nie musisz się stroić. To zupełnie zwyczajne miejsce, pełne podróżnych i tym podobnych ludzi. Och, przy okazji, znaleźliśmy twojego przyjaciela, którego tak szukałeś. Sir Bruna.

–Chcesz powiedzieć, sir Briana?

–No właśnie, Neville'a-Smythe'a. Zapamiętałem to nazwisko ze względu na jego pierwszą część. Zdaje się, że mówiłeś, iż jest spokrewniony z Neville'ami z Rabę, tak?

–Zgadza się – odparł Jim. – Gdzie on jest?

–Gdzie? Och, niedaleko Episkopi, kawałek drogi stąd – odparł sir William. – Nie w samym Episkopi. Trochę dalej, w małej wiosce rybackiej. Stoi tam nadmorski zameczek. Własność sir Mortimora Breugela. Ten ma parę galer i od czasu do czasu zajmuje się piractwem. Nic wielkiego, ale daje się z tego wyżyć, a sir Mortimor ma niewielkie potrzeby. Uwielbia siedzieć w swoim zameczku, grać w kości i pić. No, ale cóż, chodźmy już... Urwał. Obok Jima jako brązowy kundel pojawił się Kelb.

–Mistrzu – rzekł, ignorując sir Williama – jeśli mogę coś rzec...

–Odejź! – rzucił Jim, – Później.

Pies zniknął.

–Dżinn! – warknął sir William, – Posłuchaj, sir Jamesie, lubię gościć szlachcica przybywającego z ojczyzny i tak dalej... Ale dżinn! Co ci przyszło do głowy, żeby zabierać go i przyprowadzać do mojego domu? Czy masz pojęcie, jak trudno się ich pozbyć? Zaczny ksiądz nie zdoła go usunąć, trzeba sprowadzić świętego muzułmanina, a i ten przeważnie nic nie poradzi, ponieważ nie jest dostatecznie święty, więc trzeba szukać innego. Wolałbym już pozbywać się pocziwego, staromodnego ducha albo skrzata!

–Nie martw się – rzekł Jim – zabiorę go ze sobą, kiedy wyjadę. A ponieważ znalazłeś sir Briana, wybaczysz mi, że uczynię to niezwłocznie, nie tracąc ani chwili. To ważne, żebym spotkał się z nim najszybciej, jak to możliwe.

–Chyba nie ma aż takiego pośpiechu – powiedział sir William. – Ta kawiarnia...

–Obawiam się, że jest – upierał się Jim. Gorączkowo szukał jakiejś wymówki, żeby jak najszybciej ruszyć w drogę. W tym momencie nie interesowały go kawiarnie, wino czy europejskie jedzenie obojętnie gdzie – a już najmniej w łaźni. Coś przyszło mu do głowy. – Oczywiście znane ci jest nazwisko Johna Chandosa?

–Chandos? – powtórzył sir William. – Och, tak.

–Cóż, czy muszę mówić coś więcej? – mruknął Jim, robiąc tajemniczą minę i rzucając mu porozumiewawcze spojrzenie.

–No cóż – powiedział sir William. – Chyba nie. Racja. Racja. Wielka szkoda. Spodobałaby ci się ta kawiarnia,

–Jestem tego pewien – rzekł Jim. – Nie potrafię wyrazić, jak mi przykro, że nie mogę pójść. To bardzo ładnie z twojej strony, iż chciałeś mnie tam zabrać.

–Och – odparł sir William – to miejsce, gdzie dżentelmeni zbierają się o tej porze. Będą żałować, że nie mogłeś tam wpaść. Przyślę tu kogoś, kto wskaże ci drogę do Episkopi oraz do nadmorskiego zameczku sir Mortimora.

Wyszedł z pokoju równic pospiesznie, jak wszedł.

–Kelb – rzucił Jim w powietrze. Pies pojawił się przed nim.

–W porządku, Kelb – powiedział Jim – o co chodzi?

–My, dżinny, mamy swoje sposoby – pochwalił się Kelb.

–Jestem tego pewien – zniecierpliwił się Jim. – O czym chciałeś mi powiedzieć?

–Znanymi tylko nam, dżinnom, sposobami – odparł Kelb – dowiedziałem się, iż szukamy kogoś. Znalazłem go dla ciebie, Znajduje się niedaleko Episkopi w wieży przy nadmorskiej wiosce. Widzisz teraz, jak cennym mogę być dla ciebie sługą, o wielki?

–Nie jestem tego pewny – rzekł Jim. – Czy przypadkiem w swojej psiej postaci nie zebrałeś o resztki pod kuchennym drzwiami i akurat podsłuchałeś, jak służba opowiada, że szukam pewnego rycerza, którego właśnie znaleziono koło Episkopi?

–Czy słudzy naprawdę o tym rozmawiali? – zdumiał się Kelb. – Taki zbieg okoliczności jest niemal niewiarygodny, ale...

–Daj spokój przeprosinom – uciął Jim. – Powiedziałem ci, że dam ci znać, kiedy zadecyduję, co z tobą zrobić. Do tego czasu zniknij!

–Już mnie nie ma, panie – odparł Kelb i zniknął.

Jim wyruszył do Episkopi w stosunkowo niewielkiej i bardzo śmierzącej łodzi z wielkim łańskim żaglem, który kiedyś zapewne był czerwony. Płynął na południowy wschód. Przez cały rejs maleńki stateczek. Z obawy przed korsarzami trzymał się blisko brzegu. A jego właściciel – wesoly, czarnowłosy i czarnooki Grek, którego trzech synowie stanowili załogę – wyjaśnił, iż żeglują po płytkich wodach, by nie zdołały ich dopaść większe jednostki. W każdej chwili mogli przybić do brzegu, podczas gdy duże statki naraziłyby się na rozbicie.

–A co się stanie, jeśli głęboka woda sięgać będzie aż do brzegu? – zapytał Jim. Gdy wypowiedział te słowa, poczuł lekkie poruszenie na prawym barku, gdzie wygodnie siedział Hob zwinięty w małej sakwie przypominającej plecaczek. Jim przez moment obawiał się, że skrzat wystawi głowę i zechce przyłączyć się do rozmowy, ale Hob nie odezwał się, pozostał cichy i ukryty.

–Jeśli nie zdołamy uratować łodzi, uciekniemy – odrzekł właściciel statku, fatalistycznie wzruszając ramionami. – To lepsze od wbicia na pal lub ukrzyżowania, jakie czeka nas, jeśli zostaniemy schwytani.

Jim rozważył te słowa, a raczej próbował je rozważyć. Wydawało mu się, że

uodpornił się na morską chorobę podczas długiej podróży z Brytanii. Przemieszczał się różnymi środkami transportu. Morzem, lądem na końskim grzbiecie. Kupował konie w jednym miejscu i sprzedawał je po przybyciu do celu. W sekrecie, zwykle nocą, latał także w smoczej postaci albo na smudze dymu, gdyż mały skrzat zawsze mógł polecieć w ten sposób i zabrać go ze sobą.

Oczywiście, miał ochotę dostać się w ten sposób od razu aż na Cypr. Musiał jednak podążać śladem Briana, upewniając się, że rycerz nie został po drodze schwytany, uwięziony albo nawet zabity, co łatwo mogło się zdarzyć. W mijanych miastach wypytywał ludzi, u których Brian zamierzali gościć, i dowiedział się, iż przyjaciel dotarł na Cypr przed nim.

Hob okazał się miłym towarzyszem podróży i Jim cieszył się z uporu Angie, która nalegała, aby skrzat mu towarzyszył. Miał zanieść wieści do domu, gdyby coś stało się panu.

Do tej pory Jim wierzył, iż jedną z ubocznych korzyści podróżowania w zwyczajny sposób, było uodpornienie na morską chorobę. Tymczasem w tej maleńkiej, chybotliwej i podskakującej na falach przyboju łódce zbierało mu się na mdłości. Nie twierdził, że ma chorobę morską, ale było mu zimno i niedobrze. Skurcze żołądka utrudniały koncentrację.

–Załóżmy, iż musielibyśmy to zrobić: przybić do brzegu i uciekać – powiedział. – A gdyby nas ścigali albo wysłali za nami jakąś małą łódź i złapali mnie?

Wiedział, że w Europie ktoś ubrany w tak kosztowne stroje zostałby pojmany dla okupu.

Właściciel statku wzruszył ramionami.

–Ograbiliby cię ze wszystkiego, a potem zrobiliby z tobą to samo, co z nami.

–Jeśli będziemy trzymać się razem – rzekł Jim – to może, gdyby wysłali za nami niewielką szalupę, moglibyśmy się obronić.

Właściciel stateczku energicznie pokiwał głową. Jimowi poprawił się humor, ale tylko na chwilę, póki nie przypomniał sobie, co naprawdę oznacza ten gest. Jeszcze nie przyzwyczał się do tego, że w niektórych bliskowschodnich krainach skinienie głową oznacza „nie”, a potrząśnięcie „tak”.

Kiedy jednak zrozumiał prawdziwe znaczenie tego gestu, poczuł ulgę. Jeśli tamci nie zamierzali walczyć razem z nim, byłoby mu łatwiej zatroszczyć się w razie czego o siebie i Hoba. Gdyby na chwilę mógł zniknąć im z oczu, przemieniłby się w smoka i szybko odleciał razem z Hobem poza zasięg korsarzy.

Jednak nie napotkali żadnych piratów, a Jim nie zapadł na prawdziwą morską chorobę. Z ulgą wysiadł na kamienisty brzeg przed zameczkiem sir Mortimora, chociaż czekało tam pół tuzina groźnie wyglądających zbrojnych w stalowych lub skórzanych napierśnikach i hełmach. Sądząc po rysach twarzy, mogli być dalekimi krewnymi właściciela statku, jednak byli pozbawieni jego poczucia humoru. Jim ledwie zdążył stanąć na brzegu, a już jeden z nich przystawił mu miecz do gardła.

–Zabieraj to albo każę cię wychłostać! – warknął Jim, reagując w sposób godny rycerza. – Natychmiast ślijcie do zamku! Jestem sir James Eckert de Malencontri, Smoczy Rycerz, a przybyłem ujrzeć sir Briana, który tutaj gości. Niezwłocznie

zanieście tę wieść sir Mortimorowi lub Sir Brianowi. Rozkazuję wam!

Przebywał w tym świecie dostatecznie długo, żeby się nauczyć, jak należy postępować w takich sytuacjach. Podstawowe znaczenie miał kosztowny strój oraz wyniosłe zachowanie.

Podziałało. Mężczyzna przystawiający mu miecz do gardła nie schował broni, ale cofnął się o kilka kroków i rzucił rozkaz jednemu z pozostałych, który pobiegł na zamek, by powtórzyć słowa Jima.

–A zatem chodź, sir Smoku – rzekł mężczyzna z mieczem.– Chodź z nami!

Poprowadzili go stromym brzegiem przez labirynt małych chat będących jednocześnie domami i magazynami. Na balustradach schły sieci rybackie, a na ramach ryby. Tuż za wioską ścieżka pobiegła nagle stromo w górę, wiodąc rzędem wykutych w litej skale stopni wprost do zamku. Ostatni etap podróży przypominał wchodzenie po drabinie.

Zamek składał się z wieży otoczonej naprędce skleconymi przybudówkami. Była to mała forteca. Jim zauważył, iż ta warownia nie była tak słaba, jak wydawała się na pierwszy rzut oka. Zbudowano ją z bloków niebieskawoszarego kamienia, z mocną bramą, która pozostała zamknięta, dopóki dowódca eskorty nie załomotał w nią pięścią i nie krzyknął do strażników. Dopiero wtedy otworzono ją i wpuszczono ich do krótkiego i wąskiego tunelu o kamiennych ścianach wiodącego do następnych, równie mocnych drzwi.

Kiedy je mijali, Jim spojrział w górę i zobaczył w suficie szereg otworów, przez które w razie potrzeby można było lać takie niemiłe ciecze jak wrzący olej, na głowy tych, którzy wyłamaliby pierwszą bramę i szturmowali drugą. Później można by podpalić olej, wrzuciwszy przez te same dziury żagwie, i zmienić tunel w śmiertelną pułapkę.

Tymczasem przez drugą bramę przeprowadzono go do bardzo mrocznego wnętrza. Wydawało się, iż jest tam tylko jedno, słabe źródło światła – i rzeczywiście tak było.

Szli dalej, aż dotarli do pionowego szybu wiodącego z dolnej części warowni na górne piętra wieży. Przez otwór na szczycie widać było błękit nieba i fragment blanków. Z pewnością w niepogodę włąz ten zamykano klapą. Teraz jednakże był otwarty i wpadające przezeń słońce odbijało się od pionowych ścian, będąc jedynym źródłem oświetlenia pozostałej części zamku. W dolnej części, a nawet na samym środku szybu paliły się zatknięte w ścianach, rozjaśniające mrok pochodnie.

Jima poprowadzono po schodach przylegających do kamiennego muru i wijących się spiralnie w górę wieży. Na trzecim piętrze znalazł Briana z wysokim, wyglądającym na starszego, chudym mężczyzną o pociągłej, melancholijnej twarzy i wąsach opadających na kąciaki cienkich warg. Ten człowiek wyglądał raczej na emerytowanego uczonego niż pirata.

–Jamesie! – wykrzyknął Brian, wstając od stołu, przy którym siedział z nieznajomym. Starszy mężczyzna także podniósł się, tylko nieco wolniej.

Kiedy wstawał, Jim szybko zmienił zdanie. Ten powolny ruch nie był wywołany podeszłym wiekiem, lecz arogancją, wystudiowanym lenistwem. Gdy nieznajomy w

końcu wyprostował się na całą wysokość, górował nie tylko nad Brianem, ale i nad Jimem. A jeśli jego wąsy i włosy świadczyły o podeszłym wieku, to reszta ciała wydawała się dwadzieścia lub więcej lat młodsza. Miał co najmniej metr dziewięćdziesiąt siedem centymetrów wzrostu i tę szczególną, żylastą budowę ciała zapewniającą zarówno siłę, jak i szybkość.

Jim na razie nie miał okazji przyjrzeć się dokładnie mężczyźnie, ponieważ Brian wypadł zza stołu, uściśnął go i pocałował najpierw w lewy, a potem w prawy policzek – przyjacielskie czternastowieczne powitanie, które Jim nauczył się znosić z godnością.

–Jesteś, Jamesie! – zawołał Brian, puszczając go. – Cieszę się bardziej, niż potrafię wyrazić! Przybywasz w samą porę. Pozwól, że poznam cię z sir Mortimorem Breugelem.

Jim wiedział, jak powinien zachować się w tej sytuacji. Pochylił głowę, sztywno kłaniając się wysokiemu mężczyźnie, który odwzajemnił gest.

–Jestem zaszczycony, mogąc pana poznać, sir Mortimorze – rzekł.

–Ja również jestem zaszczycony – odparł sir Mortimor głębokim basem i zrobił znaczącą przerwę.

–Proszę o wybaczenie! – powiedział uszczęśliwiony Brian. – Sir Mortimorze, oto zacny baron, sir James Eckert, Smoczy Rycerz, o którym ci opowiadałem.

–Nie tylko ty – rzekł ciepło sir Mortimor, – Niezwykle przyjemnie mi cię widzieć, sir Jamesie. Jak powiedział sir Brian, przybywasz w dobrą godzinę. Proszę, usiądź z nami. Czy mogę zaoferować ci trochę wina i jadła?

Jim nadal miał lekkie mdłości po podróży łodzią, lecz sir Mortimor proponował mu tradycyjny poczęstunek, jakiego nie mógł odmówić. Poza tym Jim był zadowolony z ciepłego przyjęcia. Dołączył do nich i we trzech usiedli do stołu. Ten, jak pozostałe meble, które Jim dotychczas tu widział, był prosty i pozbawiony jakichkolwiek ozdób. Całe domostwo sir Mortimora przypominało Jimowi zamek Malencontri w chwili, kiedy wprowadził się do niego z Angie. Poprzedni właściciel zamku raczej obozował w nim, niż zamieszkiwał, wykorzystując go jako bazę do licznych wypadów.

Jim przyłożył do ust puchar – wielkie prostokątne naczynie wypełnione po brzegi trunkiem, które przed nim postawiono. Zjadł także kęs tłustego mięsa baraniego (poznał po smaku), które przyniósł mu sługa czy też zbrojny pacholek.

–Czy wolno spytać – powiedział, gdy zdołał przeżuć mięso na tyle, by je przełknąć – dlaczego wspomnieliście panowie, iż przybywam w samą porę?

–Cóż, Jamesie, nie mogłaby być lepsza – odparł Brian. – To życiowa szansa. Czy nigdy nie miałeś ochoty skrzyżować ostrza z berberyjskim korsarzem?

Jim gorączkowo szukał w pamięci odpowiedniego skojarzenia. Potem przypomniał sobie, że berberyjskim korsarzem nazywano każdego Maura (czy Marokańczyka) zajmującego się morskimi rozbojami. Prawdę mówiąc, całe Maroko było jednym wielkim pirackim gniazdem – przynajmniej według sir Williama Brutnora i jego przyjaciół, których Jim spotkał na Cyprze.

–Ja już miałem, powiadam ci! – ciągnął ochoczo Brian. – Nigdy nie przypuszczałem, że nadarzy mi się taka okazja. Tym czasem znalazłem się tutaj, gdy

przyszły wieści, że w każdej chwili można ich oczekiwać pod murami tego zamku. Nasz zacny sir Mortimor przejął kilka wschodnich statków kupieckich. Wygląda na to, że właściciele przewożonych nimi dóbr wynajęli paru najgroźniejszych berberyjskich piratów, żeby przyłynęli tu zabić go i zniszczyć zamek.

Jim poczuł przyływ współczucia dla właścicieli kupieckich stateczków. Słowa Briana dowodziły, że sir Mortimor systematycznie grabił przepływające jednostki, aż ich właściciele i kupcy postanowili położyć kres tym bandyckim napadom i wynajęli paru cieszących się złą sławą Marokańczyków, żeby się tym zajęli.

Oczywiście, rozmyślał Jim, na Morzu Śródziemnym nie ma czegoś takiego jak sprawiedliwość, tak samo jak na wszystkich innych morzach świata. Silni zabierają słabym, co tylko mogą, i umykają przed silniejszymi od siebie. Co więcej, już wcześniej słyszał, iż z takiego procederu utrzymuje się sir Mortimor. Jim nie miał żadnego powodu, aby walczyć z marokańskimi korsarzami. Jednak Brian, w typowy dla siebie sposób, uważał to za najwspanialszą rozrywkę. Nie mówiąc już o tym, że później – gdyby przeżył – mógłby opowiadać w Anglii o potyczkach, budząc powszechny podziw i zazdrość.

Szczerze mówiąc, Jim już dostatecznie dobrze znał Briana, by wiedzieć, że do walki na śmierć i życie nie popycha go chęć późniejszego chwalenia się, ale pragnienie stoczenia emocjonującej potyczki. Jednak taka opowieść z pewnością zostałaby przyjęta z uznaniem w towarzystwie. Jim nie postąpiłby dyplomatycznie, gdyby teraz podzielił się swymi myślami z dwoma kompanami. Uśmiechnął się, usiłując wyglądać nie tylko na zainteresowanego, ale i na uszczęśliwionego.

– Istotnie! – rzekł. – I powiadasz, iż w każdej chwili możemy spodziewać się tutaj tych piratów?

– Dzień i noc na szczycie wieży stoi wartownik – powiedział sir Mortimor tym swoim zadziwiająco grzmiącym basem.

Jim był gotów przysiąc, że tamten mówił nie głośniej niż w spokojnej rozmowie, lecz słowa zdawały się odbijać echem od kamiennych ścian w całym zamku. Sir Mortimor miał ten rodzaj głosu, który nawet w tłumie ludzi wrzeszczących ile tchu w płucach, można doskonale usłyszeć z dziesięciu metrów.

– Na razie – ciągnął sir Mortimor – nie meldowano nam o obecności piratów, chociaż często widziano jakieś żagle. Najprawdopodobniej przyłyną galerami z opuszczonymi żaglami, na samych wiosłach, ale przy tak dobrej pogodzie zauważymy ich wcześniej i zdążymy się przygotować. A tymczasem, może zechciałbyś dołączyć do sir Briana i do mnie na partyjkę kości?

– Muszę prosić o wybaczenie, sir Mortimorze – powiedział Jim. – Jak może sir Brian wspominać, jestem czarodziejem i w pewnych okolicznościach moje magiczne umiejętności wymagają unikania wszelakich związków z hazardem przyjemności. Ponadto, sir Briane, mam dla ciebie wieści i pozdrowienia od lady Geronde, jak również od mojej drogiej żony, lady Angeli, które powinienem ci jak najszybciej przekazać. Jeśli ty i sir Mortimor zechcecie zagrać, ja zadowolę się samym patrzeniem.

– Szkoda, ale rozumiem cię, rzecz jasna – powiedział sir Mortimor, lecz jakaś nuta

w jego głosie nazbyt przypominała Jimowi żal karcianego szulera na widok wymykającej mu się ofiary. – Jednakowoż – ciągnął gospodarz – może lepiej zaznajomimy cię z tym, o czym właśnie dyskutowaliśmy z sir Brianem. Ustalaliśmy, w jaki sposób będziemy bronić mojego zamku, kiedy wylądują tu napastnicy.

–Chętnie posłucham.

–Chodźcie! – rzekł sir Mortimor, znów prostując się na całą wysokość.

Poprowadził ich po schodach na szczyt wieży, czyli owalnego kamiennego kręgu ze sterzącymi zębiskami kamiennych krenelaży i wentylacyjno-oświetleniowym otworem na środku. Przy skierowanych ku morzu blankach był następny otwór, wprost nad tunelem z dziurami w sklepieniu.

Ponadto było tu pięć ponaddwumetrowych kominów i ogromny, zakopcony metalowy kocioł na kółkach ze specjalnym paleniskiem, niewątpliwie do podgrzewania oleju, który wylewano na oblegających. Obok kotła stała rama, na której zawieszony był ponadmetrowej średnicy okrąg wykonany z czegoś, co wyglądało na brąz. Dopiero dostrzegłszy coś w rodzaju młota kowalskiego opartego o tę ramę, Jim zrozumiał, że to ogromny gong.

Nieopodal urządzenia stali dwaj mężczyźni – zapewne wartownicy – spoglądający na wody Morza Śródziemnego. Jim dostrzegł w oddali białe plamki kilku żagli. Skoro jednak wartownicy nie interesowali się nimi, nie mogły to być galery nadpływających nieprzyjaciół.

Strażnicy spojrzeli na sir Mortimora. kiedy wprowadził Briana i Jima na dach. Sir Mortimor wskazał palcem na schody, którymi przyszedł, po czym obaj zbrojni skoczyli na nie i zniknęli przybyłym z oczu.

–Poznają moje plany – rzekł sir Mortimor do Briana i Jima, zniżając głos i prowadząc ich na blanki, daleko od szybu wentylacyjnego i zasłaniających widok na morze kominów – kiedy uznam za stosowne. Spójrzcie, panowie. Rozumiecie sytuację.

Jim i Brian wyjrzeli za mur na morski brzeg w dole. Wieża, a więc także cały zamek, miała zaledwie cztery czy pięć kondygnacji, ale dzięki swej smukłości i położeniu na szczycie skały sprawiała wrażenie zawrotnie wysokiej tak że Jimowi wydawało się, iż stoją znacznie wyżej niż w rzeczywistości. Strome stopnie prowadzące do urwistej, schodzącej ku plaży ścieżki jeszcze pogłębiały to wrażenie. Jim poczuł się tak, jakby spoglądał ze szczytu wysokiego na milę urwiska.

Aczkolwiek to złudzenie osłabiał fakt, iż Jim wiedział, że w rzeczywistości nie znajduje się tak wysoko, zaś drewniane budynki na brzegu morza wydawały się nieco większe, niż powinny być. Z iluzorycznie wysokiej wieży zamku wszystko wyglądało jak oglądane przez teleskop.

Omywany falami kamienisty brzeg wyginał się w niewielką zatokę. Po obu stronach zamku urwisko wybiegało w morze, tworząc dwa przylądki. Ich wierzchołki sięgały trochę wyżej niż szczyt zamkowej wieży. Jak okiem sięgnąć, były prawie nagie – tylko z kępami roślinności i stadkami pasących się owiec.

Morze Śródziemne było spokojne, jak przez cały czas od chwili, gdy Jim przybył na Cypr. Lazurowa toń usiana żaglami zauważonych już wcześniej statków

rozpościerała się aż po horyzont od zajętego własnymi codziennymi sprawami wybrzeża.

–Spodziewam się co najmniej dwóch dużych galer przewożących do dwustu zbrojnych każda – huknął sir Mortimor tuż nad prawym uchem Jima. – Wraz z marynarzami stanie przeciw nam około pięciuset napastników. Wylądują, spalą wioskę i zabiją każdego, kogo zdołają schwytać, a potem spróbują zaatakować zamek z góry. Wtedy przekonają się, iż nawis urwiska nie pozwala zrzucić na zamek niczego dostatecznie ciężkiego, co mogłoby wyrządzić poważniejsze szkody. Ponadto trawa tam jest śliska, a skraj urwiska stromy. Stracą kilku ludzi, którzy spadną w przepaść.

–Czy mogą mieć grecki ogień? – spytał Brian gospodarza.

–Grecki ogień nadal jest pilnie strzeżonym sekretem Konstantynopola – odparł sir Mortimor. – Nie. Tak samo nie będą mieli bombard, chociaż mogą mieć proch strzelniczy. Mogą próbować podłożyć ładunki u podstawy wieży, aby ją uszkodzić. Jednak te mury mają co najmniej dwa metry grubości, a w niektórych miejscach ponad trzy. Próbowano już wysadzać je prochem, ale bez większego powodzenia. Jak już powiedziałem, spalą wioskę na dole i, oczywiście, spróbują wdrzeć się po schodach i przez główną bramę.

–Wtedy znajdą się w bardzo niekorzystnej sytuacji – rzekł Brian.

Sir Mortimor pokiwał głową.

–Poniosą duże straty. Jeśli jednak będą atakować dostatecznie długo, rozbiją obie bramy. Wtedy zdobędą zamek i zginiemy. Tak więc w ostatniej chwili trzeba będzie podjąć decyzję, ściślej mówiąc, ja ją podejmę, panowie. Z całym szacunkiem dla waszych umiejętności taktycznych i zręczności w posługiwaniu się bronią, to mój zamek i będę bronić go najlepiej, jak umiem. Jeżeli, mimo polewania wrzącym olejem, zdołają rozbić zewnętrzne wrota i na tyle uszkodzić wewnętrzne, że zdobycie zamku stanie się tylko kwestią czasu, będziemy musieli zrobić wypad.

–Ha! – rzekł Brian.

–Sekretne przejście wiedzie z tego zamku na sam brzeg morza – ciągnął sir Mortimor. – Wliczając tych mieszkańców wioski, którzy umieją władać bronią, będziemy mieli na zamku przeszło stu czterdziestu obrońców. Z setką tych ludzi możemy zaatakować oblegających od tyłu lub niespodziewanie w nocy, kiedy udadzą się na spoczynek w przekonaniu, że otoczeni na zamku nie zdołamy im już ująć, tak więc niebawem zakończą oblężenie. Jako żeglarze nie umieją biegać po tych stromych zboczach dostatecznie szybko, by uciec lub kontratakować. Jeśli więc uda nam się zaskoczyć ich we śnie, może zadamy dostatecznie ciężkie straty, aby uznali atak za odsiecz z Episkopi lub innego pobliskiego miasta. Za posiłki. Wtedy wpadną w panikę i uciekną na statki.

–Czy mogę spytać – powiedział Brian do wysokiego rycerza – w którym miejscu znajduje się wylot tego ukrytego przejścia?

Sir Mortimor spojrział na niego z lodowatym uśmiechem.

–Mogę wam to wyjawić – odparł. – Chociaż wszystkie pozostałe szczegóły są rodzinną tajemnicą.

Machnął ręką w stronę zbocza po prawej stronie zamku.

–Kawałek dalej w tym kierunku – wyjął.

Brian spojrział na stok i powiedział:

–Nie dalej jak pięćdziesiąt metrów stąd, na plaży u stóp urwiska, leży sporo wielkich głazów. Daj mi trzy tuziny ludzi, a wyruszę nocą albo w innej dogodnej chwili, kiedy będą zajęci, i spalę lub w inny sposób uszkodzę ich galery,

–Właśnie tego nie chcę, sir Brianie – wyznał sir Mortimor. – Gdyby nie mieli statków, musieliby tu zostać, czy podobałoby się to nam lub im, czy nie. Pamiętaj, iż mają nad nami prawie pięciokrotną przewagę liczebną. Gdybyśmy zniszczyli ich statki, musieliby walczyć na śmierć i życie. W końcu zdobyliby zamek i pozabijali nas...

Niespodziewanie z dołu nadleciał przeraźliwy wrzask, a po nim gwar głosów.

–Piekło i szatani! – huknął sir Mortimor, aż jego głos odbił się echem od obu cypli. Po czterech szybkich krokach znalazł się przy wylocie schodów i zniknął w nim.

Rozdział 8

Pozostawszy sami na dachu, Jim i Brian spojrzeli po sobie.

–Brianie – rzekł Jim. – Teraz mam okazję zapoznać cię z ostatnimi wydarzeniami. Mogłem tak szybko wyruszyć za tobą, gdyż John Chandos przywiózł mi królewski edykt czyniący mnie opiekunem Roberta Falona.

–To istotnie szybko – powiedział Brian. – Zdarzało się, iż takie sprawy trwały latami. Nie miałem wielkiej nadziei. Jednak rad jestem, widząc cię tutaj, Jamesie. Szczególnie w takich okolicznościach.

–Ja nie jestem tak zadowolony z tych okoliczności jak ty, Brianie – zaczął Jim, kiedy poczuł, że jak Hob porusza się i siada w plecaku. W następnej chwili kątem prawego oka dostrzegł główkę skrzata. – Przy okazji, to jest Hob – wyjaśnił pospiesznie Jim – z kuchennego kominka w Malencontri. Obudziłeś się, Hobie?

–Och, wcale nie spałem – odparł Hob. – My, skrzaty, nigdy nie śpimy. Jedynie śnimy na jawie.

–Skrzat! – Brian wytrzeszczył oczy. – A o czym śnisz, skrzacie?

–Och – odparł Hob – o miłych i ciepłych kominach, dobrych ludziach i jedzeniu, o dzieciach, które możemy zabierać na...

Urwał, spoglądając na Briana,

–Nie znam cię – powiedział, chowając się za Jima i obejmując go za szyję.

–To jest sir Brian Neville-Smythe, Hobie – wyjaśnił Jim. – Mój najlepszy przyjaciel. Często bywa w Malencontri i lubi skrzaty.

–Lubi... – Brian urwał w porę. – Właściwie nie mam nic przeciwko nim. Prawdę mówiąc, jesteś pierwszym, jakiego spotkałem.

Teraz Hob znów patrzył na Briana, tym razem z zaciekawieniem.

–Naprawdę jesteś Brianem... chciałem powiedzieć sir Brianem Neville'em-Smythe'em? – zapytał. – Czy miałeś prawie białe włosy, kiedy byłeś bardzo młody?

–Oczywiście, że jestem! – warknął Brian. – A co do moich włosów: tak, miałem. Chociaż to nie twoja sprawa, skrzacie!

–Pewnego razu, gdy byłeś bardzo mały, po drodze do zamku Malvern ojciec przywiózł cię do Malencontri – rzekł Hob. – Wtedy w Malencontri zamieszkiwali ludzie zwani Claive, Było mnóstwo jedzenia, picia, śpiewania i wszyscy o tobie zapomnieli. Zabrałem cię na przejażdżkę na smudze dymu. Nie pamiętasz?

–Przejażdżka na smudze... – Brian zmarszczył brwi. Zmarszczka na jego czole powoli wygładziła się. – Tak, na Boga! Pamiętam. Tak! Lecieliśmy nad lasami. Pokazałeś mi, gdzie śpią jeże, a gdzie drzemie w gawrze niedźwiedź. I wskazałeś mi dom czarodzieja. To była chata Carolinusa, chociaż dowiedziałem się o tym dopiero później. Pamiętam! A więc to ty jesteś tym skrzatem?

–Och tak – odparł Hob. – Byłeś bardzo mały, twoja mama umarła, a ojca prawie nigdy nie było. Czy skrzat z Malvern nie zabierał cię na przejażdżki, kiedy tam mieszkałeś?

–Nie, nigdy.

–Hmm, a powinien – stwierdził Hob. – Ja na pewno robiłbym to.

–Na świętego Briana, mego imiennika, nigdy tego nie zapomniałem! Byłeś bardzo

uprzejmy, skrzacie.

–Och nie – wyznał Hob. – Lubiłem rozmawiać z tobą.

–No widzisz, Hobie – wtrącił Jim. – Mówiłem ci, że sir Brian lubi skrzaty. Poza tym zna cię nawet dłużej niż mnie.

–To... to ładnie, że wasza rycerskość pamięta – powiedział Hob, wciąż trochę nieśmiało spozierając na Briana zza głowy Jima.

–Ha... no cóż – rzekł Brian. – Byłem wtedy chłopcem, rzecz jasna. Nie wiedziałem, co uchodzi. Mimo wszystko nie zapomnę tej wycieczki. Słuchaj, Jim, dlaczego zabrałeś skrzata na wyprawę do Ziemi Świętej?

–To właśnie część tego, co chciałem ci powiedzieć o Geronde i Angeli. Teraz, zanim wróci sir Mortimor, jest odpowiednia chwila, żeby porozmawiać. Widzisz, Angie i ja wyruszyliśmy do Malvern, by pomówić z Geronde, jak tylko przyznano nam opiekę nad dzieckiem. Geronde zaś przekazała mi wszystko, co wiedziała o tym, gdzie powinienem cię szukać. Dotarłem na Cypr już tydzień temu, ale nikt nie wiedział, gdzie się podziewasz. Zacząłem więc obawiać się, że już wsiadłeś na statek do Trypolisu, w którym, zdaniem Geronde, miał być następny przystanek twojej podróży.

–Miała całkowitą rację, wiesz? – powiedział Brian. – Naprawdę nie spodziewałem się, że mnie dogonisz, Jamesie. A na pewno nie tak szybko. Inaczej zostawiłbym tu wiadomość, która pomogłaby ci mnie odnaleźć. Rozumiem, iż po moim odjeździe nic ważnego nie zdarzyło się w Malvern i w Malencontri?

–Nie – odparł Jim – oprócz wizyty Johna Chandosa, który przywiózł pergamin z królewskim edyktem. John miał przy sobie dziesięciu zbrojnych i, o ile mi wiadomo, kierował się ku walijskiej granicy.

–Ciekawe, co... – zaczął Brian. – Od jakiegoś czasu nie słyszałem żadnych wieści z Walii, oprócz tego, że wybudowano tam zamek Caernarvon. Jednak nadal nie rozumiem, po co zabrałeś ze sobą skrzata, Jamesie.

Coraz bliżej słyhać było głos sir Mortimora, w miarę jak rycerz wchodził po schodach.

–To pomysł Angeli – rzekł pospiesznie Jim. – Zarówno ona, jak i Geronde bardziej niż zwykle niepokoiły się tą twoją wyprawą. Geronde wyznała, że posunęła się do tego, by cię prosić, żebyś nie jechał. Przynajmniej nie teraz.

–Tak było. Jednakże nie widziałem powodu, by odkładać wyjazd. Ponadto musisz zrozumieć, Jamesie, iż istniało spore niebezpieczeństwo, że wydam znaczną część tego złota, zanim Geronde pozwoli mi wyjechać.

–Rozumiem. W każdym razie Angie wymogła na mnie pewną obietnicę. Chce wiedzieć, najszybciej, jak to możliwe, gdyby któremuś z nas coś się stało. Przemieszczałeś się na smudze dymu z Hobem, więc może pamiętasz...,

–Teraz przypominam sobie prawie wszystko – przerwał mu Brian.

–A zatem może przypominasz sobie, jak poruszając się pozornie wolno, bardzo szybko pokonaliście znaczną odległość. Hob i ja wielokrotnie korzystaliśmy z tego sposobu w naszej wędrówce. Oczywiście podróżowaliśmy również inaczej, ale na dymie także. Chodzi o to, że gdyby coś stało się tobie lub mnie, Hob może szybko

wrócić do domu i przekazać wiadomość Angie, która zawiadomi Geronde. A jeśli one będą w stanie coś zrobić, uczynią to...

Urwał, gdyż głowa sir Mortimora pojawiła się właśnie u wylotu schodów i chwilę później rycerz stanął obok nich.

– Powiem wam, o co chodzi, sir Jamesie, sir Brianie – rzekł. – Przesady tych ludzi mogą doprowadzić człowieka do szaleństwa. Czy możecie sobie wyobrazić, na czym polegał problem? Chodziło o małego brązowego psa, kundla, którego nie zdołaliśmy znaleźć.

– Brązowy pies? – powtórzył Jim.

– Właśnie! – huknął gospodarz. – Co za wyobrażenia! W moim zamku nie ma psów. Gdybym wpuścił tu jednego, wszystkie przekłete kundły z wioski przyłaziłyby tu po ochłapy. Człowiek czy zwierzę musi wejść przez główną bramę. Żadne zwierzę nie zdołałoby się przez nią przemknąć. Żadne. Tymczasem mój kucharz i pół tuzina innych przysięgają, że go widzieli. I wiecie, za kogo uznali tego psa? Przynajmniej ty, sir Brianie, wiesz. Sir James jest tutaj od niedawna, więc może nie zgadnie. Pomyśleli, że to džinn. Według nich każde zwierzę może być džinnem. Wszędzie pełno džinnów. Śmieszne!

– Śmieszne! – powtórzyły cicho dwa przyładki niewielkiej zatoki z rybacką wioską.

Kiedy Sir Mortimor przemawiał, dwaj wartownicy wrócili i w milczeniu stanęli na posterunku. Zaczyna rycerz znów ściszył głos.

– Może zapomnijmy o tym wszystkim, panowie, i zejźmy do sali? Przydałby mi się kubek wina i wyobrażam sobie, żewam też.

Poszli za nim, porzucając światło dnia na rzecz mrocznego wnętrza zamku. Wrócili do tego samego stołu, przy którym Jim zastał sir Mortimora z Brianem. Usiedli na ławach i podano im puchary z winem. Jim z zainteresowaniem zauważył, iż jego poprzedni kielich, z którego upił bardzo niewiele, został zabrany, a wino niemal na pewno wypite przez służbę w kuchni.

– Jednak – powiedział Brian do sir Mortimora, kiedy już usiedli – jeśli ten pies naprawdę był džinnem, to mógł dostać się tutaj, pozostając niewidocznym i nie używając normalnej drogi przez bramę. One posługują się magią, prawda?

– Och tak, tak – odparł sir Mortimor. – Ale to na pewno nie był džinn. Czego džinn miałby szukać w...

Przerwał mu chyba jedyny w okolicy dźwięk równie donośny jak jego głos – nagle dudnienie gongu na szczycie wieży. Dał się słyszeć tupot nóg zbiegających po schodach i do komnaty wpadł jeden z wartowników, podczas gdy jego towarzysz na górze wciąż walił w gong.

– Milordzie! Milordzie! – zawołał pierwszy strażnik. – Już tu są. Bardzo blisko. Właśnie opłynęli cyple, po jednej galerze przy obu. Za kilka minut wylądują nieopodal wioski!

– Rany boskie! – eksplodował sir Mortimor, zrywając się na równe nogi i wywracając puchar z winem. – Czy porządny chrześcijanin nie zazna chwili spokoju we własnym domu?

Obrzucił gniewnym spojrzeniem posłańca, który stał przed nim blady jak ściana.

Sir Mortimor machinalnie sięgnął po kielich, odkrył, że jest pusty, więc zamiast niego wziął puchar Jima i opróżnił go jednym haustem. Niezła sztuczka, pomyślał Jim, zważywszy że taki puchar mieścił około pół litra wina.

Gong na wieży łomotał jak szalony i Jimowi zaczęło dzwonić w uszach. Zobaczył, że sir Brian porusza wargami, ale nie dosłyszał słów. Jednakże głos sir Mortimora bez trudu przedarł się przez hałas.

–Otworzyć bramę dla wieśniaków! – warknął. – Procarze i łucznicy na wieżę. Biegiem!

Posłaniec pomknął schodami na dolne kondygnacje wieży. – Czy nie można by już uciszyć tego gongu, sir Mortimorze!? – Brian przekrzyczał zgiełk. – Chyba już wszyscy w zamku usłyszeli go!

–Wieśniacy także musieli go słyszeć. Chodźcie ze mną, panowie.

Wszedł na schody, o mało nie wyprawiając na tamten świat łuczника, który właśnie po nich biegł. Rycerz wbiegał po dwa stopnie naraz, pozostawiając Briana i Jima daleko w tyle. Jim wyprzedzał Briana tylko dlatego, że znalazł się bliżej schodów.

–Nie mam nic prócz puginału – wysapał mu Brian do ucha. – Dobrze, że ty masz półpancerz i miecz, Jamesie!

To prawda. Jim nosił miecz po prostu dlatego, że było nie do pomyślenia, by podróżujący rycerz nie miał broni. Półpancerz, złożony z krótkiej kolczugi i stalowego hełmu, nosił jako normalny środek ostrożności w podróży. Ludzie, którzy spotkali go, kiedy wysiadł z łodzi, nie odebrali mu miecza. Może dlatego, że było mało prawdopodobne, aby nawet z bronią w ręku zdołał pokonać tuzin lub więcej wrogów. Jim nagle uświadomił sobie, iż tak przywykł do ciężaru miecza i zbroi, że zapomniał o nich, kiedy przedstawiano go sir Mortimorowi.

–A więc lepiej zejdź po zbroję i broń, Brianie – rzucił przez ramię. – Powiem sir Mortimorowi...

–Nie, nie – odparł Brian. – To byłoby nieuprzejme. Nasz gospodarz powinien nam powiedzieć, czy mamy spodziewać się jakichś kłopotów.

–Może zapomniał – stwierdził sucho Jim. Jego opinia o sir Mortimorze nadal była niejednoznaczna. – Jeśli okaże się, że miecze są potrzebne, Brianie, oddam ci mój. Zrobisz z niego lepszy użytek niż ja.

Brian wydał jakiś odgłos, który zabrzmiał jak protest, ale obaj zbyt się zasapali w trakcie gonitwy za sir Mortimorem, żeby rozmawiać dłużej. Ponadto właśnie wybiegli na dach.

Było tam już trzech czy czterech ludzi, którzy pobiegli na górę przy pierwszym odgłosie gongu. Jednym z nich był łucznik, którego sir Mortimor o mało nie strącił ze schodów. Jim ruszył na górę, zamierzając niezwłocznie podejść na skraj murów i spojrzeć na napastników. Brian chciał uczynić to samo. Tymczasem obaj stanęli jak wryci, gdy ich uwagę przykuł człowiek opuszczający się na długiej linie jak pajak na nitce z sufitu. Tyle że lina była przyczepiona do skalnego występu wznoszącego się nad zamkiem urwiska, którego szczyt zdawał się dostępny jedynie dla ptaków lub aniołów. Sir Mortimor stał na lekko rozsuniętych nogach, groźnie patrząc na

nadchodzącego mężczyznę.

–Dlaczego ich nie spostrzegłeś? – warknął, gdy stopy tamtego dotknęły dachu wieży.

–Błagam o wybaczenie, milordzie – rzekł mężczyzna, – Musieli płynąć bardzo blisko brzegu, tak że cyple zasłaniały mi ich przez kilka mil. Może nawet podpłynęli do brzegu po ciemku zeszłej nocy i czekali do tej pory, zanim zaczęli nadpływać.

–Ha! – rzekł sir Mortimor. – W każdym razie już tu są.

W trakcie tej rozmowy na wieżę wbiegali kolejni obrońcy. Jim naliczył wśród nich tylko trzech łuczników. Było tu także wielu innych: chudych, smagłoskórych mężczyzn, przeważnie żylastych i niewysokich. Wyglądali na nie uzbrojonych, chyba że duże wypchane sakwy u ich pasów zawierały jakąś broń. Na górę wchodzili także inni ludzie, wyraźnie nie uzbrojeni, wnoszący rozmaitej wielkości kamienie – od piłki do sporej dyni. Układali je pod krenelażem z tej strony muru, która wychodziła na plażę i wioskę.

Brian już podszedł na skraj wieży, by spojrzeć na napastników. Stał obok sir Mortimora, który również patrzył w ich kierunku. Jim dołączył do nich. Wiodąca do zamku zygzakowata dróżka pod nimi była zapchana ludźmi niosącymi najróżniejsze rzeczy, od toporów po worki z nieznaną zawartością.

Obie galery właśnie nadpływały dziobami naprzód. Wyraźnie zamierzały podpłynąć jak najbliżej. Istotnie, zatrzymały się i rzuciły kotwicę nie dalej jak cztery lub pięć metrów od brzegu. Ludzie wyskakiwali za burtę, lądowali w głębokiej po pas lub ramiona wodzie i brnęli ku plaży. Byli rozmaicie uzbrojeni i opancerzeni, ale przeważnie mieli okrągłe, najwidoczniej drewniane tarcze i wygięte miecze, które trzymali w dłoniach, zmierzając ku brzegowi.

Zaledwie wyszli z wody, a już z wrzaskiem biegli po plaży w kierunku wioski i umykających drogą wieśniaków.

Nikt nie dowodził tym atakiem, lecz niebawem wielu napastników znalazło się na brzegu i wśród zabudowań. Jim spodziewał się, że natychmiast podpalą budynki, ale tak się nie stało. Atakujący tylko biegli między zabudowaniami, ścigając uciekających.

–Procarze! – powiedział sir Mortimor.

Na szczycie wieży było zaledwie pół tuzina łuczników i ze trzy tuziny innych ludzi. Ci obsadzili mury od strony plaży, sięgnęli do sakw i wyjęli długie rzemienie mające w połowie długości skórzane naszywki tworzące wygodne obejmy. Ponownie sięgnąwszy do mieszkań, wyjęli szare kawałki jakiegoś metalu. We własnym tempie włożyli te pociski w skórzane obejmy, chwycili oba końce rzemieni i zaczęli lekko kręcić nimi w powietrzu, spoglądając na plażę. Ciężar pocisku rozciągał rzemienne uprzęż – będącą po prostu procą – tak że w ręku każdego z nich wyglądała jak sztywny kij.

–Nie zważać na tych, którzy nie dotarli przynajmniej do podnóża schodów – polecił sir Mortimor. – Celować w tych, którzy są blisko wieśniaków. Czekać na mój rozkaz.

Szeregi jego ludzi stały, pozornie niedbale machając procami. Dopiero kiedy

pierwsi napastnicy znaleźli się kilka kroków za jakąś staruszką, która została w tyle za rozpaczliwie umykającymi mieszkańcami wioski, sir Mortimor dał rozkaz. Do tego czasu cała droga za plecami wieśniaków wypełniła się marokańskimi piratami.

–Teraz! – krzyknął sir Mortimor i wszyscy procarze jednocześnie, jak na pokazie, wypuścili pociski, pochylając się przy tym naprzód. Niezwłocznie wyjęli z sakw następne, nałożyli je i znów wszyscy zgodnie kręcili rzemieniami w powietrzu.

Pociski zebrały na dole obfite żniwo. Oczywiście z tej wysokości nie było słychać łoskotu uderzeń i – w przeciwieństwie do strzał z łuku – nie było widać brzechw sterczących z ciał trafionych.

–Procarze z Balearów! – zawołał uradowany Brian. – To Balearczycy, prawda, sir Mortimorze?

–Przeważnie – mruknął rycerz, nie odrywając oczu od widoku w dole. – Ćwiczą od dziecka, tak samo jak łucznicy. Ci pierwsi są jednak tańsi i jest ich tu więcej, a w takim zameczku jak mój znacznie łatwiej jest przechować ogromny zapas pocisków do procy niż starannie wykonanych strzał, jakie są potrzebne łucznikom i trudne do odzyskania podczas oblężenia zamku. Rzecz jasna nie mają takiego zasięgu jak łuk, ale na niewielką odległość są naprawdę skuteczne.

–Istotnie! – mruknął Brian.

I były.

Wyglądający zza muru Jim ujrzał, jak połowa najbliższych znajdujących się napastników nagle pada na ziemię, a pozostali zawracają i w panice uciekają drogą. Ich ostatnie szeregi także zostały skoszone. A kiedy reszta dotarła na dół, procarze przestali kręcić procami i spojrzeli na sir Mortimora, oczekując dalszych rozkazów.

Sir Mortimor potrząsnął głową.

Widocznie dał znak, żeby podano mu wina, gdyż ktoś wręczył mu kielich. Rycerz stał, trzymając w dłoni puchar prawie po brzegi napełniony czerwonym winem, ale nie pił. Na wieży panowała cisza.

Tymczasem na dole najeźdźcy hałasowali za obie strony konfliktu. Jim zobaczył z muru, że większość piratów zebrała się między domami wioski i u końca biegnącej po stoku krętej ścieżki. Ryczeli i potrząsali orężem, spoglądając na mury. Paru z nich miało łuki, gdyż w kierunku obrońców pomknęło kilka strzał, lecz żadna nie doleciała wyżej niż do trzech czwartych wysokości wieży, zanim uderzyła o głazy i spadła.

–Nic dziwnego – orzekł Brian stojący obok Jima. – Patrząc pod tak ostrym kątem w górę, trudno ocenić odległość.

Sir Mortimor upił łyk wina.

Kilka następnych strzał poleciało dostatecznie wysoko, by upaść na dach wieży, nie czyniąc nikomu szkody. Mijały minuty, wrzaski stopniowo cichły, aż zapanowała cisza. Przerwał ją donośny głos.

–Angielski rycerzu! – zawołał. – Sir Mortimorze, wiem, że tam jesteś. Jestem Abd'ul Hasan, a to są moi ludzie. Nie zdołasz nas powstrzymać. Chcę z tobą mówić. Sir Mortimorze! Angielski rycerzu! Pokaż się na murach!

Brian i Jim ze swego miejsca dostrzegli, że tłum na dole rozstał się, ukazując wysokiego osobnika w czerwonym turbanie i długiej, powiewnej, białej szacie

stojącego na drodze u podnóża zamku. Mężczyzna był wyższy niż większość otaczających go ludzi, lecz nawet z tej wysokości Jim zauważył, iż rabuś nie dorównuje wzrostem sir Mortimorowi. Pirat stał z uniesioną głową, czekając.

Sir Mortimor niedbałym krokiem podszedł do Jima i stanął na chropowatych kamieniach krenelażu, po czym spojrzął w dół.

–Czego? – Jego dudniący głos poniósł się echem po zboczu.

–Zdobędziemy twój zamek, spalimy go i ukrzyżujemy was! – wrzasnął Abd'ul Hasan, – Tylko wtedy jednak, jeśli nas do tego zmusisz. Daję ci wybór. Wyjdź teraz, zostawiając wszystko, a ty i wszyscy twoi ludzie będziecie mogli odejść. Powtarzam, wyjdź teraz, a odejdziecie wolni. Chcemy tylko dostać się do zamku!

Sir Mortimor stał, nie odpowiadając, tylko patrząc na niego. Po dłuższej chwili mężczyzna odezwał się znowu.

–I co powiesz, angielski rycerzu? Odpowiadaj. Nie będziesz miał drugiej szansy.

–Jestem Niemcem – zagłuszył go głos sir Mortimora.

–Nie obchodzi mnie, jak się zwiesz! – wrzasnął Abd'ul Hasan. – Przyjmujesz moje warunki? Powiedz, tak czy nie. Nie będziesz miał następnej okazji.

Sir Mortimor spojrzął na niego w zadumie. Po chwili podniósł puchar do ust, pociągnął łyceczek i odjął kielich od warg. Powoli i wzdurliwie przechylił naczynie i wylał zawartość za mur, tak że rozprysnęła się na kilku ostatnich schodach wiodących do bramy zamku. Potem cisnął pusty puchar w ślad za trunkiem. Metalowy kubek spadł na strome stopnie, odbił się, przeokoziółkował, znów się odbił i w ten sposób spadł jako pokierszowany kawał metalu prawie pod stopy Abd'ula Hasana. Potem sir Mortimor odwrócił się i zszedł z muru.

Przez długą chwilę na dole panowała cisza, a potem napastnicy wydali przeciągły wrzask wściekłości. Na wieży głos sir Mortimora zagłuszył cały ten tumult.

–Dziesięciu ludzi ma przez cały czas stać tu na straży – rozkazał. – Wszyscy mają spać z bronią u boku i... Beaupré!

–Tak, milordzie – powiedział szczupły mężczyzna z bronią u boku, w europejskim napierśniku i hełmie. Miał gęste, kasztanowate włosy, ale ospa okropnie okaleczyła jego niegdyś wyraziste rysy.

–Będziesz dowodził obroną – powiedział sir Mortimor. – Postaw dodatkowe warty na schodach i przy bramie. Kocioł napełnić olejem i trzymać pod nim ogień, żeby w razie potrzeby szybko go podsycić. Powiadomisz mnie, w dzień czy w nocy, kiedykolwiek, jeśli zauważysz, że zamierzają sforsować bramę. Poza tym reszta zależy od ciebie. Przez dzień czy dwa nie spodziewam się niczego specjalnego. Bacz jednak, czy próbują zaatakować nas od góry, podłożyć proch pod mury albo zrobić jeszcze coś innego.

–Tak jest, milordzie – rzekł Beaupre.

–No cóż, panowie – powiedział sir Mortimor do Jima i Briana – może znów zejdziemy i spróbujemy chwilę odpocząć?

Nie czekał na zgodę. Odwrócił się i podszedł do schodów. Jim i Brian poszli za nim.

Rozdział 9

–Beaupré będzie moim giermkim, jeśli będę takiego potrzebował – rzekł sir Mortimor niezwykle cichym głosem.

Znów siedzieli przy tym samym stole, przy napełnionych winem kolejnych trzech kubkach z najwidoczniej nieprzebranej zamkowej zastawy. Sir Mortimor zaczekał, aż sługa, który je przyniósł, opuści komnatę.

–Beaupré jest moim zastępcą – ciągnął gospodarz. – Jeśli poprosi was o coś, sprawicie mi przyjemność, traktując to jak rnoją własną prośbę. Sądzę, że przez najbliższy dzień czy dwa nic się nie zdarzy. Spróbują wszystkich najłatwiejszych sposobów. Usłyszymy kamienie zrzucane na nas z góry, będzie kilka prób uszkodzenia ścian wieży, ale nic poważnego. Beaupré zajmie się tym i wezwie was tylko w razie potrzeby.

–Sir Mortimorze – zaczął spokojnie Brian. – Błagam o wybaczenie, jeśli źle cię zrozumiałem. Jednak wydaje mi się, iż sugerujesz, że w razie potrzeby dwaj rycerze mają walczyć pod rozkazami giermka.

–Właśnie – powiedział sir Mortimor, patrząc mu prosto w oczy. – Wy, panowie, nie znacie charakteru wojen toczonych w tej części świata, a Beaupré zna. Zapewniam was, że będzie zwracał się do was w najbardziej uprzejmy sposób.

–Nie o to chodzi, sir Mortimorze – rzekł Brian. – Jesteśmy twoimi gośćmi, jak sądzę?

–Oczywiście – odparł rycerz. – Jakże mogłoby być inaczej?

–Niczego innego nie oczekiwałem – powiedział Brian. – Spodziewałem się jednak, że jeśli mój gospodarz zażyczy sobie mojej pomocy w obronie swego domu, to raczej poprosi o nią sam, a nie wyśle kogoś niższego stanu, aby jej zażądał.

–Bardzo dobrze – rzekł sir Mortimor. – Zatem proszę.

–W takim razie – stwierdził Brian – aż nazbyt chętnie pomogę w miarę moich możliwości.

Jim poczuł, że ta rozmowa zaczyna mu ciążyć.

–Rzecz jasna, ja także, sir Mortimorze – obiecał.

–A więc sądzę, że wszystko ustaliliśmy, panowie – powiedział rycerz. Wstał, pozostawiając nietknięty puchar wina. – Chociaż uczyniłem Beauprégo odpowiedzialnym za obronę – rzekł – to jest mój zamek i ja tu rządę. Tak więc muszę wiedzieć o wszystkim, co się dzieje. Pozostanie mi niewiele czasu na zajmowanie się gośćmi. Sir Brianie, byłbym wdzięczny, gdybyś przyjął sir Jamesa na kwaterę, którą ci udostępniłem. Bagaże, które sir James miał ze sobą, przyplływając tutaj, zostały już tam przeniesione. Gdybyście cierpieli jakieś niewygody, po prostu wezwijcie służbę i powiedzcie, czego potrzebujecie. W miarę możliwości otrzymacie to. A teraz, jeśli wybaczycie, zacznę obchód zamku, aby sprawdzić, jak przebiegają przygotowania.

Odwrócił się, podszedł do schodów i zniknął im z oczu.

–Brianie... – zaczął Jim. Brian podniósł palec do ust i Jim urwał.

Brian wstał, podnosząc swój puchar, i skinął na Jima. Ten poszedł za jego przykładem, ale zostawił kielich. Brian zaprowadził go po schodach piętro niżej, na

niewielki podest, z którego odchodziło troje drzwi. Otworzył pierwsze z lewej i wpuścił Jima do komnaty pełniącej niewątpliwie funkcję pokoju gościnnego.

W przeciwieństwie do tego, co Jim przywykł znajdować w angielskich zamkach, pomieszczenie było znacznie przestronniejsze od przeciętnego pokoju gościnnego, łóżko o wiele większe, z czterema słupkami i baldachimem, a otwór w ścianie był kilkakrotnie szerszy od zwykłej szczeliny strzelniczej, co niemal pozwalało nazwać go oknem. Brakowało jednak okiennic. W niepogodę wpadałby wtedy nie tylko wiatr, lecz i deszcz.

Bagażę Jima leżały w kącie. Wśród nich ujrzał z zadowoleniem własny, zwinięty i wolny od robactwa materac. W pokoju stał także stół i kilka krzeseł. Brian starannie zamknął drzwi, podszedł do stołu, usiadł przy nim i wskazał Jimowi stołek.

–Jamesie – powiedział ściszym głosem – mimowolnie wciągnąłem cię w pułapkę. Jeśli twoja magia pozwala ci uciec stąd, błagam cię, żebyś z niej skorzystał. Ten atak na zamek sir Mortimora nie powinien cię obchodzić. Ogromnie mi przykro, że już zostałeś w to zamieszany.

Jim spojrział nad stołem na rycerza i zobaczył, że ten mówi śmiertelnie poważnie.

–Rzeczywiście – powiedział Jim – mógłbym stąd uciec. Prawdę mówiąc, dzięki magii obaj moglibyśmy. W co ty się wpakowałeś, Brianie?

Zaledwie wypowiedział ostatnie słowa, a uświadomił sobie, że popełnił niewybaczalny nietakt, zadając mu takie pytanie, chociaż Brian był jego najlepszym przyjacielem. Nie miał prawa pytać go, dlaczego znalazł się w takiej sytuacji. Otworzył usta, żeby przeprosić, ale Brian przemówił pierwszy.

–Nic nie szkodzi, Jamesie – powiedział, jakby czytał w jego myślach. – Wiem, że przemawia przez ciebie tylko troska o moje dobro. Nie, jeżeli możesz uciec, zrób to sam. Ja nie mogę.

–Dlaczego?

–Przybyłem tu jako gość na zaproszenie sir Mortimora – zaczął Brian – poznawszy go w Episkopi, gdzie odwiedziłem kilku innych zacnych angielskich rycerzy, których dziadowie osiedli tu w czasie poprzedniej krucjaty. Sir Mortimor nie uchybił obowiązkowi gospodarza, więc ja nie mogę nie wywiązać się z moich zobowiązań gościa, teraz kiedy ma kłopoty. W twoim wypadku jest inaczej. Zjawiłeś się tutaj, szukając mnie, a teraz możesz odejść. Błagam cię, Jamesie, opuść zamek, póki możesz, a gdybyś wysyłał wiadomość Geronde lub Angeli, napisz tylko, że kiedy ostatnio mnie widziałeś, miałem się dobrze, musiałem tylko dokończyć pewną drobną sprawę, która trochę opóźni załatwienie tego, po co tu przybyłem.

Jim poczuł, że Hob znów wierci się w plecaku. Mały skrzat ukrył się, zanim jeszcze sir Mortimor dołączył do nich w trakcie rozmowy o dzieciństwie Briana oraz jego dawnej znajomości z Hobem. Teraz wystawił głowę z sakwy, a jego oddech połaskotał Jima w ucho.

–Och! – rzekł uszczęśliwiony. – Ogień i dym. Kominek. Panie, czy mogę zajrzeć do tego komina?

–Nie krępuj się, Hobie – odparł Jim i w następnej chwili mała szara postać zeskoczyła mu z ramienia, wpadła do kominka i zniknęła. Jim znów popatrzył na

Briana. W ostatnich słowach przyjaciela pobrzmiwał dziwnie fałszywy ton.

–Brianie – rzekł – wybacz mi i nie odpowiadaj, jeżeli nie chcesz, ale czy coś jest nic tak? Czy stało się coś złego, o czym nie chcesz mi powiedzieć? Naprawdę wyruszysz stąd, kiedy tylko będzie po wszystkim?

–Tak sobie poprzysiągłem – odparł Brian – i nie zamierzam złamać ślubu. Daję ci słowo, że zrobię, co w mojej mocy, żeby wznowić poszukiwania ojca Geronde, gdy tylko uwolnię się od sir Mortimora i jego zamku.

–Czemu więc obaj go nie opuścimy? Twoje obowiązki jako gościa...

–Są moimi obowiązkami! – uciał Brian. – Nigdy nie złamałem danego słowa i przysięgam przed Bogiem, że nigdy tego nie uczynię.

–Mówisz teraz o obietnicy złożonej sir Mortimorowi, prawda? Co dokładnie mu obiecałeś?

–Jamesie... – zaczął gniewnie Brian i zamilkł. Spojrzał na stół, dostrzegł puchar z winem, upił z niego łyk i znów spojrzał na Jima. – Jamesie, będę kontynuował te poszukiwania. Chyba jednak dopiero po pewnym czasie. Masz rację. Jest coś, o czym ci nie powiedziałem. Chodzi o popełniony przeze mnie błąd będący skutkiem słabości. Właściwie... prawdę mówiąc, nie mam już pieniędzy na dalszą podróż.

–Nie masz...? – zdumiał się Jim. – Nie chcę... – znów urwał, patrząc na przyjaciela. Na wyrazistej twarzy Briana w niebieskich oczach i agresywnie zagiętym nosie malował się upór. Jim przełknął słowo „wścibiać”, które miał na końcu języka, po czym inaczej sformułował myśl. – ...zadawać nieuprzejmych pytań – dokończył – ale jak to się stało, że tak szybko skończyły ci się pieniądze? Sądziłem, że masz ich dość na poszukiwania trwające kilka miesięcy, a może nawet rok?

–Tak było – odrzekł rycerz. – To moja wina, Jamesie. Wszyscy jesteśmy grzeszni i mamy swoje słabostki. Jedną z moich, jak wiesz, jest gra w kości. Powinienem ślubować, że zaniecham takich rozrywek na czas poszukiwań, ale nie przyszło mi to do głowy,

–Cóż więc się stało?

–Przybyłem na Cypr, jak może wspomniała ci Geronde – zaczął Brian – ponieważ niejaki sir Francis Neville, mój daleki kuzyn, jest rycerzem joannitów. Miałem nadzieję zasięgnąć jego rady. Wiedziałem, że przyplynał na Cypr w jakichś interesach łączących joannitów z pewnymi znamienitymi i potężnymi ludźmi mieszkającymi na wyspie. Może Geronde wspomniała ci o tym. Jim skinął głową.

–Lecz kiedy tu dotarłem, sir Francis już wyruszył z powrotem do głównej kwatery zakonu, która leży daleko od szpitala założonego przez nich w Jeruzalem, a noszącego imię Świętego Jana z Jeruzalem, od którego wywodzi się nazwa joannitów. Obecnie nazywają się kawalerami rodyjskimi. Miałem nadzieję, iż dowiem się od niego, jak najszybciej dotrzeć do Palmyry, a także, jak mam postępować i czego wystrzegać się po drodze.

Brian umilkł. Jim, myśląc, że już skończył mówić, zabrał głos.

–Przecież tylko dzięki jego nieobecności nie straciłeś większości pieniędzy. Chyba, że ci je skradziono.

–Nie – odparł Brian. – Naprawdę zuchwały byłby ten rabuś, który spróbowałby

odebrać mi moją własność. Nie, mego kuzyna, sir Francisa, już nie zastałem, ale miał tu wielu przyjaciół, których znalazłem, wymieniając jego nazwisko. Ci podjęli mnie w prawdziwie gościnny sposób. Musisz jednak wiedzieć, Jamesie, iż odsyłali mnie jeden do drugiego, ponieważ ktoś tam był w Palmyrze, lecz nie znał najlepszej wiodącej tam drogi, podczas gdy ktoś inny znał szlak, ale nie miasto, a jeszcze inny mógł mi więcej powiedzieć o statkach pływających tam z Trypolisu, który jest najbliżej leżącym portem. Musisz wiedzieć, że Palmyra znajduje się w głębi łądu, kawałek od Trypolisu i innych portowych miast.

–Mów dalej.

–Rzecz w tym, Jamesie, że każdy kolejny napotkany szlachcic chciał mnie ugościć, napić i zabawić, na przykład zagrać partyjkę kości.

–Och – mruknął Jim. – I w ten sposób straciłeś wszystkie pieniądze?

–O nie – odparł Brian. – Nie wszystkie, bynajmniej. Tylko troszkę. Byłem bardzo ostrożny. Potem jednak w Episkopi przedstawiono mnie sir Mortimorowi, który przyjechał tam w jakichś sprawach i przyłączył się do gry, którą wygrałem.

–Wygrałeś? – wytrzeszczył oczy Jim.

–Tak. Wygrałem, i to sporo. Miałem o wiele więcej niż wtedy, kiedy przyplłynąłem na Cypr. I wszystko wygrałem od sir Mortimora, który zdawał się żyć tylko po to, by grać w kości i pić.

Jak wiesz, Jamesie, ja umiem wypić, ale sir Mortimor jest niesamowity!

–Mogę w to uwierzyć.

–Dlatego nie odmówiłem – ciągnął Brian – kiedy zaprosił mnie w gości. Właściwie mieliśmy łowić ryby. Mówił mi, że łapanie z łodzi ryby tak dużej jak człowiek sprawia prawie tyle samo przyjemności, ile zwycięstwo w walce. A wiesz, że w Anglii rzadko trafiają się tak duże okazy. Istotnie, miał rację. Z początku zabierał mnie na ryby i rzeczywiście to niezwykle przeżycie, Jamesie!

–W to też mogę uwierzyć – rzekł Jim. – Wspomniałeś jednak, że nadal miałeś pieniądze. Nawet więcej niż na początku.

–Nie więcej niż miałem na początku – poprawił karcąco Brian. – Więcej niż w chwili, gdy przybyłem na Cypr.

–Dostrzegam różnicę,

–Jednak wieczorami grywaliśmy w kości i nie wiem, jak to się stało, Jamesie, W Episkopi miałem wprost niesamowite szczęście, a tutaj, na zamku, zupełnie się ode mnie odwróciło. Wciąż przegrywałem. Do tej pory straciłem prawie wszystko. Nie mogę stąd odejść, nie próbując ich odzyskać. A nawet gdybym zdołał, poczucie honoru wymagałoby, żebym został tu, aby pomóc sir Mortimorowi w godzinie potrzeby.

–Nie jestem pewien, czy on postrzega to jako godzinę próby – stwierdził Jim. – A więc wygrywałeś z nim w Episkopi? Wciąż wygrywałeś. Tymczasem tutaj w zamku cały czas przegrywałeś? Zawsze używaliście jego kości?

–No... tak – potwierdził Brian. – Ja nigdy nie noszę przy sobie kości, wiesz o tym, Jamesie. Inaczej mógłbym stracić wszystko, co posiadam. Obawiam się, że pewnego dnia rozgorączkowany mógłbym się zapomnieć i postawić nawet Blancharda z

Tours, i przegrać go.

Jim ponuro pokiwał głową. Brian wydał całą ojcowiznę, oprócz zrujnowanego zamku Smythe. żeby kupić Blancharda, wielkiego białego ogiera, który był jego bojowym rumakiem o inteligencji i woli walki, dzięki którym był wart małego księstwa. Istotnie, bez Blancharda Brianowi trudno byłoby wygrywać turnieje będące jego podstawowym źródłem utrzymania. Waga, siła i szybkość konia były niezwykle istotnym czynnikiem.

–Chyba nie podajesz w wątpliwość uczciwości sir Mortimora – powiedział Brian, wytrzeszczając oczy. – Rycerz nie... och, wiem, że bywały takie przypadki wśród szlachciurów i nieszczęśników niegodnych szlacheckiego stanu. Jednak ktoś taki jak sir Mortimor, posiadający zamek i włości... Nie mógłby przetrwać bez pomocy sąsiadów, więc nie ważyłby się ich oszukiwać w obawie, że prędzej czy później rzecz wyjdzie na jaw, a wtedy wszyscy się od niego odwrócą.

–Może masz rację, Brianie – rzekł Jim – ale myślę, że zapomniałeś o czymś.

–O czym? – zjeżył się Brian.

–W tej części świata zabieranie innym wszystkiego, co się da, jest powszechnie przyjęte. Prawdę mówiąc, sam wiesz, że nie tylko tutaj coś takiego może przytrafić się gościom. A chciałbym przypomnieć, iż ty jesteś tu gościem, obcym, co czyni cię łatwą zdobyczą.

–Nie odważyłby się!

–Z tego, co widziałem – powiedział Jim – sir Mortimor nie cofnie się przed niczym.

Brian usiadł, powoli oswajając się z wizerunkiem sir Mortimora potrafiącego oszukać innego rycerza. Stopniowo jego twarz przybierała coraz bardziej ponury wyraz, aż kości policzkowe zdawały się napinać skórę.

–Na Boga! – rzucił. – Jeśli on...! Urwał i stopniowo gniew zaczął go opuszczać, przechodząc w głęboką rozpacz.

–Aczkolwiek – rzekł w końcu z westchnieniem – nic na to nie poradzę. Byłoby bardzo niegrzecznie bez niezbitego dowodu podważać jego uczciwość teraz, kiedy tyle do niego przegrałem. Muszę z nim grać, jeśli mam mieć jakąkolwiek nadzieję na odzyskanie moich pieniędzy, I tak nie zdołam stwierdzić, czy on gra uczciwie, czy nie.

–Ty może nie – mruknął Jim. Miał magiczne zdolności. W tym jednak momencie nie przychodziło mu do głowy, jak mógłby je wykorzystać do sprawdzenia uczciwości sir Mortimora. Musiał jednak znaleźć jakiś sposób. – Jeśli nie będzie miał nic przeciwko temu, że posiedzę sobie, patrząc, jak gracie... Gdyby nie spodziewał się, że obserwuję go, aby odkryć w ten czy inny sposób, iż jest nieuczciwy...

–Nie podejrzewałby rycerza... – zaczął Brian i urwał. – Na świętego Giles'a, Jamesie, jeżeli masz rację, on rzeczywiście może podejrzewać. Nie wiem, jak tego uniknąć.

Jim już wpadł na pewien pomysł.

–A co ty na to, Brianie? – spytał. – Czy, twoim zdaniem, sir Mortimor jest tego rodzaju rycerzem, który zawsze podejmuje wyzwanie?

Brian wytrzeszczył oczy.

–Z całą pewnością! – stwierdził. – Odwagi mu nie brak.

–Zatem może skłonimy go do gry, podczas której skupi uwagę na rozgrywanej z tobą partii i zapomni o tym, że go obserwuję. Na przykład gdybyś zaprosił go do gry w jakiejś ryzykownej sytuacji, w jakiej zazwyczaj dwaj rycerze nie zasiedliby do kości i wina. Mógłbyś to zrobić?

–Mógłbym na pewno – odparł Brian. – Tylko kiedy? Ponadto, Jamesie... zostało mi tylko kilka sztuk złota. Może będę musiał udawać, że mam więcej. Wiem, że proszę o wiele, ale czy...

–Oczywiście – przerwał mu Jim. – Mogę dać ci dość pieniędzy, żeby się zainteresował. To żaden problem.

Pomyślał, że właściwie mógłby wyczarować dowolną sumę pieniędzy. Pewnie dwadzieścia cztery godziny później zmieniłyby się z powrotem w to, z czego by je zrobił. Wykorzystanie takich fałszywych pieniędzy do oszukania kogoś byłoby wbrew zasadom porządnego maga, co na pewno wytknąłby mu Carolinus. Chyba jednak wolno ich użyć do przyłapania oszusta.

–Zaczekamy, aż rozpocznie się szturm na zamek – powiedział.

Rozdział 10

Sir Mortimor okazał się prawdziwym prorokiem, niezależnie od tego, czy był uczciwym graczem w kości.

Jim obudził się w środku nocy z wrażeniem, że zamek się rozpada. A zupełnie otrzeźwiał, gdy usłyszał, jak coś z potwornym łoskotem uderza o mur niecałe dwa metry od jego lewego ucha. Ogień na kominku zgasł, zaledwie kilka węgli żarzyło się czerwoną poświatą, która nie rozpraszała zalegających w komnacie ciemności.

–To tylko piraci próbują zrzucić na zamek głazy z urwiska – rozległ się w mroku głos Briana, gdy przebrzmiał hałas. – Jak już powiedział sir Mortimor, Jamesie, skalny nawis zasłania nas tak, że nie mogą wyrządzić nam szkody. Słyszałeś głazy ledwie zawadzające o ścianę zamku, ześlizgujące się po niej i pozostawiające tylko zadrapania, które możesz zobaczyć jutro z murów.

–Aha – mruknął Jim i znów zasnął.

Napastnicy widocznie zgadzali się z Brianem, bo po pierwszej lawinie kamieni nie spadła następna. A nazajutrz Brian, wskazując na podnóże zamku, zwrócił uwagę Jima na białe smugi na owalnym murze wieży pozostawione przez uderzające głazy. Pamiętając łoskot, jaki zbudził go w środku nocy, Jim z trudem mógł uwierzyć, że zostawiły tak nikłe ślady.

Następny atak na zamek nastąpił po kilku godzinach, późnym popołudniem, gdy bliżej nieznana liczba Marokańczyków zakradła się na schody, niosąc nad sobą wielką drewnianą tarczę. W ten sposób zdołali dotrzeć pod mur, o który oparli ją jako stałą osłonę, po czym zabrali się do pracy.

–Spróbują zrobić podkop albo przynajmniej nadwątlić i zwalić fragment muru, żeby powstał wyłom, przez który mogliby się wdrzeć do zamku – rzekł sir Mortimor. – Rozczarują się. Zamek jest solidnie osadzony na litej skale urwiska, w owalnym wyźłobieniu wykutym przy wznoszeniu wieży.

–Jeżeli się uprą – powątpiewał Brian, gdy wszyscy trzej spoglądali z wieży i nasłuchiwali szczęku narzędzi oraz innych odgłosów prac prowadzonych pod tarczą, a obrońcom zamku nie kazano podejmować jakichkolwiek działań przeciwko minerom – prędzej czy później zdołają przebić się do wnętrza zamku – spojrzał na wysokiego rycerza. – Chociaż zaryzykuję przypuszczenie – dodał – iż trwałoby to dłużej niż kilka dni.

–Nie zrobią tego – rzekł sir Mortimor. – Brak im do tego cierpliwości. Szybka bitwa i błyskawiczne zwycięstwa są bardziej w ich stylu. Gdyby ten zamek stał gdzieś w północnej części Morza Śródziemnego, można by oczekiwać takiego postępowania. Jednak nie tutaj.

–Zatem brałeś udział w wojnach na kontynencie, panie? – zapytał Brian.

–W kilku – odparł zwięźle sir Mortimor. Odwrócił się i poprowadził ich schodami na dół.

I znów stało się tak, jak przewidywał. W miarę jak mijał dzień, odgłosy dobiegające spod tarczy stawały się coraz rzadsze, aż wreszcie zupełnie ucichły. W końcu tarcza odpełzła z powrotem po schodach, ostrzeliwana przez tkwiących na wieży procarzy mierzających tuż nad ziemią i trafiających w nogi tych, którzy ją nieśli. Mimo to tarczę

zniesiono po schodach i poza zasięg proc, nie pozostawiając żadnych zabitych ani rannych.

Następna noc, nie licząc śpiewów i hałasów w opuszczonej wiosce u stóp wzgórza, była złowieszczo cicha.

–Spodziewałem się, że natychmiast spalą te budynki – mruknął Jim na pół do siebie, a na pół do Briana, spoglądając w noc. Jedynymi światłami w wiosce były pochodnie noszone przez pojedynczych piratów przechodzących z jednej chaty do drugiej oraz jedno czy dwa łuczywa przy zakotwiczonych statkach.

–O ile znam się na tych sprawach – wyjaśnił Brian – sądzę, iż zwlekają z tym, ponieważ dzięki tym budynkom mają gdzie spać i jeść. Jakże zazdroszczę sir Mortimorowi doświadczenia w wojnach na kontynencie. Zastanawiam się, czy był w południowych krajach albo we Francji, a może jeszcze dalej na wschodzie, walcząc z poganami z Dalekiego Wschodu?

Jim odwrócił się i w słabym blasku gwiazd oraz młodego księżyca spojrzął na twarz przyjaciela.

–Mówisz tak, jakbyś go podziwiał.

–On jest wojownikiem – rzekł Brian. – Bardziej niż ja, który nigdy nie widziałem... a raczej nigdy nie brałem udziału, oprócz paru utarczek we Francji, w zaciętej bitwie, oblężeniu, prawdziwej wojnie. Może zręcznie władam kopią i innym orężem, lecz nie mogę rzec, że walczyłem w prawdziwym znaczeniu tego słowa,

Ponieważ od czasu śmierci ojca życie Briana, który w wieku piętnastu lat odziedziczył zamek Smythe, składało się, zdaniem Jima, z niemal bezustannej walki, zdziwił go tak przesadny respekt dla kogoś, kto uczestniczył w regularnych wojnach. Mimo to nie sądził, aby przyjaciela ucieszyła taka uwaga, więc nie wypowiedział jej na głos.

Tej nocy wszczęto alarm z innego powodu niż poprzedniej. Jima obudził gwar głosów i tupot nóg. Ogień" w kominku nagle buchnął płomieniem i Jim ujrzał odchodzącego od paleniska Briana, który podrzucił drewno na jeszcze żarzące się węgle. Przyjaciel zdążył już wciągnąć spodnie i buty, a teraz zapinał pas z mieczem. W świetle świeżo podsyczonego ognia blizny na jego nagiej, górnej połowie ciała były czarne jak namalowane.

–Próbują sforsować bramę pod osłoną ciemności – rzekł krótko. – Lepiej wstańmy i chwyćmy za broń, Jamesie. Już dawno po niesporach.

Po północy... Jim wstał z łóżka i zaczął się ubierać w przygnębieniu, jakie opadało go zawsze, gdy miał wziąć udział w prawdziwej bitwie. Jeśli już walczył, to najlepiej spisywał się w ciżbie. Nieprzeciętny wzrost i waga dawały mu tam przewagę. Jednak w takich chwilach jak ta boleśnie uświadamiał sobie, jak niewprawnie posługuje się mieczem, który teraz przypinał do pasa.

Ubrani i uzbrojeni opuścili kwaterę i poszli w kierunku źródła hałasu, który dochodził z parteru.

Zanim zeszli na pierwsze piętro, usłyszeli donośny i stanowczy głos sir Mortimora odbijający się echem w klatce schodowej.

–Nie więcej jak trzydziestu ludzi! – rozkazywał stojący piętro niżej rycerz. –

Niczego nie róbcie, chyba że naprawdę wyłamią pierwsze wrota. Gdyby tak się stało, uchylcie na moment bramę, żeby procarze i łucznicy wypuścili pociski, po czym znów ją zamknijcie i zaryglujcie. Tym razem jeszcze nie powinni rozbić wrót. No tak. Bądźcie zwarci, czujni, gotowi. Pozostali, oprócz tych trzydziestu, którzy tu zostaną, niech wezmą naręcza słomy i zanosą ją na mury, tuż nad atakujących. Olej w kotle już powinien wrzeć. Kiedy przyjdę na wieżę, zrzucimy słomę na oblegających, polejemy ich olejem i ciśniemy zapalone pochodnie. Beaupré!

–Tak jest, sir Mortimorze.

Poznaczona śladami po ospię twarz zastępcy wyłoniła się ze stojącego przed rycerzem tłumem.

–Zostaw tu tylko tylu procarzy, ilu zdoła skutecznie razić wroga, kiedy uchylicie bramę. Wszyscy pozostali pójdą z nami na wieżę. Zbędni łucznicy także. Upewnij się, że przygotowano pochodnie!

–Pochodnie już tam są i palą się, sir Mortimorze – powiedział Beaupré. – Większość pozostałych procarzy i łuczników też jest już na wieży. Tutaj pozostało ich dość, aby odeprzeć każdy atak przez tunel. Zajmę się wszystkim.

Sir Mortimor obrócił się w kierunku schodów, dostrzegł obserwujących go rycerzy i potrząsnął głową.

–Jeśli chcecie, panowie – rzekł – pozwólcie ze mną na wieżę.

Jeszcze nie skończył mówić, a już wbiegł na schody i minął ich, przyciskając do kamiennej ściany klatki schodowej. Zniknął na górze, przeskakując po dwa stopnie naraz i zostawiając daleko w tyle Jima oraz Briana.

Jim, który jeszcze czuł w nogach skutki wczorajszej wspinaczki po zamkowych piętrach, w zadumie spojrzał na strome schody. Wydawało się niemożliwe, aby ludzka istota mogła pokonać pięć kondygnacji zamku, przeskakując po dwa tak wysokie i szerokie stopnie naraz. Ale ujrawszy sir Mortimora w akcji, gotów był uwierzyć, iż rycerz utrzyma takie tempo aż na samą górę. Zapewne teraz, gdy Jim i Brian mozolnie pięli się za nim, sir Mortimor już wychodził na otwartą przestrzeń na szczycie wieży.

W końcu dołączyli do niego. W blasku pochodni trzymany przez ludzi stojących z dala od krawędzi zewnętrznego muru, który osłaniał ich przed strzałami ukrytych na dole łuczników, Jim ujrzał sporą stertę siana przygotowanego do zrzucenia na oblegających.

Sir Mortimor stał na lekko rozsuniętych nogach, patrząc, jak jego ludzie rzucają na stertę kolejne naręcza słomy. Ogień palił się, a nawet buzował, pod napelnionym olejem kotłem, który podtoczono na metalowych kółkach do szczeliny nad sklepieniem tunelu. Sagan był zawieszony na dwóch długich metalowych uchwytych, które pozwalały bez trudu przechylić go i wylać zawartość do szczeliny, by przez otwory w stropie opryskała napastników w przejściu. Ciepło bijące od kotła czuło się cztery metry dalej. Jim ze zdumieniem ujrzał, że sir Mortimor nagle podchodzi do gara i niedbale wkłada wskazujący palec do cieczy.

–Dostatecznie ciepły – zawyrokował rycerz, cofając się. Jim spojrzał na jego palec, ale nie dostrzegł pęcherzy ani żadnych innych śladów oparzenia. Po chwili

uświadomił sobie, że ogień musiałby palić się przez dłuższy czas, żeby doprowadzić do wrzenia taką ilość oleju. W kotle było mnóstwo płynu. – Napełnić wiadra – rozkazał sir Mortimor. – Ustawie je nad samym wejściem i niech pięciu ludzi przygotuje się do polewania.

Przyniesiono długi metalowy bosak, za pomocą którego pociągnięto za brzeg kotła. Sagan obrócił się na uchwytach i przechylił na tyle, by pierwszy z czekających mężczyzn bez trudu napełnił wiadro. Zaniósł je na skraj muru.

Natychmiast zastąpił go następny człowiek z pustym wiadrem i ten proces powtarzał się, aż wzdłuż krenelażu stanęło tuzin wiader z olejem.

Z dołu przybiegł posłaniec.

–Sir Mortimorze – wysapał. – Beaupré przysłała wiadomość, iż jego zdaniem w najbliższym czasie wróg nie sforsuje bramy. Ich taran uderza w różne miejsca, zamiast systematycznie w jedno i to samo. Za pańskim pozwoleniem, sir Mortimorze, ośmiela się podejrzewać, iż w ciemnościach nie mogą znaleźć oparcia dla nóg.

–Doskonale – mruknął sir Mortimor. Odprawił gońca machnięciem ręki. – Zapewnimy im oświetlenie. Powiedz to Beauprému.

Ponownie sprawdził przebieg prac na wieży.

–Wystarczy słomy! – rzekł. – Przygotujcie się do rzucania. Starajcie się zrzucić ją jak najbliżej bramy. Spadając, rozsypie się dostatecznie. Wiadrowi i reszta! Rzucać słomę!

Zrobił dwa bardzo długie kroki, chwycił ogromne naręczce słomy i cisnął za mur. Wszyscy wokół robili to samo, włącznie ze zbrojnymi pełniącymi straż na murach wokół tylnej części zamku. W niecałe dwie minuty zrzucano całą słomę.

–Olej! – warknął sir Mortimor.

Wyznaczeni ludzie chwycili wiadra i zaczęli wylewać ich zawartość, stojąc jeden przy drugim i dokładnie celując strumieniami cieczy.

–A teraz – rzekł sir Mortimor, kiedy opróżniono ostatnie wiadro – pochodnie!

Palące się wokół pochodnie zaniesiono w to samo miejsce, z którego zrzucano słomę i lano olej, po czym ciśnięto je na dół. Jim i Brian odeszli kawałek na bok i zerknąwszy za mur, ujrzeli kłęby ognia buchające przed bramą zamku – nie przy samych wrotach, ale dwa lub trzy kroki dalej. Słoma natychmiast się zajęła, a olej podsycał płomienie.

–Procarze!

Obecni na wieży procarze już rzucili słomę i sięgnęli po proce. Kręcili nimi w powietrzu, szykując się do boju. Teraz podeszli na skraj muru, a gdy z dołu zaczęły dolatywać krzyki i jęki, wypuścili pociski.

Na szczycie wieży wzniesiono chóralny okrzyk radości, a jeden głos przekrzyczał pozostałe.

–Uciekają! – wołał.

–Niech żaden nie ujdzie! – zagrzemiał sir Mortimor. – Procarze, zadbajcie o to!

Jim ujrział, jak dwie ostatnie płonące sylwetki staczają się ze schodów i nieruchomieją. Przed bramą, lecz nie za blisko niej, płonął jasny ogień, tu i ówdzie ukazując czarne plamy spalonych ciał. Upuszczony przez oblegających taran –

ociosana belka z ukośnie ściętym końcem mającym kompensować kąt uderzenia wymuszony znacznym nachyleniem stoku – leżał w ogniu.

–Polejcie olejem tę ich belkę – polecił sir Mortimor. – I rzućcie więcej słomy, jeśli będzie trzeba. Musicie ją spalić.

Rozejrzał się za posłańcem, który przyniósł mu wiadomość z dołu, i znalazł go tuż obok.

–Powiedz Beauprému, żeby przysłał tu wszystkich zbędnych procarzy i łuczników. Niech na dole zostanie ich tylko pół tuzina.

–Tak, lordzie.

Goniec zbiegł po schodach.

Wśród zabudowań wioski, gdzie skryli się pozostali piraci, słychać było wściekłe wrzaski, ale nikt nie wyszedł na drogę, gdzie wystawiłby się na cel procarzy.

–No cóż, panowie – powiedział sir Mortimor, spoglądając na Jima i Briana. – Może uruczmy się kropelką wina?

Brian i Jim przytaknęli uprzejmymi pomrukami i zeszli za nim po schodach. Mimo kilku lat pobytu w średniowiecznym świecie, Jim wciąż był trochę wstrząśnięty okropnym losem ludzi, którzy nieśli taran. Starał się zapomnieć o tym, gdy razem z Brianem znaleźli się piętro niżej. Doszedł do wniosku, iż to zapewne donośny głos sir Mortimora sprawia, że wszystko pojawia się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Zanim tam przybyli, trzy napełnione winem puchary stały już na stole. Później nadszedł kolejny sługa, niosąc ser, chleb i zimne mięsiwo z kuchni na dole. Po chwilach spędzonych na wieży komnata wydała się Jimowi okropnie duszna, chociaż noc była chłodna, ale przyjemna. Uczucie to wywołało zapewne napięcie i nagle przejście do zamkniętej przestrzeni, nie mówiąc już o ciężarze zbroi,

Każde większe pomieszczenie na zamku miało własny kominek, ta komnata także. Ogień już przygasał, ale nadal promieniował ciepłem. Jim drgnął, gdy tuż pod okapem ujrzał nagle twarz zwisającego głową w dół Hoba. Skrzat uśmiechnął się z zadowoleniem i znów zniknął. Na szczęście sir Mortimor stał w tym momencie plecami do kominka. Choć Jim pomyślał, że Hob zapewne nie pokazałby się, gdyby ktoś poza nim lub Brianem patrzył w tym kierunku.

Przez chwilę zastanawiał się, jak skrzat zdołał dostać się tutaj z kominka w ich pokoju, a potem zrozumiał. Oczywiście, Hob wyleciał przez komin ich sypialni i opuścił się innym. Zapewne zbadał już każdy komin i kominek w tym zamku.

–No cóż, sir Mortimorze – powiedział Brian, kiedy usiedli. – O ile pamiętam, twierdziłeś, że twój zamek można zdobyć, jedynie wyłamując bramę. Tymczasem podjęto taką próbę i bez trudu odparłeś atak. Chyba więc nie masz powodu, aby obawiać się tych piratów?

Sir Mortimor odstawił pusty już w jednej czwartej kubek.

–Właściwie nie – odparł. – A przynajmniej tak nielicznych i źle uzbrojonych. Może większego oddziału nieprzyjaciół, bardziej zdecydowanych, mających maszyny oblężnicze, proch, a nawet bombardy. Jednak biorąc udział w wojnach na kontynencie, nauczyłem się, że trzeba być przygotowanym na nadzwyczajne okoliczności.

–I nadal nie chcesz – nalegał Brian – żebyśmy poprowadził wycieczkę i spalił ich statki?

–Nic zamierzam stracić ani jednego człowieka, jeśli nie będę musiał – odparł sucho sir Mortimor. – Spalenie tych okrętów nie odbyłoby się tak bezkrwawo, jak zdajesz się mniemać, panie. Co więcej, krótko mówiąc, mylisz się także, sądząc, iż nie mamy powodu do obaw.

–Przypomnę ci twoje własne słowa – rzekł Brian. – Sam mówiłeś, że jeśli nie wedrą się główną bramą, to nigdy nie zdobędą zamku. A z tego, co widziałem dziś w nocy, nigdy im się to nie uda.

–Na Boga! – zakrzyknął sir Mortimor, waląc szeroką dłonią w blat stołu. – To, co widziałeś tej nocy, mogło skończyć się inaczej. Każdą fortyfikację można zdobyć, jeśli ma się odpowiednie maszyny oblężnicze lub dość ludzi, którzy będą atakować aż do skutku!

On i Brian mierzyli się gniewnymi spojrzeniami, a Jim siedział spięty. Kiedy dwaj mężczyźni noszący złote (przynajmniej z nazwy) rycerskie ostrogi zaczęli rozmawiać ze sobą, zaciskając pięści, pojedynki wisią w powietrzu, choćby używali jak najuprzejmniejszych słów.

–Oni ich nie mają – przypomniał Brian,

–Nie – rzekł sir Mortimor – nie mają. Jeżeli jednak spalisz im statki, to, jak już mówiłem, odetniesz im odwrót. A jeśli nie będą mogli uciec, ich jedyną nadzieją będzie zdobycie zamku. Tacy obwiesie jak ci piraci nie chcą dać się zabić, tylko zdobyć łup. Natomiast przyparciu do muru, będą bić się jak lwy. Z niechętnych do boju maruderów zmieniają się w wojowników walczących na śmierć i życie. Teraz nie mają serca i kręgosłupa, by wedrzeć się przez bramę.

On i Brian spoglądali sobie w oczy, rozdzieleni tylko szerokością stołu.

–Gdyby nie mieli innego wyjścia – ciągnął sir Mortimor – posyłałoby ludzi z taranami i tłukli we wrota, aż wyłamałoby je, bez względu na to, jak wielu z nich przypląciłoby to życiem. Zawsze wybieraliby najsłabszych spośród pozostałych i w ten sposób kolejne ataki byłyby coraz zacieklejsze.

–Ich ludzie w końcu nie chcieliby tego robić.

–Niekoniecznie – rzekł sir Mortimor. – Gdyby rozpoczęli z nami dżihad, muzułmańską świętą wojnę, walczyliby za sprawę i zapewniam, że atakowaliby do skutku. Wysyłałoby pod bramę ludzi, którzy ginęliby. Na ich miejsce posyłałoby następnych, a po nich jeszcze następnych. W końcu wdarliby się do tunelu i pierwsi z nich umarliby w płomieniach i dymie, następni także, lecz za którymś razem rozbiliby wewnętrzną bramę, a wtedy zginęlibyśmy.

Jim czuł, że powinien wtrącić się do rozmowy i złagodzić napięcie narastające między Brianem a sir Mortimorem, którzy w gorączce dyskusji pochylali się ku sobie nad stołem.

–Niewiele wiem o tej części świata i takich sprawach – przerwał najspokojniejszym tonem, na jaki potrafił się zdobyć – lecz muszę przyznać, że nic rozumiem, dlaczego atakujący nas piraci będą musieli zdobyć zamek, jeśli zniszczymy ich statki. Zdaje się, iż powiedziałeś, że większość z nich to muzułmanie. Na pewno w Episkopi nie

brakuje ludzi tej wiary. Dlaczego nie mieliby odejść do Episkopi i znaleźć swych współwyznawców oraz statki, na których wróciliby do ojczystego kraju?

–Istotnie! – Sir Mortimor skierował swe gniewne spojrzenie na Jima. – Niewiele wiesz o tutejszych sprawach. Prawdę mówiąc, panie, nie wiesz nic! Dlaczego sądzisz, iż tylko dlatego, że w Episkopi mieszkają ludzie tej samej wiary, piraci, byliby tam bezpieczni? Jest ich zbyt wielu, aby mogli udawać niewinnych wędrowców. Zaledwie paru dotarłoby do Episkopi, gdyby chrześcijańscy rycerze, którzy są moimi przyjaciółmi, dowiedzieli się, kim oni są i co zamierzali zrobić...

–Rozumiem – rzeki uspokajająco Jim. – Cóż, oczywiście... Sir Mortimor zagłuszył go, mówiąc dalej.

–Ich bracia muzułmanie nie będą zwlekać, tylko pochwycą ich i zatrzymają. Złapią również wszystkich, którzy przyjdą później. Ludzie, z którymi robię interesy, uznają, że chętnie zapłacę za złapanie, osądzenie i skazanie tych piratów. Tak więc każdego przybywającego tam później, obojętnie z jak wiarygodną historyjką i o jak niewinnym wyglądzie, spotka ten sam los. Ludzie w Episkopi, zarówno chrześcijanie, jak i muzułmanie, prowadzą ze mną interesy. Niektórzy mają moje weksle na spore sumy i chcą odzyskać swoje pieniądze. A nie otrzymają ich, jeśli ja zostanę zabity, a mój zamek splądrowany. Ponadto dobrze wiedzą, że mogę ich sownie wynagrodzić za każdego schwytanego i skazanego pirata. Zaprawdę, sir Jamesie, jesteś bardziej prostoduszny, niż mówisz, jeśli nie potrafisz sobie tego wyobrazić!

Narastające między sir Mortimorem a Brianem napięcie zelżało, ale Jim znalazł się w dość nieprzyjemnej sytuacji. Teraz sir Mortimor zaniechał dyskusji zmierzającej do nieuchronnej konfrontacji z Brianem, natomiast zaczął prowokować Jima. Jeszcze chwila, a Jim będzie musiał zareagować tak samo, jak zrobiłby to na jego miejscu Brian, jeśli nadal chce się nazywać rycerzem. Chyba że zaraz coś wymyśli.

Rozdział 11

Kiedyś już, gdy po raz pierwszy spotkał Briana, wywinął się z takiej niemiłej sytuacji, mówiąc o numerze swoje polisy ubezpieczeniowej. Pomyślał, że może i teraz zadziała jakaś koncepcja rodem z dwudziestego wieku. Uśmiechnął się przyjaźnie do sir Mortimora.

–Jestem ci wdzięczny, sir Mortimorze – rzekł serdecznie. – Zaiste, rad jestem, że mi o tym mówisz. Przez kilka ostatnich dni martwiłem się meteorologiczną sytuacją twego zamku. Zawsze zagraża niebezpieczeństwo, gdy duży klin niskiego ciśnienia zbliża się do jeszcze większego frontu wyżowego. Uspokoilo mnie to, co mi powiedziałeś.

Wargi sir Mortimora, które przy pierwszych słowach Jamesa zaczęły układać się w szydery grymas, zastygły, a jego twarz powoli przybrała zdumiony wyraz. Brian także patrzył na niego tępym spojrzeniem.

–Jak wiecie – ciągnął wesoło Jim – sprawy potoczyły się tak, że byłem zmuszony zająć się magią. Tak więc muszę przejmować się takimi sprawami. Naturalnie nie chcę zanudzać ciebie ani sir Briana problemami meteorologii czy astrofizyki, jeśli nie okaże się to absolutnie konieczne.

Sir Mortimor poszukał wzrokiem twarzy Briana. Ten odpowiedział mu zimnym spojrzeniem.

–Sir James jest magiem – rzekł lodowatym tonem. – Sądziłem, iż zrozumiałeś to, panie, kiedy napomknął, iż reguły jego sztuki nie pozwalają mu oddawać się żadnym grom hazardowym.

–Oczywiście, znam jego czyny, lecz sądziłem, iż mówi tylko o przybieraniu smoczej postaci.

–Nic tylko o tym. Reguły jego stanu są niezwykle surowe. Na przykład nie wolno mu sypiać w łóżku, tak więc co noc śpi na specjalnym pokutnym sienniku, który wszędzie wozi ze sobą.

Tym razem Jim wytrzeszczył oczy. Nigdy nie podejrzewał, że Brian może w taki sposób interpretować jego starannie odwieszony, wyjąłowiony podróżny materac. Sir Mortimor zbladł jak ściana. Zwrócił się do Jima.

–Sir Jamesie! – powiedział cicho. – Błagam o wybaczenie, jeśli jakieś moje pochopne słowa zabrzmiały niewłaściwie lub nieco szorstko. Znałem jedynie twoje dokonania... twoje rycerskie zasługi. Nie miałem pojęcia, że jesteś także magiem...

Jeszcze przed chwilą Jim nie byłby w stanie wyobrazić sobie takiej sytuacji, ale rosły rycerz teraz zwyczajnie jąkał się jak sztubak.

–Nie powinieneś nazywać mnie magiem – wtrącił pospiesznie Jim. – Mam doświadczenie jedynie z magią niższego rzędu. Tylko najznamienitszych czarodziejów, takich jak mój mistrz Carolinus, należy nazywać magami. Co do twoich pochopnych słów, sir Mortimorze, to żadnych nie słyszałem, W każdym razie, ciii! Wszyscy trzej jesteśmy rycerzami. Zapomnijmy o mojej magii, gdyż jak przed chwilą mówiłem, problem jest już rozwiązany. Będę zwracał się do ciebie, panie, jak do rycerza i byłbym wdzięczny, gdybyś traktował mnie jako takiego.

–To... to niezwykle uprzejmie z twojej strony, sir Jamesie – rzekł sir Mortimor. –

Musisz zrozumieć, że mieszkając tutaj z dala od normalnej europejskiej społeczności i z natury będąc dość szorstki, stałem się jeszcze bardziej nieokrzesany i rozpuszczam język, gdy nie powinienem. W dzisiejszych czasach trzeba ludziom dokładnie wyjaśniać każde polecenie. Nabrałem zwyczaju rozmawiania z równymi sobie w sposób, w jaki nie powinienem mówić do nikogo oprócz tych niższego stanu. Będę ci niezwykle wdzięczny, sir Jamesie, jeśli w przyszłości wytkniesz mi takie zdrożne słowa czy postępowanie, abym natychmiast mógł je naprawić i odpowiednio przeprosić.

–Cii – powtórzył Jim, nie mając w tym momencie zielonego pojęcia, jak zareagować.

Oblicze sir Mortimora odzyskało naturalną barwę.

–Jestem ci ogromnie wdzięczny, sir Jamesie... no, niech cię szlag!

Ten okrzyk skierował do Beauprégo, który przy ostatnich słowach rycerza wszedł po schodach i teraz stał u jego boku, milcząc i czekając.

–Jakie złe wieści znowu przynosisz?

Beaupré nie przejął się tymi gniewnymi słowami, jakby był wykuty z kamienia.

–Wybacz, milordzie – powiedział dokładnie tym samym tonem, jakiego używał za każdym razem, gdy coś mówił – ale w wiosce dostrzeżono jakieś poruszenie, które może mieć związek z odpartym przez nas atakiem na bramę. Słoma i olej już się dopaliły, więc przed zamkiem zalegają ciemności. Mógłbym wystać jednego z naszych bocznych drzwiami albo pójść sam i podkraść się, żeby podsłuchać, co próbują lub planują zrobić.

–Daj spokój, Beaupré – powiedział sir Mortimor. – Nic nie zrobią co najmniej do świtu, a wtedy zauważymy każdą próbę podejścia pod bramę. W ciemnościach nic nie działają. Nie dzisiaj. – Beaupré zawahał się. – Możesz odejść! – rzekł sir Mortimor. Beaupré zniknął na schodach. Rycerz znow zwrócił się do Jima. – Naprawdę jesteś przekonany, panie, że nie mówiłem tego ze złej woli?

–Nigdy tak nie sądziłem.

–Cieszę się z tego – rzekł sir Mortimor. – No cóż, panowie, może posiedzimy, napijemy się i porozmawiamy jeszcze trochę, a potem udamy się do łóżek, aby przespać resztę nocy? Jutro powinniśmy być wypoczęci. Tymczasem jeszcze coś przyszło mi do głowy, sir Jamesie. Wybacz mi jakiegokolwiek uchybienie, jakiego mógłbym dopuścić się z ignorancji... Czy nie zechciałbyś wykorzystać swych magicznych zdolności do obrony mojego zamku? Posiadam pewne środki. Chcę powiedzieć, iż jestem gotów zapłacić każdą cenę, jaką uznałbyś za odpowiednią za twoje wsparcie. Przy czym nie chcę obrazić cię, proponując zapłatę. Tak tylko sobie pomyślałem...

–Niestety – odparł Jim – muszę cię rozczarować, sir Mortimorze. Jak słusznie się domyśliłeś, moja magia nie jest na sprzedaż.

–Och, oczywiście,... – sir Mortimor urwał. – A zatem zostawmy ten temat, szlachetni panowie, i porozmawiajmy o czymś innym. Mówiąc między nami, jestem zbudowany szybkością i łatwością, z jaką odparliśmy ostatnią próbę ataku na bramę. Może się zdarzyć, że nie wystarczy jakakolwiek nagroda obiecana lub dana tym

morskim rabusiom, by skłonić ich do naprawdę poważnego szturm na zamek. W morzu są ryby, a w wiosce zostało trochę żywności, ale prowiant szybko im się skończy. Być może po kilku próbach ataku po prostu wsiądą na statki i odpłyną. Wiem, że bywało tak w przeszłości,

–Mówiłem sir Jamesowi o wyprawach wędkarskich, na które mnie namówiłeś i zabrałeś – wtrącił Brian, unikając spojrzenia Jima i lekko się czerwieniąc – oraz o przyjemności, jaką daje wyciągnięcie na pokład ryby tak znacznej wielkości. Rozumiem, iż on również chciałby zakosztować lej rozrywki. Jeśli piraci odpłyną., zapewne można by zabrać sir Jamesa i znaleźć mu taką rybę?

–Z łatwością, z łatwością – odparł sir Mortimor. pociągając długi łyk z kubka. – Nie zapomniałem pierwszych takich wypraw, jakie urządziłem po przybyciu na tę wyspę... Przynieść więcej wina! – Po ostatnich słowach ściszył podniesiony głos i dodał: – Wcześniej łowiłem tylko małe ryby, które na wędce zachowują się jak posłuszne psy na smyczy. Z przyjemnością zabiorę cię, sir Jamesie, gdy tylko skończy się oblężenie.

–Dziękuję, sir Mortimorze – powiedział Jim – ale rozważymy to we właściwym czasie. Pamiętaj, Brianie, że powinniśmy zająć się naszymi sprawami, a już dość długo przebywasz na Cyprze.

–Z pewnością moglibyście zostać jeszcze kilka dni – rzekł sir Mortimor. – I tak, kiedy napastnicy zrezygnują ze zdobycia zamku, będzie się nam należało kilka dni odpoczynku i rozrywek. Powiedz mi, sir Jamesie... Szanuję twoją decyzję, że czarodziejskie zdolności nie są na sprzedaż, ale gdyby jakiś mag miał inne zasady, to zapewne mógłby w ten sposób zebrać znaczne bogactwa? Od czasu do czasu zastanawiałem się, jak wykorzystałbym jakieś magiczne umiejętności; nigdy jednak nie miałem czasu, by usiąść i nauczyć się ich. Zakładam, iż na wyuczenie się jakiegoś zaklęcia potrzeba paru tygodni lub więcej? Z drugiej strony, jeśli już raz je opanujesz, to zapewne wystarczy tylko strzelić palcami i już?

–Niezupełnie – odparł Jim, wspominając ciężką pracę i niewielkie postępy, jakie poczynił przez kilka ostatnich lat, nawet mimo pomocy Carolinusa. – To trochę trudniejsze niż nauczenie się zaklęcia.

–Ach tak! – Sir Mortimor spojrział na niego w zadumie. – Nie jest to coś, czego można się nauczyć, przynajmniej w pewnym stopniu, w kilka miesięcy? Muszę powiedzieć ci, panie, iż powszechnie uważa się, że mam zręczne ręce. Znam kilka sztuczek. Nieraz bawiłem towarzystwo, sprawiając, iż przedmioty wydawały się znikać jak zaczarowane, choć to były tylko sztuczki. Przyjaciele często mówią mi, że gdybym trochę się przyłożył, mógłbym zostać słynnym magiem. Sądzisz, że potrzebowalibyśmy dłuższego czasu niż, powiedzmy, rok czy dwa, gdybym spróbował?

–Jestem pewny, że tak – odparł stanowczo Jim.

–No cóż – rzekł sir Mortimor, ale uprzejmy ton jego głosu zabrzmiał w uszach Jima fałszywą nutą.

–Ile lat potrzeba, aby stać się rycerzem, sir Mortimorze? – zapytał Jim.

–Hę? Przecież wiesz. Całe życie, a przynajmniej od pacholęctwa.

–Właśnie dlatego czarodziej musi żyć znacznie dłużej od rycerza – powiedział Jim.

– Ponieważ i on potrzebuje całego życia, aby w pełni opanować arkania swej sztuki.

Sir Mortimor spojrział na niego ze zdumieniem. Jim zobaczył, jak w jego oczach powoli pojawia się zrozumienie, a pionowa zmarszczka na czole wygładza się i na policzki wypływa słaby rumieniec. Zanim jednak rycerz zdążył coś odpowiedzieć, u jego boku znów pojawił się Beaupré.

–Wybacz, milordzie – oznajmił tym samym, beznamiętnym tonem. – Jednak postawiłem przy bramie wioskowego cieśla, żeby nasłuchiwał. Twierdzi on, że piraci wbijają pale więcej w połowie schodów, a ponadto budują coś między zabudowaniami. Przysięga, że słyszał zgrzyt swojej piły. Prosi o pozwolenie na wyjście, żeby posłuchać z bliska, co się dzieje.

–Jest jedynym cieślą, jakiego mamy – odrzekł z irytacją sir Mortimor. – Czy nie ma tam nikogo innego, kto mógłby pójść, a nie odczulibyśmy tak dotkliwie jego braku, gdyby nie wrócił?

–Mogę posłać człowieka, który ma dobry słuch i zna dźwięki dobiegające z warsztatu ciesielskiego – powiedział Beaupré.

–Zatem zajmij się tym, Beaupré – rzekł sir Mortimor, – Zajmij się tym osobiście i przestań niepokoić mnie takimi drobiazgami.

Służący, którego sir Mortimor wezwał kilka minut wcześniej, właśnie napełniał puchary. Beaupré poszedł na dół, a rycerz ukoił nerwy kilkoma łykami świeżo nalanego wina.

–Cóż, panowie – stwierdził – może teraz będziemy mieli chwilę spokoju. Co za szkoda, że nie możesz rozerwać się grą w kości, sir Jamesie. Zastanawiam się, czy zaproponować sir Brianowi krótką partyjkę, abyśmy tym łatwiej zasnęli, gdy udamy się na spoczynek. Nie wiem, jaką inną rozrywkę mógłbym wam zaproponować, ale byłoby niegrzecznie z naszej strony, gdybyśmy grali, podczas gdy ty byś się nudził.

–Ależ skąd – odparł Jim. – Lubię patrzeć. To niemal tak dobre jak sama gra. Nic krępujcie się, Będę się świetnie bawił, obserwując grę.

–A więc – zaczął sir Mortimor, spoglądając na Briana. – Co powiesz na małą partyjkę, panie? Przypadkiem mam w sakiewce kości razem z wygraną z ostatniej gry. Miałem je odłożyć, ale jakoś zapomniałem.

–Tym lepiej – rzekł Brian, – Ja także mam przy sobie sporą sumkę, tak więc nie muszę iść do komnaty, którą zajmuję z sir Jamesem.

Sięgnął do wiszącej u pasa szerokiej sakiewki i wyjął garść ciężkich złotych dublonów, francuskich sztuk złota, na widok których twarz sir Mortimora pojaśniała, chociaż niemal natychmiast przybrała obojętny wyraz. I on wyjął garść niemal równie dużych monet, ale srebrnych, wśród których trafiały się pośledniejsze srebrniki, a nawet miedziaki.

–Dziesięć srebrnych za jedną złotą? – spytał sir Briana.

–Z ochotą – odparł zapytany.

Zaczęli grać i, ku zdziwieniu Jima, Brian niemal natychmiast zaczął wygrywać. Wygrał cztery kolejki pod rząd, zanim przegrał pierwszą, a potem znów trzykrotnie dopisało mu szczęście. Briana i sir Mortimora pochłonęła gra. W napiętym oczekiwaniu śledzili toczące się kości, tak skupieni na grze, że Jim miał wrażenie, iż

stał się niewidzialny.

Zaczął się obwiniać o to, iż nie obmyślił żadnego planu, który pozwoliłby mu odkryć, czy sir Mortimor oszukuje. Wprawdzie zanotował w myślach, żeby znaleźć jakiś magiczny sposób zbadania tej sprawy, lecz nie poczynił żadnych kroków w tym kierunku.

Ponadto dziwiło go, iż Brian wygrywa mniej więcej trzy razy na pięć rozgrywek. Szybko rosła przed nim kupka srebra sir Mortimora. Pozwalając Brianowi wygrywać, być może sir Mortimor sprytnie odsuwał od siebie podejrzenia. Szczególnie że wiedział o czarodziejskich umiejętnościach Jima, a więc wszelkie machinacje były ryzykowne. Jednak równie dobrze sir Mortimor mógł teraz oszukiwać, pozwalając przeciwnikowi wygrać, albo po prostu grał uczciwie, a Brianowi zwyczajnie sprzyjało szczęście. Wtedy podejrzenia Jima byłyby nieuzasadnione.

Historia z Brianem wygrywającym w Episkopi, a przegrywającym tutaj, nie wykluczała przecież uczciwej gry. Brian mógł mieć szczęście w Episkopi, a sir Mortimor tutaj. Jeśli tak, to jedyną nadzieją Briana była kolejna dobra passa.

Gra toczyła się dalej. Na krótką chwilę szczęście zdawało się znów opuszczać Briana. Jednak nie na długo. Po kilku kolejnych przegranych zaczął bez przerwy wygrywać. Zbliżała się decydująca chwila, gdyż pieniądze leżące na stole przed sir Mortimorem stopniały do kilku sztuk. Niebawem będzie zmuszony zakończyć grę albo pójść do ukrytego gdzieś w zamku skarbczyka po zapas monet.

–No, no – rzekł sir Mortimor, zgarniając ostatnie monety na kupkę. – Kości niezbyt mi dziś sprzyjały. No cóż, tak bywa. W każdym razie oderwaliśmy się od naszych obecnych problemów i teraz możemy iść spać. Chyba powinniśmy na tym zakończyć grę, sir Brianie.

–Jestem przygnębiony, panie – odparł Brian. – Wydaje mi się niezbyt szlachetne, by przerwać grę, nie dając ci szansy rewanżu. Lecz jeśli jesteś zmęczony, nie będę cię zatrzymywał. Zapewniam jednakże...

–Och – odrzekł sir Mortimor – mówiłem tak tylko z grzeczności. Wcale nie jestem śpiący. Prawdę mówiąc, i tak przez całą noc będę na nogach, robiąc przynajmniej od czasu do czasu obchód zamku. Jeśli chcesz, chętnie będę grać dalej. Przyznaję, iż miło by mi było odegrać to, co dziś straciłem. Daj mi chwilę na przyniesienie pieniędzy, żebyśmy mogli grać jak należy, widząc, co leży na stole...

–Jak najbardziej! – zawołał Brian, rozmyślnie ignorując dawane mu przez Jima znaki, że przerwanie gry to dobry pomysł. – Z przyjemnością zaczekam. Jestem pewien, iż sir James również.

–A więc zaraz wrócę – obiecał sir Mortimor.

–Brianie – rzekł ściszym głosem Jim, kiedy rycerz odszedł – naprawdę powinieneś przestać. Przecież ta wygrana powetowała ci część strat.

–Tak, oczywiście – rzekł Brian – ale nie godzi się, Jamesie, nie dać mu szansy rewanżu. To tak, jakbym uczestniczył w turnieju i jadącemu na mnie przeciwnikowi pękłoby strzemię, zanim zdążylibyśmy skrzyżować kopie. Nie byłbym szlachcicem, gdybym nie uniósł kopii grotem w górę, nie wstrzymał konia i nie wrócił na pozycję, aby czekać, aż ponownie usiądzie w siodle i będzie gotowy do szarży.

–No, jestem – rzekł sir Morlimor, ponownie zasiadając do stołu. – Ponieważ dziś wieczorem postanowiłeś stawiać złoto, sir Brianie, uznałem, że powinienem przynieść monety z tego samego metalu.

Wysypał z mieszka sporą garść angielskich dukatów, takich jak te, które Brian wygrał na świątecznym turnieju przed kilkoma miesiącami. Niemal na pewno, pomyślał Jim, wcześniej należały do Briana. Teraz po obu stronach stołu leżały spore sumy pieniędzy.

Wznowiono grę. Z początku Brian nadal wygrywał. Potem szczęście opuściło go na chwilę i znów wróciło. Jednak ta druga dobra passa trwała krócej niż poprzednio i niebawem gra stała się wyrównana, a fortuna sprzyjała raz jednemu, a raz drugiemu z graczy. Stopniowo i systematycznie, jak zauważył Jim, sterta monet przed Brianem zaczęła maleć, a przed sir Mortimorem rosnać.

Obaj byli pochłonięci grą i niebacznymi na nic poza nią. Jim stwierdził, że on także z napięciem śledzi każdy rzut kośćmi. Nabierał przekonania, że sir Mortimor tak czy inaczej kontroluje wyniki rzutów. Chociaż jednak pilnie obserwował, w jaki sposób sir Mortimor rzuca kośćmi, nie zauważył niczego podejrzanego. Teraz, gdy wygrywał gospodarz, wszystko wyglądało dokładnie tak samo jak wtedy, kiedy wygrywał Brian.

Mimo to jego podejrzenia, że sir Mortimor w jakiś sposób wpływa na wyniki gry, powoli przeradzały się w pewność. Było coś sztucznego w rytmie, w jakim szczęście odwracało się od graczy. Brian tylko na moment zyskiwał przewagę, aby zaraz ją stracić, z reguły przegrywając więcej niż przeciwnik.

Jim żałował, że nie zna się lepiej na grach hazardowych i oszustwach. Pamięć podsuwała mu tylko strzępy wiadomości. Wśród nich znalazł dwie użyteczne informacje. Jedną przeczytał raczej w jakimś opowiadaniu, a nie w poważnym opracowaniu. Była to wzmianka o pewnym graczku, który w specjalny sposób rzucał kośćmi. Druga dotyczyła opiólowywania krawędzi kości, tak aby zawsze padały w określony sposób.

Jeśli jednak pamięć nie płatała mu figli i kości sir Mortimora istotnie były spreparowane, to Brian także wygrywałby za każdym razem, kiedy nimi rzucał. Chyba że istniał jakiś specjalny sposób rzucania takimi kostkami i wprawny gracz mógłby... Jednak biorąc pod uwagę zręczność, jakiej wymagałoby posługiwanie się takim zestawem kości, Jim uznał takie wyjaśnienie za mocno naciągane. Jego umysł gorączkowo poszukiwał rozwiązania i znalazł znacznie prostsze. Sir Mortimor mógł mieć więcej niż jeden zestaw kości. Sam mógł rzucać jednym, a Brianowi podsuwać drugi. Wydawało się to jednak równie niewiarygodne jak idea specjalnego sposobu rzucania, Jim zżymał się w duchu. Jeżeli sir Mortimor podmieniał kości, to musiał robić to na ich oczach tak, że tego nie zauważyli, co było praktycznie niemożliwe.

Czy rzeczywiście?

Znowu przypomniał sobie słowa – chyba jakiegoś powieściowego detektywa – że kiedy nie można znaleźć logicznego wyjaśnienia, pozostaje jedynie nieprawdopodobne. Mniej więcej taki był sens tej wypowiedzi. Teraz musiał po prostu założyć, że sir Mortimor potrafi podmieniać zestaw kości i spróbować domyślić się, jak tego dokonuje.

Nawet w dwudziestym wieku Jim nigdy nie grał w kości. Należał do tych nielicznych ludzi, których nudzi wszelki hazard, jeśli gra nie toczy się o życie. Pomijając inne zasady gry, której oddawali się sir Mortimor i Brian, wygrywający chował dwie kostki w dłoni, wymieniał jakąś liczbę, a potem rzucał kilkakrotnie, usiłując ją uzyskać. Jeżeli zdołał to zrobić w ramach dozwolonej liczby rzutów – wygrywał, jeśli nie – tracił. Gdy przegrał, kości przejmował przeciwnik, który wymieniał jakąś liczbę i starał się ją wyrzucić.

Jim skupił uwagę na dłoniach sir Mortimora. Były bardzo duże, dłuższe niż szersze i gospodarz nie przesadzał, mówiąc o ich zręczności, Potrząsał trzymanymi w garści kostkami, a potem rzucał je na stół, trzymając dłoń grzbietem do góry i prostując palce. W chwili, gdy kości zaczynały się toczyć, gospodarz niemal odruchowo zaciskał palce – nie w pięść, ale dość mocno.

Potrafił rzucać obiema rękami. Jim doszedł do wniosku, iż sir Mortimor jest oburęczny, gdyż jednakowo zręcznie zgarniał kości prawą i lewą ręką, a także jednakowym, błyskawicznym ruchem otwierał i znów zaciskał trzymaną nad stołem pięść.

Natomiast Brian potrząsał trzymanymi w garści kostkami tak, jakby chciał rąbnąć pięścią w stół. Mały palec kierował do spodu i tylko nieznacznie przechylał dłoń, wysypując kości.

W porównaniu z nim sir Mortimor zdawał się nazbyt zręcznie wypuszczać z dłoni małe kostki. Ten gest zdradzał niezwykłą wprawę, taką samą, z jaką Brian posługiwał się bronią – idealnie oszczędny gest, który przeszedł w płynny, błyskawiczny odruch. Brian obchodził się z kośćmi daleko mniej zręcznie. Prawdę mówiąc, rzucał je tak, jak zapewne robiłby to Jim,

Uwagę Jima szczególnie przykuł fakt, że sir Mortimor rzucał i zgarniał kości tak szybkim ruchem, iż nie można było dostrzec poruszenia palców. W umyśle Jima zrodziło się brzydkie podejrzenie. Tak szybki ruch mógł być celowy, aby coś ukryć. Jeśli tak, to nawet niewielka ilość magii powinna wyjaśnić tę kwestię.

Wyobraził sobie, że jego oczy są obiektami szybko rejestrującej kamery, żeby za chwilę w zwolnionym tempie odtworzyć ruchy sir Mortimora. Skupił się na chwili, gdy gospodarz rzucał kości, a potem w myślach powtórzył ten moment. Ujrzał przesuwającą się nad blatem dłoń, jej grzbiet i zaciśnięte, otwierające się palce. Kciuk odsunął się od pozostałych, które zaczęły się rozchyłać.

Dopiero teraz, oglądając gest w zwolnionym tempie, Jim zauważył, że nie wyprostowały się całkowicie i wcale nie wypuściły kości. Dwie kostki pozostały w dłoni, przytrzymane końcami czterech obejmujących je palców, A kiedy spojrzał uważniej, dostrzegł drugą parę kostek wypadających z rękawa sir Mortimora pod osłoną wyciągniętej ręki i dłoni. Właśnie te kości potoczyły się z grzechotem po stole i nimi zaraz miał rzucać Brian.

W tej samej chwili palce trzymające pierwszą parę wykonały szybki ruch w kierunku przegubu i oryginalne kostki zniknęły w rękawie.

Brian wyciągnął rękę po kości. Sir Mortimor nie zdołał wyrzucić odpowiedniej liczby oczek. Brian podniósł drugą parę kości, potrząsnął nimi i rzucił.

Jim zatrzymał kamerę i ponownie skupił się na tym, co działo się przy stole.

Brian wykorzystał swoją kolejkę, za pierwszym razem wyrzucając pięć, a za drugim dwa oczka – nie zdołał uzyskać siedmiu i przegrał. Sir Mortimor szybko zgarnął kości, a Jim – teraz już nawet bez pomocy czarów – zauważył, że gospodarz zebrał je drugą ręką i błyskawicznie wrzucił do rękawa, który opuściły zaledwie kilka sekund wcześniej. W tej samej chwili oryginalna para, niewidoczna dla Briana, wypadła z rękawa sir Mortimora do drugiej dłoni.

Sir Mortimor dwukrotnie potrząsnął kostkami w obu dłoniach, jak bokser cieszący się ze zwycięstwa. Potem rzucił je prawą ręką, uzyskując osiem oczek. Po trzech rzutach zdołał wygrać kolejkę i następnego złotego dukata. Zatem pierwszy zestaw kości został spreparowany jako wygrywający, a drugi jako przegrywający. Sir Mortimor kontrolował przebieg gry, podsuwając Brianowi odpowiedni zestaw.

Cóż, powiedział sobie z zadowoleniem Jim, to wyjaśnia, w jaki sposób sir Mortimor zawsze może wygrać, Odkrycie tego oszustwa było najtrudniejszą częścią zadania. Teraz wystarczy tylko posłużyć się magią i naprawić sytuację, tak by Brian odzyskał pieniądze – a to powinno być łatwe.

Nie będzie, odezwał się w jego głowie głos Carolinusa.

Rozdział 12

Jim nagle stwierdził, że jest zupełnie przezroczysty i patrzy z boku na własne ciało siedzące przy stole obok Briana i sir Mortimora. Przed Jimem stał równie widmowy i przejrzysty Carolinus. Natomiast obaj rycerze, nieświadomi obecności patrzących na nich duchów, kontynuowali grę.

–Czy nie zapomniałeś o paru rzeczach, Jim? – spytał Carolinus. – Czy jesteś pewien, że posłużenie się magiczną energią do zmiany lub odwrócenia wyniku gry między Brianem a sir Mortimorem byłoby właściwą rzeczą? Pamiętaj, iż nasza wielka nauka i sztuka służy do obrony. Nie może być wykorzystana do agresji. Skąd masz pewność, że odzyskując pieniądze Briana nie odebrałbyś zbyt wiele i nie zrujnował sir Mortimora?

–Przecież zdobył je dzięki oszustwu – powiedział w myślach Jim.

–Ludzkie racje nie obchodzą Wydziału Kontroli ani magicznej energii, która dotychczas pomagała ludzkiej rasie w rozwoju cywilizacji – odparł Carolinus. – Gdyby wykorzystywano magię wyłącznie w takich celach, wszyscy magowie mieliby pełne ręce roboty, naprawiając błędy najbliższego otoczenia, zamiast pracować nad sprawami, które zbliżają ludzi do lepszego zrozumienia świata oraz ich samych. Z konieczności magia nie może rozwiązywać indywidualnych problemów dobra czy zła, chyba że dotyczą samego maga lub tych, których chroni.

–A Brian nie jest pod twoją opieką, prawda? – powiedział Jim.

–Nie jest – odparł Carolinus.

–Ani pod moją? – dopytywał się Jim.

–A jest? – rzekł stary mag. – Sam musisz sobie odpowiedzieć na to pytanie, Jim. Jeśli znajduje się pod twoją opieką, to w jakim stopniu i czy zawsze? A może tylko w obecnej sytuacji?

–Chcesz powiedzieć, że muszę teraz zdecydować, w jakim stopniu mam się nim opiekować? – zapytał Jim, – I na zawsze wziąć odpowiedzialność za to, co powiem?

–Bynajmniej – rzekł Carolinus. – W każdej chwili i tyle, razy ile zechcesz, możesz zmienić swoje stanowisko w tej kwestii. Musisz jednak zachować ostrożność przy podejmowaniu decyzji, bacząc, jak bardzo naruszysz zasadniczo obronne przeznaczenie magii.

Jim obrzucił go gniewnym spojrzeniem.

–Wspomniałeś o kilku sprawach – przypomniał. – Co jeszcze?

–To proste, ale istotne – odrzekł Carolinus. – Czy zastanowiłeś się nad kodeksem honorowym Briana?

Jim poczuł się tak, jakby ktoś rąbnął go w brzuch. Drugie pytanie było gorsze od pierwszego. Gdyby za pomocą czarów zmienił sytuację tak, aby sir Mortimor przegrał wszystko, co przedtem wygrał od Briana, jak zareagowałby Brian, wiedząc, że zaaranżował to Jim?

Odpowiedź była aż nazbyt oczywista. Brian byłby głęboko – może śmiertelnie – urażony. Obrażony i wściekły. Zgodnie z jego kodeksem honorowym rycerz nie wykorzystuje swojej przewagi nawet po to, aby odebrać pieniądze komuś, kto zdobył je nieuczciwie. Brian nalegałby, aby zwrócić sir Mortimorowi całą wygraną. Dopiero

wtedy i tylko wtedy, gdyby był całkowicie przekonany, że sir Mortimor oszukiwał, zarzuciłby mu to otwarcie i wyzwiał go do walki na śmierć i życie.

Tymczasem pieniądze nadal pozostałyby u sir Mortimora, a gdyby ten poległ, Brian nie wzięłyby ich zabitemu. Niemal na pewno jego przyjaźń z Jimem skończyłaby się, być może na zawsze.

Istniało jedyne możliwe rozwiązanie, lecz Jim oddałby wszystko, żeby nie stawać przed taką koniecznością. Mógł naprawić sytuację, pozostawiając zarówno Briana, jak i sir Mortimora w kompletnej niewiedzy co do swojej roli w całej sprawie. Chyba że znalazłby jakiś sposób powiadomienia Briana o wszystkim po pewnym czasie, kiedy będzie za późno, żeby Brian mógł coś zrobić. Może wymyśli, jak wyjaśnić to przyjacielowi.

–Do licha, Carolinusie! – powiedział. – Stawiasz mnie przed trudnym wyborem. Z tej sytuacji praktycznie nie ma wyjścia. Jeśli pomogę Brianowi, to jednocześnie wyrządę mu krzywdę.

–Tak – odrzekł Carolinus – niestety, właśnie takie problemy napotykasz i rozwiązujesz, kiedy zaczynasz się zajmować zaawansowaną magią. Oczywiście nie mogę ci pomóc. To dla mnie smutna, a zarazem radosna chwila. Czuję się jak ojciec pilnujący dorastającego dziecka, które w pewnym momencie zaczyna samodzielnie podejmować decyzje, a on musi obserwować to z boku. Osiągnąłeś samodzielność, Jim. Ta chwila nadchodziła już od pewnego czasu, choć może nie dostrzegłeś cienia, jaki rzucała.

–Nie wiem, co masz na myśli, mówiąc o cieniu – rzekł Jim.

–Daj spokój – odparł Carolinus – dobrze wiesz. Już od dawna myślałeś, że ignoruję cię bardziej, niż powinienem, i nie zawsze wszystko ci wyjaśniam. A nawet, że czasami cię okłamuję. To prawda, iż w kilku przypadkach nie mogłem wyjawić ci całej prawdy. Jeśli dożyjesz tego dnia, kiedy wreszcie zostaniesz uznanym mistrzem magii, zrozumiesz. W każdym razie nic nie zmienia faktu, iż teraz stanąłeś w obliczu decyzji, którą musisz podjąć sam. Ja mogę patrzeć, ale nie mogę ci pomóc.

Carolinus zniknął i w następnej chwili Jim znalazł się z powrotem w swoim żywym ciele siedzącym przy stole i obserwującym, jak sir Mortimor nadal wygrywa, odbierając Brianowi kolejne monety.

Jim czuł się wewnętrznie rozdarty. Nagle wszystko stało się kwestią zwykłego, prostego wyboru. Albo zachowa coś, co cenił sobie najbardziej – nie licząc związku łączącego go z Angie – czyli przyjaźń z Brianem. To ona czyniła jego egzystencję w tym czternastowiecznym świecie nie tylko znośną, ale po prostu możliwą. Albo wybierze drugą ewentualność i zaryzykuje utratę tej przyjaźni, ale zapewni Brianowi być może niepowtarzalną okazję znalezienia ojca Geronde i poślubienia jej. Dałby im szansę zawarcia małżeństwa, o którym od dawna marzyli.

Te dwa rozwiązania trudno było porównywać ze sobą. Pierwsze wynikało z osobistych względów i było samolubne ze strony Jima. Wybierając drugie, mógł zmienić na lepsze życie dwojga najbliższych przyjaciół, jakich mieli tu z Angie.

Do diabła z tym! – pomyślał. Te pieniądze należą do Briana i on je dostanie.

Spodziewał się, że będzie musiał długo szukać sposobu, by tego dokonać.

Tymczasem ten sam przyszedł mu na myśl, jakby czekał w głębi jego umysłu. Jim zamknął oczy i wyobraził sobie dwa komplety kości, które miał sir Mortimor. W magiczny sposób sprawi, że w pewnych warunkach będą zamieniać się miejscami. Ilekroć sir Mortimor poda kości Brianowi, ten dostanie wygrywający zestaw, a gdy zwróci je sir Mortimorowi, znów zmienią się w przegrywające.

Patrzył, jak zmienił się przebieg gry. Brian wygrywał, wygrywał i wygrywał... aż nagle Jim zdał sobie sprawę, że szczęśliwa passa trwa nienaturalnie długo. Pospiesznie poprawił czar na taki, że Brian tracił, kiedy Jim uznał, że powinien, a sir Mortimor wygrywał, dopóki Jim nie postanowił zmienić kompletu kostek na przegrywającą parę.

Na początek pozwolił sir Mortimorowi odegrać znaczną część tego, co ten stracił. Wysoki rycerz zdążył już wpaść w ponury nastrój. Teraz jednak rozpromienił się. Jim ponownie zamienił kości tak, że Brian wygrywał raz za razem, a kiedy prawie odebrał to, co ostatnio zagarnął sir Mortimor, Jim znowu pozwolił wygrywać gospodarzowi.

Jednak tylko przez chwilę. Siedząc w milczeniu i kontrolując przebieg gry, Jim stopniowo zdołał przechylić szalę zwycięstwa na stronę Briana. Robił to do czasu, aż przed sir Mortimorem nie pozostała ani jedna moneta.

–Na wszystkich świętych! – rzekł rosły rycerz, podnosząc się od stołu. Wprawdzie nie marszczył brwi, ale niewiele brakowało. – Chyba opuściło mnie szczęście, panie. Jeśli zaczekasz, aż przyniosę więcej monet...

–Z ochotą – rzekł Brian. – Z ochotą, sir Mortimorze. Chociaż cieszę się z wygranej, z przykrością patrzę na twoje niepowodzenie w grze. Jeśli pragniesz przełożyć partię na później...,

–Do diaska, nie!

–A więc z chęcią zaczekam na twój powrót z nowymi funduszami.

Sir Mortimor zszedł po schodach, znikając im z oczu.

–Jamesie! – powiedział Brian radosnym szeptem, obracając się do niego. – Widziałeś coś podobnego? Przecież już odegrałem ponad połowę tego, co wcześniej przegrałem. Niechaj niebiosa sprzyjają mi jeszcze przez chwilkę. A jeśli odejdę od stołu z sakiewką równie ciężką, jak była na początku, przysięgam nie dotknąć więcej kości, dopóki nie wrócimy bezpiecznie do Anglii.

–To byłaby rozsądna decyzja, Brianie – rzekł Jim. Głos lekko uwiązał mu w gardle. – Cieszę się, że wygrywasz.

–Podzielał twoje zadowolenie – odparł Brian. – To po prostu wspaniale!

Usiadł wygodnie, czekając w milczeniu. Jim czekał razem z nim, również milcząc. Niebawem znów usłyszeli kroki zbliżającego się po schodach sir Mortimora. Podeszedł do stołu i usiadł na swoim miejscu. Tym razem wysypał na stół o wiele większą niż poprzednio stertę angielskich dukatów i złotych dublonów.

Jim przypomniał sobie, jak gdzieś mówiono, iż wprawni gracze nie przerywają gry, dopóki mają szansę się odegrać, ponieważ uważają, że wcześniej czy później szczęście znów zacznie im sprzyjać.

Mierząc sir Mortimora bacznym spojrzeniem, Jim pomyślał, że ten człowiek jest typowym przypadkiem nałogowego hazardzisty, jakim od czasu do czasu bywał

Brian. Chociaż sir Mortimor był zaskoczony tym, iż jego sztuczki z kośćmi nie udają się, najwyraźniej przestał na to zważać i myślał tylko o jednym – żeby grać do zwycięstwa.

Tempo gry ogromnie wzrosło, a między obu graczami szybko narastało napięcie. Jim miał wrażenie, że gdyby wyciągnął rękę, namacałby je jak naciągniętą strunę.

Doszły do głosu emocje, które zbyt łatwo mogły doprowadzić do użycia przemocy. Mimo to Jim nie zmienił decyzji. Ponownie pozwolił wygrać Brianowi.

Mimo sporadycznych wygranych stos złota przed sir Mortimorem nadal topniał. A w miarę jak malały jego zasoby, gospodarz coraz mocniej zaciskał szczęki, czerwieniał się i pochylał jak gotowy do skoku lampart. Zniknął gdzieś opanowany mężczyzna w średnim wieku, jakim w pierwszej chwili wydał się Jimowi, a pojawił zawzięty wojownik.

Nagle u boku sir Mortimora znów wyrósł Beaupré.

Sir Mortimor nie zwracał na niego uwagi.

–Milordzie – zaczął w końcu Beaupré.

–Odejdź! – powiedział rycerz, nie odrywając oczu od stołu.

–Milordzie – rzekł Beaupré – cieśla i jeszcze jeden człowiek, których posłałem na zwiady, wrócili. Marokańczycy wnoszą przed naszą bramą jakąś konstrukcję, która stoi na kawałku równego terenu i jest podparta słupami. Mimo ciemności czynią szybkie postępy i mogą skończyć pracę przed świtem.

–I co z tego? – wymamrotał sir Mortimor, patrząc, jak Brian potrząsa kośćmi. – Spalimy ją, gdy tylko nadejdzie świt.

–Okryli drewno kozimi skórami. Tyloma, że chyba musieli przywieźć ich trochę na statkach. Osłonięta w ten sposób konstrukcja nie da się łatwo spalić,

–Kazałem ci odejść – warknął sir Mortimor.

–Panie – nalegał Beaupré – musimy coś zrobić.

–No to zajmij się tym, Beaupré.

–Milordzie...

–Zajmij się tym, Beaupré! Zapadła krótka cisza.

–Tak, panie – rzekł Beaupré i odwrócił się. Wszedł na schody i zniknął. Gra toczyła się dalej, a gracze niemal się nie odzywali. Słysząc było tylko ich oddechy, grzechot kości i brzęk monet przesuwanych po stole lub zagarnianych do siebie. Jim stwierdził, że powieki zaczynają mu ciążyć. Wydawało mu się, iż gra trwa godzinami. Uległ pokusie i wydłużył okresy zwycięstw Briana, rzadziej dając wygrać sir Mortimorowi.

Gospodarz pochmurniał coraz bardziej, w miarę jak zmniejszał się jego zapas monet. Wyglądał posępnie i groźnie. Kiedy kości kolejny raz znalazły się w rękach Briana, sir Mortimor był już w takim nastroju, że Jimowi nagle zupełnie odechciało się spać. Rycerz spoglądał na kości jak dzikie zwierzę czające się do skoku, a napięcie między grającymi doszło do punktu, w którym powietrze zdawało się wibrować.

Jim przeniósł spojrzenie z sir Mortimora na Briana. Jego przyjaciel mógł być pod wieloma względami naiwny, ale umiał wyczuć wiszące w powietrzu

niebezpieczeństwo. Twarz Briana również zmieniła się. Nie było na niej widać ponurej groźby, jaka malowała się na twarzy gospodarza, lecz wyrażała taką samą gotowość do użycia siły. Rysy mu się wyostrzyły, skóra na kościach policzkowych napięła. Zwężonymi oczami uważnie obserwował siedzącego naprzeciw mężczyznę i kości.

Jim czuł, że powinien sprawić, by Brian przegrał i oddał kości sir Morlimorowi, zanim dojdzie do wybuchu, lecz z przykrością myślał o tym, że dobra passa przyjaciela trwałaby tak krótko po nieprzerwanym paśmie sukcesów jego przeciwnika. Ponadto plan Jima przewidywał, iż teraz Brian powinien nadrobić straty jeszcze większą liczbą zwycięstw,

W rezultacie pozwolił Brianowi wygrywać. Kupka leżącego na stole przed gospodarzem złota szybko topniała. W końcu Jim pozwolił, aby po niepowodzeniu Briana kości przeszły w ręce sir Mortimora. Wysoki rycerz złapał je i uważnie obejrzał.

–No tak, te kości są popękane! – rzekł, zrywając się na równe nogi. – Wstydzę się, że zmusiłem gościa do gry takimi kostkami. Zaraz wrócę z inną parą.

Obrócił się na pięcie, w mgnieniu oka dopadł schodów i zbiegł nimi. Brian popatrzył w ślad za nim.

–To nie było rycerskie postępowanie – rzekł spokojnym lecz groźnym głosem, spoglądając na schody, po których zszedł sir Mortimor. – Mógłbym rzec, iż zabierając kości, przerwałem moją szczęśliwą passę. Choć jemu może nie dostawać oglady, mnie jej nie brak. Mimo wszystko zapamiętam to sobie.

–Brianie... – zaczął Jim.

Brian odwrócił się i obrzucił go tym samym nieruchomym spojrzeniem, jakim patrzył w ślad za nieobecny rycerzem. Potem jego twarz wygładziła się.

–Nie martw się, Jamesie – rzekł, – Jeśli będzie trzeba, powiem naszemu gospodarzowi, że nie mam już ochoty grać. A ponieważ jeszcze nie odegrałem wszystkiego, co przegrałem w zeszłym tygodniu czy przez dwa, chociaż niewiele mi już brakuje, nie może...

Urwał, słysząc kroki na schodach, i po chwili sir Mortimor zasiadł przy stole. Usiadł na krześle i rzucił na stół dwie białe, czyste kostki.

–Te są nowe i na pewno dobre – rzekł niedbale. Znów zagarnął je długą dłonią, potrząsnął w zwykły sposób i wysypał na stół. Jim pozwolił mu wygrać.

Sir Mortimor uśmiechnął się. Ponownie rzucił i wygrał, zgarniając stawkę, którą Brian już zdążył podsunąć. Kości pozostały w jego rękach j tak było jeszcze przez trzy kolejki.

Na twarzy rycerza znów zagościł uśmiech.

–Dziwne, że wcześniej nic zauważyłem tego pęknięcia – powiedział. – Człowiek powinien dostrzegać takie rzeczy...

Urwał, gdyż w tym momencie Jim przerwał pasmo jego zwycięstw. Sir Mortimor wpatrywał się w leżące na stole kostki, jakby nie mógł uwierzyć własnym oczom.

Brian sięgnął po kości.

–Stój...! – warknął sir Mortimor i dłoń Briana zastygła w powietrzu. Brian powoli oderwał wzrok od stołu i spojrzał prosto w oczy sir Mortimorowj. Jim uznał, że

sytuacja wygląda alarmująco. Jedyne, co w tym momencie przyszło mu do głowy, to że żaden z nich nie ma miecza u boku. Obaj jednak mieli sztylety, gdyż nikt tutaj nie chodził bez broni.

–Czuję dym! – krzyknął Jim. Tylko to zdołał wymyślić, kiedy Sir Mortimor tym jednym słowem przekroczył granice dobrego wychowania. Ale teraz zorientował się, że istotnie czuje dym. Czuł go już od jakiegoś czasu i nie zwracał na to uwagi, tak samo jak dwaj pozostali.

Zapach dymu na zamku, gdzie nie powinno go być, oznaczał ogień. A wszyscy ludzie mieszkający za kamiennymi murami obawiali się pożaru. Te same zamkowe mury, które osłaniały ich i chroniły, niemal zupełnie uniemożliwiały podejście i ugaszenie ognia niepowstrzymanie przenoszącego się z komnaty do komnaty i wypełniającego wnętrza dymem, który zmuszał pozostałych przy życiu mieszkańców do ucieczki, nie pozwalając ugasić płomieni. W końcu tego wroga nie dawało się już powstrzymać. Jedynym wyjściem była ucieczka z zamku. A opuszczenie go teraz oznaczało tylko jedno.

Obaj gracze podnieśli głowy i zaczęli węszyć. Nagła zmiana wyrazów twarzy świadczyła, że zdali sobie sprawę z niebezpieczeństwa.

–Wybacz mi, sir Brianie – rzekł pospiesznie sir Mortimor, korzystając z jedynej wymówki pozwalającej mu wywinąć się z niebezpiecznej sytuacji, którą wywołał, wypowiadając o jedno słowo za dużo. – Ja również wyczułem dym. Beaupré!

Wezwany pojawił się, zanim przebrzmiało echo tego okrzyku. Widocznie właśnie do nich szedł.

–Milordzie – powiedział do sir Mortimora – zbudowali schron tuż pod bramą i pod jego osłoną jakiś czas temu rozniecili ogień. Dolna część bramy jest już prawie przepalona. Cieśla uważa, iż zbudowali płaską platformę, z której można uderzać taranem. Właśnie zaczęli to robić.

–Pięciu ludzi do mnie! Tutaj, żywo! – rzucił sir Mortimor.

Jima naszała dość zabawna myśl, że sir Mortimor jest swoim własnym systemem nagłaśniającym. Wystarczyło, że powiedział coś swym donośnym głosem, a wszyscy w zamku słyszeli go i wypełniali polecenie. Nie musiał wyjaśniać, gdzie jest to „tutaj”. Najwyraźniej tych pięciu potrzebnych mu zbrojnych powinno zdawać sobie sprawę, dokąd ich wzywa.

Później przyszło Jimowi do głowy, że właściwie nie ma w tym niczego dziwnego. Nie wątpił, iż kiedy on i Angie przebywali w Malencontri, każdy sługa w zamku doskonale wiedział, gdzie w danej chwili się znajdują. Należało to do ich obowiązków. Wieść o przejściu pana czy pani z jednej komnaty do drugiej była niezwłocznie przekazywana wszystkim pracującym na zamku niczym za pomocą telepatii.

Przybyli wezwani zbrojni. Jeden z nich miał łuk i przypięty do pasa kołczan ze strzałami.

–Ty – rzekł sir Mortimor, wskazując na łucznika – na dach. Niech wyleją olej z kotła i napełnią go wodą. Niech inni pomogą ci go podtoczyć i ustawić tak, żeby zawartość spłynęła po murze na bramę. Olej przelećcie do wiader i trzymajcie w pogotowiu. Ruszaj!

Łucznik wbiegł na schody.

–Wy czterej i Beaupré zbierzcie wszystkich zdolnych do walki. Spotkamy się w wielkiej sali przy wejściu na pierwsze piętro. Ci szlachetni panowie i ja zejdziemy tam najszybciej, jak to będzie możliwe. Beaupré, chcę być w pełnej zbroi, a naszym gościom też trzeba pomóc je włożyć. Zajmij się tym!

–Za pozwoleniem, sir – rzekł chłodnym tonem Brian. – Sir James i ja poradzimy sobie sami.

–Dobrze – odparł bez wahania sir Mortimor. – Spotkamy się na dole.

Pomaszerował do schodów i zniknął, a także Beaupré i pozostali czterej. Jim i Brian poszli za nimi.

–Myślę, że ten dym sączy się przez otwory strzelnicze i okna – napomknął Jim, gdy pomagali sobie nakładać zbroje i przypinać pasy.

–Najprawdopodobniej – mruknął Brian. Spojrzał mu prosto w oczy. – Przyznam, iż rad jestem, że coś się dzieje. Przy stole robiło się dość nieprzyjemnie.

–Masz pieniądze, które wygrałeś?

–Wszystko, co dziś wygrałem – odparł Brian. – Brakuje jeszcze części sumy, jaką przedtem straciłem na rzecz sir Mortimora, ale niech ją sobie zatrzyma. Nie chcę już z nim grać.

–A jednak będziesz walczył u jego boku – rzekł Jim, gdy opuszczali komnatę.

–Jadłem jego jedzenie i piłem jego wino. Czyż mógłbym postąpić inaczej? – odrzekł Brian. – Ponadto – dodał, spoglądając przez ramię na Jima – jeśli tamci wedrą się do zamku, wszyscy zginiemy. Walczymy o życie, ty i ja. To, że sir Mortimor robi to samo, jest bez znaczenia.

Rozdział 13

Jednakże, wypowiadając te słowa, Brian wcale nie wyglądał jak ktoś zamierzający walczyć o życie. Wyraz jego twarzy bardziej przypominał radosne podniecenie kogoś, kto wybiera się na piknik. Taka mina przed bitwą była typowa dla Briana. Jim widywał ją już przedtem. To dziwne, lecz w tym obcym domu i w tych niezwykłych okolicznościach poprawiła mu samopoczucie. Pomogli sobie nałożyć zbroje, przypięli miecze i opuścili kwaterę, aby zejść na parter.

Kiedy Jim wchodził do zamku, nie przyjrzał się dokładnie parterowi, ponieważ eskorta pospiesznie zaprowadziła go do sir Mortimora i Briana. Teraz zauważył, iż dolna kondygnacja składała się z wielkiego pomieszczenia, którego jeden koniec poprzegradzano drewnianymi ściankami metrowej wysokości, tworząc boksy dla koni. W razie potrzeby można było chować wierzchowce w zamku, chociaż Jimowi trudno było wyobrazić sobie konia, który wdrapałby się po krętej dróżce, nie mówiąc już o wiodących do bramy schodach.

Teraz przegrody zapełnili mieszkańcy wioski. Resztę przestrzeni zajęła co najmniej setka ściśniętych jak sardynki, a także, pomyślał Jim, nieco przygnębionych sytuacją zbrojnych. Znaleźli się między ogromną, złowroga postacią ich pana a usiłującym wdrzeć się do środka nieprzyjacielem,

–Sir Jamesie! Sir Brianie! – huknął sir Mortimor, gdy zobaczył schodzących gości. Przerwał przemowę, przecisnął się do schodów i przeskakiwał po dwa stopnie naraz. Spotkał ich w połowie drogi. – Miło mi was widzieć, panowie! – rzekł, a ściany odbiły echem jego głos. – Zwłaszcza w chwili, gdy wróg robi się szczególnie kłopotliwy. Nie ma dwóch lepszych rycerzy, jakich chciałbym mieć po mojej stronie w takiej chwili. Oto sławny Smoczy Rycerz, pogromca ogrów i złych ludzi, oraz sir Brian dobrze znany jako najlepsza kopia w Anglii!

Te informacje były bezsprzecznie przeznaczone dla wszystkich zgromadzonych i wywarły zamierzony skutek. Jim spostrzegł, że niektóre ze zwróconych ku nim twarzy odzyskują naturalną barwę, a atmosfera staje się mniej napięta.

–Najpierw proszę na słówko, panowie – warknął sir Mortimor, przeciskając się obok i skinieniem ręki pokazując, żeby weszli za nim piętro wyżej. Kiedy zebrani w sali nie mogli już ich zobaczyć ani usłyszeć, gospodarz ściszył głos do szeptu, którego nikt z dołu nie zdołałby podsłuchać. – Bóg was zsyła, panowie – rzekł ściszym głosem. Jego mina i zachowanie uległy ogromnej zmianie. Postępował tak, jakby nigdy nie grał z Brianem w kości, a pieniądze nie miały dlań żadnego znaczenia. Prawdę mówiąc, chociaż Jimowi trudno było w to uwierzyć, sir Mortimor zdradzał objawy takiego samego radosnego uniesienia, jakie przed chwilą z zadowoleniem Jim zaobserwował u Briana. – Oto sytuacja – ciągnął sir Mortimor. – Moi ludzie umieją walczyć. Nie ma lepszych wojowników, ale jak każde pospolite ruszenie tracą ducha w niezwykłej sytuacji. Stają się stadem baranów. Wiedzą, jak ogromną przewagę liczebną ma przeciwnik. A usłyszawszy o próbie przepalenia bramy, czują się bezradni. Nie widzą innej perspektywy poza czekaniem na rychłą śmierć, gdy wróg wdrze się do środka. Mimo to wezmą się w garść i zrobią swoje. A zaiste, wiele jeszcze można uczynić i nic ma jakiegokolwiek pewności, że ten zamek w

ogóle padnie. Najpierw jednak pozwól, iż jeszcze raz zapytam, sir Jamesie. Czy zechcesz w dowolny sposób, który ci zrekompensuję, skorzystać ze swej magii w obronie zamku?

–Jak już powiedziałem, obawiam się, że nie – odparł Jim. – Z żalem muszę ponownie odmówić, sir Mortimorze, lecz mam pewne zasady i obowiązki.

–Całkowicie rozumiem, sir Jamesie – powiedział sir Mortimor. – Prawdę mówiąc, wcale nie liczyłem na taką pomoc z twojej strony. Wsparcie, jakiego udzielisz nam, po prostu walcząc po naszej stronie, samo w sobie ma magiczną moc. Niewątpliwie wyczuliście zmianę nastroju na dole, w chwili gdy wyraziłem zadowolenie z waszej obecności. Rzecz jasna, wiedzieli, kim jesteście, choć niezupełnie zdawali sobie sprawę, jak znamienitymi jesteście rycerzami. Ta wieść ogromnie podniosła ich na duchu.

–Mamy nadzieję spełnić ich oczekiwania, panie – obiecał Brian.

–Nie wątpię, iż tak się stanie – odparł sir Mortimor. – A teraz, co do sytuacji... Pozwólcie, że opiszę ją w kilku słowach. Beaupré ostrzegł mnie, że zbudowali dach nad rozpalonym pod bramą ogniskiem, tak więc chociaż będziemy łać z góry wodę, niewielkie są nadzieje na to, że w ten sposób zdołamy je zgasić. Ponadto ten dach jest pokryty skórami zwierząt, które wytrzymają nawet płonący olej, choć nie byłoby rozsądnie dolewać go do już rozpalonego ognia.

–Słyszeliśmy – rzekł Brian – jak mówił o tym Beaupré.

–Tak – przyznał sir Mortimor. – Jednak musimy zgasić ten ogień, więc zamierzam urządzić zbrojną wycieczkę, odryglować bramę i spróbować ją rozewrzeć. Być może napastnicy zadali sobie trochę trudu i postarali się, aby nie można jej było otworzyć, ale jeśli zdołamy to zrobić, wrota odgarną ogień na bok. Wtedy moi zbrojni wybiegną i powstrzymają każdą próbę ataku, podczas gdy inni ugaszą płomienie. Potem wycofamy się do zamku. Brama jest nadwątlona, to prawda. Jeśli jednak ogień zostanie zgaszony i nie da się rozpalić przez godzinę czy dwie, nasz cieśla znów ją wzmocni drewnem, które mamy na zamku w postaci drzwi i mebli. Taki jest mój plan i zamierzam wprowadzić go w życie. Jednak chętnie przyjmę wszelkie rady z waszej strony.

Zamilkł. Jimowi nic nie przychodziło do głowy, ale Brian znów zabrał głos.

–Zaproponowałem, że poprowadzę wycieczkę przez ukryte przejście – rzekł. – Chcę ponowić tę propozycję. Wydaje mi się, że najlepszym sposobem zniszczenia tej konstrukcji i ugaszenia ogniska pod bramą byłby niespodziewany atak od tyłu i nie tylko odsunięcie ognia od wrót, lecz także spalenie wszystkiego, co wybudowali, przez podłożenie ognia od środka. Mógłby dokonać tego niewielki, szybko poruszający się oddziałek, dowodzenie którym byłoby dla mnie zaszczytem!

Sir Mortimor spojrzał na niego i powoli potrząsnął głową.

–Jeszcze nie jesteśmy w tak rozpaczliwej sytuacji, sir Brianie – rzekł. – Musisz wiedzieć równie dobrze jak ja, iż takie przejścia są znane wyłącznie właścicielowi zamku, który niechętnie dzieli się tajemnicą z innymi. W razie potrzeby chętnie wyjawię ją ludziom honoru takim jak wy. Ale wszyscy inni, którzy wyjdą z wami, będą musieli zginąć, aby nikomu nie zdradzili, w jaki sposób można potajemnie dostać się

na zamek.

Jim zżymał się w duchu, lecz Brian obojętnie przyjął słowa rycerza. Sir Mortimor mówił dalej.

–Gdyby wiedziano o tajemnym przejściu – powiedział, jeszcze bardziej ścisząc głos – wielu z moich ludzi, i nie tylko wieśniaków, zechciałoby natychmiast z niego skorzystać w nadziei, że uciekną i ukryją się w górach. Dlatego też, jak już mówiłem, każdy, kto poszedłby z tobą, musiałby zginąć. Nie wiem, jak zdołałbyś zrealizować swój plan, a nawet gdyby ci się udało, jeszcze bardziej uszczupliłoby to siły, którymi dysponuję, by móc odeprzeć wroga.

–Nie widzę innego wyjścia – powiedział chłodno Brian. – Moja propozycja jest wciąż aktualna, panie. Możesz skorzystać z niej w każdej chwili, jeśli sytuacja nie zmieni się w stopniu, który czyniłby takie rozwiązanie niepraktycznym.

–Będę o tym pamiętał – odparł równie chłodnym tonem sir Mortimor i przez chwilę obaj patrzyli na siebie tak jak wcześniej przy stole. Potem, co Jim przyjął z ulgą, rysy obu rycerzy wygładziły się. – Zatem nie pozostaje nam nic innego, jak przeprowadzić mój plan i sforsować płonąca bramę od wewnątrz. Tak też zrobimy.

–Jak sobie życzysz – rzekł Brian. – Z chęcią poprowadzę atak.

Sir Mortimor uśmiechnął się do niego ponurym i wojowniczym uśmiechem.

–Przystałbym na to z ochotą – odparł – i złożył ci najserdeczniejsze podziękowania. Jednak moi ludzie najlepiej walczą, kiedy mam ich na oku i w zasięgu ręki. Nikt prócz mnie nic może poprowadzić tego ataku. Natomiast gorąco pragnąłbym, abyście z sir Jamesem objęli dowodzenie nad tylną strażą, czyli tymi, którzy zostaną w odwodzie. – Przez chwilę spoglądał na schody. – Wasza obecność już znacznie dodała im otuchy – powiedział. – Pomimo to nadal może być wśród nich paru słabego ducha. Jeśli będziecie przy nich, żaden nie odważy się uciec i ukryć, żeby w ten sposób przedłużyć sobie życie o kilka chwil czy godzin.

–Dziwnych masz tu ludzi, sir Mortimorze – stwierdził Brian. – Bez obrazy, lecz widziałem jak w jednej chwili walczą jak lwy, a w drugiej zmieniają się w myszy.

Sir Mortimor wzruszył ramionami.

–A czegoż oczekiwać? – odrzekł nadal ściszone głosem. – To naturalne w tych stronach. Dla zysku są gotowi niemal na wszystko. Lecz jeśli go nie widzą, myślą tylko o ratowaniu swojej skóry. Honor jest dla większości z nich pustym słowem, oprócz takich wojowników, jak Salah ad-Din, który walczył podczas pierwszej krucjaty, czy Baybars, który zwyciężył pod 'Ayn Jalut.

Obrócił się na pięcie i zszedł po schodach. Szybko oddzielił tych, którzy chcieli przyłączyć się do szturm na bramę, od tych, którzy woleli pozostać z Brianem i Jimem.

–Trzymajcie dla nas otwartą bramę, panowie! – zawołał do obu rycerzy nad głowami otaczających go zbrojnych, którzy już cisnęli się do uchylonych wewnętrznych wrót. Stał twarzą do przejścia i uniósł nad głowę długi miecz. – Za mną, dzieci!

Wbiegł do tunelu, a jego ludzie za nim. Jim i Brian, stojący na czele tych, którzy zostali, patrzyli, jak szybko dotarł do wrót, z dolnej krawędzi których unosiły się

smużki dymu.

–Użyjcie mieczy! – krzyknął do otaczających go zbrojnych. – Podnieście nimi zasuwę. Jest za gorąca, by jej dotknąć!

Idący na przód wykonali rozkaz. Ciężką sztabę wyjęto z żelaznych, mocno przytrzymujących ją po obu stronach gniazd w murze, po czym rzucono na ziemię.

–Teraz! – ryknął sir Mortimor. – Otwórzcie ją!

Myszy zmieniły się w lwy. Przeszło pół tuzina mężczyzn rzuciło się całym ciężarem ciała na wieże zapewne bardziej gorące od grubego bala, który je blokował. Odskoczyli, lecz już uderzyli w nie następni, tak że wrota otworzyły się powoli i z trudem, najwidoczniej spychając stertę ułożonego po drugiej stronie opału.

Przez uchylone drzwi wleciała włócznia i długie ostrze sir Mortimora przechwyciło ją w locie, rozcinając na pół i odrzucając kawałki w powietrze, zanim zdążyła przeszyć kogoś ze stojącego za rycerzem tłumu. Łucznicy i rycerze na tyłach atakującego oddziału odpowiedzieli na to gradem pocisków i z drugiej strony nie nadleciały już kolejne włócznie.

Tymczasem centymetr po centymetrze wrota otwierały się, spychając na boki płonące drwa. Wreszcie szpara była dostatecznie szeroka, aby mógł przecisnąć się przez nią człowiek. I jeden z nich zaraz to zrobił, podczas gdy pozostali wydali gromki okrzyk triumfu i jeszcze energiczniej natarli na rozgrzane wrota.

Nagle drzwi ustąpiły, przy czym cała ich dolna część się odłamała i paru ludzi wpadło w ogień. Jeśli krzyczeli, to ich głosy utonęły w przeraźliwym wrzasku, gdyż pozostali wojownicy sir Mortimora natychmiast wyskoczyli na zewnątrz przez szparę lub dziurę w dolnej części bramy.

Najwidoczniej pod drewnianym, sięgającym prawie wrót dachem pozostawiono tylko nieliczny oddziałek piratów, którzy pilnowali go i podsycali ogień. Ci rzucili się teraz do ucieczki, a ludzie sir Mortimora skoczyli za nimi jak ogary, które już zakosztowały krwi.

Stojący wokół Jima i Briana zbrojni wiercili się, szemrali i przesuwali w kierunku bramy, chcąc wziąć udział w walce.

–Stać! – krzyknął Brian.

Zawahali się i zatrzymali. Popatrzyli na niego i szybko odwrócili wzrok. Nadal mieli ochotę przyłączyć się do kamratów otaczających sir Mortimora, ale sądząc po tym, co ich pan mówił o tych dwóch rycerzach, może byłoby to nierozważne. Brian trzymał w dłoni obnażony miecz, unosząc go wysoko nad głową. Jim sięgnął po swój i zrobił to samo. Błysnęły ostrza i zbrojni zostali na swoich miejscach.

–Panowie! – usłyszeli głos sir Mortimora, – Pozwólcie tu. Sami!

Widząc, że ludzie Jima i Briana zamierzają wejść do tunelu, dodał ostatnie słowo. Brian i Jim podeszli do rycerza.

–Widzicie, co zbudowali – rzekł sir Mortimor, chowając miecz, gdy doszli. – Jest tu solidna platforma pozwalająca użyć tarana, gdyby ogień nie dokonał dzieła. A wszystko ukryte pod dachem. Zastanawiam się, jak zdołali zbudować ją tak szybko, ale w końcu to ludzie morza, a marynarze umieją robić takie rzeczy na rozkaz. Aczkolwiek Beaupré twierdzi, że ilość skór okrywających tę konstrukcję sugeruje, że

zdarło je z tyłu kóz, ilu nie było w całej wiosce. Co o tym sądzicie, panowie?

Jim i Brian popatrzyli na konstrukcję. Nie mieli nic do powiedzenia. Zobaczyli długi, zadaszony barak z drewna i grubych futer wznoszący się od bramy aż do górnego podestu kamiennych schodów. Jego drugi koniec był otwarty, lecz było w nim widać tylko ciemność i gwiazdy oraz – daleko w dole – kilka światełek migoczących w nadal stojących budynkach wioski.

–Każe moim ludziom rozebrać to, zanim ci z dołu ściągną tu w większej sile. Wykorzystamy bale do wzmocnienia bramy od środka – zapowiedział sir Mortimor. – Ponadto zabierzemy kozie skóry, aby nie posłużyły za osłonę przed ogniem przy następnych próbach ataku. Sir Brianie, chciałeś objąć dowodzenie. Zechciałbyś teraz udać się na wieżę i dowodzić wartą na jej szczycie? Sir Jamesie, w tej chwili nie mam dla ciebie żadnych propozycji. Może sam coś wymyślisz albo dołączysz do sir Briana na wieży? Przyjdę tam niebawem, gdy tylko zabarykadujemy bramę,

–Z chęcią udam się na wieżę – powiedział Brian. – Jamesie, zechcesz mi towarzyszyć?

–Tak – odparł w zadumie Jim i pozostawili sir Mortimora, który już zaczął wydawać rozkazy. Poleciał ludziom rozebrać szopę i rozgarnąć płonące węgle. Jim i Brian w milczeniu szli ramię w ramię po schodach. Kiedy dotarli na piętro, na którym znajdował się ich pokój, bez słowa ruszyli w jego kierunku.

–Jamesie – powiedział Brian zniżonym głosem, kiedy weszli do środka i zamknęli drzwi. – Sir Mortimor myśli tylko o tym, by utrzymać zamek, aż piraci się zmęczą i odpłyną. To nie jest wyjście z sytuacji. Powinien zastanawiać się, jak zaatakować i pokonać tych, którzy na niego napadli.

–Skoro tak twierdzisz, wierzę ci – odparł Jim. – Jeśli chodzi o wojaczkę, mam większe zaufanie do twoich sądów niż czyichkolwiek.

Brian zmieształ się.

–To niezwykle uprzejmie z twojej strony, Jamesie – powiedział. – Wiem, że nie w pełni zasługuję na taką opinię, zważywszy, że sir Morlimor ma doświadczenie w prowadzeniu wojen, a ja nie. Mimo to wiem co nieco o sposobach oblegania zamków oraz ich obrony i uważam, że mam rację. Cieszy mnie jednak, iż tak chętnie wierzysz moim słowom.

–Nie ma o czym mówić – odrzekł Jim. – Ja nie ryzykowałbym takiego stwierdzenia, ale to, co mówisz, wydaje mi się słuszniejsze niż postępowanie sir Mortimora. Zastanowię się nad tym, co sugerowałeś, i powiem ci, jeśli coś przyjdzie mi do głowy. Dobrze?

–Nie mogłoby być lepiej, Jamesie. A teraz może pójdziemy na wieżę?

–Idź sam – powiedział Jim. – Ja spróbuję porozmawiać z Hobem i zobaczyć, czy nie mógłby udać się na zwiady na terytorium wroga. Sądzę, że jeśli zawołam go w kominku, w którym siedział, gdy byliśmy w pobliżu, usłyszy mnie, nawet gdyby był w innym kominie. Dołączę do ciebie, kiedy tylko będę mógł.

–Świetnie – zgodził się Brian i wyszedł.

Po jego odejściu pokój wydawał się dziwnie pusty. Jim rozejrzał się wokół. Niewielka, niezbyt czysta komnata była teraz raczej słabo oświetlona płomykami

pełgającymi na resztkach osadzonych na ścianie w żelaznym kagańcu pochodni. Przez wąski otwór strzelniczy lub okno – jakkolwiek to zwać – wciąż docierał nocny mrok, lecz szybko nadchodził świt. Ponadto było zimno.

Jim popatrzył na kominek. Podobnie jak pochodnia w kagańcu ogień na palenisku dogasał. Kilka kawałków drewna jeszcze żarzyło się lub tliło wątlymi, nie dającymi wiele ciepła płomyczkami. Zimą w jakiegokolwiek mieszkalnej komnacie zamku Malencontri było to nie do pomyślenia. Bywając jako gość w innych zamkach lub opactwach, Jim jeszcze nigdy nie znalazł się w takiej sytuacji.

Na szczęście pozostało trochę drewna. Niespotykane także było, aby człowiek o pozycji Jima miał sam podsycać ogień na kominku. Chyba że w nadzwyczajnych okolicznościach. Jim z przyjemnością położył wszystkie drwa na węglach, które były dostatecznie rozżarzone, aby zaraz buchnąć płomieniem. Minie trochę czasu, zanim ogrzeją się te kamienne mury, ale sam widok ognia działał krzepiąco. Jim poczuł na twarzy ciepły podmuch, gdy nachylił się do otworu kominka i zawołał.

–Hobie! – krzyknął. – Hobie, zechcesz tu przyjść, proszę?

Ledwie zdąży i dokończyć, a już, zza okapu wysunęła się twarz skrzata, który – zwisając głową w dół – zaglądał do komnaty.

–Milordzie! – powiedział i wskoczył do pokoju, gdzie usiadł ze skrzyżowanymi nogami na smudze dymu, który zdawał się płynąć z kominka, lecz zniknął bez śladu o centymetr czy dwa za Hobem, tak że Jim nawet nie czuł zapachu spalenizny.

–Sądzę, że wiesz, co się dzieje – zaczął Jim.

–Och tak, milordzie – odparł wesoło skrzat. – Wiem wszystko o tym, co się tutaj dzieje a także o niemal wszystkim innym.

–Rozumiem.

–Wyglądasz na utrudzonego, panie – stwierdził Hob, uważnie przyjrząwszy się Jimowi. – I nadal masz taką smutną minę. Gdybyś pozwolił mi zabrać cię na przejażdżkę...,

–Przykro mi – powiedział Jim. – Teraz nie czas na to. Słuchaj, Hobie, zamierzałem poprosić cię, żebyś opuścił zamek i rozejrzał się nieco w wiosce, gdzie biwakują ludzie oblegający zamek. Sądzisz, że mógłbyś to zrobić? Pojechać na smudze dymu, by posłuchać pod oknami i rozejrzeć się troszkę?

–Och, już to zrobiłem – odparł Hob. – Nie dowiedziałem się niczego ciekawego. Usiadłem na smudze dymu i przeniosłem się tam, a potem zaglądałem do każdego budynku, wlatując przez otwory w dachu. Oni nie mają prawdziwych kominków, panie. Robią dziury w ziemi i rozpalają w nich ogień. I nie mają posadzek. Tylko klepiska.

–Wspaniale – rzekł Jim. – W takim razie zapewne wiesz, o czym rozmawiali.

–Rozmawiali, panie?

–No właśnie, chodzi mi o to, co mówili, szczególnie kiedy nie atakowali zamku, tylko siedzieli w chatach. Co mówili do siebie i o czym opowiadali?

–Och, o rozmaitych rzeczach – powiedział Hob. – O statkach, rybach, jedzeniu i wszystkim. Oczywiście, w takie noce jak ta, często mówią o demonach. To naprawdę przerażające. Bardzo uważałem, wychodząc w nocy, ale dotychczas nie widziałem

żadnych demonów.

–I pewnie nie zobaczysz. Ponadto jesteś czarny i prawie niewidoczny w nocy, więc podróżując na smudze dymu, nie zwrócisz niczyjej uwagi.

–To dobrze – ucieszył się skrzat. – Oni najczęściej mówią o demonach zwanych dżinnami... No wiesz, takich jakiego udawał tamten pies.

–Dlaczego mówisz „udawał”?

–No, przecież pamiętasz – odparł Hob – że kiedy kazałeś mu udowodnić, że jest dżinnem, zamienił się w brzydkiego grubasa.

–Ten grubas to był właśnie dżinn – wyjaśnił Jim.

Hob błyskawicznie znalazł się na jego ramieniu i mocno objął jego szyję.

–Nie wiedziałem – szepnął mu do ucha. – Sądziłem, że to tylko pies. On tu jest, wiesz?

–Tutaj? Na zamku?

–Nie, nie w zamku. Próbował tu wejść, ale przepędzili go i nie znalazł żadnego miejsca, gdzie mógłby się ukryć. Był wtedy psem, wiesz. To naprawdę dżinn? O rany!

–Nie bój się. Nie zrobi ci krzywdy. Bałby się ze mną zadrzeć.

–Czy to prawda? – Hob rozluźnił uścisk. – Czuję się znacznie lepiej. W każdym razie, jak już mówiłem, nie ma go na zamku. Kręci się w pobliżu, zapewne w wiosce albo koło niej, albo gdzieś indziej. Jednak tamci ludzie najwyraźniej o tym nie wiedzą. Demon krąży wśród nich, a ja nigdy go nie widziałem.

–On nie jest demonem – odparł Jim – lecz jednym z naturalnych. Tak jak ty.

Hob zeskoczył mu z ramienia na pasmo dymu, które nieoczekiwanie pojawiło się pół metra od Jima.

–Nie jest taki jak ja! – zaprzeczył Hob, wytrzeszczając oczka.

–Hmm, chciałem powiedzieć, że jest naturalnym tak jak ty. Tylko w tym sensie was porównałem – wyjaśnił Jim. – Podobnie jak trolle, najady i diabły morskie oraz wszelkie inne takie stworzenia są naturalnymi, w przeciwieństwie do ludzi jak Angie, Brian czy ja.

–Przecież demony mają złą moc, tak mówią ludzie na dole. A, teraz przypomniałem sobie, że pies-dżinn nie tylko zmienił się w grubasa, ale też wyczarował kufer z kolorowymi kamieniami, którego nie chciałeś.

–On ma pewne umiejętności, które wydają się magią – wyjaśnił Jim. – Wielu naturalnych je posiada. Mają specjalne zdolności, takie czy inne, ale nie potrafią ich kontrolować. Potrafią robić tylko jedno: przywoływać pewne rzeczy i sprawiać, by znów zniknęły, tak jak ty umiesz jeździć na dymie. Ktoś, kto nigdy nie słyszał o skrzatach, uznałby to za magię.

–Czy to są czary? – zapytał Hob. – Nigdy nie przypuszczałem, iż to coś niezwykłego. Chcesz powiedzieć, że mógłbym być demonem?

–Nie – odparł Jim. – Jak już ci mówiłem, naturalni nie są demonami, a demony naturalnymi. Demony należą do całkiem innego królestwa niż istoty naturalne.

–Och, to dobrze – oświadczył Hob z głębokim westchnieniem. – Przez jedną okropną chwilę pomyślałem, że musiałbym bać się sam siebie.

–No, nie ma potrzeby – powiedział Jim. – To, co mi powiedziałaś, że oblegający boją się demonów, jest jednak dość cenną informacją. Czyżby szczególnie obawiali się demonów tego miejsca?

–Może – odparł z powątpiewaniem Hob. – Wiedzą, że na zamku jest wielki czarodziej: ty, milordzie. Nie wiem, skąd o tym wiedzą, ale tak jest. I myślą, że może magowie działają tu ramię w ramię z demonami.

–Zapewniam cię – rzekł Jim – że nie. To zupełnie inne królestwa. Kiedy jednak o tym myślę, chyba po raz pierwszy zaczyna mi świtać pewien pomysł na rozwiązanie obecnej sytuacji. Powiedz mi jeszcze jedno, Hobie. Czy mógłbyś w jakiś sposób przenieść dym z zamkowego komina na sam koniec obu tych łodzi, które stoją tuż przy brzegu naprzeciw zamku? Chciałbym, żeby to wyglądało tak, jakby na obu łodziach wybuchł pożar.

–Przenieść dym!? – zawołał Hob. – Och, oczywiście. Wystarczy, że zrobię to samo, co robię, ilekroć przywołuję dym, na którym lecę.

–W dechę! – zawołał Jim.

Rozdział 14

–W dechę? – powtórzył Hob, wytrzeszczając oczy.

–Nieważne – pospiesznie rzekł Jim. – Po prostu chciałem powiedzieć, że się cieszę.

Owalną twarzyczkę ze sterczącą bródką rozjaśnił szeroki uśmiech.

–Cieszę się, że się cieszysz – powiedział skrzat. – Z radością przeniosę dla ciebie dym, panie. Kiedy? Teraz?

–Możesz zrobić to w dzień? – spytał Jim.

–Och tak – odparł Hob. – Zwinę dym w małą kulkę, a potem wzbiję się wysoko na smużce, żeby ludzie nie zauważyli mnie, kiedy polecę nad woda. Gdy znajdę się nad morzem, opuszczę się bardzo nisko i polecę tuż nad falami. Później, kiedy nikt nie będzie patrzył, wśliznę się na statek, zabierając ze sobą kulkę dymu. Powiem mu, żeby unosił się, jak chce. Tak jak ty chcesz, panie.

–Dziękuję, Hobie – powiedział Jim. – Posłuchaj, najpierw trzeba zrobić jeszcze coś. Czy będziesz mógł szybko przybyć, jeśli cię zawołam? Muszę pójść i porozmawiać z pewnymi ludźmi. Potem przyjdziemy tutaj. Możesz słuchać naszej rozmowy.

–Zawsze będę w pobliżu, panie – obiecał Hob.

Jim opuścił komnatę i ruszył schodami w górę. Musiał przekonać dwie osoby, a jedną z nich był Brian. Z nim zapewne pójdzie łatwo. Drugim rozmówcą miał być jednak sir Mortimor. Wysoki rycerz powinien dostrzec zalety tego planu, lecz mógł nie zgodzić się nań z jakiegoś powodu, którego Jim nie potrafił sobie teraz wyobrazić. Trudno, będzie musiał go jakoś przekonać, gdyby do tego doszło. Briana chyba łatwiej zdoła namówić, tak więc rozsądek podpowiadał Jimowi, iż najpierw powinien porozmawiać z przyjacielem.

Istotnie, Brian nie dał się długo namawiać. Spodobał mu się pomysł Jima. Polegał on na błyskawicznym ataku wszystkimi siłami o świcie, kiedy wrogowie będą zaspani lub dopiero zaczną się budzić, a ci, którzy pracowali do późna, będą jeszcze spali.

–Jak wiesz, od początku sugerowałem przeprowadzenie wycieczki. Nie mam pojęcia, jak możemy bez niej cokolwiek zdziałać – oznajmił rycerz. – Poza tym, Jamesie, głęboko ufam twej mądrości. Skoro uważasz, iż to się uda, nie będę wymagał dalszych uzasadnień.

–Dobrze – powiedział Jim. – Czy możesz zejść z wieży? Chciałbym, byś poszedł ze mną poszukać sir Mortimora, któremu zaproponuję omówienie tej sprawy w naszej komnacie.

–Dlaczego nie – odrzekł Brian, – Jest tu już Beaupré. Muszę zamienić z nim słowo.

Podszedł do mężczyzny o ospowatej twarzy, chwilę z nim porozmawiał i wrócił do Jima.

–Tak jak myślałem, nic jestem tu potrzebny, chyba że w razie szturm. Atak na szczyt tej wieży jest mało prawdopodobny. Przekazałem wiadomość przez Beauprégo. Pchnie do sir Mortimora posłańca z wieścią, że będziemy zaszczyceni, jeśli spotka się z nami w kwaterze, którą nam przydzielili, aby omówić sprawę

wymagające dyskrecji. Powiedziałem, że będziemy tam czekać na jego odpowiedź.

–Dobrze – rzekł Jim.

Razem zeszli po schodach i wrócili do komnaty.

Wcześniej do ognia na kominku dołożono nowych drew i pokój rozjaśnił się, przybierając nieco weselszy wygląd. Na stole stał dzban z winem i dwa kubki. Niewielkie pomieszczenie zdążyło się trochę ogrzać, więc było w nim znacznie przyjemniej. Miło było siedzieć tak z Brianem przy stole, i popijać wino. Wody nie przyniesiono.

–Cóż, panowie – rzekł sir Mortimor, siadając przy nich niecałe dziesięć minut później. – Rozumiem, iż chcecie omówić jakąś ważną kwestię.

Gniewnie spojrzął na przybyłego za nim sługę, który pospiesznie postawił na stole trzeci metalowy kubek, napełnił go winem i wybiegł z pustym dzbanem, zapewne aby natychmiast go napełnić.

–Plan sir Jamesa – wyjaśnił Brian. – Jim był tak łaskawy, że wyjawiał mi go. A o ile mogę na ten temat coś powiedzieć, bardzo podoba mi się jego pomysł. Niechaj jednak sam ci o tym powie.

Sir Mortimor kiwnął głową, ale w tejże chwili drzwi za jego plecami otworzyły się i ten sam sługa wrócił nie z jednym, ale z dwoma dzbanami wina wypełnionymi po brzegi. Sir Mortimor ponownie przeszył go gniewnym spojrzeniem, bo jego kubek był aż przez dwadzieścia sekund pusty.

–Przepraszam, milordzie – wykrztusił zgnębiony sługa i uciekł, zamykając za sobą drzwi.

–A zatem, sir Jamesie – zaczął sir Mortimor, pociągając kolejny długi łyk z kubka.

– Co masz na myśli?

–Coś, co należy zrobić przed wschodem słońca – odparł Jim – inaczej nie należałbym na tak szybkie spotkanie.

–To dobry czas na rozmowę. – Sir Mortimor oparł się wygodnie i znów upił spory łyk wina. Jego twarz znaczyły głębokie bruzdy znużenia, typowe dla człowieka w średnim wieku. Wszyscy byli zmęczeni. – Marokańczycy dali za wygraną i poszli spad do wioski. Moi ludzie, którzy nie muszą czuwać, również śpią.

–Właśnie dlatego chciałem porozmawiać z tobą najszybciej, jak się da – rzekł Jim. – Jeśli zechcemy wprowadzić mój plan w życie, będziemy musieli zacząć przed wschodem słońca. Na naszą korzyść działa to, że oblegający nas piraci teraz pewnie śpią.

–No tak – mruknął sir Mortimor, bębniąc palcami po stole. – Co właściwie chcesz powiedzieć?

–Sądzę, iż mamy szansę przepędzić ich stąd – powiedział Jim. – Rzecz w tym, iż nie znam tych ludzi i tej części świata tak jak ty, sir Mortimorze. Nie wiem, jak zareagowaliby, gdyby, powiedzmy, zobaczyli dym unoszący się spod pokładów ich statków?

–Już wam mówiłem, panowie – przypomniał rycerz – że nie zgadzam się na wypad sekretnym przejściem w złudnej nadziei, iż podpalenie ich statków poprawi naszą sytuację. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnę, jest pozbawienie tych łotrów możliwości

ucieczki.

–Wysłuchaj mnie – powiedział Jim na tyle ostro, by gospodarz zapomniał o zmęczeniu i spojrzał na niego zwięzonymi oczami. – Niczego takiego nie proponuję. Prosiłem o informację. Pytałem, jak zareagują, jeśli zobaczą dym unoszący się spod pokładów ich statków. Będziesz tak uprzejmy i odpowiesz mi, sir?

–Gdyby zobaczyli dym – odpowiedział sir Mortimor – oczywiście uderzyliby na alarm i jak szaleni pobiegli na statki, aby gasić pożar. Powtarzam jednak: nie chcę, aby ich okręty spłonęły!

–A ja powtarzam, że niczego takiego nie proponuję – rzekł Jim. – Mógłbym pomóc ci dzięki moim magicznym umiejętnościom.

Twarz sir Mortimora zmieniła wyraz.

–I nie żądam za to żadnej zapłaty – dodał Jim. – Zrobię to tylko i wyłącznie jako wdzięczny gość pomagający gospodarzowi w trudnej sytuacji. A teraz, jeżeli raczysz odpowiedzieć i wysłuchać mnie, sir Mortimorze...

–Z najwyższą ochotą odpowiem i posłucham, sir Jamesie – rzekł sir Mortimor. – Z ochotą. Wybacz mi, jeśli mówiłem pochopnie.

–A zatem – zaczął Jim – wyobraźcie sobie, że tych śpiących teraz piratów budzi krzyk, iż ich statki się palą. Pobiegną do nich sprawdzić, gdzie wybuchł ogień. Kiedy wszyscy stłoczą się tam, biegnąc pod pokładami i nie znajdując płomieni tylko dym, nagle zostaną zaatakowani przez twoich uzbrojonych i gotowych do boju ludzi. Większość piratów nie będzie miała innej broni oprócz noży u pasa, albo i nawet nie to. Wyrwani ze snu, pobiegną walczyć z ogniem, a nie z uzbrojonym przeciwnikiem.

Sir Mortimor rozpromienił się.

–Posiekamy ich na kawałki! – zawołał. Zaraz jednak zmarszczył brwi. – Miejmy nadzieję, że nie zdołają szybko zorganizować oporu. Wszystko należy idealnie zgrać w czasie, by uderzyć we właściwym momencie. Gdybyśmy tylko mogli mieć pewność, że wpadną w panikę, zaskoczeni i bezradni... Wtedy zapewne moglibyśmy siec ich do woli. Aż nieliczni pozostali zrozumieliby, że czeka ich tu niechybna śmierć. Uciekliby na statki i odpłynęli. Byłoby ich już zbyt mało, żeby odeprzeć nasz atak. Odpłynęliby. Jest jednak pewien problem. To wojownicy. Mogą zorientować się w sytuacji, umknąć przed naszym pierwszym uderzeniem, chwycić za broń... A jak wiemy, mają nad nami prawie pięciokrotną przewagę liczebną.

–Uważasz, że nie wpadną w panikę? – spytał Jim. – Nawet jeśli zobaczą trzymetrowego, walczącego po naszej stronie demona? Oni już wiedzą, że w twoim zamku jest czarodziej, czyli ja.

–Skąd o tym wiesz? Skąd możesz mieć pewność, że wiedzą o twojej obecności?

–Ponieważ jestem magiem – odparł Jim najbardziej złowrogim tonem, na jaki potrafił się zdobyć.

–Och tak, oczywiście...

Nagle twarz sir Mortimora przybrała tak ugrzeczniony wyraz, jaki Jim widział na niej wtedy, gdy po raz pierwszy przekroczył progi tego zamku.

–Oczywiście. Wybacz. Nie zamierzałem wątpić w twoje słowa, sir Jamesie. Naprawdę możesz sprawić, by po naszej stronie walczył demon?

–Mogę – odparł Jim. – Zajmie mi to najwyżej pół godziny. Widzę tylko jeden problem. Jak zachowają się twoi ludzie, kiedy zobaczą demona?

Rozpromieniona twarz sir Mortimora od razu spochmurniała.

–Hmm – mruknął, drapiąc się po brodzie – oto jest pytanie. Musiałbym przedstawić im tego demona tutaj, w zamku, zanim wyruszą. Nie zechciałbyś wcześniej zmienić się w niego?

–Wcale nie powiedziałem, że przybiorę postać demona – przypomniał Jim. – Obiecałem tylko sprawić, by po naszej stronie walczył demon.

Może było to złudzenie wywołane migotliwym blaskiem kominka i pochodni, lecz Jim gotów był przysiąc, że sir Mortimor nagle lekko pobladł.

–Prawdziwy demon? – zapytał.

–Powiedziałem to, co powiedziałem – odparł Jim. – Nie zamierzam niczego wyjaśniać. Albo aprobujesz mój plan, albo nie. Dalsze szczegóły wiążą się z kwestiami, które omawia się wyłącznie między magami.

–No tak. Oczywiście – przytaknął gospodarz. – Jednym haustem opróżnił swój kubek i nie napełnił go ponownie. – Przed świtem, powiedziałaś? – spytał, wstając. – Istotnie, będzie wtedy dość jasno, choć słońce jeszcze nie wszędzie. Najlepsza pora, aby uderzyć na ludzi, którzy chcieliby przedrzemać cały ranek po nie przespanej nocy. Prawda, że nasi ludzie też do późna byli na nogach. Zapomną o tym jednak w ferworze bitwy. A więc za pół godziny, panowie, zbiorę wszystkich moich ludzi na najniższej kondygnacji zamku. Jeśli sir Brian zechce zejść tam i pozostać z nimi, ja przyjdę tu, by spotkać się z demonem, a potem razem zejdziemy przedstawić go wszystkim. Kiedy zobaczą go u twego boku, powinni nabrać odwagi. Będziesz przy mnie, sir Jamesie, kiedy zejdę do nich z demonem, prawda?

–Nie – odparł Jim.

Sir Mortimor ponownie pobladł.

–Och! – jęknął.

–Będę tam, skąd mogę kontrolować poczynania demona. Nie pytaj gdzie.

–Nie zamierzałem – pospiesznie wycofał się rycerz. – Chodziło mi tylko o uśmierzenie obaw moich ludzi.

–Jeśli o to chodzi – wtrącił Brian – zaryzykuję przypuszczenie, że im bardziej przestraszą się demona, tym większej nabiorą odwagi, kiedy zacznie się walka z piratami.

–Masz rację – sir Mortimor wstał. – Teraz opuszczę was, sir Jamesie, sir Brianie, Za pół godziny zobaczymy się ponownie.

Wyszedł.

–Jamesie – powiedział Brian – naprawdę przywołasz demona?

–Niezupełnie, Brianie – odrzekł Jim. – Jest coś, o czym powinienem ci powiedzieć. Do tej pory nie miałem okazji. Tuż przed tym, zanim opuściłem Anglię, odbyłem rozmowę z Carolinusem na temat świątecznego przyjęcia u earla kilka miesięcy temu, pamiętasz...?

–Jakże mógłbym zapomnieć? – odparł rycerz.

–No cóż, jak wiesz, dość szczerze wykorzystywałem wtedy moje magiczne

umiejętności – wyznał Jim, – Mogłem tak robić, ponieważ otrzymałem specjalne konto. Później jednak, zanim przyznano mi opiekę nad małym Robertem, Carolinus wyjaśnił mi coś. Były to sprawy, jakich nie mogę omawiać nawet z tobą. Z pewnych względów nie powinienem tak rozrzutnie szafować moją magią. Uwierz mi: mam poważne powody.

–Nie wiedziałem, Jamesie – przejął się Brian.

–Nie ma się czym martwić – powiedział Jim. – Jednak z tej przyczyny muszę teraz oszczędzać moją magię. Tak więc nie zamierzam wyczarować żadnego demona. Zresztą mag nie powinien tego robić. Zamierzam upodobnić się do demona tak, aby mój widok wywarł pożądaną efekt. W tym celu przez następne dwadzieścia minut muszę być zupełnie sam. Wiem, iż to, o co cię teraz poproszę, jest poniżej twej godności, ale jesteśmy tu obcy i nie ufam służbie. Czy mógłbyś stanąć na straży przed drzwiami naszej komnaty i dopilnować, by mi w tym czasie nie przeszkadzano? Sądzę, że jeśli powiesz, że rzucam tu czary, nikt i tak nic zechce tu wejść,

–Chętnie zrobię to dla ciebie – powiedział Brian. – I obiecuję, że nikt tu nie wejdzie.

–Dziękuję, Brianie.

–To doprawdy drobiazg – odparł Brian.

Wyszedł, a Jim, zostawszy sam w pokoju, skoncentrował się i wyobraził sobie leżący na stole zestaw do makijażu, W ten sposób wykorzystał znacznie mniejszą ilość magii, niż gdyby zmienił swój wygląd. Bardzo dokładnie wyobraził sobie, czego potrzebuje i jaką rolę mają odgrywać poszczególne przedmioty. Kły miały dokładnie przylegać do jego zębów i wyglądać jak prawdziwe. One i zielona skóra powinny zniknąć w tej samej chwili, gdy uzna, że już ich nie potrzebuje. Rogi miały dobrze pasować do czaszki pod włosami i równie błyskawicznie zniknąć w odpowiedniej chwili... i tak dalej. Ostatnią, lecz nie najmniej ważną rzeczą, były buty pozwalające normalnie chodzić, ale wydłużające nogi o dobre pół metra. Minęła krótka chwila i zamówione przedmioty pojawiły się na stole, przy którym niedawno Jim zasiadał z Brianem i sir Mortimorem. Towarzyszył temu odgłos wypieranego powietrza.

Z wyjątkiem butów wszystkie rzeczy były nieduże. Bucioro wyglądały zupełnie zwyczajnie, jeśli pominąć długie cholewy, które zapewne miały sięgać za kolana. Jim postanowił, że włoży je na końcu.

Wypróbował kły, wkładając je w kąciaki ust pod górną wargę, tak że ich ostre końce zachodziły na dolną, niemal dotykając brody. Pasowały jak ulał. Wystarczyło posypać grzbiet jednej dłoni zielonym barwnikiem, a natychmiast pokrył wszystkie odsłonięte części ciała. Zapewne te schowane pod ubraniem także. Rogi przyczepiły mu się do czaszki równie łatwo i mocno jak uprzednio kły. Jedynym problemem było ich równe umocowanie. Jim pożałował, że nie ma lustra, w którym mógłby obejrzeć efekty swej pracy, lecz zaraz przypomniał sobie, że zużywając jeszcze odrobinę magii, mógłby je mieć.

Wyobraził sobie lustro. Pojawiło się na stole. Było wysokie na dwanaście, a szerokie na osiem centymetrów, tak jak chciał. Wytrzeszczył oczy, widząc swoje odbicie. Już same kły i rogi wystarczyły, aby znacznie zmienić jego wygląd. Nie

przewidział, że kły rozciągną mu prawy i lewy kącik ust, zniekształcając twarz.

Nagle przyszło mu do głowy, że mógłby kiedyś spróbować tej sztuczki, by rozśmieszyć Roberta, ale Angie nigdy by na to nie pozwoliła.

Niepotrzebnie pomyślał o Robercie. Oczami duszy ujrzał chłopca starszego o jakieś dziesięć lat, który wysłuchawszy opowieści Briana, pyta Jima: „A co ty robiłeś w czasie bitwy?” Jim poczuł lekkie przygnębienie. To Brian powinien wychowywać Roberta, Był jednak zbyt surowy Jak wszyscy w tym czternastym wieku. Jim widział, jak Brian żartobliwie poszturchiwał swego giermka. Mimo kilku lat, które spędzili już tutaj z Angie, Jim nie całkiem przywykł do obyczajowości tych czasów. Ludzie nie zważali tu na ból i od innych oczekiwali tego samego.

Odepchnął od siebie tę myśl. Nie czas na to. Na szczęście zajął się rogami. Założył szkła kontaktowe, które zmieniły jego oczy w dwa błyszczące diamenty otoczone czernią. Zupełnie dobrze przez nie widział. Równie dobrze jak bez nich. A ku jego ogromnej uldze, nie uwierały go. Nawet w dwudziestym wieku, który teraz wydawał się odległą przeszłością, a nie czymś, co dopiero nadejdzie, nigdy nie nosił szkieł kontaktowych. Przymocował pazury do paznokci. Na końcu zaczął wkładać buty. Usiadł i ostrożnie wciągnął jeden, na lewą nogę. Stopa weszła lekko i do końca. Ośmielony nałożył drugi but i wstał, waląc głową o sufit. Nie uderzył dostatecznie mocno, żeby ją sobie rozbić, ale zetknięcie z twardym sklepieniem było dość bolesne. Ból rozzłościł go. A ponieważ wokół nie było nikogo, kogo mógłby obwiniać, był zły sam na siebie. Dokończył charakteryzację wykorzystując resztę drobiazgów.

Ponownie zerknął w lustro – i o mało nie podskoczył. Był najbrzydszym stworzeniem, jakie kiedykolwiek widział. Dotychczas sądził, że Kelb z człowieczym ciałem dzinna bił rekord świata. Jeśli jednak brzydotę uznać za swoisty rodzaj piękna, Jim był teraz piękniejszy niż tuzin dzinnów razem wziętych.

Jednak, przypomniał sobie, to nie czas na rozmyślania. Zawołał:

–Brianie, możesz już wejść!

–Z chęcią, Jamesie – odezwał się Brian zza drzwi. Otworzył je, wszedł do komnaty i stanął jak wryty, sięgając prawą dłonią do lewego biodra i łapiąc rękojeść miecza. – James? – powiedział niepewnie. – Czy to ty, Jamesie?

Drugą rękę wyciągnął do prawego biodra i chwycił rękojeść sztyletu. Był gotów wyjąć oba ostrza z pochew.

–W porządku, to ja – powiedział pospiesznie Jim. – Czy wyglądam trochę inaczej, Brianie?

–Na wszystkich świętych! – krzyknął Brian, gapiąc się na niego. – Gdybyś w końcu nie odpowiedział mi twoim zwykłym głosem, Jamesie, byłbym przekonany, że jakiś demon złapał cię i pożarł, kiedy stałem na zewnątrz. Czy to ty?

–Tak, to ja, Brianie – odparł Jim. – A teraz muszę spotkać się z Hobem i posłać go, żeby przeniósł dym na pirackie statki, tak aby wyglądało, że stanęły w ogniu. Brianie, czy mógłbym cię prosić, żebyś znowu wyszedł? A jeśli pojawi się sir Mortimor, zatrzymaj go i zapukaj do drzwi, żeby mnie ostrzec, zanim wejdzie.

–Lepiej będzie – odrzekł Brian – jeśli zapukam do drzwi, wejdę tu i upewnię się, że jesteś gotowy, zanim poprosisz go do środka. Chciałbym widzieć jego minę, kiedy

cię zobaczy!

–Doskonale – odparł Jim. – Zróbmy to w ten sposób.

Kiedy Brian wyszedł, Jim podszedł do kominka. Pochylił się – co w tych butach wydawało się trwać wieki – i zawołał do otworu komina:

–Hob? Hobie, zechcesz przyjść na chwilę? Chcę z tobą porozmawiać.

–Tak, milordzie! – pisnął wesoły głosik. Hob wychylił się zza okapu, wytrzeszczył oczy z przerażenia i w mgnieniu oka znów zniknął w kominie.

–Hobie! – zawołał Jim, niezgrabnie nachylając się jeszcze bardziej, aby jego głos był dobrze słyszalny w kominie. – Wracaj. Nieważne, jak wyglądam. To ja, sir James, twój pan. Nie zwracaj uwagi na mój wygląd. To tylko przebranie.

Żadnej odpowiedzi. W dalszym ciągu mówił do komina, prosząc Hoba, żeby wrócił, a klamra pasa usiłowała przebić mu się przez brzuch do kręgosłupa. Z trudem mógł mówić w tej niewygodnej pozycji. W końcu cichy głosik odpowiedział na jego wołanie.

–Nie jesteś moim panem Jamesem – odparł bardzo drżący głos. – Jesteś dżinnem.

–Nie jestem dżinnem – rzeki poważnie Jim. – Jestem demonem... Chciałem powiedzieć, że jestem twoim panem, Jamesem Eckertem, którego dobrze znasz, tylko udaję demona. Wiem, że wyglądam teraz jak dżinn, ale to ja. Zejdź tutaj, Hobie! Muszę z tobą porozmawiać! Czas, byśmy przepędzili stąd ludzi, którzy próbują dostać się do zamku. A to oznacza, że musisz coś dla mnie zrobić. Zejdź, żebyśmy mogli porozmawiać.

Czubek głowy Hoba wolniutko wysunął się zza okapu. Minęło dobre pół minuty, zanim pojawiła się cała twarz skrzata.

–Jeśli jesteś milordem Jamesem – rzekł – to jakie nadałeś mi imię, zanim musiałeś mi je odebrać?

–Nazwałem cię Hobem Jeden de Malencontri – powiedział Jim. – I nadal będę cię tak nazywał, jeśli będę chciał. Tylko reszta świata nie może cię tak zwać.

Powoli i lekliwie Hob zszedł do kominka. Jim starał się nie poruszać.

–Jeżeli to naprawdę ty, milordzie – powiedział skrzat – to czego ode mnie chcesz?

–Chcę, żebyś zrobił to, o czym mówiliśmy – odparł Jim. – Sir Mortimor przyjdzie tu za chwilę. Pójdę z nim na dół, by zobaczyli mnie jego ludzie. Nie zamierzam mówić im, że jestem sir Jamesem, ale nie chcę, aby obawiali się mnie w tym przebraniu. Ponadto chcę, żeby uwierzyli, iż chcę im pomóc, walcząc po ich stronie.

–Wyglądasz strasznie! – rzekł Hob, powoli pojawiając się w całej okazałości. – Jesteś pewny, że to ty?

–Oczywiście, że jestem pewny – powiedział Jim. – Jednak oznacza to, że zaraz musimy ruszać, bo wkrótce zacznie świtać. Chcę, byś zaraz zaczął zbierać dym. Powinien unosić się nad statkami za piętnaście lub dwadzieścia minut. Mogą nie zauważyć go od razu.

–Och, dym już przygotowałem – wyjaśnił Hob trochę pewniejszym głosem. – To nic trudnego. Co mam teraz zrobić?

–Na parterze, tam gdzie zebrali się ludzie sir Mortimora, jest kominek – powiedział

Jim. – Mógłbyś zabrać dym, opuścić się kominem i słuchać stamtąd, co będziemy mówić? Potem, gdy będziemy się szykować do ataku, przeniesiesz dym pod pokłady statków i wypuścisz go. Wyjdziemy z zamku, ale zaczekamy z atakiem, aż zobaczymy dym i piratów biegnących do okrętów, by gasić pożar. Ile czasu zajmie ci dotarcie na statki i wypuszczenie dymu?

–Och, bardzo niewiele. Zanim wyjdziecie z zamku, dym już zacznie się unosić. Niestety, ludzie w wiosce też go zobaczą, ale nic na to nie poradzę.

–W porządku – powiedział Jim. – Wcale nie oczekiwałem...

Zapukano do drzwi.

–Brianie!? – zawołał Jim. – Proszę. Nie będzie mnie, kiedy tu wejdziecie, ponieważ muszę zająć się magią. Jednak demon czeka na was. Uprzedziłeś sir Mortimora, czego ma się spodziewać?

–Tak – odparł Brian, – Czy chcesz, żebym najpierw wszedł sam?

–Jeśli łaska. Gdyby sir Mortimor był tak uprzejmy i zaczekał chwilę. Jest kilka istotnych dla całego przedsięwzięcia spraw, o których chciałbym ci powiedzieć, zanim zniknę.

Drzwi otworzyły się i wszedł Brian.

Jim skinieniem przywołał go bliżej i szepnął;

–Brianie, jako demon będę przemawiał innym głosem. Nie przejmuj się tym. Możesz powiedzieć sir Mortimorowi, że po prostu zniknąłem, zamieniwszy z tobą kilka słów. Sądzę, że to powinno wystarczyć.

–Niewątpliwie.

–A więc wpuść go.

Teraz Brian otworzył drzwi i poprosił sir Mortimora do środka. Wysoki rycerz wszedł, ujrzał Jima w przebraniu demona, stanął, otworzył usta, znów je zamknął i przeżegnał się, sięgając jednocześnie po miecz.

–Jestem niezwykły! – huknął Jim głosem o oktawę niższym od tego, jakim zwykle mówił, starając się, by brzmiał jak najgroźniej. – Nikt mi się nie oprze i niczyich nie słucham rozkazów! Tym razem jednak pomogę wam. Prowadźcie mnie tam, gdzie czekają inni wam podobni.

Sir Mortimor zeszytniał i jego twarz częściowo odzyskała naturalny kolor. Powoli puścił rękojeść miecza.

–Zatem, demonie – rzekł chłodnym tonem – chodź ze mną.

Rozdział 15

–Gdzie, do diabła, podział się sir Brian? – rzekł głośno do siebie sir Mortimor, przystanąwszy na pierwszym piętrze przed schodami na parter, gdzie czekali jego zbrojni. – Był z nami na górze!

–Ten wielki czarodziej, sir James – huknął Jim, po raz pierwszy w pełni wykorzystując siłę głosu, w jaki wyposażył swoje demoniczne wcielenie (był trzykrotnie mocniejszy i oktawę głębszy od ludzkiego) – zażądał, by sir Brian zaczekał przed drzwiami komnaty. Dlatego sir Brian nie zdążył, jak to ma w zwyczaju, pomodlić się przed bitwą, zanim przyszedł. Powinien dołączyć do nas za chwilę.

Sir Mortimor był zaskoczony. Jim pomyślał, że pewnie nie samą ideą modlitwy przed walką, ale tym, że ktoś mówi głośniejsze od niego. Zaraz jednak doszedł do siebie.

–Oo, do licha, usłyszą cię w wiosce! Dlaczego... – Sir Mortimor zerknął na niego i natychmiast zmienił ton na znacznie spokojniejszy i bardziej uprzejmy. – Dlaczego sir Brian nie powiedział mi o tym, kiedy spotkaliśmy się pod drzwiami komnaty? No cóż, nie musimy na niego czekać. Ponieważ i tak cię już usłyszeli, lepiej zejdźmy do nich od razu. Ja poprowadzę.

Poszedł w dół schodami, a Jim podążał kilka kroków za nim. Znaleźli się pod sklepieniem, które jeszcze przed chwilą było podłogą pod ich stopami. Całe pomieszczenie wypełniali uzbrojeni po zęby ludzie. Pomimo swego oręża na widok demona usiłowali wcisnąć się w kąt sali, jak najdalej od schodów,

–Odwagi, moje dzieci! – zawołał sir Mortimor, – Sir James zapewnił nam wszystko, czego potrzebujemy do zwycięstwa. Obok mnie stoi posłuszny jego rozkazom demon, który będzie walczył u naszego boku. Z jego pomocą przepędzimy napastników z naszego brzegu.

Chociaż wydawało się to nieprawdopodobne, tłum uzbrojonych ludzi tak zbił się w pomieszczeniu, że zajmował ledwie trzy czwarte uprzednio wypełnionej przestrzeni.

Sir Mortimor schodził po schodach, a Jim za nim. Dotarli na dół.

–Nie lękajcie się! – krzyknął sir Mortimor. – Ten demon, Niezwyciężony, wykonuje rozkazy sir Jamesa, mojego dobrego i lojalnego przyjaciela, Magia sir Jamesa nie pozwala mu iść z nami, dlatego wysłał swego zastępcę, aby mieć pewność, że zwyciężymy. A teraz wszyscy na zewnątrz – tylko cicho, żeby nie obudzić tych na dole. Sir Brian wkrótce do nas dołączy. Wypatrujcie pierwszych oznak pożaru na ich statkach!

Z ulgą i zdumiewająco szybko zbrojni przeszli przez wewnętrzną bramę do tunelu i do głównej bramy, z której usunięto już barykadę, a potem na stromy stok. Zaczęli schodzić po stopniach i zboczach góry. Ziemia i morze w dole były czarno-białe, odbarwione w bladej poświacie przedświt, W wiosce nie było widać żadnego śladu ruchu. Wokół zalegała cisza. Na pokładach obu statków również panował spokój. Zbrojni wyraźnie słyszeli miarowy szum nadciągających i załamujących się na kamienistym brzegu fal.

–Ehm, sir Mortimorze... demonie! – głos sir Briana rozległ się za plecami Jima i wysokiego rycerza.

Uzbrojony i gotowy dołączył do nich. Stał obok.

–Czy już coś się zdarzyło? – zapytał wesoło.

Sir Mortimor zmarszczył brwi.

–Czekamy na znak, że statki zostały podpalone – odparł. – Do tej pory nic o tym nie świadczy,

–Nic wątpię, że wkrótce coś zobaczymy – rzekł Brian. – Piękny, pogodny ranek, prawda?

Jim dobrze wiedział, że Brian zawsze ma taki dobry humor przed walką. Najwidoczniej sir Mortimor miał inne usposobienie. Po nie przespanej nocy niezbyt cieszyła go perspektywa porannej potyczki, w której mógł utracić wszystko, co miał, nie mówiąc już o życiu.

–Coś długo to trwa... – zaczął, lecz w tym momencie najpierw nad statkiem po prawej, a potem i nad stojącym obok pojawił się szare smugi dymu.

W nieruchomym powietrzu siwe słupy uniosły się pionowo w niebo. Zgęstniały i pociemniały.

–Zbudźcie się, zbudźcie, wy ślepi pogańscy idioci! – mamrotał sir Mortimor przez zaciśnięte zęby. – Czy nie ma tam choć jednego przytomnego wartownika? Czy nikt z was nie musi wyjść za potrzebą?

Głucha na jego narzekania wioska nadal była pogrążona we śnie. Spod pokładów obu statków buchały coraz gęściejsze kłęby dymu. Nagle rozległy się wrzaski i krzyki przerażenia. Nadal jednak patrzący z góry nie widzieli nikogo, kto biegłby gasić ogień.

–Bogu dzięki! – westchnął sir Mortimor. A potem nagle jego głos rozbrzmiał pełną mocą, głośniejsz niż było potrzeba, aby zbudzić śpiących w wiosce piratów. – Wioślarze podnieśli alarm! Są tam przykuci do wiosel galernicy, którzy nie chcą spłonąć żywcem!

Ludzie sir Mortimora zamierzali wydać radosny okrzyk, który uwiązał im w gardłach, gdy rycerz zmierzył ich gniewnym spojrzeniem. Na dole rozespiani ludzie zaczęli wybiegać z budynków. Wytrzeszczyli oczy, zobaczyli dym nad statkami i pobiegli ku nim z krzykiem. Z zabudowań wypadli kolejni piraci.

–Czekać, czekać – rozkazał sir Mortimor ściszym głosem przeznaczonym tylko dla uszu jego zbrojnych. – Niech oddalą się od broni... Czekać... czekać. Teraz!

–Breugel! Breugel!

Z bojowym okrzykiem na ustach zaczął zbiegać po schodach, przeskakując po trzy i cztery stopnie naraz.

Jego ludzie runęli za nim, wymachując bronią, Jim i Brian poszli w ich ślady nieco ostrożniej. Gdy znaleźli się na mniej stromym zboczu, Brian pobiegł ile sił w nogach, przepychając się przez szeregi zbrojnych sir Mortimora.

Jim biegł najszybciej, jak mógł, ale nie był w stanie dopędzić Briana ani większości wojowników sir Mortimora, nie licząc tych, którzy – jak podejrzewał – celowo zostali trochę z tyłu. W każdym razie po krótkiej chwili wszyscy dopadli zmierzających do statków piratów, którzy na widok atakujących ich zbrojnych rozpiechali się na wszystkie strony, nie mając żadnej broni oprócz noży.

Sir Mortimor dobiegł do statków. Odwrócił się i zawołał do swoich:

–Zawracać! Wracać! Z powrotem do wioski!

Wszyscy odwrócili się, zmieniając kierunek ataku. Stożące przy brzegu okręty dzieliła od wioski bardzo niewielka odległość. Niemal natychmiast wpadli na wciąż wybiegających z chat wrogów, przeważnie rozespanych i nie uzbrojonych. Niektórzy jednak zdążyli chwycić miecze i tarcze – ci stawili opór. Zanim Jim dobiegł do wioski, bitwa rozgorzała w najlepsze.

Przeklął się w duchu, że nie wziął choćby miecza. Może taki oręż nie przystoi demonowi, ale czułby się znacznie lepiej, mając w ręku coś, czym mógłby trzymać wrogów w bezpiecznej odległości. Próbował nadrabiać to, rycząc ile sił w płucach i wymachując szponiastymi łapami.

Po chwili zorientował się, że nie musi odpierać żadnych ataków, gdyż wszyscy bardzo starali się trzymać jak najdalej od niego. Dotyczyło to także ludzi sir Mortimora. Tymczasem Brian walczył zażarcie, otoczony przez pół tuzina Marokańczyków.

Był znacznie lepszym szermierzem niż którykolwiek z przeciwników, a jego zbroja mogła wytrzymać większość uderzeń ich ostrzy, lecz wrogów było zbyt wielu. Jim skoczył w tym kierunku, starając się robić jak najwięcej hałasu i wyglądać jak najokropniej. Udało mu się. Przeciwnicy Briana zobaczyli nadbiegającego demona i pierzchnęli. Jim stanął obok Briana, który opierał się na wbitym w piach mieczu, z trudem łapiąc oddech.

–Do licha, Jamesie! – wysapał. – Przepłoszyłeś wszystkich!

Mógł spokojnie mówić do Jima po imieniu. Panujący wokół zgiełk zagłuszyłby jego słowa, gdyby ktoś w pobliżu miał czas go słuchać.

–Nie bądź idiotą, Brianie – rzekł Jim, również łapiąc oddech. Magiczne buty dodające mu prawie metr wzrostu nie ułatwiały biegania, więc też się zasapał. – Było ich zbyt wielu!

–Nie prosiłem o pomoc... – warknął Brian, ale zaraz opamiętał się. – Pomimo to, Jamesie, szanuję twoją chęć niesienia pomocy rycerzowi, który znalazł się w opałach,

–Rycerzowi i staremu przyjacielowi!

–Sądzę, iż zrobiłbyś to dla każdego rycerza w takiej sytuacji – odparł Brian. – Dajmy jednak temu spokój. Cenię sobie twoją przyjaźń, Jamesie. Spójrz tylko! Już prawie po wszystkich. Ci, którzy nie zostali zabici albo ciężko ranni, uciekli na statki i wypływają w morze, pozostawiając kompanów.

Jim odwrócił się i spojrzał. Na pierwszy rzut oka wydało mu się to zbyt proste, niemal śmiesznie łatwe po długich, niespokojnych godzinach oczekiwania. Potem dostrzegł porozrzucane wokół ciała. Ulice wioski – jeśli można je tak nazwać – oraz kamienisty brzeg na skraju wody były usłane trupami. Większość wojowników sir Mortimora zajęła się rabowaniem trupów pokonanych nieprzyjaciół, a także tych, którzy bliscy byli śmierci.

–Brianie – powiedział cicho – będę zadowolony, kiedy stąd odpłyniemy.

–Ja również – odparł Brian, – Na Boga, chciałbym już być w Trypolisie.

Cztery dni później byli w Trypolisie – pytanie tylko gdzie.

–Sądziś, że ten przeklęty ciura naprawdę zna drogę? – warknął Brian.

–Szyper mówił, że tak – odparł Jim.

Brian mruknął coś pod nosem. Jim wcale nie odpowiedział na jego pytanie.

Podzielał uczucia przyjaciela, ale niczego innego nie mógł mu rzec. Znajdowali się na przyszłym wybrzeżu Libanu, jeśli tylko wydarzenia od średniowiecza potoczą się zgodnie z dwudziestowieczną wiedzą historyczną. Szyperem statku handlowego, na którym przyплыли z Cypru do portowego Trypolisu, był mężczyzna o wyglądzie obwiesia, który jednak nie policzył im zbyt drogo za przewiezienie, jak twierdzili cypryjscy przyjaciele Briana. Aczkolwiek należało wątpić, czy ten fakt dowodził jego uczciwości we wszystkich innych sprawach.

Był płowowłosym indywiduum o rozbieganych oczach, obwisłych siwych wąsach i oliwkowej twarzy. Miał wydatny brzuch żarłoka oraz chude kończyny sknery. Wynajął miejscowego przewodnika prowadzącego ich do celu oraz dwóch innych ludzi, którzy szli z tyłu, niosąc bagaże. Ani Brian, ani Jim nie mieli pojęcia, czy wynegocjowana z tymi trzema mężczyznami cena nie była zbyt wysoka. Ponieważ jednak nie mogli obyć się bez przewodnika i bagażowych, musieli zapłacić.

Teraz przewodnik wiódł ich przez nieprawdopodobny labirynt uliczek i zaułków, w niektórych miejscach tak wąskich, że dosłownie musieli przeciskać się bokiem między budynkami. Szczególnie na mniejszych uliczkach ziemię gęsto pokrywały ludzkie i zwierzęce odchody. Jim – tak jak Brian – miał broń i kolczugę ukrytą pod podróżną opończę. Kaptur zasłaniał sakwę mieszczącą Hoba. Brian był podobnie uzbrojony, opancerzony i odziany. A tutejsza wiosna była znacznie cieplejsza od tej, do jakiej przywykli w Anglii. Byli spoceni i spragnieni, a także zaczęli się denerwować.

Wydawało się, iż dom miejscowego czarodzieja, do którego miał ich zaprowadzić przewodnik, nie powinien znajdować się daleko od centrum miasta, rojnego jak mrowisko i równie gęsto zabudowanego. Z drugiej strony, rozmyślał Jim, ten labirynt uliczek mógł wywoływać złudzenie, że uszli dalej niż w rzeczywistości.

–Jeszcze jeden zakręt! – wybuchnął Brian. – Dość tego! Przycisnę tego ciurę. Hej ty, chodź tutaj!

Przewodnik stanął, odwrócił się i spotkał ich w połowie drogi.

–Och, panie – rzekł – rozkwitasz w moich oczach jak ukochany kwiat Allaha, a twa słodycz perfumuje powietrze. Czym mogę ci służyć?

–Dość tej gadaniny – warknął Brian. – Kiedy dojdziemy do domu czarodzieja? Daleko jeszcze? Odpowiadaj, ciuro, a jeśli ta odpowiedź nie będzie dobra, zapłacisz głową!

Położył dłoń na rękojeści miecza.

–Wielmożni panowie! – powiedział przewodnik. – Niechaj mnie oślepią i cisną do siedmiu piekieł, jeśli właśnie nie doszliśmy na miejsce. To trzy domy stąd.

–Jesteś pewien? – burknął Brian.

–Jest, jak powiedziałem. Na Allaha, to zaledwie trzy domy stąd.

–Lepiej, żeby tak było.

Mężczyzna odwrócił się i przebiegł kawałek mroczną alejką, którą przecinali, po

czym stanął przed murem, który wydawał się pozbawiony drzwi.

–To tutaj, dobrzy panowie! – zawołał przewodnik. – Jesteśmy na miejscu!

–Zobaczymy – rzekł Jim.

Podeszli z Brianem bliżej i rzeczywiście zobaczyli w murze niewielką niszę, a w niej drzwi, które kiedyś zapewne były pomalowane na zielono, lecz teraz pozostało na nich niewiele farby.

–Tak więc zrobiłem, co obiecałem. Zapłaćcie mi oraz tym, którzy nieśli wasze bagaże, i pozwólcie nam odejść – zażądał przewodnik.

–Zaczekaj chwilę – powiedział Jim, gdy Brian sięgnął za pazuchę po sakiewkę. – Najpierw niech ktoś otworzy te drzwi, żebyśmy wiedzieli, czy naprawdę jesteśmy we właściwym miejscu. Potem wam zapłacimy.

–Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem, o potężny! – odparł przewodnik. Odwrócił się i zaczął łomotać do drzwi. Tłukł w nie przez jakiś czas, lecz żaden dźwięk ani znak nie świadczyły, że go usłyszano. Odwrócił się i bezradnie spojrzał na obu rycerzy, wzruszając ramionami. Brian zmarszczył brwi i przewodnik pośpiesznie znów zaczął bębnić w drzwi.

–Otwierać! – zawołał donośnym, piskliwym głosem. – Otwierać w imię Allaha, miłosiernego i gościnnego. Dwaj wielcy panowie, ulubieńcy Allaha, sułtana i naszego beja Trypolisu, przybyli z wizytą do Abu al-Qusayra.

Wciąż nie było odpowiedzi, ale Brian warczał coś pod nosem, więc mężczyzna nie przestawał stukać i nawoływać. W końcu szczęknęły odsuwane rygle i zasuw, po czym drzwi otworzyły się, ukazując wysokiego, dumnego mężczyznę w długiej, czerwonej szacie. Nieznajomy był siwowłosy i wyniosły. Gniewnie spojrzał na przewodnika.

–Psi synu – rzekł. – Dlaczego kołaczesz do tych drzwi? Nie wiesz, czym grozi zakłócanie spokoju Abu al-Qusayrowi?

–Wybacz mi, łaskawco! – odparł przewodnik. – Są ze mną dwaj mężczyźni, wielcy panowie wśród Franków i przybysze z północy, których skierowali tu przyjaciele Abu al-Qusayra. Nawet za królewską zapłatę nic chciałbym niepokoić tak mądrego i potężnego człowieka. Wydaje mi się jednak, że on oczekuje tych ludzi, Siwowłosy człowiek w czerwonej szacie przeniósł spojrzenie na Jima i Briana.

–Wasze nazwiska, panowie? – spytał w zaskakująco dworny, europejski sposób.

–Ja jestem sir Brian Neville-Smythe – rzekł Brian. – A ze mną jest mag, sir James Eckert de Malencontri, którego oczekuje twój pan.

–Aczkolwiek nie przysługuje mi tytuł maga – wyjaśnił pośpiesznie Jim, gdy siwowłosy lekko uniół brwi, słysząc ten tytuł. – Jestem czarodziejem dość niskiej rangi, czeladnikiem maga Carolinusa, który powiedział, iż mogę oczekiwać przyjacielskiego powitania i dobrej rady od Abu al-Qusayra jako członka Stowarzyszenia Magów.

Mężczyzna w drzwiach wyraźnie złagodniał.

–Jesteś oczekiwany, panie – rzekł, co ponownie przypominało bardziej europejski niż miejscowy styl. Jim zastanawiał się, czy niewidoczny tłumacz wiernie przekłada niuanse jednego języka na drugi. Spojrzawszy na ulicę, mężczyzna skinieniem

przywołał obu tragarzy i wskazał na korytarz.

–Postawcie tam bagaże – rozkazał. – Nie musicie ich wnosić do środka.

–Zapłata! Nasz zapłata! – krzyknął przewodnik. – O wspaniali panowie, jeszcze nam nie zapłacono!

Jim wyjął srebrną monetę i podał ją przewodnikowi.

–Ale to miał być złoty dinar! – zaskowyczał mężczyzna.

–Nie tak powiedział nam szyper.

–Miał być złoty! Złoty! – biadał przewodnik.

–Przestań jazgotać – warknął mężczyzna w czerwonej szacie – i wynoś się, rad z tego, co otrzymałeś. Inaczej diabły i skorpiony będą cię ścigać aż po grób! – Ignorując przewodnika i tragarzy, znów odwrócił się do Jima i Briana. – Wejdźcie, panowie – rzekł. Odsunął się, przepuszczając ich przez wąskie przejście między nim a ich bagażem. Potem zamknął za nimi drzwi, ucinając lamenty i protesty przewodnika oraz obu tragarzy, – Wystarczyłoby pięć drachm. Zostaliście obrabowani, panowie, chociaż wiem, że nie dało się tego uniknąć w takim mieście, gdzie jesteście obcy i nie znacie panujących stosunków. Wejdźcie, sir Brianie, sir Jamesie. Zaiste, sir Jamesie, mój pan oczekuje cię. Pozwólcie za mną.

Poprowadził ich krótkim, słabo oświetlonym i wąskim korytarzem do następnych drzwi, z których wypadło kilku mężczyzn – widocznie pośledniejszych sług. Minęli ich i pobiegli do drzwi wejściowych. Jim usłyszał szcęk zasuwanego rygli i opuszczanej antaby. Przeszli przez wewnętrzne drzwi.

I nagle znaleźli się w pałacu z tysiąca i jednej nocy.

Rozdział 16

Weszli do wielkiej komnaty z wysokim, łukowatym sklepieniem i jedną ścianą zastąpioną kolumnadą, za którą widać było taras lub balkon. Szerokie i wysokie drzwi w pozostałych dwóch ścianach ukazywały kolejne pokoje o podobnie wyniosłych sufitach i kamiennych ścianach.

Sam kamień był pięknie ociosany, a w ścianie po lewej stronie Jima na wysokości około pięciu metrów tworzył galeryjkę. Tę osłaniał mur z mnóstwem wykutych w nim niewielkich i niezwykle kunsztownie rzeźbionych otworów. Tworzył rodzaj parawanu zasłaniającego każdego, kto zechciałby stać tam i patrzeć. Nieliczne meble – głównie wyściełane taborety, poduszki i niskie stoliczki – stały pod ścianami, pozostawiając środek pokoju pusty, dzięki czemu pomieszczenie wydawało się jeszcze większe. Jasny kolor ścian wzmacniał to wrażenie. Dzięki zręczności architekta lub maga dzieńne światło zdawało się sączyć nie tylko między kolumnami, ale także z innych zakamarków komnaty, tak że cała jakby unosiła się w powietrzu.

–Pozwólcie za mną, panowie – rzekł mężczyzna w czerwonej szacie i przeprowadził ich przez kolejne drzwi. Te na wysokości trzech metrów rozdymały się w cebulowaty, skierowany stożkiem do góry łuk.

Poszli za nim przez pomieszczenia niemal identyczne jak pierwsze, które widzieli. Wszędzie leżały dywany tkane w jakieś zawile wzory. Czasem zauważali ludzi w powiewnych bluzach i spodniach, którzy pośpiesznie znikali w drzwiach mijanych komnat.

Teraz, kiedy o tym pomyślał, Jim przypomniał sobie, iż słudzy, którzy przybiegli zaniknąć drzwi, również mieli zielone szaty. Jednakże odziany w czerwień człowiek nie zwracał na nich uwagi, tak więc Jim i Brian również ich ignorowali. Szli tak przez jakiś czas, wciąż otoczeni tym intrygującym blaskiem zdającym się przenikać każde pomieszczenie, nawet te o czterech ścianach i bez widocznych źródeł oświetlenia.

W końcu dotarli do niewielkich, zamkniętych, prostokątnych drzwi podobnych do tych, którymi weszli z ulicy. Te jednak były z polerowanego, ciemnego, szlachetnego drewna i miały klamkę wyglądającą na odlaną ze srebra.

Mężczyzna w czerwonej szacie przystanął przed nimi, a Jim i Brian – z konieczności – również. Siwowłosy przemówił do drzwi:

–Panie – powiedział – przybył sir James Eckert, Smoczy Rycerz. Jest tu ze mną przed twymi drzwiami z towarzyszem, sir Brianem Neville'em-Smythe'em. Jaka jest twoja wola, o mój panie?

–Niech wejdą – rzekł głęboki, spokojny głos zza drzwi. – Możesz odejść, Majid.

–Natychmiast, mój panie – powiedział Majid. Odwrócił się do Jima i Briana. – Abu al-Qusayr prosi do środka.

Odsunął się od drzwi, które otworzyły się bezszelestnie i najwidoczniej samoistnie. Spoglądając przez nie, Jim ujrzał pokój mniejszy od napotkanych dotychczas, również o wyniosłym sklepieniu bez okien. Wszystkie cztery jego ściany jarzyły się tą samą, wszechobecną poświatą.

Pod przeciwległą ścianą siedział barczysty mężczyzna. Spoczywał, skrzyżowawszy nogi, na grubej białej poduszce przy okrągłym stoliku z czarnego

drewna. Na stoliczku stała miska najprawdopodobniej napełniona czystą wodą, a obok niej jakieś srebrzyste urządzenie zbudowane z bardzo zmyślnie połączonych ze sobą ruchomych części, teraz zastygłych w bezruchu.

Mężczyzna za stołem miał rzadką białą brodę i wyraziste rysy. Wyglądał na czterdzieści kilka lat, ale jego prawdziwego wieku można się było tylko domyślać. Był krzepki i trzymał się prosto. Nosił długą szatę zupełnie zakrywającą jego skrzyżowane nogi i stopy. Miała ten sam czerwony kolor, jaki zwyczajowo nosił Carolinus, odrobinę ciemniejszy od tuniki Majida. Mężczyzna miał wysokie czoło, czarne oczy, kanciastą i opaloną twarz oraz wydatny nos i wargi.

Sprawił wrażenie niezwykle kompetentnego i godnego zaufania. Rodzaj człowieka będącego jak widok lądu dla rozbitka unoszonego przez rozkołysane sztormem morze.

Jim i Brian weszli do pokoju, a drzwi za nimi zamknęły się niemal bezszelestnie. Dziwne, lecz mimo ciepła, jakie zdawało się emanować od siedzącego tam mężczyzny, powietrze w pomieszczeniu było chłodne i orzeźwiające. Gospodarz skinął na leżące pod ścianą poduszki i trzy z nich przysunęły się do stolika, wykonując niemy rozkaz.

–Siadaj, Jimie, i ty także, Brianie – rzekł. Uśmiechnął się. – Widzę, że Majid nie zauważył, iż jest was trzech,

–Trzech, panie? – zdziwił się Brian, szybciej niż Jim siadając ze skrzyżowanymi nogami na jednej z poduszek.

–Zapominasz o waszym małym przyjacielu, którego niesie Jim – odparł Abu al-Qusayr. Odwrócił się do siedzącego już Jima. – Wyjdź, mały. Nie bój się.

Jim poczuł, jak Hob wierci się w małej sakwie ukrytej na jego plecach i wychodzi mu na ramię. Skrzat stanął prosto, obejmując szyję Jima i patrząc na brodatego czarodzieja.

–Chodź – powiedział Abu al-Qusayr, wskazując na stojący przed nim stolik. – Zejdź i usiądź tutaj, mały przyjacielu.

Ku zdziwieniu Jima Hob bez wahania zeskoczył na stolik i usiadł ze skrzyżowanymi nogami we wskazanym miejscu, patrząc z zainteresowaniem na Abu al-Qusayra, który odwzajemniał mu się tym samym.

–Jesteś naturalnym – stwierdził mag – a tam, skąd przybywasz, nazywają cię skrzatem. Zgadza się?

–Och, tak – odparł Hob pewnym głosem. – Właściwie jestem Hob Jeden de Malencontri, lecz nikt oprócz lorda Jima i lady Angeli nie może mnie tak nazywać. Może też mógłbyś się tak do mnie zwracać. Jak sądzisz?

–Pewnie tak – powiedział Abu al-Qusayr – ale to dość długie nazwisko. Ja również wolałbym nazywać cię Hobem, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

–W twoim przypadku nie mam – zapewnił go Hob.

–Doskonale – rzekł Abu al-Qtisayr. – Jak to się stało, że przybyłeś tu z lordem Jimem i sir Brianem?

–Przybyłem tu, aby szybko wrócić i zawiadomić lady Angelę, gdyby lord wpadł w jakieś tarapaty – odrzekł Hob. – Chciałaby o tym wiedzieć. Martwi się o niego.

–Mogę to zrozumieć – mruknął Abu al-Qusayr. Spojrzał na Jima.

–Z całym szacunkiem – powiedział ten. – Czy nie sądzisz, że to mnie powinieneś zadawać te pytania?

–Mógłbym, oczywiście. – Abu al-Qusayr pogładził rzadką, siwą bródkę. – Byłem jednak ciekaw. Chciałem porozmawiać chwilę z Hobem. Jeszcze nigdy nie spotkałem naturalnego w takiej postaci. Jest wam wygodnie, panowie? Chyba jesteście trochę zbyt grubo odziani jak na ten klimat.

–A niech mnie – odparł Brian – w drodze tutaj było mi trochę za gorąco, lecz twój dom jest bardzo przewiewny i chłodny. Teraz czuję się doskonale,

–A poduszki – dociekał Abu al-Qusayr. – Czy siedzi się wam na nich wygodnie? Wiem, że ludzie z północnej Europy nie przywykli siadać w tej pozycji.

–Często tak siedzimy, będąc poza domem lub na noclegach – rzekł Brian. – Siadamy tak wokół ognisk na nocnych postojach z dala od ludzkich siedzib. Jest mi całkiem wygodnie.

Jim miał wrażenie, że Brian obdarzył czarodzieja takim samym zaufaniem jak Hob. Abu al-Qusayr najwyraźniej zamierzał ich oczarować. Jim czekał z ponurym zaciekawieniem, kiedy gospodarz wypróbuje na nim siłę swojej perswazji.

–A co do ciebie, Jimie – rzekł Abu al-Qusayr bez cienia pochlebstwa w głosie, po prostu mówiąc, jakby byli starymi przyjaciółmi – kłopoty podążają za tobą jak pszczoły za człowiekiem posmarowanym miodem. Czy od chwili opuszczenia brzegów Europy zauważyłeś kręcącego się koło ciebie brązowego pieska?

–Mówisz o Kelbie? Tym dzinnie? Prosił mnie o opiekę – odparł Jim. – Podobno jego panem był inny, bardzo potężny dzinn, który chce się na nim zemścić za ucieczkę z jeziora ognia, w które go wrzucił.

Usłyszał swój życzliwy i konfidencjonalny głos.

Już wpadam w tę samą pułapkę co Hob i Brian, rzekł sobie w duchu. Wyprostował się i dokończył chłodnym tonem:

–Powiedziałem mu, że się zastanowię. Kręcił się koło mnie, ale nie sprawiał mi żadnych kłopotów.

–Cóż – rzekł Abu al-Qusayr – ma powody do obaw. Sakhr al-Jinni jest najpotężniejszym z dzinnów. Ty także powinieneś się go wystrzegać. Radziłbym ci, jak najmniej zadawać się z Kelbem.

–Nie miałem takiego zamiaru.

–Doskonale. O ile wiem, jesteś teraz czarodziejem klasy C?

–Tak – odparł Jim lekko zmieszany i natychmiast skarcił się w duchu za to uczucie. Dlaczego, zadawał sobie pytanie, miałoby go obchodzić, jaki stopień raczy mu nadać ta banda magów?

–Nie sądzę, aby taki dzinn jak Kelb mógł sprawić większe problemy magowi klasy C – stwierdził Abu al-Qusayr – lecz powinieneś unikać wszystkiego, co mogłoby cię doprowadzić do konfrontacji z Sakhrem al-Jinnim. To prawda, że jest on tylko naturalnym, ale za to jednym z najpotężniejszych i chyba najbardziej mściwym.

–Zamierzałem go unikać.

–Tak też sądziłem. Mimo to wolałem się upewnić. Niestety, jest jeszcze coś, o

czym muszę ci powiedzieć. Carolinus właśnie przekazał mi wiadomość, że poinformowano go o skardze na ciebie, która wpłynęła z innego świata. Wielki demon oskarża cię o udawanie demona. Czy mógłbyś mi to wyjaśnić?

Jim zrobił to.

–Rozumiem – rzekł Abu al-Qusayr, kiedy Jim skończył. – Wybaczcie mi na moment...

Pochylił się nad stojącą na stoliku przed nim miską z wodą czy też innym płynem. Jim, Brian i Hob czekali w milczeniu, więc w pokoju panowała cisza. Jim czuł nieprzyjemne mrowienie w kościach. W końcu Abu al-Qusayr oderwał oczy od miski.

–Wiesz, jest znacznie taniej i wygodniej – powiedział do Jima – widzieć wszystko w lustrze wody. Nie trzeba nosić szklanej kuli, tak jak wy tam, na północy. Oczywiście, różne bywają gusty. No cóż, sądzę, że nie będziesz miał żadnych problemów w związku z tym oskarżeniem. Rzecz jasna, nie będę mógł być jednym z twych sędziów...

–Jednym z moich sędziów? – powtórzył Jim.

–Ależ oczywiście – odparł Abu al-Qusayr. – To prawda, że znam tę krainę i mam pewne przelotne kontakty z demonami, rozumiecie. Jednak ze względu na moją znajomość tutejszych realiów uważają mnie za eksperta. Tak więc to, co im powiem, całkowicie oczyści cię z zarzutów. Nie, żebyś potrzebował mojego świadectwa. Fakty są dostatecznie jasne.

–Widziałeś to, co zdarzyło się kilka dni temu? W zamku sir Mortimora Breugla? – spytał Jim.

–Tak – odpowiedział gospodarz. – Chyba wiesz, że jasnowidzenie zazwyczaj ogranicza się do wydarzeń zachodzących obecnie lub w najbliższej przyszłości, lecz w pewnych okolicznościach, do jakich należy oskarżenie o zbrodnię...

–Zbrodnię! – wykrzyknął Jim. Nawet w pierwszej połowie dwudziestego wieku zbrodnie zazwyczaj bywały karane śmiercią. – A co mi groziło, gdybym został uznany winnym naruszenia praw demonów?

–Musielibyśmy cię im wydać, rzecz jasna – odpadł Abu al-Qusayr. – Tak samo, jak musielibyśmy cię oddać Królowi i Królowej Zmarłych, gdyby udowodniono ci wcześniej celowe wtargnięcie do ich królestwa. Tak się jednak nie stało. W tym wypadku winę ponosił Malvinne, francuski mag klasy AAA. Chyba widziałeś, co mu się przytrafiło.

–Owszem – przytaknął Jim. Nigdy nie zapomni widoku Malvinne'a ciągniętego jak utopiony szczur na sznurku przez dwie czarne chmury w kształcie Króla i Królowej Zmarłych siedzących na tronach.

–No cóż, to bez znaczenia – ciągnął Abu al-Qusayr. – Jak już powiedziałem, nawet bez mojego świadectwa fakty są niepodważalne. Jasno postawiłeś sprawę, rozmawiając z sir Mortimorem, że nie zmienisz się w demona. Powiedziałeś tylko, że dostarczysz mu takiego. Okłamałeś go, oczywiście, co jest całkowicie usprawiedliwione, gdy mag chce wykorzystać swoje umiejętności w celach obronnych, a nie chce nikomu zrobić krzywdy. Po prostu pozwoliłeś mu sądzić, iż stworzyłeś demona, co w żaden sposób nie narusza dóbr osobistych demonów.

Fakt, że sir Mortimor, jego ludzie i wrogowie atakujący jego zamek uznali cię za demona, jest ich błędem i oni zań odpowiadają. Wypełniłeś obowiązek maga nakazujący bronić się, nie czyniąc nikomu krzywdy. Nikogo nie skrzywdziłeś.

–Nie skrzywdziłem – powtórzył cicho Jim. Oczami duszy ujrzał porzucane na brzegu morza ciała Marokańczyków obdzierane, a nawet patroszone przez ludzi sir Mortimora, którzy sprawdzali, czy piraci nie połknęli jakichś niewielkich, lecz cennych przedmiotów.

–Nie przejmuj się tym – powiedział Abu al-Qusayr, jakby czytał w jego myślach. – Gdyby nie zginęli Marokańczycy, polegliby ludzie sir Mortimora, on sam, a może także wy trzej. Teraz jednak zjedzmy coś, napijmy się i porozmawiajmy o ciekawszych sprawach.

Jim poczuł podmuch powietrza na karku i w następnej chwili odziany w zieleń sługa postawił na stole tacę z ciastkami oraz trzy maciupieńkie filiżanki z czymś, co wyglądało jak bardzo czarna kawa. Jedna stała przed Jimem, druga przed Brianem, a trzecia przed Abu al-Qusayrem. Sługa przyniósł także spodeczek mleka dla Hoba, który wychłęptał je jak kot. Miska z wodą i dziwny aparat zniknęły ze stołu na moment przed nadejściem służącego.

Abu al-Qusayr natychmiast zaczął sączyć kawę i pogryzać ciastko. Jim przypominał sobie, że w tej części świata należało to do dobrych manier. Gospodarz próbował jadła i napojów przed gośćmi, aby pokazać im, że nie są zatrute.

Jim podniósł filiżankę do ust i przekonał się, że była to bardzo mocna i słodka kawa. Zobaczył, jak Brian kosztuje swoją, a także grymas zdumienia na twarzy przyjaciela, kiedy odstawił filiżankę. Brian, przebywając wśród osiadłych tutaj Europejczyków, najwidoczniej bywał częstowany tylko winem i wodą. Mimo to dobre wychowanie powstrzymało go od jakichkolwiek uwag na temat gorącego, gorzko-słodkiego napoju.

–Przepraszam, że nie proponuję wam wina – rzekł Abu al-Qusayr. – Nie ma go w tym domu. Koran, jak wiecie, zabrania jego spożywania prawdziwym muzułmanom, do których należę. O ile wiem, Brianie, poszukujesz ojca twojej ukochanej, który mógłby wyrazić zgodę na wasz ślub. Natomiast James trochę później wyruszył na tę wyprawę z przyjaźni i dopędził cię na Cyprze.

–Tak jest – rzekł Brian. Upił niewiele kawy, ale zjadł już pięć ciasteczek, Jim zauważył, że na tacy natychmiast w magiczny sposób pojawiały się nowe, uzupełniając ubytek. – Ojciec mojej pani wyruszył na krucjatę, choć w dzisiejszych czasach niewielu tak czyni. Miał jednak nadzieję, iż fortuna będzie mu sprzyjać.

Zaginął po nim wszelki ślad. Ostatnio pewien wracający z tej strony świata rycerz przyniósł wieść, iż ojca mojej pani widziano w Palmyrze, która, o ile wiemy, leży w głębi łądu, nieopodal Trypolis.

–Istotnie, w głębi łądu – rzekł Abu al-Qusayr – po drugiej stronie gór i kawałek za nimi. To kupieckie miasto na szlaku karawan. Może jej ojciec został kupcem i dlatego tam zamieszkał. Jeśli interesy dobrze mu idą, może nie chce wracać do domu.

–Jak się tam dostaniemy? – spytał Brian.

–Powiedziałbym – odparł Abu al-Qusayr – że najrozsądniej byłoby przyłączyć się

do karawany wiozącej ładunek z Trypolisu do Palmyry i dalej leżących miast. Szlak wiedzie przez góry, w których jest teraz niebezpiecznie ze względu na asasynów, którzy przez ostatnie lata zagnieźdździ się w Kasr al-Abiyadh, czyli Białym Pałacu.

–Asasyni? – spytał Jim, o ułamek sekundy wyprzedzając Briana.

–Tak – odparł Abu al-Qusayr – a przynajmniej podają się za hasz-szaszich, czego wolałbym nie kwestionować. Oczywiście, nie są prawdziwymi asasynami, którzy wywodzą się od Hassana Ibn al-Sabbaha, będącego pierwszym Starcem z Gór. Ten przejął zamek Alamut w dolinie Kazwin przed prawie trzystu laty. Alamut był ich siedzibą przez wiele lat, aż stopniowo wyparli ich Mongołowie. W końcu i sam Alamut wpadł w ręce Mongołów, zaś ostatni syryjski zamek asasynów, Kahf, został zdobyty niecałe sto lat temu. Pomimo to bractwo odradza się co pewien czas. Nie znam imienia tego, kto zwie się wielkim mistrzem odłamu zamieszkałego w górach, przez które będziecie przejeżdżać. Jest nim sufi, jeden z ortodoksyjnych wyznawców Allaha, którego wielbią na swój dziwny sposób. Uważa, iż jego powołaniem było stać się Isma'ilem i przywódcą isma'ilitów, jakimi są hasz-szaszi czy jak mówicie: asasyni. Karawana będzie uzbrojona i gotowa do odparcia napadu. Jeśli pojedziecie z nią, macie szansę dotrzeć do Palmyry.

–To nie wydaje się trudne – rzekł Brian, – Drobną potyczka po drodze byłaby nawet pożądana jako odmiana podczas nużącej podróży.

–Cieszę się, że jesteś tak pewny siebie – powiedział gospodarz. – Mimo to radzę wam mieć oczy otwarte. Strzeżcie się nie tylko asasynów, ale i innych wrogów, przeważnie naturalnych. Wśród skał mieszkają demony, upiory i rozmaite duchy. Możecie nawet napotkać gryfa lub bazyliżka, choć te są dziś rzadkie i niepodobna, by podeszły do licznej karawany.

Jim zauważył, że Brian pobladł. Hob skoczył ze stołu na ramię Jima i objął go za szyję.

–Będą chcieli mnie porwać!?! – zawołał. – Czy któryś z nich zechce takiego skrzata jak ja?

–Nieważne – wtrącił Jim. – Zadbam, żeby nie dopadł cię żaden asasyn ani bazyliżek.

Hob westchnął z ulgą i usiadł mu na ramieniu. Jim zauważył, że Abu al-Qusayr spogląda na niego z dziwnym zainteresowaniem.

–Czy masz – rzekł Hob do gospodarza i zawahał się. – Czy masz tu gdzieś kominek?

–Przykro mi, mały przyjacielu – zaczął Abu al-Qusayr, – Nie ma tu kominków. Chociaż w takich miejscach jak kuchnie są paleniska. Sir Brianie, muszę porozmawiać w cztery oczy z sir Jamesem. Czy byłbyś tak dobry i pozwolił zaprowadzić się na kwaterę? Po drodze będziecie mijać kuchnię, gdzie Hob znajdzie ogień i dym.

–Z przyjemnością – odparł Brian, gładko i zwinnie wstając z poduszki, nawet nie podparłszy się ręką. – A więc zostajemy tutaj?

–Tylko przez jedną noc, jak sądzę – powiedział. – Wybrałem już karawanę, z którą zabierzecie się rano.

Jim usłyszał za plecami kolejny stuk i głos Majida.

–Czego sobie życzysz, panie? – spytał siwowłosa.

–Zaprowadź sir Brian a do komnaty przygotowanej dla niego i sir Jamesa. Idźcie obok kuchni, żeby nasz mały przyjaciel siedzący teraz na ramieniu Jima mógł sobie obejrzeć paleniska. Może Hob zechce usiąść na ramieniu sir Briana?

Hob natychmiast przeskoczył na bark rycerza. Brian był lekko zdumiony, lecz nie protestował, gdy skrzat mocno chwycił go za szyję. Jim odprowadził ich spojrzeniem do drzwi, które bezgłośnie się zamknęły, po czym znów popatrzył na Abu al-Qusayra.

–Nic chciałeś, by Hob usłyszał to, co masz mi do powiedzenia? – zapytał.

–W tym wypadku tak będzie lepiej – odparł starszy mag. – Cieszę się, że jesteście pewni tego, iż poradzicie sobie z wszelkimi stworami, jakie możecie napotkać w trakcie podróży. W zasadzie niebezpieczeństwo jest niewielkie. Większość tych stworzeń woli napadać na samotne ofiary. Z drugiej strony, gdybyście napotkali Mongołów, będzie ich tak wielu, że karawana nie zdoła im się oprzeć. W takim przypadku sugeruję, żebyście nie stawiali oporu. Po prostu wyjaśnijcie, po co zmierzacie do Palmyry. Postarałem się o trochę wina, a także nieco destylatu na łapówkę dla Mongołów. O ile wiem, na północy nazywacie go brandy albo jakoś podobnie. Możesz obiecać im cokolwiek, co uznasz za stosowne, aby zapewnić sobie bezpieczny przejazd. Ponadto byłoby dobrze, gdybyś sprawił za pomocą magii czy bez, że destylat pojawi się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Wiem, że ograniczasz teraz korzystanie z niej, czemu mogę tylko przyklasnąć. Wyczarowując destylat, zapobiegiesz podejrzeniom, że karawana przewozi więcej tego trunku, i obrabowaniu jej. Mongołowie są znani z upodobania do alkoholu.

–Tak słyszałem – rzekł Jim i istotnie lak było. Chociaż do tej pory prawie o tym zapomniał. Kolejny okruch wiedzy z dwudziestowiecznego świata, który opuścili z Angii. – A jeśli użyję czarów? Jak zareagują na to Mongołowie?

–Sądzę, że dobrze – odrzekł Abu al-Qusayr. – Może nawet zyskasz sobie ich szacunek. Uznają cię za równego ich szamanom, którzy faktycznie są swego rodzaju magami, chociaż pełnią także inne funkcje, włącznie z religijnymi.

–Skoro mowa o magii – powiedział Jim. – Podoba mi się ta obniżona temperatura w twoim domu. Dzięki magii, oczywiście?

–Oto jedna z moich słabostek – odparł z cichym westchnieniem Abu al-Qusayr – tak jak zielona murawa i kwiaty rosnące przez cały rok wokół domku twojego mistrza Carolinusa. Kiedy osiągniesz klasę A, mój synu, doświadczenie nauczy cię, jak osiągać cele bez magii, a wtedy będziesz mógł ją zużywać na jedną czy dwie słabostki. – Znów westchnął. – Mówię słabostkach – ciągnął – gdyż architektura tego domu jest odzwierciedleniem wspomnienia dobrych, dawnych czasów, gdy nasza śródziemnomorska cywilizacja była naprawdę wielka. Mieliśmy budowniczych, uczonych i mędrców wszelkiego rodzaju. Potem jednak nadciągnęły hordy Mongołów Dżyngis-chana i miasta zostały podbite lub zniszczone, a z nimi wiele idei i mądrości. Teraz żyję samotnie i w spokoju, rzadko miewam okazję toczyć dyskurs z kimś, kto umie myśleć i zastanawiać się nad tym, co widzi, a ponadto spogląda na świat, próbując go zrozumieć. – Umilkł, a potem otrząsnął się z zadumy. – Chyba za dużo

mówię o sobie – stwierdził. – Skoro mowa o mędrkach i uczonych, trzeba przyznać, iż paru z nich nadal chodzi po tym świecie. Jednego spotkasz w karawanie. To jeszcze młody człowiek. Nie dałbym mu więcej niż trzydzieści lat. Ma na imię Ibn Tariq, a rozmowa z nim może okazać się niezwykle interesująca podczas długiej podróży do Palmyry. Jechałeś już kiedyś na wielbłądzie?

–Nie – odparł Jim.

–Przekonasz się, że to także ciekawe doświadczenie – obiecał Abu al-Qusayr.

Rozdział 17

„Ciekawe” nie było słowem, jakim Jim określiłby jazdę na wielbłądzie.

Karawana, z którą on, Brian i Hob pięć dni temu opuścili Trypolis, zmierzała do Palmyry po stromych górskich ścieżkach, a Jim nadal nie panował nad swoim wierzchowcem.

Żeby usiąść w siodle, trzeba było zmuszać rumaka, by klęknął, z powodu bardzo długich nóg. Poza Brianem mającym te same kłopoty wszyscy jeźdźcy w karawanie robili to, stukając cienkim kijem w szyję zwierzęcia. Jim pukał lekko lub mocno w dowolnym rytmie, a wielbłąd po prostu ignorował go. Jim musiał jeszcze odkryć tajemnicę tej sztuczki. Ponadto wielbłąd miał uzdę i wodze, dzięki którym powinno kierować się nim jak koniem. Tymczasem nie zwracał uwagi na wszelkie próby podejmowane przez Jima. Szedł w szeregu innych wielbłądów. Kiedy one przystawały, on czynił to także. Węszył i wydawał głośne, bulgoczące dźwięki obojętny na obecność siedzącego na nim Jima, jakby ten był tylko dodatkowym bagażem.

Jedyną miłą odmianą po podskakiwaniu truchtającego konia był spokojny chód wielbłąda. Przenosił jednocześnie przednią i tylną nogę po jednej stronie ciała. Rezultatem tego było łagodne, niemal usypiające kołysanie, Jim pomyślał, że z łatwością mógłby zasnąć w takim siodle. Nawet łatwiej niż w siodle Tuaregów z wysokim łękiem, na którym jeździec mógł oprzeć ramiona i głowę. Widział już, jak jeden ze współtowarzyszy podróży spał skulony na grzbiecie wielbłąda,

Mały, czarnowłosy, okrągłogłowy mężczyzna z krótkim, zakrzywionym mieczem i kilkoma nożami za pasem, który jechał przed nim, skrzyżowawszy nogi na szyi wierzchowca, okazał się Mongołem. Nazywał się Baiju i należał do jakiegoś plemienia czy szczepu zwaśnionego z Mongołami, których mogli napotkać po drodze. Trudno było coś z niego wyciągnąć, ale wydawał się niebezpiecznym człowiekiem i Jim zauważył, że inni członkowie karawany starają się unikać zarówno jego, jak i wszystkiego, co mogłoby go obrazić.

Tymczasem inny towarzysz podróży okazał się prawdziwym błogosławieństwem. Był nim Ibn Tariq, wędrowny uczony i myśliciel, o którym wspominał Abu al-Qusayr.

Najwidoczniej nie należał do ubogich. Jego odzież, bagaż, głos i gesty, a nawet sposób, w jaki dosiadał wielbłąda, zdradzały majątnego arystokratę. W każdym razie, nawet jeśli nie był szlachetnie urodzony, to na pewno dobrze wykształcony.

Jim nie potrafił zmusić swego wielbłąda, żeby podjechał do Ibn Tariqa, ale ten bez trudu zrównywał swego i jadąc obok Jima, opowiadał mu o krainie, którą przemierzali, o karawanach, handlu i historii tej ziemi. Był istną encyklopedią wiadomości.

Często podczas tych rozmów Brian także podjeżdżał bliżej albo dokonywał tego z czyjąś pomocą, gdyż Ibn Tariqą warto było posłuchać.

Mongoł Baiju nigdy nie zbliżał się, aby porozmawiać z Jimem, kiedy był przy nim Ibn Tariq, a rzadko, gdy Smoczy Rycerz był sam. Jim miał wrażenie, że Baiju z lekką pogardą spogląda na niego i jego nieumiejętność obchodzenia się ze zwierzęciem, na którym jechał. Jednakże była to tolerancyjna wzgarda, zmieszana ze sporą dozą

szacunku. Baiju dowiedział się od kogoś, że Jim jest magiem.

Jim zastanawiał się, czy Ibn Tariq także o tym wie. Nawet jeśli tak, nie miał pojęcia, jak mógłby go o to uprzejmie zapytać. Sam Ibn Tariq był uosobieniem grzeczności.

–Co do upiorów, demonów i tym podobnych mieszkańców tych gór – zaryzykował w końcu Jim podczas rozmowy piątego dnia podróży. – Czy możemy je napotkać?

–Nic wątpię, iż nawet teraz są wokół nas i pozostaną aż do końca podróży – odparł Ibn Tariq. Jak Brian siedział prosto w siodle, tak że wydawał się wyższy, niż naprawdę był, czyli tylko odrobinę niższy od Jima. Miał haczykowaty nos, lecz poza tym jego twarz była urodziwa i spokojna. Píwne oczy zdawały się przenikać na wskroś wszystko, na co patrzył, jakby widziały siły rządzące światem. – Nie wspomnę już o džinnach i pomniejszych demonach, jak również asasynach, Mongołach i dzikich koczownikach, którzy obrabują nas, jeśli tylko będą mieli okazję.

–A zatem czy nie powinniśmy bardziej zadbać o nasze bezpieczeństwo? – zapytał Jim.

–Sądzę, że właściwie nie mamy powodu do obaw – rzekł Ibn Tariq. – Upiory wołają samotnych, zagubionych na pustkowiach. Pojawiają się im pod postacią pięknych kobiet. Tylko kiedy otworzą usta, widać, że w środku są zielone. Jak niewątpliwie wiesz, pożerają głównie martwych, lecz nie wahają się napadać na żywych, którzy nie mogą się obronić. Demony wołają żerować na tych, którzy złamali boskie prawa zapisane w Koranie. Ty jesteś niewiernym i jako taki nie będziesz dla nich interesujący. Jednakże rozumiem, iż w twojej części świata są inne zjawy, które byłyby groźne. Przed nimi chroni cię twoja wiara, taka jaką wyznajesz. Tutaj, rzecz jasna, nie uchroniłaby cię przed jednym z naszych demonów, które wiedzą, iż nie ma Boga nad Allaha. To interesujące. W jaki sposób broniłbyś się przed jednym z waszych niewiernych demonów północy?

W ten uprzejmy sposób pozwolił Jimowi napomknąć, że zajmuje się magią, chociaż nie demonami.

–Wcale nie jestem pewien, czy tam, skąd przybywam, również są demony – rzekł. – Właściwie należą one do pogańskich przesądów. Oczywiście, istnieją Ciemne Moce tworzące takie istoty jak ogry, harpie i inne. Jednak żadnej z nich nie można nazwać demonem. To jedynie stwory powołane do życia po to, by fizycznie atakowały ludzi. W przeciwieństwie do Złych Mocy, nie można ich odpędzić, żegnając się czy odmawiając „Ojcze nasz”.

–Ach tak – powiedział Ibn Tariq. – Modlitwa Jezusa z Nazaretu. On jest również jednym z naszych świętych, jak wiesz. Muzułmanin może wzywać imienia Allaha i liczyć na jego opiekę, lecz tylko od Allaha zależy, czy ją otrzyma. Niewielu ludzi ufałoby w nią tak bardzo, aby wejść między stwory ciemności. Z drugiej strony, jak powiedziałem, te stworzenia często szukają tych, którzy zgrzeszyli w oczach Allaha.

–A asasyni lub Mongołowie? – zapytał Jim. – Co z takimi wrogami?

–Nasza karawana jest duża – odparł Ibn Tariq. – Asasyni lubią mieć przewagę liczebną. Jak wszystkie plemiona, które mogłyby na nas napaść i mieszkają w tych górach, zapewne nie są na to dostatecznie silni. Rzecz jasna przeciwko Mongołom

niewiele moglibyśmy zdziałać. Byłoby ich zbyt wielu, a poza tym to zawzięci wojownicy. Jednakże horda Mongołów nie interesowałaby się tak małym łupem jak nasza karawana. Mogliby natknąć się na nas po drodze do znacznie ważniejszego celu ataku, na przykład jakiegoś miasta.

Urwał i spojrzął na Jima, wyraźnie zachęcając go, by coś powiedział. Jim zawahał się. Było oczywiste, że Ibn Tariq chciał się dowiedzieć, czy Jim dysponuje jakąś magiczną siłą, która pozwoliłaby mu obronić siebie, a może całą karawanę, przed ewentualnie napotkanymi Mongołami, ale dobre wychowanie nie pozwalało mu spytać o to wprost.

Niestety, ostrożność nie pozwalała Jimowi poruszać tego tematu. Do tego czasu był prawie pewny, że Ibn Tariq wie o jego czarodziejskich umiejętnościach. Lecz to nie to samo, co gdyby otwarcie powiedział o tym w rozmowie.

Jim usiłował znaleźć jakieś subtelne wyjście z sytuacji. Nie potrafił, tak jak Ibn Tariq, delikatnie i uprzejmie poprowadzić rozmowy w pożądanym kierunku. Z drugiej strony, tamten najwyraźniej wymuszał na nim poruszenie tego tematu. A Jim, chociaż nie zamierzał ukrywać swoich magicznych umiejętności, nie chciał wypaść z roli zacnego angielskiego szlachcica. Ten angielski rycerz mógł mieć wiele wad, ale z pewnością nie brakowało mu oglądy przynajmniej na tyle, aby nie chełpić się swoimi osiągnięciami.

Powstała dziwna sytuacja. Ibn Tariq jako uczony podróżnik chętnie wymieniłby się informacjami. Chciałby dowiedzieć się od Jima wszystkiego, co ten zechciałby wyjawić, tajniki magii, imiona czarodziejów, u których studiował, i tak dalej. Już od czterech dni delikatnie usiłował naprowadzić rozmowę na ten temat.

–Byłem zafascynowany – ciągnął Ibn Tariq, kiedy chwila milczenia zaczęła się nienaturalnie wydłużać – dowiedziawszy się o wielkim magu z Kordoby i o tym, jak przed pół wiekiem ocalił miasto.

Kolejna subtelna zachęta do wszczęcia rozmowy o czarach, jakie Jim mógłby rzucić w wypadku pojawienia się Mongołów. Niestety, Jim nigdy nie słyszał o wielkim magu z Kordoby, hiszpańskiego miasta, które w jedenastym i dwunastym wieku stało się stolicą zachodniego świata, przynajmniej dla Afryki Północnej.

–No cóż – rzekł Jim. – Sądzę, iż jeśli zjawią się Mongołowie, po prostu potraktujemy ich uprzejmie i będziemy mieć nadzieję, że wszystko dobrze się skończy.

–Inszallah („W imię Allana”) – odparł pokonany Ibn Tariq. – Słońce zachodzi już za szczyty gór. Niebawem zatrzymamy się na noc. Pojadę naprzód i sprawdzę miejsce, gdzie staniemy na nocleg.

Oddalił się i Jim został sam. Nie był tym zbyt rozczarowany, ponieważ potrzebował czasu do namysłu. Chciałby wypytać Ibn Tariqa o Palmyrę i szanse znalezienia tam ojca Geronde. Nie zamierzał jednak mówić o tym, dopóki nad każdą rozmową ciążył kontekst jego czarodziejskich umiejętności. Czego naprawdę chciał – a nawet, prawdę mówiąc, co usiłował ująć w słowa – to prosić Ibn Tariqa, aby zatrzymał dla siebie wszystko, co wie o Jimie i Brianie. Może nie da się tego wyciszyć, ale rzecz w tym, iż mag w plotkach i zwyczajnych rozmowach łatwo

zmieniał się w wielkiego maga. Wielcy magowie zaś budzili wielkie zainteresowanie. A nadmiar zainteresowania mógłby zaszkodzić ich poszukiwaniom w Palmyrze i uniemożliwić dyskretne odnalezienie lorda Malvern.

Główny problem Jima polegał na tym, że nawet za pomocą niewidzialnego i niewątpliwie magicznego translatora po prostu nie panował nad językiem w takim stopniu jak Ibn Tariq. Musiał dopiero wymyślić jakiś sposób, by wyjść naprzeciw oczekiwaniom tamtego i potwierdzić je, niczego nie ujmując w słowa.

Pogrążony w tych rozważaniach uświadomił sobie nagle, że nie jest już sam. Obok podążał drugi wielbłąd, a na jego grzbiecie Baiju.

Mongoł towarzyszył mu już od kilku minut, ale – jak zwykle – wyraźnie nie spieszył się, by nawiązać rozmowę z Jimem.

Dziwne, pomyślał rycerz. Na pozór Baiju powinien wydawać się nic nie znaczącą, a nawet zabawną postacią. Nie tylko był niewysoki, ale w dodatku mocno zgarbiony, choć Jim w końcu doszedł do wniosku, że Mongoł nie garbi się, ale leniwie rozpiera się w siodle. Prawdę mówiąc, siedział na nim lepiej niż jakikolwiek inny jeździec w karawanie. Twarz miał owalną, o lekko skośnych oczach, wystających kościach policzkowych i żółtej skórze. Jego czarne oczy miały nieprzenikniony wyraz. Nie można było z nich wyczytać, co czuje, nie wspominając już o tym, co zamierza.

Mimo to, na swój lakoniczny sposób, zachowywał się dość przyjaźnie. Stanowił przeciwieństwo Ibn Tariqa, ponieważ nie tyle odpowiadał na zadane mu pytania, ile wypowiadał zwięzłe stwierdzenia... Jim wiedział, że Mongoł nie odezwie się, dopóki on nie rozpocznie rozmowy,

–Wkrótce zatrzymamy się na noc – powiedział. – Wydaje mi się, że już robi się zimniej. Choć w końcu droga przez cały czas wiedzie w górę.

Spojrzał na Baiju, który wydawał się nie nosić pod zbroją nic prócz cienkiej ciemnoniebieskiej koszuli zrobionej z czegoś, co wyglądało jak zadziwiająco nowoczesny, gęsto tkany i cienki materiał.

–Czy na tych górskich wyżynach nie dokucza ci zimno? Dlatego nosisz pod kolczugą tylko tę koszulę? – zapytał Jim.

–Ta koszula jest z jedwabiu – wyjaśnił Baiju.

Jimowi zrobiło się głupio. Oczywiście, Mongołowie z ich dalekowschodnimi powiązaniem mogli nosić odzież z jedwabiu. Prawdę mówiąc, teraz, kiedy o tym pomyślał, ta szata, w której widział Abu a]-Qusayra też...

–Mimo wszystko – rzekł – na zachodzie zwykliśmy nosić pod kolczugą watowaną odzież. Nie używacie czegoś takiego? Czy też tutejsza moda nie pozwala na to?

–Jedwab nosimy ze względu na strzały – rzekł Baiju. – Kiedy grot wbije się w ciało, wpycha ze sobą jedwab. Łatwo go wtedy wyjąć, delikatnie ciągnąc materiał.

Jim zachnął się w duchu. Nigdy nie słyszał o takiej metodzie usuwania strzał, ale może była skuteczna. Jedwab jest pod wieloma względami ciekawym materiałem. Mógł oplątywać się wokół haczykowatych grotów strzał dostatecznie mocno, aby nie pęknąć przy pociągnięciu i wyrwać pocisk z rany. Usuwanie strzały w taki sposób nie było najprzyjemniejszym przeżyciem – chociaż, skoro o tym mowa, wycinanie jej z ciała mogłoby być jeszcze gorsze.

–Czy mongolskie strzały zawsze mają haczykowate groty? – zapytał.

–Zawsze – odparł Baiju.

–A czy różnią się wyglądem w zależności od szczepu? Może powinienem powiedzieć w zależności od królestwa...

–Nie różnią się – stwierdził Baiju.

–Na zachodzie mamy różną broń – ciągnął Jim. – Oczywiście, wykonane w różnym stylu miecze zasadniczo dzielą się na długie i krótkie. Zazwyczaj jednak można poznać po broni i sposobie ubierania się, skąd pochodzi dany człowiek. Jak poznasz, skąd pochodzi jakiś Mongoł?

–Patrzysz – odparł Baiju.

Jim oczekiwał, że rozwinięte to stwierdzenie, ale widocznie tak brzmiała cała odpowiedź.

–Chciałem zapytać – nie ustępował Jim – jakich różnic wypatrujesz? Czy jego wygląd, ubranie czy oręż lub cokolwiek świadczy o tym, kim on jest?

–Patrzysz – rzekł Baiju. – To wszystko. Patrzysz i wiesz.

–Rozumiem – rzekł Jim. – Jeżeli natkniemy się na hordę Mongołów, będziesz wiedział z którego mongolskiego państwa pochodzą?

–Ze Złotej Ordy – Baiju przechylił się w siodle i splunął na ziemię.

–Twoi? – spytał Jim.

–Nie – powiedział Baiju. – Ja jestem z Il'khanatu. Bronimy tej północnej ziemi przed Domem Juchiego ze Złotej Ordy.

Przejechali kawałek w milczeniu.

–Czy Złota Orda przyjaźni się z asasynami? – spytał wreszcie Jim. – Albo czy wśród asasynów są jacyś Mongołowie?

–Nie – rzekł Baiju. – Asasyni nie są wojownikami. Mongołowie to wojownicy.

–Ibn Tariq powiedział, że asasyni nie powinni nas niepokoić, ponieważ karawana jest zbyt liczna.

Baiju obrócił głowę i spojrzał mu w oczy. Potem znów odwrócił wzrok. Jim zaczął już rozumieć gesty tego niewysokiego człowieka i w tym wyczuł pogardę. Widocznie Baiju nie miał najlepszego zdania o obronnych możliwościach karawany.

Jechali skalistym wężowozem między dwiema urwistymi ścianami, które opadały w rumowisko ostrych jak brzytwa głazów. Teraz dotarli do wylotu kanionu i urwiska po obu stronach zniknęły, wypuszczając ich na otwartą przestrzeń usianą kamieniami rozmaitych rozmiarów, od kamyczka do skał wielkości małego domu.

Wyglądało to jak starożytny akwedukt i rzeczywiście płynął tu strumień. Woda płynęła ze źródła tryskającego z niemal pionowej ściany tuż przed nimi, Jim słyszał okrzyki poganiaczy wielbłądów wstrzymujących rumaki i każących im klęknąć. Dotarli do miejsca, gdzie mieli spędzić noc.

Gdy słońce zniknęło za górami i zapadł zmierzch, większość wielbłądów już rozładowano i porozstawiano namioty lub jurty. Dzięki Abu al-Qusayrowi Jim i Brian mieli dwa juczne zwierzęta. Jeden z zapasowych wielbłądów niósł namiot, który nauczyli się rozstawiać.

Postawili go i tuż przed wejściem rozpalili ognisko z suszonego wielbłądziego

łajna stanowiącego część bagażu na ten etap wycieczki przez góry. Baiju spał sam. O ile Jim dobrze zauważył, mały wojownik nie miał namiotu i po prostu kładł się obok swego rumaka lub w pierwszym lepszym zagłębieniu, dającym osłonę przed wiatrem.

Ibn Tariq chyba dołączył do innej grupy, ledwie widocznej w oddali między dwoma głazami. Wyglądało na to, że pół tuzina kupców urządziło tam sobie coś w rodzaju wspólnego obiadu,

–Ci niewierni nie potrafią nakarmić człowieka – narzekał Brian, gdy usiedli do steku pochodzącego z zapasów będących częścią ich ładunku i dowodem kurtuazji Abu al-Qusayra.

–Zapewne w tych stronach trudno o mięso – zauważył Jim. – Po pierwsze, mają tu tylko kozy, a może trochę owiec, chociaż dotychczas nie widzieliśmy ich wiele.

–Za to na Cyprze było ich aż nadto – zauważył Brian. – Człowiek może napchać sobie żołądek pieczoną baraniną. Jednak kilka kawałków koziego mięsa nie okraszy tej garstki warzyw.

Mimo narzekań Brian pochłaniał szybciej od Jima ten późny wieczorny posiłek. Jadali tylko dwa razy dziennie – wcześniej rano przed wymarszem oraz na wieczornym postoju.

–Może napotkamy jakieś dzikie kozy lub inną zwierzynę, mieszkającą w tych górach – rzekł Jim. Zaczął zdejmować ciężkie, sięgające do kostek buty zakupione na tę górską wyprawę w Trypolisie. Potem zmienił zdanie. Będzie mu cieplej w stopy, jeśli je zostawi na nogach. – I może zdołamy zabić jakieś zwierzę czy dwa, co zapewni nam świeże mięso.

–Niech święty Franciszek miłosiernie zadba o to – rzekł Brian.

Hob wyszedł z sakwy na plecach Jima i usiadł mu na ramieniu. Siedzieli z dala od innych członków karawany, tak że nikt nie mógł spostrzec go w półmroku, przy słabym blasku ogniska. Prawdę mówiąc, każdy, kto by go zauważył, uznałby go za bezwłosą i dość dziwnie wyglądającą małpkę. Miał odpowiednie rozmiary i kształt.

Jednak doskonale udawało mu się pozostawać niewidzialnym. Uwielbiał te nocne popasy. Przenosił się z jednego pasma dymu na drugie nad ogniskami podróżnych i wracał, tryskając bezużytecznymi informacjami oraz historyjkami o demonach i potworach podsłuchanymi w rozmowach ludzi, którym nigdy nie wpadło do głowy, by spojrzeć w górę, gdzie siwy dym ginął w pociemniałym niebie. Nie mógł się doczekać, kiedy opowie o wszystkim Jimowi.

Jednakże był sumiennym skrzatem. Kiedy tej nocy wrócił do ich namiotu i zastał Jima i Briana pogrążonych we śnie, dał im długo pospać. Powrócił na wygodne łoże z dymu nad ich ogniskiem. A gdy zaczęło gasnąć, w zadumie podsycił je paliwem, które miało wystarczyć im do końca podróży.

Rozdział 18

Jim obudził się, mając wrażenie, że się dusi. Był zaskoczony i oszołomiony, lecz jego instynkt przetrwania pracował pełną parą. Wypadł przez drzwi namiotu i całkiem otrzeźwiał, staczając się na złamanie karku po skalistym zboczu. Mocno przytrzymał jakąś mniejszą i zakapturzoną postać, która usiłowała owinąć mu nos i usta kawałkiem materiału.

Gdy jego umysł znów przynajmniej częściowo zaczął działać, przeniósł chwyt na ramiona napastnika i w chwili, kiedy znalazł się na nim, obezwładnił go, mocno uderzając kolaniem i tłukąc głową tamtego o skalisty grunt. Przeciwnik zwiotczał, a Jim podniósł się z ziemi tylko po to, by znów powaliły go na nią trzy inne zakapturzone postacie, które przytrzymały go i mocno owinęły głowę innym kawałkiem szmaty. Jim walczył zaciekle, aż coś uderzyło go w skroń tak lekko, że prawie tego nie poczuł.

Dziwne, lecz to była ostatnia rzecz, jaką zapamiętał.

W końcu się ocknął, mając wrażenie, że upłynęło sporo czasu. Szedł gdzieś w górach po wąskim skalnym występie, a przed nim maszerował Brian ze związanymi na plecach rękami. Z przodu szło wielu brązowoskórych mężczyzn, których nie rozpoznawał. Choć, prawdę mówiąc, w całej karawanie znał tylko dwóch lub trzech mężczyzn. Kimkolwiek byli ci ludzie, nie zakrywali twarzy kapturami. Niewiele mu to pomogło, bo równie dobrze mogli być kupcami wędrującymi uprzednio z karawaną.

Miał świadomość tego, że za nim idą następni, a także zrozumiał, iż od jakiegoś czasu jest półprzytomny. Ponadto miał wrażenie, że idzie bardzo długo – dzień lub dwa. Bolała go lewa strona głowy. Odruchowo spróbował podnieść ręce, aby sprawdzić przyczynę, i nagle zrozumiał, że tak jak Brianowi związane mu je na plecach. Nawiasem mówiąc, bardzo mocno.

Przypomniawszy sobie, że jakiś czas temu przystanął, gdy zebrało mu się na wymioty. Otaczających go ludzi bardzo to rozgniewało, ale ktoś, najwidoczniej ich przywódca, zawrócił konia, podjechał do nich i stanowczo kazał im zostawić go w spokoju, aż znów będzie mógł iść.

Nagle przypomniał sobie uderzenie w skroń i określenie „wstrząśnienie mózgu” samo przyszło mu do głowy. Typowe objawy – cios wystarczająco silny, by pozbawić przytomności, ból głowy i opuchlizna, jaką czuł po prawej stronie, czyli przeciwnej do tej, w którą go uderzono. Istniał medyczny termin określający taki zespół objawów, ale Jim nie mógł go sobie teraz przypomnieć. Jednak wszystkie wskazywały prawdopodobieństwo wstrząśnienia mózgu. Jeśli tak, to nie powinien teraz chodzić. Powinien jak najwięcej leżeć.

Przypomniawszy sobie, że w wyniku wstrząsu może dojść do uszkodzenia mózgu, gdyż cios w głowę powoduje uderzenie tkanki o puszkę czaszki po przeciwnej stronie – i właśnie w tym miejscu powstają zniszczenia. Reszty nie był pewien. Powstawał krwiak w miejscu uszkodzenia lub obrzmienie naciskające na twardą kość czaszki i powodujące groźny wzrost ciśnienia śródczaszkowego. Ofiara wstrząśnienia mózgu mogła umrzeć nagle dzień lub dwa po wypadku, nawet nie wiedząc, że była ciężko ranna.

Teraz, kiedy skoncentrował się na swoich doznaniach, poczuł również zmęczenie, zaburzenia równowagi i ogólną ociężałość ciała, jakby wykończył go długi marsz po górach ze związanymi rękami.

To nie miało sensu. Ci ludzie najwyraźniej podkradli się do karawany, kiedy wszyscy spali, ale pojмали tylko Briana i jego, a teraz prowadzili ich dokądś. Mógłby natychmiast uwolnić siebie i Briana za pomocą magii. Skoro o tym mowa, zapewne mógł także przenieść siebie i przyjaciela daleko stąd. Zrobi to później, jeśli zajdzie potrzeba. Na razie chciał się dowiedzieć, dlaczego do tego doszło. Jeśli poczeka, aż dowiedzą się o tym więcej, może to przybliży chwilę znalezienia ojca Geronde.

Pragnął tylko, żeby głowa nie bolała go tak bardzo, co pozwoliłoby mu zebrać myśli. Poza tym chciał podnieść ręce, pomacać obolałe miejsca i sprawdzić, czy jest tam guz, czy rozcięcie.

No cóż, jedno mógł zrobić na pewno. A jeśli istniał usprawiedliwiony powód użycia magii, to musiał być nim ten. Magia nie może uleczyć choroby, ale może goić rany. Cios w głowę najwyraźniej spowodował jakieś obrażenia. Jim powinien przede wszystkim uśmierzyć ból głowy. Zdołał wyobrazić sobie swój mózg jako czerwony i obrzmiały po tej stronie, gdzie go nie bolało. Potem kazał zaczerwienieniu i opuchliznie zniknąć.

Dopiero po chwili uświadomił sobie, że udało mu się tego dokonać. Najbardziej zauważalną zmianą było to, że nagle przestało go łupać w głowie. Dopiero teraz Jim zrozumiał, iż prawie przyzwyczyił się do tego bólu.

Nie miało to jednak znaczenia. Najważniejsze było to, że zagrożenie spowodowane wstrząśnieniem mózgu minęło. Rzeczywiście rozjaśniło mu się w głowie. Niestety, teraz o wiele bardziej zaczęły mu dokuczać rzemienie, czy cokolwiek to było, tak mocno zaciśnięte, że bolały go dłonie, do których nie dochodziła krew.

Już zamierzał, odruchowo, wyobrazić sobie, jak te pęta rozluźniają się, żeby krew znów mogła swobodnie krążyć. Nagle jednak przyszła mu do głowy nowa myśl i w duchu przeklął się, że nie pomyślał o tym wcześniej. Oto kraina wszelakiej magii i niby-magii, w wypadku naturalnych nieświadomej i nie kontrolowanej. Równie dobrze mogły nią rozporządzać jakieś inne, celowo działające moce. Bardzo możliwe, że jeśli sam jej użyje, zwróci na siebie uwagę kogoś, kto chciał go na tym przyłapać i wybadać, jaką dysponuje siłą.

Może lepiej sprawdzić, czy nie uda mu się poluzować tych więzów w jakiś inny sposób.

Gdy te myśli przemykały mu przez głowę, biegnąca wąską półką ścieżka rozszerzyła się. Wpadła do kolejnej kamiennej doliny ze źródłem tryskającym z urwiska i drzemącym u jego podnóża jeziorkiem, z którego woda przelewała się i ściekała po zboczu góry.

Idący przodem ludzie już zgromadzili się przy źródle i pili. Nagle na widok wody Jim poczuł dręczące pragnienie. Wydłużył krok, lecz powstrzymał go zwarty krąg czekających na swoją kolejkę ciemieńców.

–Cofnij się, niewierny! – warknął jeden z konwojujących go strażników. W jego

głosie nie było cienia współczucia, ale Jim skorzystał z okazji, aby porozmawiać z nim.

–Słuchaj – rzekł – nie wiem, gdzie jestem, więc nie mogę wam teraz uciec. Nie mógłbyś zdjąć mi tych sznurów, czy cokolwiek to jest? A przynajmniej poluzować je? Są tak mocno zawiązane, że drętwieją mi dłonie i nie będę mógł nabrać nimi wody, żeby się napić.

W odpowiedzi tamten nagle wymierzył mu w twarz cios tak niespodziewany, że Jim o mało nie upadł.

Natychmiast wybuchło zamieszanie i przez tłum przecisnęła się inna postać – a raczej tłum rozstąpił się przed nią. Mężczyzna podszedł do Jima i człowieka, który go uderzył.

–Co się stało? – spytał.

–Próbował uciec – odparł zapytany.

–On kłamie! – wychrypiał ktoś. To Brian przepchnął się przez tłum otaczający ciasnym kręgiem przywódcę. – Prosił tylko, żebyście poluzowali nam więzy. Powinniście to zrobić. Moje także. Nie jesteśmy uzbrojeni i nie mamy dokąd uciec.

–Nie próbował uciekać? – zapytał przywódca.

–Nie, niech diabli porwą wasze czarne dusze! – rzekł Brian. – Jestem angielskim rycerzem i mam tylko jedno słowo.

Był mocno potłuczony. Miał podbite oczy, nos mniej skrzywiony niż zwykle, a twarz pokaleczoną i podrapaną w kilku miejscach. Ponadto wyraźnie kulał, gdy przeciskał się przez tłum.

–To on kłamie... – zaczął mężczyzna, który uderzył jeńca. Przybyły przed chwilą przywódca wymierzył mu cios równie silny jak ten, który otrzymał Jim. Kłamca runął na ziemię.

–Ja osądzę, kto tu kłamie! – powiedział przywódca. – Ty łżesz. Niewierni mówią prawdę.

Jim nie był tego taki pewny. Powtarzał sobie, że gdyby nie mógł polegać na swojej magii, kłamałby bez skrupułów tak samo, jak człowiek, który teraz leżał na ziemi.

–Zdejmijcie im więzy z rąk! – powiedział przywódca, odwracając się i wracając do źródła. – I dajcie im pić! – dorzucił przez ramię.

Czyjeś palce zaczęły gmerać przy nadgarstkach Jima. Więzy opadły i po chwili poczuł, jakby jego dłonie przepuszczano przez najwymyślniejszą maszynę do tortur znaną średniowieczu. Krew znów zaczęła dochodzić do palców, a Jim w tym momencie prawie pożałował, że rozwiązano mu ręce.

Natomiast Brian niczego nie dawał po sobie poznać, choć nie mógł czuć się wiele lepiej od Jima. Stojący wokół nich ciemiecy wyraźnie i niemal chciwie wypatrywali jakiegokolwiek oznaki słabości lub bólu. Jim zdołał zachować kamienną twarz, a ból powoli zaczął ustępować. W pewnej chwili dosłownie czuł krew pulsującą mu w żyłach. Potem uczucie to także minęło i zostało tylko pieczenie otartych nadgarstków.

Jim wyciągnął ręce przed siebie i spojrzał na przeguby. Nie był to przyjemny

widok. Sznury, rzemienie czy cokolwiek to było, poprzecinały mu skórę, która była poszarpana i zakrwawiona. Wykorzystał jeziorko, żeby obmyć rany, gdyż jego i Briana dopuszczono do wody na samym końcu. Obmyte przeguby okazały się bardziej posiniaczone niż poranione. Także i te obrażenia mógł wygoić dzięki magii, ale ktoś mógł zauważyć, jak Jim wykorzystuje swoje umiejętności. Im mniej wiedzieli o jego możliwościach w tej dziedzinie, tym lepiej.

Brian także przemył swoją pokiereszowaną twarz, która wyglądała znacznie lepiej, gdy usunął z niej zaschnięte strużki krwi. Pozwolono im iść dalej z nie związanymi ponownie rękami. Jim obmacał guz z prawej strony głowy, a raczej miejsce, gdzie ten guz był. Usuwając skutki wstrząśnienia mózgu, zlikwidował także obrażenia spowodowane przez cios.

Mogli nawet iść z Brianem obok siebie w miejscach, gdzie szlak był dostatecznie szeroki. Większość ich eskorty również szła pieszo. Tylko mężczyzna, który przedtem zawrócił konia i kazał zdjąć im więzy, pozostał w siodle i jechał na czele grupki.

Jim nic nie mówił, Brian także. Wymienili przelotne spojrzenie zdradzające idealną zgodność poglądów. Eskorta szła dostatecznie blisko, by usłyszeć każde ich słowo – co było, niewątpliwie, zamierzone. Po raz pierwszy Jim nie był zadowolony z tego, że wszyscy na tym świecie wydają się mówić tym samym językiem.

Gdyby używano tu takiego mnóstwa rozmaitych języków jak w jego dwudziestowiecznym świecie, Jim i Brian mogliby rozmawiać po angielsku i mieć nadzieję, że ci ludzie ich nie rozumieją. W tym celu mogliby mówić z charakterystycznym akcentem Sornerseshire, gdzie obaj mieszkali, zrozumiałym dla każdego Anglika, lecz nie dla nienawykłego ucha człowieka ze Środkowego Wschodu. No nic, na pewno później znajdzie się okazja, żeby porównać obserwacje i omówić sytuację.

Dwie godziny później dotarli do celu: zamku, a raczej kamiennej fortecy. Budowla była znacznie większa od siedziby sir Mortimora na Cyprze, lecz umieszczona w równie łatwym do obrony miejscu na pionowym skalnym urwisku.

Nie miała fosy z wodą, ale przed wrotami ciągnął się głęboki rów, będący prawdopodobnie dziełem ludzkich rąk. Przerzucono nad nim zwodzony drewniany most, wciągany na łańcuchach do zamku. Kiedy przechodzili po nim, Jim spojrzał w dół.

Natychmiast tego pożałował. Rów miał głębokość większą od wzrostu przeciętnego mężczyzny i dno najeżone ostrymi grotami włóczni lub dzid, których pół tuzina natychmiast przeszyłoby każdego, kto by tam wpadł lub został wrzucony. I rzeczywiście, leżały tam trupy – od szkieletów po zwłoki ludzi martwych zaledwie od kilku dni lub tygodni. Smród zapierał dech.

Przeszli dalej przez bramę, która otworzyła się przed nimi. Znaleźli się na czymś w rodzaju niewielkiego, zadaszzonego dziedzińca pełniącego jednocześnie funkcję stajni. Przywódca oddziału zsiadł z konia i rzucił wodze stajennemu.

Wydał rozkaz i dwóch ludzi z eskorty pod groźbą użycia noży poprowadziło Jima i Briana naprzód. Poszli dalej w piątkę.

Przeszli kolejną bramę, potem długim korytarzem i schodami w dół do krótszego oraz węższego, z celami ciągnącymi się po obu jego stronach. Końce żelaznych sztab osadzono w kamiennym stropie i podłodze, tworząc klatki mające po trzy metry kwadratowe. Cele wyglądały bardzo nowoczesnie, niemal jak dwudziestowieczne. a według średniowiecznych norm były niezwykle czyste. Jim nie miał pojęcia, co to mogło oznaczać, lecz panująca tu czystość budziła niepokój. Zaprowadzono ich do jednej z cel, którą zamknięto żelazną sztabą z długim łańcuchem, a jego koniec przymocowano poza zasięgiem więźniów do kamiennej podłogi. Do tej pory mężczyzna, którego Jim uznał za przywódcę ekspedycji, nie odezwał się słowem. Zrobił to teraz.

–Zaczekacie tu – rzekł. – W swoim czasie nasz święty mistrz wezwie was przed swe oblicze. Nie próbujcie uciekać. Stąd nie ma ucieczki.

On oraz dwaj ludzie z eskorty, którzy przyprowadzili tutaj jeńców, odwrócili się i wyszli. Jim i Brian zostali sami w ciszy tak głębokiej, że zdawała się dzwonić w uszach. Spojrzeli na siebie w żółtawym, migoczącym świetle pochodni zatkniętej na końcu korytarza, u podnóża wiodących tutaj schodów.

Brian nadal wyglądał okropnie, ale nie zważał na to, bacznie rozglądając się wokół. Uważnie obejrzał kraty i celę, włącznie z podłogą i sufitem. Po chwili znów spojrzał na Jima i zamruczał mu cicho do ucha:

–Nie wiem, w jaki sposób mogliby podsłuchać to, co do siebie mówimy – rzekł. – Jestem jednak pewien, że mogą. Jeśli będziemy mówić cicho i stać blisko siebie, może nie zrozumieją nas, nawet jeżeli pochwycą niektóre słowa.

Jim kiwnął głową.

–Czy wiesz, dlaczego nas tutaj sprowadzili? – zapytał Brian, – Albo, Jamesie, czy masz już jakiś plan działania?

Jim przysunął głowę do ucha przyjaciela i powiedział równie cicho:

–Nie mam pojęcia, dlaczego uprowadzili nas z karawany. Najdziwniejsze jest to, iż cały ten wypad przeprowadzono najwyraźniej tylko po to, by uprowadzić nas dwóch. Oczywiście, nie mam pojęcia, co jeszcze mogli zabrać z karawany.

–Zgadzam się z tobą – rzekł Brian. – To bardzo dziwne. Jak myślisz, gdzie jesteśmy?

–Skoro wspomniano o wielkim mistrzu – odparł Jim – domyślam się, że jesteśmy w siedzibie asasynów. Nie mam pojęcia dlaczego. Czy przychodzi ci do głowy jakiś powód, dla którego ktoś w tej krainie, z asasynami włącznie, chciałby uniemożliwić nam odnalezienie ojca Geronde?

Brian potrząsnął głową.

–No cóż, powiem ci jedno, Brianie – rzekł Jim. – W razie potrzeby mogę użyć magii i obaj stąd uciekniemy, jeśli tylko coś w tym zamku lub w tej krainie nie sprawi, że czary przestaną działać. Nie sądzę jednak, aby tak się stało. Mogę niemal obiecać ci, że wydostanę nas stąd bez względu na to, co się zdarzy. Na razie nie zrobiłem tego, gdyż zaczynam podejrzewać, że z jakiegoś powodu ktoś chce sprawdzić moje magiczne umiejętności. Tak więc nie tylko będę korzystał z nich jak najrzadziej, ale także w jak najmniejszych ilościach i w najprostszej formie. Dlatego nie zagoiłem

naszych przegubów, kiedy nas rozwiązano. Od razu by to zauważyli.

–Och, te ślady? – rzekł Brian. – To drobiazg, Jamesie. No chyba, że przeszkodzą ci zrobić... to, co zamierzasz.

–Nie – odparł Jim. – Najlepiej będzie, jeśli zachowamy się jak dwaj zwyczajni ludzie, porwani i zamknięci tutaj. Zaczekajmy, aż wyjaśnią nam sytuację. Prawdę mówiąc, sądzę...

Nagle przerwał mu nieoczekiwany, ale miły dźwięk.

–Milordzie! – zawołał znajomy głosik. Obaj rycerze obejrzeni się i ujrzeli skrzata przechodzącego między prętami. Po ich drugiej stronie został nieśmiało merdający ogonem brązowy pies. – Spójrz, kogo przyprowadziłem, milordzie!

–Próbowałem ostrzec karawanę szczekaniem – powiedział dzinn-pies. – Nic mieli tam psów. Jednak albo nie zbudzili się, albo bali się sprawdzić źródło hałasu. Udało mi się zbudzić tylko twojego skrzata. Robiłem, co mogłem, żeby was uratować, mistrzu!

–Doprawdy? – rzekł Jim, wciąż podejrzliwie, bowiem Kelb wyraźnie próbował naśladować niewinny, bezpośredni i niemal dziecinny sposób wyrażania się Hoba.

–Och, to jedna z tych spraw, o których zamierzałem opowiedzieć ci tego wieczoru, panie – wtrącił pospiesznie Hob. – Przy każdym ognisku ludzie mówili sobie, że tej nocy będą spać szczególnie mocno. Kiedy ktoś wspomniał o tym, pozostali dziwnie patrzyli po sobie, a potem przez chwilę nie odzywali się słowem. A kiedy wróciłem, ty i milord Brian już spaliście...

–A cóż to takiego? – Brian gapił się na Kelba. – Mówiący pies?

–To dzinn, który szuka mojej opieki – odparł Jim. – Jeszcze nie wyraziłem zgody... – dodał z naciskiem, obrzucając psa przeciągłym i uważnym spojrzeniem. – Jest tylko jedna ciekawa rzecz. On wcale nie próbuje mówić ciszej, więc każde jego słowo słyhać gdzieś na zamku. Hobie, ty również powinieneś o tym pamiętać. Wszystko, co powiesz, zostanie zapewne usłyszane i zrozumiane przez kogoś. Jesteśmy pewni, że nas podsłuchują.

–Ale nie w tej chwili, panie – rzekł Hob. – Wszyscy mają teraz jakieś spotkanie.

–Spotkanie?

–Tak, panie – wtrącił szybko Kelb. – Od wielkiego mistrza dostają rozkaz następnego takiego wypadu jak ten na karawanę.

–Hmm – mruknął Jim. Zwrócił się do Hoba,

–Jak wy dwaj dostaliście się tutaj?

–Och, przeniosłem go na smudze dymu – powiedział z niepokojem Hob. – Czy źle zrobiłem, panie? Nie wiedziałem, jak mam ci pomóc, ale pomyślałem, że jeśli tu przylecę, to może wpadniesz na jakiś pomysł i powiesz mi, co mam robić, bym mógł być użyteczny.

–Nie będziesz im potrzebny – powiedział mu Kelb. Znów zwrócił się do Jima i Briana: – Nie obawiajcie się, panowie. Gdybyście z jakiegoś powodu nie mogli stąd uciec, uwolnię was i ponownie poprowadzę do Palmyry oraz do tego, kogo tam szukacie.

–Skąd wiesz, że szukamy kogoś w Palmyrze? – zapytał Jim.

Jednak w tym momencie usłyszeli ludzkie głosy na schodach prowadzących do ich więzienia. Hob wspiął się po kratkach w ciemny kąt pod sufitem, gdzie jego szare ciało prawie rozplynęło się w mroku, a Kelb dosłownie zniknął.

Rozdział 19

Głosy przybliżyły się. Czterej mężczyźni zeszli po schodach prowadzeni przez przywódcę oddziału, który porwał Jima i Briana. Bez słowa otworzyli drzwi celi, wypuścili obu więźniów i poprowadzili ich schodami w górę. Minęli kilka długich korytarzy i weszli do wielkiej, prostokątnej sali o kopulastym sklepieniu z osadzonymi w nim szklanymi oknami, przez które wpadało popołudniowe słońce. Pod przeciwległą ścianą komnaty na poduszkach siedział jakiś mężczyzna, który nic poruszył się, gdy wprowadzono jeńców. Potem podniósł rękę i czterej strażnicy oraz ich przywódca odeszli.

Brian i Jim stali przed siedzącym człowiekiem.

Był mężczyzną w nieokreślonym wieku, który Jim ocenił na bliski pięćdziesiątki, a nawet sześćdziesiątki. Może miał niewielką nadwagę, lecz takie wrażenie równie dobrze mogło być spowodowane pozycją, jaką przyjął – skrzyżowaniem nóg na zielonych poduszkach. Nosił zieloną szatę w tym samym odcieniu co poducha, na której siedział. Głowę okrywał czapką przypominającą oklapnięty, biały beret. Oczy miał czarne, brwi siwe, a twarz gładko wygoloną. Byłaby to dobrotliwa twarz, ojcowska, spokojna i prawie łagodna, gdyby nie agresywnie wystająca szczęka i wąskie, zaciśnięte wargi, nadające jej stanowczy, dziwnie nie pasujący do gładkiego oblicza wyraz.

–Tak więc – rzekł – przyprowadzono was do mnie.

–A kimże jesteś, do diabła? – warknął Brian, Mężczyzna powoli przeniósł swe spojrzenie na niego. Kiedy znów otworzył usta, mówił dokładnie tym samym tonem.

–Wiedźcie – oznajmił – iż jestem Hasanem ad-Dimrim i wcześniej opuściłem dom mego ojca, aby podróżować z miasta do miasta z podobnymi sobie. Po kilku latach ludzie składali mi dary i kłaniali mi się, aby usłyszeć słowa mądrości płynące z mych ust. Pewnej nocy przybył błogosławiony anioł i tak przemówił do mnie: „O ty, któryś prawowitym władcą wszego świata, nadchodzi czas powrotu Isma'ila. Trzeba jednak utorować mu drogę. Zatem idź i obejmij władzę nad hasz-szaszimi z Białego Pałacu w górach. Wskrześ ich dawną świetność i każ plewić chwast pośród wiernych i niewiernych pospołu, aby, gdy nadejdzie Isma'il, przybył na ziemię czystą i żyzną jak dobrze utrzymany ogród”. – Obrzucił spojrzeniem Jima. – Obaj jesteście niewiernymi – powiedział – i twierdzicie, że szukacie innego niewiernego. Dlatego jesteście smrodem w nozdrzach wiernych. Lecz ty, który nazywasz się Jamesem, jesteś gorszy od tego, który ci towarzyszy, i tego, którego szukasz, ponieważ jesteś niewiernym czarodziejem, Ja jestem chroniony przez cień i dłoń Allaha, więc twoje czary na mnie nie działają. Nie boję się ciebie. Jednak nawet wśród wiernych mogą znaleźć się tacy, którzy są słabi lub pobłądzą na ścieżkach wiary. Na tych twoje paskudne zaklęcia mogłyby wpłynąć tak, że wyrzekliby się prawdziwej wiary i skazali na wieczne potępienie. Tak więc moim obowiązkiem jest zapobiec temu. Moje dzieci, hasz-szaszi, których nazywacie asasynami, ochronią i poprowadzą twego przyjaciela ku jego przeznaczeniu. Lecz ty musisz ponieść śmierć z ręki ludzi prawdziwej wiary, niepodatnych na czary niewiernych, jakie mógłbyś rzucić...

Urwał gwałtownie w sposób świadczący o tym, że miał więcej do powiedzenia.

Spojrzał na coś za plecami Jima i Briana,

Odwrócili się i zobaczyli, na co patrzył. Tuż za nimi stał Abu al-Qusayr w swej czerwonej szacie.

–Salaam – powiedział do Hasana ad-Dimriego.

–Salaam aleikum.

Jim, nadal usiłując oswoić się z myślą, że stanął w obliczu nieuchronnej śmierci, zorientował się, że po raz pierwszy jego tłumacz nie przekłada rozmowy. Pod wpływem przemożnej ulgi w następnej chwili zapomniał o tym. Pomoc nadeszła bez potrzeby uciekania się do magii.

To prawda, że ostatnie słowa były jednymi z nielicznych, jakie rozumiał po arabsku – zwykłymi słowami powitania. Teraz jednak Abu al-Qusayr mówił dalej w doskonale zrozumiałym języku, którym posługiwali się tu wszyscy.

–Allah urządził to tak – rzekł Al-Qusayr – że dla ludzi głęboko wierzących groźni są jedynie inni ludzie prawdziwej wiary, jakakolwiek by ona była. Tak więc ja, który jestem szczerym muzułmaninem, zostałem wysłany jako przedstawiciel Stowarzyszenia Magów, aby wstawić się za tym niewiernym, którego życia chcesz położyć kres.

–Nie obawiam się magów... – zaczął Hasan ad-Dimri, lecz znów mówił po arabsku i Abu al-Qusayr odpowiedział w tym samym języku. Jim zaalarmowany groźbą Hasana gorączkowo szukał przyczyny, z powodu której jego tłumacz zamilkł. Rozmowa dotyczyła jego i Briana, ponieważ w potoku arabskich słów powtarzały się ich imiona. Z jakiegoś powodu nie powinien rozumieć, o czym rozmawiają. Dlaczego ten niewidzialny tłumacz nagle zmienił się w cenzora? Nigdy tego nie robił.

Nagle Jim zrozumiał. – Założyłby się, że to Al-Qusayr nie chciał, by Jim znał treść tej rozmowy i to on spowodował tę zmianę. Brian szturchnął go łokciem w żebra.

–Co oni mówią? – szepnął. – Nie rozumiem tych dźwięków.

–Ja też nie – odrzekł Jim.

Wciąż rozmyślał o groźbie Hasana. Oczywiście, zanim pozwoliliby się zabić, niemal na pewno użyłby magii, by przenieść siebie i Briana z powrotem do Anglii. Tylko, że Brian mógłby nic zechcieć wrócić. Po śmierci Jima asasyni – tak jak obiecał Hasan – mogliby nawet pomóc Brianowi odnaleźć ojca Geronde, jeśli pozwoliliby, by go „chronili i prowadzili”. Z drugiej strony, Hasan mógł kłamać i Brianowi także groziła śmierć...

–...Tak więc nie ma o czym mówić – rzekł nagle Abu al-Qusayr znów zrozumiale. Odwrócił się od Hasana do Jima i Briana. – Przykro mi, że nie mogę wam pomóc.

Jim zauważył otaczającą ich poświatę. Przez rozedrgane powietrze zobaczył, że Hasan siedzi z obojętnym wyrazem twarzy, wpatrując się w dal, jakby ich nie widział. Najwyraźniej Abu al-Qusayr znów użył magii, aby wielki mistrz asasynów nie słyszał ich obecnej rozmowy,

–W niczym nic mogłeś nam pomóc? – zapytał Jim, patrząc na Al-Qusayra.

–Obawiam się, że nie – odparł mag. – Nie mogę zrobić nic więcej, jak tylko się pożegnać. Rzecz jasna, wyjaśnię Carolinusowi, że nic nie mogłem zdziałać.

–Zaczekaj chwilę – powiedział Jim. – A co z nami? Abu al-Qusayr wzruszył

ramionami.

–Jeśli taka jest wola Allaha...

–A jaka jest wola Allana? – zapytał Jim.

–To, co ma się zdarzyć między tobą a Hasanem, musi się zdarzyć – odrzekł Al-Qusayr.

–Chcesz powiedzieć, że ma mnie zabić, a z Brianem zrobić Bóg wie co, udając, że odsyła go pod eskortą?

–Obawiam się, że tak. On uważa się za niezwycięzonego. Jak ci już mówiłem, był sufim, a Allah posługuje się nimi w dziwny sposób. Być może Allah odebrał mu zdolność pojmowania, kim i czym jesteś. Pewne jest tylko to, że wokół tego miejsca unosi się aura mocy. Mag niskiej rangi taki jak ty, Jimie, zapewne tego nie wyczuł, ale ja tak, i to bardzo wyraźnie. Może Hasan zdołał zaprzyjaźnić się z jakimś dżinnem albo uczynił jakiegoś swoim niewolnikiem i, niewiele wiedząc o prawdziwej magii, uważa, że nikt mu się nie oprze.

–Hmm, a dlaczego musiałeś go przekonywać? – zapytał Jim. – Przecież masz moc.

–Obaj mamy tylko moc obronną, pamiętasz? – rzekł Abu al-Qusayr. – W rezultacie nie pozostawił mi innego wyboru, jak zmusić go do zmiany zdania, a tego nie mogę zrobić. – Nagle dziwnie spochmurniał. – Bardzo możliwe – dodał – że przejął wszystkie cechy isma'ilitów, łącznie z ich uporem.

Odchrząknął i splunął na podłogę za otaczającą ich poświatę. Nieświadomy ich obecności Hasan nadal spoglądał przed siebie,

–Kim są isma'ilici? – spytał Brian.

–To ci, którzy uznają Isma'ila, a nie Musę siódmym imamem – odparł Al-Qusayr. – Teraz jednak muszę już odejść. Co ma być, to będzie. Żegnajcie.

Zniknął, a wraz z nim otaczająca ich poświata i – na szczęście – ślady śliny na posadzce wielkiego mistrza.

–Wystarczy! – rzekł Hasan jak człowiek budzący się z głębokiego snu. – Zabrać ich!

Niemal natychmiast straż ponownie otoczyła Jima i Briana. Odprowadzono ich z powrotem do celi.

–Jamesie – powiedział Brian, kiedy znów zostali sami. – Musisz wyjaśnić mi to wszystko. Jestem tylko zwyczajnym rycerzem, który codziennie odmawia modlitwę, pozostawiając takie problemy tym, którzy potrafią je zrozumieć. Ta Ziemia Święta wydaje się miejscem pełnym dziwnych nazw i jeszcze niezwyklejszych zdarzeń. Tamten człowiek na górze, który przedstawił się jako Hasten-jakiśtam...

–Hasan – sprostował odruchowo Jim.

–Dobrze, Hasan – zgodził się Brian. – Czy on naprawdę sądzi, że spokojnie poszedłbym sobie z eskortą, nie oglądając się za siebie, pozostawiając cię na pewną śmierć? Czy on nie ma pojęcia, co przystoi rycerzowi?

–Prawdę mówiąc – powiedział Jim – pewnie nie ma. Nic przejmuj się tym, Brianie. Bez trudu mogę stąd uciec dzięki mojej magii i zabrać cię ze sobą. Za chwilę możemy być w naszych zamkach.

–Sądziłem, że masz oszczędzać magię. – Brian zmarszczył brwi.

–Nie w takich nagłych wypadkach – stanowczo odparł Jim. – Jednak nic byłem pewny, czy chciałbyś wrócić do Anglii. A jeśli zostaniesz, to ja zostanę z tobą.

–No... – Brian kręcił się niespokojnie. – Właściwie... chodzi o to, Jamesie... cóż, złożyłem ślub.

–Ślub?

–Dałem się ponieść radości, kiedy postanowiłem zrobić tak dobry użytek z królewskiego daru – wyjaśnił Brian – i zabrałem Geronde do kaplicy w zamku Malvern, gdzie przed ołtarzem i krzyżem ślubowałem nigdy nie zaprzestać poszukiwań jej ojca, dopóki go nie znajdę albo nie dowiem się, że nie żyje. Czy twoja magia nie mogłaby po prostu przenieść nas do Palmyry, Jamesie, jeśli już chcesz ją wykorzystać, by opuścić to miejsce?

–Obawiam się, że nie, Brianie – powiedział Jim. – Mogę zabrać nas tylko do miejsc, które potrafię sobie wyobrazić. Moglibyśmy powrócić do Abu al-Qusayra lub sir Mortimora, ale nie znam innej drogi do Palmyry prócz tej, którą podróżujemy. Moglibyśmy także przylecieć do Palmyry od północy, ale nie wiedziałbym, gdzie jej szukać. Gdybyśmy spróbowali dotrzeć tam z jakiegoś innego miejsca na wybrzeżu Libanu, wieść o tym dotarłaby do asasynów, którzy znów ruszyliby naszym tropem. Gdybyśmy mogli w magiczny sposób przenieść się do Palmyry, skłonny byłbym zrobić to od razu, zamiast wędrować z karawaną. Abu al-Qusayr rozumiał mnie, kiedy zaproponował podróż z karawaną. Musimy wędrować jak normalni ludzie i jakoś dostać się tam, dokąd chcemy dotrzeć, oraz dowiedzieć się tego, co chcemy wiedzieć.

–Przecież nie jesteśmy zwyczajnymi ludźmi – upierał się Brian. – Ja jestem rycerzem, a ty nie tylko rycerzem, ale i magiem.

–Racja – rzekł Jim – lecz teraz niewiele nam to pomoże.

–Milordzie... – rozległ się głosik Hoba, który przysiadł na kracie nad ich głowami i nieśmiało wtrącił się do rozmowy.

–Hob! – ucieszył się Jim, – Przez moment zapomniałem o tobie. Czy wiesz, którądy moglibyśmy wydostać się stąd na twojej smużce dymu?

–Najpierw musielibyśmy mieć jakiś dym – odparł skrzat – bo zgubiłem tę smużkę, na której przyniosłem tu psa-dżinna. Ponadto nie uniósłbym na niej dwóch dorosłych ludzi. Może udałoby mi się jednego, ale musiałbym mieć dym z ogniska. W tym zamku powinny być gdzieś paleniska, ale nie wiem, gdzie ani jak je znaleźć. Myślicie, że gdybym zaczął ich szukać, ci ludzie zostawią mnie w spokoju czy też będą mnie ścigać?

–Sądzę, że ścigaliby cię – odparł Jim. – Prawdę mówiąc, próbowaliby cię zabić. Zostań tutaj.

–Przecież muszę wyciągnąć cię z opresji, panie – powiedział Hob. – Ciebie i lorda Briana. Milady nigdy by mi nie wybaczyła, gdybym tego nie zrobił.

–To ładnie z twojej strony, Hobie – powiedział Jim – ale nie wiem, co mógłbyś zrobić.

–No cóż, chyba mógłbym jeszcze raz porozmawiać z dżinnem – odparł skrzat.

–Z dżinnem?

Cichy skowyt skierował jego uwagę na przejście między celami. Przed żelaznymi prętami ich klatki, merdając ogonem, stał brązowy pies.

–Kelb! – powiedział Jim. – Co z ciebie za przyjaciel? Jeżeli chciałeś nam pomóc, to dlaczego nie pomogłeś wcześniej?

–Pomagalem, panie – powiedział Kelb. – Wiedz, że tę budowlę postawiono, zanim zamieszkali w niej asasyni. Zbudował ją rycerz rabuś, niewierny tak jak wy, który łupił przechodzące tędy karawany. Tak jak inni Frankowie, przybył tu z północy, dwieście lat temu, głosząc świętą wojnę przeciw wszystkim, którzy tutaj mieszkali. Ta forteca to Kasr al-Abiyadh, zwana inaczej Białym Pałacem.

–Białym? – zdziwił się Brian.

–Nie wiem, dlaczego tak ją nazwano – rzekł Kelb – ale tak była i jest nazywana po dziś dzień, nawet przez samych hasz-szaszich. W każdym razie szukałem ukrytego wyjścia stąd i znalazłem je. Dzięki potędze twojej magii, o panie, niewątpliwie w każdej chwili możesz nie tylko uwolnić siebie i twego niewiernego towarzysza z celi, lecz przy mojej pomocy znaleźć to tajne przejście i uciec.

Jim znów nabrał podejrzeń. Każda z tych znanych mu średniowiecznych warowni miała jakieś sekretne wyjście. Także Malencontri. Istnienie takiego przejścia było pilnie strzeżoną tajemnicą. Czasem zapominano o nim, gdy zamek przechodził w inne ręce, lecz bardzo często odkrywano je ponownie i znów trzymano w sekrecie. Tymczasem Jim miał za sobą niemal tydzień uprzejmych wypytywań Ibn Tariqa, który chciał poznać jego magiczne umiejętności. Unikając podchwytliwych pytań, nieraz myślał, że rozmówca mógł mieć jakiś ukryty powód, dla którego pragnął dowiedzieć się, jaką Jim dysponuje magią. Wtedy zbyt nie przejął, teraz jednak obudziło to jego czujność. Tym bardziej że kątem oka widział Hoba. Skrzat zszedł mu z ramienia i najpierw wdrapał się jak małpka po prętach celi, po czym stopniowo, niepostrzeżenie prześlizgnął się do następnej i usiadł na jej szeroko otwartych drzwiach. Teraz był niewidoczny dla Kelba. Energicznie potrząsał głową i krzywił się. Ta niema wiadomość skryształizowała podejrzenia Jima,

–Bardzo dobrze, Kelb – rzekł. – Takie zachowanie przemawia na twoją korzyść, Wezmę to pod uwagę. Tymczasem możesz odejść. Muszę usiąść i zastanowić się przez chwilę.

–Tak, panie – powiedział Kelb. I zniknął.

Jim natychmiast skinął na Hoba i skrzat ponownie usiadł mu na ramieniu. Potem Jim przysunął się do Briana, który patrzył na niego ze zdziwioną miną.

Nadszedł czas na odrobinę magii, pomyślał Jim. Wyobraził sobie, że Brian i Hob mogą usłyszeć jego myśli, a on to, co pomyślał oni.

–Słuchajcie – zwrócił się do Briana i Hoba – porozmawiam z wami, nie używając głosu, a wy po prostu myślcie słowa, które chcielibyście mi powiedzieć. Usłyszę je.

–Właśnie tak – powiedział w myślach. Znów zerknął na Briana i zobaczył, że ten go zrozumiał. Na twarzy przyjaciela pojawił się nikły uśmiech. – Wiecie obaj, że staram się oszczędzać moją magię, tak więc musimy działać, używając jej jak najmniej. Na początek, Hobie, czy mógłbyś wziąć trochę dymu z tej pochodni na

korytarzu? Pamiętaj, myśl o tym, a nie mów głośno.

–Nie wiem, czy potrafię powiedzieć to bez słów – zaczął Hob i najpierw zdumiał się, a potem zrobił zadowoloną minę. – Potrafię! Potrafię! Pochodnia prawie nie dymi, ale chyba zbiorę dość dymu, jak wtedy, kiedy przenosiłem go na statki. Tak, milordzie, mogę się tam wdrapać. Kraty są tylko kilka stóp dalej, więc będę mógł przeskoczyć na uchwyt przytrzymujący kaganiec z łuczywem.

–Nie oparzysz się? – zapytał Jim.

–Och, nie – odparł Hob. – Ogień i dym to moi przyjaciele.

–Świetnie – powiedział Jim. – Hobie, chcę, żebyś wspiął się tam, zebrał trochę dymu, niepostrzeżenie polatał na nim po twierdzy i znalazł to tajemne przejście, o którym mówił Kelb.

–Ha! – odparł dumnie skrzat. – Ja już wiem, gdzie ono jest, milordzie. Kiedy dzinn przyprowadził mnie tutaj, przy pierwszej nadarzającej się okazji zostawiłem go, by oblecieć twierdzę, i dowiedziałem się wszystkiego. Także tego, gdzie znajduje się podziemny tunel, który prowadzi na zewnątrz. Jestem pewien, iż mówił właśnie o nim. To przejście jest bardzo podobne do tego w Malencontri,

–Dzięki, Hobie – rzekł w myślach Jim, – Na twoim miejscu nie wspominałbym o tunelu pod Malencontri w obecności innych ludzi oprócz sir Briana.

–Och tak, milordzie – rzekł skrzat, – Czy chcesz, żebym zabrał cię na smudze dymu z tego zamku? – Nagle zawahał się. – Zapomniałem – powiedział w myślach ze smutkiem – że jesteś za duży, milordzie, a sir Brian także, by zmieścić się w szybie wentylacyjnym.

–W szybie? – zdziwił się Brian.

–Tak, tuż nad kagańcem są otwory, którymi wychodzi dym.

–Owszem – przytaknął Jim. – Czy musimy przejść przez pomieszczenia, w których jest wielu asasynów?

–Tak, milordzie. Droga wiedzie przez część budynku, w której znajduje się miejsce zwane Rajem: tam zabierają wszystkich nowych asasynów. Piją tam i bawią się.

–Rozumiem.

–James? – zawołał Brian.

Jim spojrzał na niego.

–Myślisz, że zdołasz wydostać nas stąd bez użycia magii? Przyznaję, że ja tego nie potrafię,

–Chyba będę musiał – odparł Jim. – A przynajmniej spróbuję. – Zastanawiał się jeszcze chwilę, patrząc niewidzącym wzrokiem na kraty i kamienne ściany celi. – Kelbie! – zawołał w końcu.

. Pies pojawił się, machając ogonem.

–Powiedz mi – rzekł Jim – możesz stać się niewidzialny, kiedy zechcesz, prawda?

–Niewidzialny, o mój panie? – powtórzył Kelb. – Nie rozumiem.

–Czy potrafisz przybrać taką postać, żeby ludzie nic widzieli cię, choć nadal stałbyś przed nimi?

–Och tak – odparł dzinn. – Często tak robię, kiedy mnie ścigają. Uskakuję za róg i znikam im z oczu. A ścigający wypadają z za narożnika i widzą tylko pusty korytarz, w

którym nie ma psa. Przez chwilę dziwią się, ale potem idą szukać mnie gdzie indziej. Wtedy ja znów staję się widzialny i udaję się w swoją stronę. Łatwiej przychodzi mi być widocznym. Mogę stać się niewidzialny, ale muszę się starać, żeby takim pozostać.

–A kiedy to robisz, wszystko co masz, również staje się niewidoczne?

–Och tak, panie.

–Dobrze. A zatem mam dla ciebie zadanie. Przeniesiesz mnie i Briana przez to tajemne przejście, o którym wspominałeś. Teraz powiem ci, co masz zrobić, Kelbie. Obróć się bokiem i oprzyj się o kraty naszej celi, dobrze?

–Jeśli to zrobię, panie – rzekł Kelb i w jego głosie pojawiła się nowa, chytra nuta – ochronisz mnie przed Sakhrem al-Jinnim? Jeśli tak, to będę twoim najwierniejszym sługą.

–Nic możesz być wierniejszym ode mnie – wtrącił pospiesznie Hob. Wskoczył Jimowi na ramię i objął rączkami jego szyję.

–Owszem, mogę.

–Nie, nie możesz! – powtórzył Hob. – Na pewno nie!

–Zostawmy to teraz – przerwał Jim. – Nie będziemy o tym mówić. Hobie, jesteś moim starym i wiernym Hobem z Malencontri. Co do ciebie, Kelbie, to jeszcze musisz wykazać się takimi zaletami przez tyle lat, przez ile Hob jest moim wiernym...

–Od kiedy milord i milady wprowadzili się do Malencontri – wtrącił szybko skrzat. – Wiem, że z początku niewiele się odzywałem... i w ogóle. Jednak skrzat jest zawsze lojalny wobec tego, w którym domu mieszka. A ciebie i milady pokochałem od pierwszego wejrzenia. Jestem najwierniejszym... naj...

–Oczywiście, Hobie – przerwał mu Jim. – Nie musisz tak się denerwować. Jesteś bezpieczny. I cieszę się, że przypomniałeś mi o twojej obecności. Przez chwilę myślałem tylko o sobie i sir Brianie. Oprzyj się o kraty, Kelbie. I owszem, obiecuję opiekować się tobą do czasu, aż zrobisz coś, co sprawi, że będę musiał cię przepędzić. Tak więc staraj się zachowywać jak najlepiej.

–Nikł nic będzie grzeczniejszy ode mnie – obiecał Kelb.

–Nie możesz... – zaczął energicznie Hob, lecz Jim przerwał mu.

–Hobie – rzekł – daj już spokój. Powiedziałem, że jesteś moim starym i wiernym dworzaniem, natomiast Kelb musi sobie dopiero zasłużyć na to miano. A teraz, Kelbie, wszyscy trzej staniemy się trzema insektami na twoim grzbiecie, a ty przeniesiesz nas i wyprowadzisz przez sekretne przejście z twierdzy. Czy wiesz, gdzie ono jest, czy nie?

–Wiem – zaskomlał Kelb. – Tuż za Rajem...

–Dobrze – powiedział Jim. – Oprzyj się o kraty. Kelb wciąż się wahał,

–Co mój pan zamierza zrobić? – zapytał ostrożnie.

–Nic szczególnego – odrzekł Jim. – Po prostu przemienię siebie, Briana i Hoba w pchły ukryte w twojej sierści. Ty przekradniesz się korytarzami do wyjścia, a kiedy będziesz niewidzialny, my także.

–Nie wiem, czy naprawdę staniecie się niewidoczni, panie.

–Jeśli pies może stać się niewidzialny, dlaczego nie może uczynić takimi i nas? –

zapytał Brian. – W ten sposób nie musielibyśmy zmieniać się w pchły.

–Nie mogę, panie – rzekł Kelb.

–Dlaczego?

–On jest naturalnym, nie czarodziejem – przypomniał Brianowi Jim. – No nic, dość gadania. Kelbie, pod kratę!

–Powinien to umieć – mamrotał Brian.

–Ale nie umie – zniecierpliwiał się Jim. – Jako pchły i tak będziemy za mali, żeby ktoś nas zauważył. No już, Kelbie!

Pies obrócił się bokiem i przycisnął do krat.

Jim jeszcze nigdy nie zmieniał się w insekta. Słyszał, jak Carolinus groził różnym ludziom, zwierzętom lub naturalnym, że przemieni ich w owady, a nawet widział, jak mag zmienia dziesięciometrowego diabła morskiego w bardzo dużego chrząszcza, Sam jednak nigdy tego nie robił, a nawet nigdy nie zmieniał się w zwierzę.

Wyobraźnia czyniła wszystko możliwym, a nie widział żadnych luk w swoim planie.

Wyjadą na Kelbie z tego Kasr al-Abiyadh, czyli Białego Pałacu. Przymknął oczy i wyobraził sobie Briana, Hoba i siebie jako pchły na grzbiecie Kelba, po czym zatrzymał ten obraz w pamięci i skupił się na nim.

–Ruszamy – powiedział.

I ruszyli.

Rozdział 20

Okazało się, że szczęście im sprzyja. Kelb nie napotkał nikogo na schodach wychodzących z więzienia ani też potem.

Bardzo dobrze się stało, że wszystko potoczyło się właśnie tak, pomyślał później Jim. Ponieważ, zmieniawszy się w pchłę, natychmiast odkrył co najmniej jeden nieprzyjemny efekt uboczny takiej transformacji. Nie wziął pod uwagę jak spogląda na świat pchła ukryta w sierści na psim grzbiecie.

Właściwie widział tylko grube jak pniaki włosy, wszędzie wokół i ponad. Rzecz jasna, pod sobą miał skórę Kelba. Przez chwilę odczuwał instynktowną chęć zakosztowania płynącej pod nią krwi, ale opanował ten odruch. Tkwiąc w przypominającej bambusowe zarośla gęstwinie, widział wyłącznie włosy – sierść nie tylko otaczała go, ale zasłaniała wszystko wokół.

Tak nie mogło być. Potrzebny mu był punkt obserwacyjny poza pchlim ciałem. Wyobraził sobie, że patrzy oczami Kelba.

Chociaż w ten sposób rozpoznawał otoczenie, to widział świat – jak wszystkie psy – czarno-biały, a przez to tak dziwny, że dopiero po chwili poznał kamienne mury i sklepienie nad głową. To też na nic. Potrzebował ludzkich oczu, ale takich, które byłyby całkowicie pozbawione ciała.

No cóż, nie widział powodu, dla którego nie mógłby uzyskać tego z bardzo niewielką pomocą magii. Natychmiast przyszła mu na myśl para niewidzialnych ludzkich oczu unoszących się w powietrzu tuż nad łbem Kelba. Ten pomysł z łatwością ujął w słowa, ale trudniej przyszło mu odmalować go sobie w myślach. Po pierwsze, jak wyobrazić sobie niewidzialne oczy?

Przez chwilę zmagał się z tą koncepcją, aż znalazł oczywistą odpowiedź. Przecież te niewidzialne oczy wcale nie musiały przypominać ludzkich. Równie dobrze mógł zmienić swoje pchle ślepie w rodzaj magicznych kul połączonych z niewidoczną kamerą, która obracałaby się, podnosiła i opadała, pozwalając mu widzieć i słyszeć wszystko w normalny, ludzki sposób.

Wyobraził sobie takie urządzenie, a potem uczynił je niewidzialnym i włączył. Nagle otrzymał wyraźny obraz korytarza, po którym truchtał Kelb. Korytarz był pozbawiony jakichkolwiek ozdób, a kamiennej podłogi nie przykrywał żaden dywan – co wyjaśniało, dlaczego tak wyraźnie słyszał stukanie psich pazurów o posadzkę. Monotonie gładkich ścian przerywały sporadycznie napotykanne drzwi do komnat lub innych korytarzy, lecz Kelb parł naprzód bez wahania, co świadczyło o tym, że zna drogę.

–Gdzie jesteśmy? – Jim chciał zapytać psa. Zanim do końca sformułował te słowa w myślach, przypomniał sobie, że nie ma ich jak wymówić. Był tak mały, że Kelb nie usłyszałby jego głosu, a jako pchła nie miał aparatu głosowego.

To prawda, dobrze pamiętał, że żuk, którego Carolinus wyczarował, kiedy Jim po raz pierwszy spotkał maga, przemawiał piskliwym głosikiem, lecz zapewne tylko dzięki magii starego czarodzieja. Jim przypomniał sobie, że Rrrnlf, olbrzymi diabeł morski, kiedy został zamieniony w chrząszcza, nie potrafił wydawać żadnych dźwięków, chociaż Carolinus najwyraźniej słyszał go wtedy i prowadził z nim

rozmowę, podczas której słyhać było tylko maga.

Jim zdecydował, że powinien bezgłośnie przemówić do Kelba.

Spróbował wyobrazić sobie, jak wygląda umysł dżinna. Mroczne miejsce pełne zakamarków? Już dawno przekonał się, że jego wyobrażenia nie muszą być dokładne, by działać. To koncepcja, na jakiej opierało się dane wyobrażenie, tworzyła oparcie dla jego twórczych zdolności.

Skupił się na tym cienistym miejscu i przemówił w myślach do psa.

–Gdzie jesteśmy?

Kelb stanął jak wryty.

–Panie? – rzekł drżącym głosem. Jeśli naprawdę się nie przestraszył, to bardzo dobrze udawał.

–Zgadza się. To ja – rzekł w myślach Jim. – Gdzie jesteśmy?

–Martwię się, panie – rzekł Kelb. – Mijamy teraz kwatery zwykłych asasynów. Spodziewałem się, że napotkamy któregoś z nich. Nie rozumiem, dlaczego tak się nie stało, chyba że wyruszyli na kolejny wypad.

Jim uświadomił sobie, że Kelb mówi na głos.

–Nic musisz mówić do mnie głośnie – przekazał mu Jim. – Wystarczy, jeśli pomyślisz. Usłyszę cię. Mów do mnie w myślach.

–Zaiste, jesteś wielkim magiem – powiedział zgodnie z poleceniem Kelb. – Słyszysz mnie teraz?

–Słyszę cię głośnie i wyraźnie – odparł Jim. – Mówiłeś, że wielu asasynów mogło wyruszyć na kolejny wypad. Znów na jakąś karawanę?

–Och, nie – rzekł Kelb. – Od jakiegoś czasu mówiono o tym, że Złota Orda zamierza uderzyć na terytorium Il'Khanatu. Przez ostatnie dwieście lat Mongołowie zdobyli wiele asasyńskich zamków. Hasan ad-Dimri mógł wysłać silny oddział, aby sprawdził, czy nie nadciągają mongolskie hordy. Żeby poczynić odpowiednie przygotowania. Tylko to przychodzi mi do głowy...

Urwał, gdy z kolejnych drzwi wyszli dwaj zaledwie dwudziestoletni mężczyźni i popatrzyli w jego kierunku.

Kelb stał się niewidzialny i zaczął przemykać się pod ścianą po lewej, dalej od stojących. Poruszał się zadziwiająco szybko i już nie stukał pazurami o podłogę. Jim nagle przypomniał sobie o Brianie i Hobie. Skierował niewidzialną kamerę na siebie i te dwie pchły. Odkrył, że chociaż tylko jako małe plamki są zbyt dobrze widoczni.

Nagle pojął, iż uczynienie niewidzialnymi takich trzech małych pcheł wymagało naprawdę niewielkiej ilości magicznej energii. Natychmiast to zrobił. Przemówił w myślach do Briana i Hoba, jednocześnie upewniając się, że odpowiedzą mu w taki sam sposób. Nie miał pojęcia, gdzie w ciele pchły może mieścić się mózg. Niewiele wiedział o anatomii pcheł, ale był przekonany, że jak większość insektów nie mają mózgu.

–Brianie? – zapytał. – Hobie?

–Milordzie – zaczął wyraźnie zaniepokojony skrzat, ale Brian przerwał mu.

–Jamesie? Gdzie jesteś? Nie wiem, czy dotąd cię widziałem, czy tylko czułem, że jesteś blisko, ale teraz już nie.

–Jestem tutaj – odparł Jim. – Uczyniłem nas niewidocznymi i niesłyszalnymi, żeby ci dwaj asasyni nie mogli nas usłyszeć ani dostrzec. Kelb stał się niewidzialny wcześniej,

–Zauważyłem – Brian trochę kwaśno odparł w myślach. – To nie jest mój ulubiony sposób podróżowania, Jamesie.

–Najlepszy, jaki w tym momencie mogę nam zapewnić, Brianie.

–Och, nic obwiniam cię, Jamesie. Chodzi o to, że pchły to takie paskudne stworzenia. Nie podoba mi się, że jestem jedną z nich... Błagam o wybaczenie, Jamesie – dodał pospiesznie – bo przecież i ty jesteś teraz pchłą.

–Wcale się nie obraziłem, Brianie. Doskonale rozumiem, że taka sytuacja może niepokoić rycerza. Ja nie przejmuję się tak bardzo zapewne dlatego, że jako czarodziej jestem do tego bardziej przyzwyczajony niż ty.

–Oczywiście – rzekł Brian – to naturalne. Wybacz moje kiepskie maniery.

–Wcale nie... – zaczął Jim i urwał. Prawie zrównali się z dwoma mężczyznami, którzy rozmawiali ściszonymi głosami. Ku jego zdziwieniu ich twarze były białe jak płótno.

–Widziałem psa – mówił pierwszy. – Jestem tego pewny.

–Ja nie widziałem żadnego psa – rzekł drugi asasyn. Był trochę wyższy i może o rok czy dwa starszy od swego kompana, a przynajmniej wyglądał dojrzalej. Zamknął oczy. – Niczego nie widziałem i nic nie słyszałem.

–Przecież... – zaczął niepewnie pierwszy.

–Przekleństwo Allaha na twój ośli łeb, jakim cię obdarzył! – warknął drugi. – Ty głupcze! Czy w Białym Pałacu były kiedyś jakieś psy?

–Nie... – przyznał jego towarzysz.

–Czy jakiś pies mógł dostać się tutaj, omijając strażę przy bramie?

–Nie, oczywiście, że nie...

–Czy nie usłyszelibyśmy o tym. Chyba że tacy jak my nie mieliby wiedzieć o jego obecności, gdyby wpuszczono tu jakiegoś psa?

Mniejszemu asasynowi opadła szczęka.

–Zatem – ciągnął wyższy – powtarzam. Nie ma żadnego psa, żadnych głosów! Widzisz tu jakiegoś? Słyszysz coś?

–Nie.

–A więc nic takiego nie miało miejsca. Poza tym wcale mnie tutaj nie było.

Mniejszy asasyn pobladał jeszcze bardziej, upodabniając się do dobrze wypranego ducha.

–Mnie też – powiedział i z powrotem rzucił się do drzwi, którymi przed chwilą, wyszli, wpadając przy tym na wyższego kompana, który już zdążył go uprzedzić.

–I co teraz? – zapytał Brian, gdy mijali drzwi, za którymi ujrzeli krótki korytarzyk, a na jego końcu zielone, zamknięte drzwi.

–Sam nie wiem – powiedział do siebie w myślach Jim. – Kelbie?

–Tak, mój panie? – odparł Kelb, nagle znów stając się widzialny.

–Jak daleko mamy do sekretnego przejścia?

–Musimy tylko przejść przez Raj. To miejsce, gdzie umieszczają nowych

rekrutów. Niewątpliwie będzie ich tam paru, ale nie musimy martwić się tym, że zobaczą nas lub usłyszą, gdyż w miejscu, które oni uważają za Raj, wydamy im się złudzeniem.

–Raj? – powtórzył w zadumie Jim. – Dlaczego nazywasz ośrodek indoktrynacyjny dla rekrutów Rajem?

–Wybacz mi, panie – odparł Kelb – ale nie mam pojęcia, co oznacza „indoktrynacyjny”. Umieszczają tam tych, którzy niedawno zostali hasz-szazimi, najpierw odurzają ich haszyszem, a potem mówią, że idą do raj. Oni zaś, pod wpływem narkotyku, uważają, iż naprawdę tam są.

–Przejdziemy tamtędy niewidzialni – rzekł Jim,

–Panie, to nie jest konieczne.,.

–Pozostaniesz niewidzialny – powiedział Jim.

–Tak, panie.

Wkrótce potem skręcili w boczne przejście, które wiodło jeszcze kawałek dalej i kończyło się szerokimi, wysokimi drzwiami, pomalowanymi na złoty kolor, zajmującymi całą szerokość i wysokość korytarza. Jim usłyszał głos Kelba.

–Wybacz mi, panie – rzekł nieśmiało pies – ale ja mogę przejść przez te drzwi, nie otwierając ich. Czy ty także, panie?

–Dziękuję, że mi o tym mówisz – powiedział Jim, Pospiesznie wyobraził sobie siebie i dwie pozostałe pchły przechodzące przez drzwi, jakby te były tylko złudzeniem. Zastrzegł jednak, że on, Brian i Hob mają zrobić to, nie tracąc kontaktu ze skórą Kelba.

Przeszli.

Po drugiej stronie znajdowało się naprawdę ogromne pomieszczenie. Jego kopułowe sklepienie i górne części ścian były pomalowane na jasnoniebiesko. Poniżej znajdowała się dość prymitywna imitacja oazy w rodzaju tych, jakie mogliby stworzyć niedoświadczeni scenografowie amatorskiego teatryku. Otaczały ją sztuczne palmy rozpościerające parasole sztucznych liści. Skądś nadlatywało względnie chłodne powietrze. Na środku była sadzawka z wodą, a w niej fontanna, której strumyk tryskał na wysokość metra i z pluskiem znów wpadał do stawku.

Wokół fontanny, oparte piecami o imitacje palmowych pni, siedziały młode kobiety, w większości zamyślane lub z zamkniętymi oczami. Jim nie potrafił powiedzieć, czy spały, czy tylko marzyły. Kręciło się tu także sporo innych kobiet, przeważnie w średnim wieku i z poważnymi wyrazami twarzy. Te matrony były zajęte głównie gromadzeniem się w grupki, plotkowaniem i jedzeniem. Niemal przy każdym leżącym mężczyźnie stała taca z jedzeniem, lecz niewielu zwracało na nie uwagę. Byli odurzeni.

Kobiety z zapalem rozmawiały i posilały się. Czasem któraś z nich podchodziła do jednego z leżących, żeby pogłaskać go po policzku, zamruczeć coś do niego lub w inny sposób okazać zainteresowanie, a potem zwinnie wymknąć się z nieporadnego uścisku, jakim niektórzy – chociaż bardzo nieliczni – próbowali odpowiedzieć na te zabiegi. Później wracała do grupki albo przechodziła do następnego nieruchomego mężczyzny, by przez chwilę głaskać go i bawić rozmową. Kobiety miały na sobie

różnokolorowe stroje z cienkiego, przezrystego jedwabiu, zakrywające je od szyi po kostki rąk i nóg.

Stroje były piękne. Natomiast kobiety – zdecydował Jim – wcale nie. Nic nawet nie wskazywało na to, żeby starały się takimi być.

–Co to za kulki, które one jedzą? – zapytał Brian, spoglądając na grupkę kobiet.

–Baranie oczy – odparł Kelb.

Jim zakrztusił się w myślach.

–Naprawdę? – rzekł Brian z zainteresowaniem. – Ciekawe jak to smakuje. A te długie, podobne do sznurków rzeczy, które pogryzają?

–Baranie kiszki – wyjaśnił w myślach Kelb – napełnione ryżem, cukrem, cynamonem i innymi smakowitościami.

–Ha! Coś jak szkockie faszerowane owcze żołądki, no nie? Z pewnością w pierwszej krucjacie brali udział Szkoci. Kiedy znaleźli się wśród tych niewiernych... – Urwał. – Niezbyt schludnie sięgają do wspólnej miski – dodał po chwili. – To prawda, że wycierają dłonie, ale nie za często. Ponadto zauważyłem, iż niektóre wkładają rękę aż po przegub. W dodatku karmią nie tylko jedną drugą, ale i tych pod drzewami.

Ostatnie stwierdzenie było prawdziwe. Jim też to zauważył. Kobiety, które najwidoczniej odgrywały rolę hurys, czyli kobiet zabawiających błogosławionych w raj, od czasu do czasu ugniatały kulkę z jedzenia leżącego przy którymś nieprzytomnym mężczyźnie, by włożyć mu ją do ust. Jednak nie zawsze. Bardzo często ograniczały się do poklepania lub pogłaskania go i przechodziły do następnego.

Przemknęli obok sadzawki i przez sztuczny gaj palmowy, coraz rzadziej napotykając leżące postacie, aż zobaczyli przed sobą ścianę. Na dole nie była pomalowana i Jim nigdzie nie dostrzegł w niej drzwi. Mimo to Kelb zmierzał prosto ku niej.

Dotarłszy do miejsca, w którym piasek podłogi spotykał się z murem, węszył wzdłuż ściany, aż w pewnym miejscu zaczął pracowicie kopać przednimi łapami. Piach tryskał spod nich, aż w końcu odsłonił coś, co wyglądało jak kawałek wykafelkowanej podłogi z szachownicą niebieskich i białych glazurowanych płytek.

Kelb nacisnął łapą jeden z niebieskich kafelków i fragment pozornie litej ściany przed nimi przesunął się w dół, odsłaniając prostokątny otwór.

–Wchodzimy, mój mistrzu – rzekł głośno Kelb i wszedł.

Przystanął w mroku wąskiego, niskiego przejścia. – Jesteś tu, panie?

Jim przypomniał sobie, że dzinn zapewne nie tylko nie widzi ich, ale i nie czuje.

–Jesteśmy tu, Kelbie – powiedział tym razem również na głos.

–Cieszę się, mój panie – rzekł Kelb. Wrócił do otworu w ścianie i zasypał piaskiem odsłonięte kafelki. Potem wrócił na poprzednie miejsce, a kamienne drzwi powoli, lecz bezgłośnie zamknęły otwór, przez który weszli. Otoczyła ich nieprzenikniona ciemność. Z jej głębi nadleciał głos Kelba: – Mistrzu, nie ma już potrzeby, abyście podróżowali na mnie jako pchły. Jeśli wrócicie do swych zwykłych postaci, znajdziecie po prawej stronie korytarza stojak z pochodniami a także stal i krzemień do skrzesania ognia. Na grubszym końcu każdej pochodni jest proch, żeby łatwo się

zapaliła, kiedy padnie na nią iskra.

Jim poczynił odpowiednie magiczne poprawki. Nadal stał w ciemnościach, lecz teraz czuł na plecach ciężar Hoba, a w pobliżu obecność Briana. Wyciągnął rękę i boleśnie uderzył palcami w twardy mur. Powiódł po nim dłonią w górę i w dół, jednocześnie przesuwając się, jakby malował pędzlem. W końcu dotknął czegoś, co wydawało się drewnianym stojakiem.

Namacał w nim rząd sterczących przedmiotów przypominających w dotyku rolki ciasno zwiniętego papieru.

Wyjął jeden ze stojaka, znów pomacał i znalazł zawieszony na sznurku wspomniane przez Kelba krzesiwo oraz stal. Przytrzymując pochodnię pod lewą pachą, rękami uderzał krzemieniem o stal, aż iskra trysnęła we właściwym kierunku, padając na grubszy koniec pochodni. Buchnął coraz większy i jaśniejszy płomień, oświetlając długi tunel wykuty w skale. A także zmarnowanego, ale wesołego Briana i Kelba w jego psiej postaci wyczekującego patrzącego na Jima.

–Hobie, nic ci nie jest? – zapytał Jim.

–Nic, milordzie – odparł cichy głosik za jego lewym uchem. Jim nagle przypomniał sobie, że jak Brian spał w ubraniu w tamtą chłodną noc, kiedy pojмали ich asasyni. Wtedy jednak Hob nie wrócił do sakwy na plecach Jima.

–Mam wyjść? – zapytał skrzat.

–Nie ma na co patrzeć – odparł Jim, – Znajdujemy się w ciemnym tunelu. Może lepiej zostań tam, gdzie jesteś.

–Tak, milordzie.

Ruszyli. Kelb pewnie truchtał przodem, nie opuszczał jednak kręgu światła. Tunel był dłuższy, niż Jim oczekiwał, zważywszy, że wykuto go w litej skale. Oceniał, że przeszli prawie ćwierć mili, zanim Kelb przystanął i zaczekał na nich. Stanęli przed ścianą podobną do tej, która maskowała sekretne wejście.

–Nacisnąłem, co trzeba, aby otworzyć wyjście z tunelu – oznajmił przepraszającym tonem Kelb – ale coś się chyba zacięło. Czy nie zechcielibyście poskakać w tym miejscu? Myślę, że w ten sposób usuniemy zacięcie i drzwi się otworzą.

Nic dziwnego, pomyślał Jim. Nie można oczekiwać, że urządzenia mechaniczne w czternastym wieku będą działać lepiej niż w dwudziestym.

–W takim razie – rzekł – najlepiej będzie, jeśli poskaczymy razem, ty i ja, Brianie. Powiem „raz, dwa, trzy”, a wtedy skoczmy. W ten sposób zrobimy to jednocześnie.

–Ha! – rzekł Brian, – Magia pogan! Nic dziwnego, że nie działa!

Jim nie był pewien, co przyjaciel chciał przez to powiedzieć, ale nie było sensu roztrząsać teraz tego problemu. Policzył do trzech i skoczyli. Mocno uderzyli nogami o skałę, co najwidoczniej wystarczyło, gdyż kamienny blok przed nimi zaczął się powoli i opornie unosić, jakby potrzebował przesmarowania.

–Widzicie, panowie, to przejście rzadko bywa używane – powiedział Kelb – i każdy, kto ujrzy ten tunel oprócz wielkiego mistrza, musi umrzeć. Zostaje zabity, a jego ciało zabrane stąd i porzucone w górach, żeby nikt nie zdradził tajemnicy przejścia, kiedy znów zostanie zamknięte. Teraz możemy wyjść na zewnątrz.

Idealnie zgrał tę przemowę z ruchem kamiennego bloku. Kiedy skończył, kamień znieruchomiał, odsłaniając otwór ukazujący rozgwieżdżoną noc i górskie zbocze. Wokół rosły krzaki, a wielkie głazy dodatkowo osłaniały przejście. Kelb zrobił jakiś ruch za jednym z nich, po czym głaz zaczął opadać z chrzęstem, który niebawem ucichł.

–Zamknięte – oznajmił z zadowoleniem Kelb.

–Doskonale – odezwał się głos w ciemności. – Teraz już wiem, gdzie jest to wejście. Może mi się to przydać. Abu al-Qusayr mówił prawdę, choć nie jestem jego wiary. A więc znowu się spotykamy, Frankowie.

Głos należał do Baiju, Mongoła z karawany.

Rozdział 21

Jim spojrział w kierunku, z którego dochodził głos, lecz nie zdołał dostrzec niczego prócz trzech czy czterech białawych plam. Wydawały się falować i zmieniać kształt.

–Nocne zjawy! – krzyknął Kelb. – Mistrzu, ratuj!

–Ciebie? – zdziwił się Jim. – Dżinna? Czyżbyś bał się nocnych zjaw?

Czuł jak pies przyciska mu się do nóg.

–Bać się? – odparł drżącym głosem Kelb. – Kto, ja? Jestem najpotężniejszym... najpotężniejszym z dżinnów. Jednak niektóre z tych nocnych zjaw są bardzo okrutne.

–Odeślij dżinna – rzekł głos Baiju. – Chcę porozmawiać z tobą w cztery oczy.

–Idź – powiedział Jim do Kelba.

–Ale...

–I nie próbuj uczynić się niewidzialnym – dodał Jim. – Wiedziałbym o tym, a wtedy pożałowałbyś, że nie pochwyciły cię nocne zjawy!

Oczywiście, to była tylko pusta groźba. Pomijając fakt, iż Jim nie miał pojęcia, czym są i co robią nocne zjawy, dobrze wiedział, że nie potrafiłby okrutnie potraktować nawet dżinna. Pomimo to pies nagle przestał tulić się do jego nóg.

–Nie rozumiem – rzekł Jim, mówiąc w kierunku, z którego dochodził głos Baiju – skąd się tu wzięłeś? I dlaczego?

–Jakiś czas temu w Trypolisie – odparł Mongoł – odwiedziłem Abu al-Qusayra, ale po tym, gdy spotkał się z sir Brianem i tobą. Chciałem się dowiedzieć, kiedy przybędzie tu Złota Orda i jak można ją powstrzymać. Spojrzał w wodę i powiedział mi tylko dwie rzeczy. Po pierwsze, że można temu zapobiec, jedynie powstrzymując Ibn Tariqą. A po drugie, że tylko ty możesz to uczynić. Zamierzałem nocą odnaleźć cię w zamku i pomóc ci dotrzeć do Palmyry przed karawaną.

–I tylko na podstawie jego słów przybyłeś tutaj? – zdumiał się Jim. Baiju nie sprawiał wrażenia szczególnie ufnej czy łatwowiernej osoby.

–Twierdził, że nic więcej nie może mi powiedzieć – odparł Baiju. – Sam jesteś magiem. Zapłaciłem w złocie, nie w srebrze tyle, ile zażądał, a on udzielił mi odpowiedzi. Ty wiesz lepiej, czy mag mógł mnie oszukać po tym, jak sam wyznaczył zapłatę i otrzymał ją.

Baiju ma rację, pomyślał Jim. W tej kwestii magowie ściśle przestrzegali przepisów. Abu al-Qusayr nie mógł postąpić nieuczciwie wobec kogoś, z kim zawarł umowę, kiedy już uzgodniono jej warunki. Jeśli ten fakt był powszechnie znany nawet wśród Mongołów, to całkiem możliwe, iż Baiju mógł ufać staremu czarodziejowi. Oznaczało to również, że nawet Abu al-Qusayr nie wiedział, dlaczego powstrzymanie Ibn Tariqą miało zapobiec najazdowi Mongołów.

–Pokaż się – powiedział Jim.

–Tak – poparł go stojący obok Brian – i każdy, kto jest z tobą, Mongole! Baiju parsknął śmiechem.

–Zatem zapal światło, magu – rzekł – bo ja nie mam zamiaru. Nie jesteśmy tak daleko od Kasr al-Abiyadb, żeby nie dostrzegli go strażnicy na wieżach.

–Skoro tak – rzekł Brian – to chyba lepiej zapomnieć o świetle. Jak myślisz, Jamesie?

–Sądzę, że on ma rację – odparł Jim – szczególnie jeśli i ty tak uważasz.

–Tak nakazuje zdrowy rozsądek – wtrącił z pogardą Baiju. – Chodźcie więc. Mam dla każdego z nas po białym wielbłądzie z Basry. Są szybsze i wytrzymalsze od ciężkich zwierząt, jakie idą w karawanie, bo też podążymy szybciej. Pojedziemy bardzo szybko. Za pięć dni znajdziemy się w Palmyrze.

Jim znów poczuł ciężar napierający na jego łydki i usłyszał głos Kelba.

–O potężny panie, wybacz twemu pokornemu i nędznemu słudze, że wrócił bez pozwolenia. A co ze mną?

–To džinn – rzekł Baiju. – Niech sam znajdzie drogę do Palmyry.

–Mistrzu... – znów zaczął Kelb.

–Nie – stanowczo przerwał Jim. – Jak powiada Baiju, jesteś džinnem. Spotkamy się na miejscu. Ruszaj więc, w jakikolwiek chcesz sposób. Zapewne wezwę cię znowu po przybyciu do Palmyry.

–Mistrzu...

–Ruszaj!

Psie cielsko przestało napierać na nogi rycerza.

–Odszedł – rzekł Jim. – I co teraz?

–Podejdźcie tutaj – powiedział Mongoł,

Brian położył dłoń na ramieniu Jima, który ostrożnie poszedł po bardzo nierównym terenie. W pewnej chwili potknął się o duży kamień lub niewielki głaz i prawie stracił równowagę, ale zaraz ją odzyskał. Po chwili poczuł oddech Baiju. Wyczuł w nim alkohol. Najwidoczniej mały Mongoł pił. Pomimo to mówił całkiem trzeźwo.

Jednocześnie Jim przyglądał się białym plamom, które okazały się wspomnianymi przez Baiju wielbłądami. Mongoł pomógł im na nie wsiąść i chwilę później, jadąc za nim na wielbłądzich grzbietach, podążali pośród skał po stromym zboczu.

Jim nie pamiętał, po ilu dniach karawana miała dotrzeć do Palmyry, ale minęło już sześć lub siedem, od kiedy opuścili Trypolis. Mimo to miał wrażenie, że jeśli dotrą tam w pięć dni, będzie to bardzo dobre tempo. Ucieszył się.

Później gorzko pożałował swego entuzjazmu.

To prawda, że znajdowali się niemal na grzbiecie górskiego pasma i po kilku godzinach od spotkania z Baiju przejechali przez mroczną przełęcz, mając po obu stronach idealnie czarne ściany, a przed sobą wąską szczelinę usianego gwiazdami nocnego nieba. Prawda, że nazajutrz, po kilku godzinach snu, jeszcze przed świtem dotarli do podnóża gór wznoszących się nad pustynną doliną, na której znajdowała się Palmyra. A w miarę jak mijały dni, powietrze robiło się cieplejsze i nieco mniej suche – chociaż nie można by go nazwać ożywczym. Jednak Jim doszedł do wniosku, że wolałby już nigdy nie podróżować z Baiju. Mały Mongoł gonił ich od świtu do zmierzchu. Gdyby na to pozwolili, nie dałby im spać dłużej niż trzy godziny. Wielbłądy znosiły to w podziwu godny sposób. Brian nic nie mówił, lecz z każdym dniem robił się bledszy i zanim dojechali do Palmyry, wyraźnie było po nim widać

zmęczenie.

Tak więc nie była to przyjemna wycieczka. Ich wielbłądy rzeczywiście, jak twierdził Baiju, mogły być klejnotami swej rasy ułożonymi do wyścigów. Nie da się zaprzeczyć, że kroczyły zwinnie niż te, na których Jim i Brian jechali w karawanie. Jednak zanim wreszcie dotarli do Palmyry, obaj byli kompletnie wykończeni.

W końcu, ledwie trzymając się w siodłach ze zmęczenia, późnym popołudniem wjechali do miasta. Wyglądało jak ogromne obozowisko namiotów i mniej lub bardziej prowizorycznie skleconych drewnianych budynków, postawionych na fundamentach dawnego greckiego lub rzymskiego miasta.

Pierwotne miasto zostało zbudowane w sposób planowy. Główna ulica biegła ze wschodu na zachód, a w centrum nadal stały ruiny podwójnego portyku zwanego Wielką Kolumnadą. Baiju podjechał do znajdującego się w pobliżu Wielkiej Kolumnady karawan-seraju, w którym mieli zanocować.

Jima i Briana zaprowadzono do ich pokoju. Dopiero wtedy Jim uświadomił sobie, że obaj nie mają żadnego bagażu. Stracili broń i broń, zapasowe ubrania i – co najgorsze – jego osobisty, odwieszony materac.

Do diabła z tym, pomyślał ze znużeniem i wybrał sobie czysty kawałek podłogi. Wyobraził sobie magiczną linię wokół niego, która przepłoszy wszelkie robactwo, po czym położył się i przykrył płaszczem. Pozostało mu jeszcze tyle siły, żeby uczynić zadziorną podłogę miękką jak łóżko, po czym zapadł w głęboki jak ocean sen.

Zbudził ich Baiju. Mongoł nie zdradzał żadnych oznak zmęczenia tak jak podczas całej tej podróży. Ocknęli się i zobaczyli, że stoi nad nimi.

–Jak długo jeszcze zamierzacie spać? – zapytał.

–I tak nie dałbyś nam już zmrużyć oka! – mruknął Brian. – Jamesie, muszę zjeść śniadanie i zdobyć jakiś miecz. Obaj musimy postarać się o miecze. Ale najpierw jedzenie! Gdzie w tym zakazanym miejscu można coś zjeść?

–Wstańcie i chodźcie ze mną – rzekł Baiju. Nie czekając na nich, odwrócił się i ruszył do drzwi.

–Zaczekaj chwilę – powiedział Jim. W przeciwieństwie do Briana, który przed śniadaniem zawsze miał kiepski humor, ale budził się od razu, Jim potrzebował trochę czasu, by oprzytomnieć. – Jeżeli wyjdiesz bez nas, od tej pory możesz na mnie nie liczyć. Potrzebuję czasu.

Baiju obrócił się na pięcie.

–Ja was tu przyprowadziłem – rzekł groźnie – a teraz tak chcecie mi odplacić?

–Nie zawarłem z tobą żadnej umowy – odparł Jim. – Abu al-Qusayr powiedział ci, że mogę być dla ciebie użyteczny i tylko dlatego nam pomogłeś. Jeśli masz jakieś pretensje, zwróć się do niego.

I zupełnie przestał zwracać uwagę na Baiju.

–Hobie – zawołał.

–Tak, milordzie – odezwał się głosik za jego plecami.

Kątem oka Jim zobaczył, że Baiju zeszywniał i zbladł, szeroko otwierając oczy.

–Nic się nie stało – rzekł Jim, jednocześnie odpowiadając Hobowi i uśmierzając zabobonny lęk Baiju. – Chciałem się tylko upewnić, że jesteś zdrowy i cały. Ta podróż

musiała cię serdecznie znudzić. Wiem, że nie zmrużyłeś oka.

–Nieważne – powiedział Hob. – Każdy skrzat jest przyzwyczajony do długich okresów bezczynności. Wtedy po prostu siedzimy i rozmyślamy o miłych rzeczach, jakie przytrafiły się nam w przeszłości.

–Zaczekam na was na dole, gdzie wszyscy siedzą i rozmawiają – rzekł nieco spokojniej Baiju, ale pośpiesznie wyszedł z pokoju.

Jim od razu o nim zapomniał. Już całkiem się rozbudził i poczuł, że jest spocony, lepki i obolały. Oddałby prawie wszystko, żeby skorzystać z dwudziestowiecznego prysznicza, lecz to, oczywiście, było niemożliwe.

Mógł pójść do łaźni, lecz wizyta w niej byłaby bardzo kłopotliwa. Jim chciał się tylko umyć. Nie miał ochoty na damskie lub męskie towarzystwo, jedzenie, picie, narkotyki czy cokolwiek innego. A szczególnie nie chciał, aby ktoś udawał, że go myje, a potem żądał za to zapłaty. Nie tyle niepokoiła go cena, ile konieczność użerania się z natrętami.

Mógł za pomocą magii oczyścić siebie i swoje ubranie, lecz pomimo dobrych chęci i tak nieustannie uszczuplał swoje magiczne rezerwy.

–Jestem gotowy – powiedział do Briana. – A co z tobą?

–Powinieneś włożyć kolczugę – rzekł z przyganą przyjaciel.

Jim kosym okiem spojrzał na stertę metalowych ogniwi leżącą na podłodze. Brian miał rację. Jim zdjął kolczugę, zanim zapadł w sen. Teraz, w samej koszuli i podkoszulku, było mu wystarczająco ciepło w tym klimacie, a w południe zrobi się niewątpliwie jeszcze cieplej. W tej kolczudze z wszytą wyściółką będzie mu okropnie gorąco. Mimo wszystko Brian miał rację. Znaleźli się w obcym mieście, wśród obcych ludzi, a czternastowieczna zasada czy to w Anglii, czy na Środkowym Wschodzie, czy gdzie indziej, głosiła: „Chroń swoją skórę i bądź przygotowany na wszystko”.

Niechętnie nałożył kolczugę. Niemal natychmiast oblał go pot. Jim mógł tylko żywić nadzieję, że przywyknie do tego. Brian już wstał, włożył ubranie, które nosił podczas podróży, i niecierpliwie przestępował z nogi na nogę.

–Jestem gotowy – oznajmił. – Jeżeli ty też, to chodźmy.

–Bez urazy, Brianie – rzekł Jim – ale śmierdzisz.

–Ty też, Jamesie – odparł Brian – chociaż nie bardziej niż przedtem. Lepiej jednak śmierdzieć i żyć, niż cuchnąć po śmierci. Może uda nam się odzyskać naszą broń i trochę rzeczy albo oczyścić te, które mamy na sobie. A tymczasem muszę coś zjeść i sądzę, że ty także.

Ruszył do drzwi, a Jim dogonił go kilkoma długimi krokami.

Zeszli do kafejki, restauracji, czy czymkolwiek była ta przestrzeń zamknięta murem ze starego marmuru, w którym wykuto nisze. W każdej niszy stał niski stolik i leżały poduszki do siedzenia ze skrzyżowanymi nogami. Rozglądali się za Baiju, ale nie było go tu.

–Cóż – zaczął Jim, kiedy usiedli i poprosili o coś na śniadanie. Jim zażyczył sobie także duży dzbanek zimnego sorbetu. Złożywszy zamówienie, rozejrzał się wokół, zobaczył, że nikt nie siedzi na tyle blisko, żeby ich podsłuchać, więc ściszym głosem rzekł do Briana: – Czy masz jakąś koncepcję, gdzie moglibyśmy zacząć

szukać ojca Geronde?

Brian przełknął płyn, który miał w ustach i powiedział:

–Szczerze mówiąc, Jamesie, zamierzałem zrobić to samo, co robiłem po drodze.

Odszukać jakiegoś zanego angielskiego albo chociaż francuskiego rycerza i poprosić go o pomoc. Tutaj jednak nie widać nikogo prócz miejscowych niewiernych. Mimo to możemy spytać.

Popatrzył wokół, pochwycił spojrzenie mężczyzny, który podał im do stołu i skinął na niego. Czekając, sięgnął do misy postawionej między nim a Jimem, nabrał kęs końcami palców – tak jak zrobiłby to w Anglii – i włożył sobie do ust. Kelner podszedł do stołu, a Brian pospiesznie przeżuł i przełknął kęs. Zdążył w samą porę.

–Człowieku – rzekł do kelnera – przy okazji, co to za mięsiwo nam podałeś?

–To szynka z młodej wielbłądzicy, panowie – odparł kelner. – Złamała nogę w stajniach Murada Ciężkokiesego i mieliśmy szczęście kupić ją na rzeź. Czyż nie jest dostatecznie miękka i soczysta?

–No cóż, przynajmniej nie koza – powiedział Brian. – Powiedz mi, czy w tym mieście są jacyś angielscy rycerze?

–Angielscy rycerze? – powtórzył zdziwiony kelner.

–Tak, właśnie. No wiesz, angielscy rycerze. Rycerze z Anglii.

–Panie – odrzekł zdumiony mężczyzna. – Słyszałem o frankońskich rycerzach, ale nie mam pojęcia, kim są ci angielscy, o których mówisz.

–Mówiłem o Anglii – powiedział Brian, powoli i głośno wymawiając to słowo. – Anglii.

–Mój przyjaciel mówi o pewnym wielkim panu z jego kraju – wtrącił Jim. – A tym krajem jest Anglia, wyspa leżąca niedaleko ziem tych, których nazywasz Frankami.

–Naprawdę? W Palmyrze nie ma żadnych Franków, Allanowi niech będą dzięki!

–Jesteś pewny? – dociekał Jim. – Czy w mieście nie ma jakiegoś, o którym mógłbyś nie słyszeć?

Szynkarz potrząsnął głową.

–Gdyby taki był, panowie, z pewnością wiedziałbym o tym, gdyż ludzie z przechodzących tędy karawan i inni rozmawiają o wielu rzeczach i zawsze wspominają o tych, którzy są tutaj obcy.

Odszedł, ale jego miejsce niemal natychmiast zajął Baiju, który usiadł na poduszce obok Jima i skrzyżował nogi. Sięgnął i poczęstował się zawartością misy.

Dopiero kiedy przeżuł i połknął kęs, spojrzał na Jima i Briana.

–Cóż więc zamierzacie? – zapytał.

–Prawdę mówiąc – zaczął Jim – szukamy kogoś, kto może być w Palmyrze. On...

–Jednak najpierw miecze. Musimy kupić sobie broń. Możesz nie martwić się tym, że wspomniałem o sir Geoffreyu, Jamesie. Już mówiłem Baiju o naszych poszukiwaniach.

–Kiedy to zrobiłeś?

–Och, jeszcze w karawanie, kiedy rozmawiałeś ze szlachetnym Ibn Tariqiem... Czy mogę nazywać go szlachetnie urodzonym? – Spojrzał na Baiju, który pracowicie opróżniał miskę. – Czy on jest szlachetnie urodzony?

–Mongoł wzruszył ramionami i nabrał kolejną garść mięsiwa.

–W każdym razie powiedziałem Baiju, jak wygląda sir Geoffrey – rzekł Brian – na wypadek, gdyby go spotkał. Rozumiem, że go nie widziałeś?

Nadal spoglądał na Mongoła, który potrząsnął głową i jadł dalej.

–Znaleźliśmy się w impasie – powiedział mu Brian. – Zostaw na chwilę to jedzenie, jeśli łaska, i uważaj. Mamy powody sądzić, że on jest w tym mieście, ale nie mamy pojęcia, gdzie go szukać.

–Patrzcie! – rzekł Mongoł, tylko na moment przestając jeść, żeby zerknąć na Jima i Briana. – Patrzcie i pytajcie, czy ktoś go nie widział.

–Tak też zrobiliśmy – powiedział Jim. – Spytaliśmy kelnera, który podał nam do stołu. Powiedział, że gdyby ktoś taki był w Palmyrze, on wiedziałby o tym, ponieważ jadają tutaj przechodzące tędy karawany i inni podróżni, więc wie o wszystkich obcych w tym kraju.

Baiju wydał krótki dźwięk będący czymś pośrednim między śmiechem a kaszlnięciem.

Rozejrzał się po sali, aż dostrzegł kelnera, który obsługiwał innych gości trzy niszce dalej.

–Chodź tu! – zawołał Baiju.

Jedzący w innych niszach ludzie w powiewnych szatach znieruchomieli, popatrzyli na niego, spojrzeli po sobie i zaczęli wymieniać ciche uwagi niezrozumiałe dla siedzących daleko Briana i Jima. Sądząc po gestach i minach, były najwyraźniej gniewnymi lub wzgardliwymi komentarzami na temat dobrych manier Mongoła.

Szynkarz demonstracyjnie jeszcze przez chwilę robił swoje, jakby go nie słyszał, a potem odwrócił się i prawie przybiegł do Baiju cały w uśmiechach.

–Pan mnie wyzwał?

–Powiedz mi – rzucił ostro Baiju – czy są w Palmyrze jacyś frankońscy niewolnicy?

–Z pewnością, panie – odrzekł mężczyzna – ale nie potrafię powiedzieć, ilu ani do kogo należą. Któżby zważał na niewolników?

–Mówiłeś, że w Palmyrze nie ma Franków – przypomniał Jim.

–To prawda, panie – powiedział kelner – ale niewolnicy...

Wzruszył ramionami i rozłożył ręce.

–A zatem szukamy frankońskiego niewolnika, wyższego od ciebie o postawioną na sztorc dłoń – warknął Brian. – Ma siwe włosy, sporą łysinę z przodu i wąsik, który zapewne już także posiwił. Możliwe, że nie nosi brody. Nie jest jednak stary i słaby, lecz wysoki i silny, ma niebieskie oczy i bliznę ciągnącą się od policzka do szczęki. Ma również inne blizny, ale ta jest najbardziej widoczna. Widziałeś takiego niewolnika?

–Nie, o panie – rzekł kelner. – Może mógłbym spytać tych, którzy zwracają uwagę na takich ludzi? Za dzień lub dwa dostanę odpowiedź.

–Otrzymasz nagrodę – obiecał Mongoł. – Wprawdzie nie będzie to wielka nagroda, jednak otrzymasz ją na pewno, jeśli znajdziesz tego niewolnika, o którym mówię. Rozumiesz?

–Istotnie, wszystko już pojmuję, o hojny i wielmożny panie – rzekł kelner, bijąc pokłony. – Czy jeszcze czymś mogę wam służyć?

–Tak – mruknął Baiju. – Przynieś więcej tego, co było w tej misce.

–Już, panie – powiedział kelner. Wziął pustą miskę i pospiesznie odszedł.

Baiju oparł się o miękko wyściełaną ścianę niszy. Westchnął z lubością, spojrział na Jima i Briana, po czym beknął.

Brian już przyzwyczał się do tego wschodniego sposobu wyrażania zadowolenia z posiłku. Jim nauczył się nie reagować nań, ale wciąż skręcało go z niesmaku, chociaż wiedział, że czkający w ten sposób mówi „Smakowało mi!”

Baiju wyszczerzył się do nich dzikim i sardonicznym, lecz bezsprzecznie wesołym, uśmiechem.

–Ibn Tariq jest tutaj – oznajmił. – Widziałem go rankiem, zanim zeszliście na dół.

Rozdział 22

Jim i Brian wytrzeszczyli oczy.

–Przybyła karawana? – spytał Jim,

–Nie – odparł Baiju. – Ale on tu jest.

–Jak to możliwe? – rzekł Jim, przypominając sobie, jak godzinami popędzali swoje wielbłądy, zatrzymując się na krótki posiłek i nocleg, żeby nazajutrz znów ruszyć w drogę, aż do kresu sił.

–Nie wiem – powiedział Baiju, Szynkarz przyniósł pełną miskę mięsa i Mongoł znów zaczął pałaszować. – Nie wiem – powtórzył, zjadłszy kilka kęsów. – To prawie niemożliwe, a choć miał dobre wielbłądy, niemal tak dobre, jak nasze, musiałby wyruszyć nie dwa dni po waszym porwaniu, ale natychmiast. Musiał ruszyć o wschodzie słońca albo wcześniej na jednym wielbłądzie, z wystarczającym zapasem żywności i wody. Gdyby tak zrobił i dobrze znał drogę, może zdołałby dotrzeć tu do tej pory. W każdym razie jest tutaj. Widziałem, jak kupował zawój na suku. Nie zauważył mnie.

–Czy kiedy go widziałeś, wyglądał na skrajnie wyczerpanego? – zapytał Jim.

–O co pytasz? – odparł Baiju z sardonicznym uśmiechem. – Gdyby był w stanie odbyć taką wycieczkę, byłby odporny na trudy tak samo jak ja. Nie sądzę świata według siebie.

–Chodźmy do tego kupca, od którego kupił zawój – zaproponował Brian – i obejrzymy jego towar. Może podczas rozmowy dowiemy się od niego czegoś, co wie o Ibn Tariqu. Na przykład gdzie zatrzymał się w Palmyrze, a nawet dlaczego tak się tu spieszył. Co więcej, to właśnie na tutejszym suku sir Geoffrey, ojciec mojej damy, był widziany przez rycerza, który przyniósł jej tę wiadomość. Może dopisze nam szczęście i napotkamy go. Może on wcale nie jest niewolnikiem, lecz kupcem, albo ma jakieś powiązania z kupcami na suku i ukrywa fakt, iż jest Anglikiem. Minęło już ponad sześć lat. Zapewne zmienił się, ale na pewno nie aż tak, bym go nie poznał.

–Dobrze – przytaknął Baiju. – Zjem jeszcze trochę, a potem ruszymy.

–Świetnie – powiedział Jim. – W takim razie pójdę na górę i zabiorę naszego małego przyjaciela. Chcę, żeby poszedł z nami.

Baiju przestał przeżuwać ostatni kęs i wytrzeszczył oczy na Jima, Ten zignorował go.

–Czy to rozsądne, Jamesie? – mruknął Brian.

–Tak, może będzie musiał działać w pośpiechu.

Jim uważnie spojrzał na Briana, by przypomnieć mu że gdyby coś im się stało, Hob miał w te pędy zanieść wiadomość Geronde i Angie. Rycerz zmarszczył brwi, a potem lekko skinął głową.

–Jak uważasz – powiedział. Spojrzał na miskę, w której zostało jeszcze sporo mięsiwa. – Czekaając, może zjem też kęs czy dwa.

Jim poszedł na górę. Już zdecydował, że najlepiej będzie, jeśli włoży płaszcz z ukrytą na plecach kieszenią dla Hoba – ten sam, który nosił, jadąc z karawaną, i w którym spał, kiedy go porwano. Jeśli zrobi się gorąco, będzie miał przy sobie Hoba. Gdyby coś im się przytrafiło, Hob będzie o tym wiedział.

Co za szczęście, mówił sobie w duchu, że Hoba nie było w tej kieszeni, gdy Jim i asasyn stoczyli się po stromym zboczu. Zostałby zgnieciony. Hob na pewno siedział wtedy w swoim ulubionym miejscu na smudze dymu z ogniska przed namiotem.

Jim postanowił włożyć płaszcz, ale gdy spojrzał nań, miał chęć wykorzystać magię do kontrolowania temperatury, żeby nie było mu za gorąco w tym okryciu.

Nie, lepiej już pocierpieć. Carolinus jeszcze nigdy nie udzielił mu rady, która nie okazałaby się pożyteczna. Jim przypomniał sobie, że płaszcz skryje kolczugę nie tylko przed wzrokiem gapiów, ale także przed promieniami słońca, które inaczej szybko rozgrzałyby metalowe ogniwa, jeszcze pogarszając sytuację.

–Hobie – rzekł, zanim podniósł płaszcz leżący tam, gdzie go zostawił – znów jesteś w sakwie?

–Tak, milordzie – odparł cichy głosik.

–W porządku – powiedział Jim. – Ubiorę płaszcz i pójdziemy na suk; to takie tutejsze targowisko. Masz jeszcze to specjalne łuczywo? I pamiętasz magiczne zaklęcie, które masz wypowiedzieć, żeby zapaliło się i zaczęło dymić, dzięki czemu będziesz mógł natychmiast wylecieć i znaleźć się poza zasięgiem nieprzyjaciół, zanim się zorientują, że tam jesteś?

–Tak, milordzie – rzekł Hob. – Bardzo dobrze pamiętam to zaklęcie. Brzmi tak...

–Nie mów! – wtrącił pospiesznie Jim trochę głośniejszym głosem, niż zamierzał. Ściszył głos. – Masz go użyć tylko wtedy, gdy będziesz chciał szybko wrócić do domu, by powiadomić lady Angelę, że mamy z Brianem poważne kłopoty. W chwili, kiedy wypowiesz to słowo, łuczywo się zapali i będziesz miał kieszeń pełną dymu.

–Chciałbym tego bardzo.

–Owszem – przytaknął Jim – ale wiesz, że kiedy zużyjesz to łuczywo, nie będziesz mógł szybko wytworzyć dymu, gdybyśmy wpadli w tarapaty.

–Och – zasmucił się Hob. – Bardzo przepraszam, panie.

–Nic nie szkodzi. Pamiętaj tylko, iż to zaklęcie masz wypowiedzieć jedynie w nagłej potrzebie. Spróbuję wymówić twoje imię, gdy nadejdzie taka chwila, że powinieneś uciekać. Gdyby jednak z jakiegoś powodu nie mógł tego zrobić, sam będziesz musiał zdecydować, kiedy puścić dym i jak najszybciej wrócić do Anglii.

–Będę wszystko bardzo uważnie obserwował – obiecał Hob. – Czy mam wyglądać z sakwy, czy też przycupnąć na twoim ramieniu? Ktoś wspominał o tym, że wzięto by mnie za małpkę, gdyby mnie tam zobaczono.

–Myślę, że wszystko będzie dobrze – ciągnął Jim – ale wolałbym, byś wyglądał, jeśli możesz. Lepiej, żeby nikt nie wiedział, iż jest ze mną ktoś jeszcze.

–Tak, panie.

Jim zarzucił płaszcz na ramiona i zszedł. Druga miska została opróżniona. Zarówno Brian, jak i Baiju byli w dobrych humorach. Jim zapłacił za posiłek. Najwidoczniej nie mieli tu w zwyczaju dopisywać posiłków do rachunku za nocleg. Opuścili szynk.

Suk, czyli targowisko na otwartym powietrzu, znaleźli tam, gdzie niegdyś wznosiło się główne sanktuarium Palmyry. Teraz, w czternastym wieku, resztki rzymskiej architektury niemal całkowicie pokrywała warstwa pyłu i śmieci. Jim przypomniał

sobie, że kiedyś czytał o ekspedycji francuskich archeologów, którzy odkryli tutaj cztery portyki, basen do ablucji oraz wielki ołtarz, jak również fragmenty innych budowli.

Obecnie to miejsce nie miało żadnych ciekawych obiektów architektonicznych. Większość kramów była w połowie namiotami, w połowie zaś szopami, a uliczki wiły się między nimi jak ścieżki po pustkowiu, szerokie zaledwie na tyle, aby przeszło nimi trzech ludzi obok siebie.

Jedyną wspólną cechą wszystkich tych sklepików było zadaszenie od strony ulicy, pod którym wystawiano próbki towarów. Baiju poprowadził obu rycerzy najpierw do sklepu z bronią, gdzie nie było mieczy, natomiast zaproponowano im niemal równie długie i ciężkie noże. Z braku czegoś lepszego Jim i Brian kupili po jednym razem z pochwami i szarfami służącymi do owijania się w pasie i zawieszania broni.

Następnie Baiju zabrał ich do sklepiku, w którym sprzedawano nakrycia głowy i inną konfekcję, jak również całe bele materiału.

–Co to takiego? – zapytał Baiju sprzedawcę: krępego, dość sympatycznie wyglądającego mężczyznę z siwawym wąsem i w pasiastym zawoju.

–To najlepszy jedwab zza Wielkiego Muru, daleko na wschodzie – odparł sklepikarz.

Baiju upuścił jedwab, jakby nagle odkrył, że materiał jest brudny.

–To jedwab z Egiptu – rzucił obojętnie. – Dziś rano mój przyjaciel kupił u ciebie nakrycie głowy i wspomniał mi o jedwabiu w tym kolorze. Byłbym zainteresowany, gdyby naprawdę był to jedwab zza Wielkiego Muru, a przynajmniej hinduski.

–Allahu, ulituj się nade mną! – rzekł sklepikarz, załamując ręce. – Kupiłem go w przekonaniu, że to prawdziwy wschodni jedwab. Jak odzyskam tak ogromną sumę, którą zań zapłaciłem?

–Znajdując innego idiotę nie odróżniającego jedwabiu egipskiego od dalekowschodniego – odparł Mongoł. – Jakże inaczej? Widzę jednak, że przyszedłem tu na darmo, bo mogłem kupić jedwab od znajomego, który lepiej się na nim zna, chociaż nie tak jak ja. Uważał, że masz lepszy towar niż on.

–Istotnie, mam trochę lepszego jedwabiu, który uraduje twą duszę, jeśli znasz się na materiałach – oznajmił kupiec. – Jest na tyłach mojego sklepu. Tylko czy naprawdę chcesz coś kupić? Nie zamierzam wystawiać go na słoneczny blask dla kogoś, kto nie zamierza nic nabyć.

–Skąd człowiek może wiedzieć, czy chce coś kupić, zanim zobaczy towar? – odparł Mongoł.

–Jedwab jest starannie zapakowany i schowany głęboko pod stertą innych towarów ogromnej wartości. Wyciągnięcie go będzie kosztowało trochę pracy. Kupiec nie może zadawać sobie tyle trudu bez ważnego powodu.

–No, co do kupowania – oświadczył Baiju, wskazując Jima – to nabywca jest tu ze mną. Przyszedłem z nim tylko dlatego, że znam się na jedwabiu. On jednak interesuje się różnymi rzeczami, a jedwab jest tylko jedną z nich. Jeśli odszukanie tego twojego jedwabiu jest dla ciebie za ciężką pracą, na pewno znajdziemy taki towar w innym

miejscu suku. A po drodze będzie mógł zebrać informacje i może kupić inne potrzebne mu rzeczy.

–Tak? – zainteresował się sklepikarz. – Na przykład jakie?

–Jest ich zbyt wiele, by wymienić wszystkie. Może mógłbyś nam wskazać drogę na targ niewolników. Ma ochotę kupić sobie frankońskiego niewolnika. Sam będąc Frankiem i mogąc zaspokajać swe kaprysy, chce mieć wokół siebie wyłącznie frankońskich niewolników,

–Niestety – rzekł kupiec. – Dzisiaj nie ma targu niewolników. Może będzie za kilka dni. Jednak w Palmyrze zazwyczaj nie można kupić Franków.

–A mój przyjaciel, który kupił od ciebie zawój, wspominał o frankońskim niewolniku, którego zauważył na suku. Widział go tylko przez moment, zanim tamten zniknął w tłumie, ale od razu go rozpoznał.

–Nic nie wiem o żadnym frankońskim niewolniku na suku ani w całej Palmyrze – rzekł sklepikarz. – Może najbogatsi ludzie mają jednego czy dwóch. Jednak ich cena byłaby zapewne niezwykle wysoka. Czy on naprawdę chciałby zapłacić tak wiele?

–Tego nie będzie wiedział, dopóki nie zobaczy niewolnika – odparł Baiju.

–Oczywiście, taki niewolnik to tylko ciekawostka – ciągnął kupiec – ale nie sądzę, aby można go tanio kupić. Kosztowałby znacznie więcej niż mój najlepszy jedwab.

–Cena nie gra roli, jeżeli niewolnik będzie taki, jakiego szuka – powiedział Mongoł. – Rzecz w tym, że on pozostanie w Palmyrze tylko kilka dni, a potem wyrusza w dalszą drogę. Szkoda, że nic nie wiesz o żadnym niewolniku. Mój przyjaciel byłby wdzięczny temu, kto pomógłby mu go znaleźć, szczególnie gdyby Frank był na sprzedaż.

–A co nie jest na sprzedaż? – rzekł sklepikarz. – Tyle że jeśli właściciel nie kwapi się do transakcji, cena może być... Zapewne mógłbym pomóc mu wytargować niższą cenę. Rzecz jasna, ja handluję tylko materiałami i nie interesują mnie niewolnicy. Mimo to słyszę różne rzeczy i znam tych, którzy tu kupują i sprzedają. Całkiem możliwe, że znajdę mu jakiegoś Franka, zanim stąd odjedzie. Jeśli tak, dam mu znać. Rzecz jasna, będzie mnie to kosztowało sporo starań, więc chętnie widziałbym jakiś dowód wdzięczności za znalezienie takiego niewolnika.

–Jestem pewien, że w takim wypadku nie zapomni okazać ci swojej wdzięczności – powiedział Baiju. – Gdybyś usłyszał coś i gdyby dzięki temu uzyskał to, czego chce, a transakcja była korzystna, na pewno w swoim czasie moglibyście omówić tę sprawę między sobą.

–Oczywiście... – zaczął sklepikarz, ale w tym momencie uwagę wszystkich przyciągnęło zamieszanie, które wybuchło nieco dalej na ulicy. Było za daleko i wokół tłoczyło się zbyt wielu ludzi, żeby zobaczyć, co zaszło, ale słyszeli podniesione głosy i widzieli uniesione kije.

Nagle jakaś postać przedarła się przez tłum i pobiegła w ich kierunku ulicą. Wszyscy pospiesznie schodzili biegnącemu z drogi, a tłum momentalnie rzucił się w pogoń, depcząc mu po piętach i poszturchując kijami. Uderzenia rzadko dosięgały celu, ale popędzały go tak, że po chwili dobiegł do sklepu, przed którym stał Jim z towarzyszami, zrównał się z nimi i pobiegł dalej, zaś uliczkę wypełnił rozpychający

się, krzyczący i wrzeszczący tłum.

Przez moment Jim zdążył zobaczyć wysokiego, śniadego mężczyznę o czarnych brwiach i wąsach z całkowicie oddartym rękawem szaty odsłaniającym okropnie zniekształcone przedramię. Mogła to być blizna, biegnąca od przegubu do łokcia albo szerokie, szarawobiałe znamię. Mężczyzna miał bladą twarz, wytrzeszczone oczy i otwarte usta, jakby coś krzyczał. Jeśli nawet, to nikt go nie słyszał w zgiełku depczącego mu po piętach tłumu.

–Chroń nas, Allahu – rzekł sklepikarz. – To Albohassan Karasanij, Pers, sprzedawca skór. Już od kilku tygodni podejrzewano, że dotknęło go przekleństwo trądu, który przed nami ukrywa. Przysięgał, że to tylko wrzody. Widać ktoś wreszcie oddarł mu rękaw szaty, żeby sprawdzić.

Popatrzył w przeciwną stronę, a potem wzruszył ramionami i znów napotkał spojrzenia Briana, Baiju oraz Jima.

–Do tej pory właściciele sąsiednich sklepów już zagarnęli jego towar – stwierdził z lekkim żalem. – Taka była wola Allaha. No cóż, czym jeszcze mogę służyć?

–Myślę, że to już wszystko – powiedział Jim. Chciał jak najszybciej wydostać się stąd.

–Przyślę wiadomość, jeśli będzie co wysyłać – powiedział sklepikarz. – Możesz na to liczyć, panie. Gdzie mam was szukać, o szlachetni panowie?

–W karawanseraju Jusufa – odparł Baiju.

–Dobrze, a więc tam poślę wiadomość. Ja jestem Metaab, kupiec jedwabny.

Wszyscy mnie tu znają,

Jim, Brian i Baiju odeszli. Jim z ulgą oddalił się od sklepiku, który w jego umyśle nierozzerwalnie połączył się z niedawno widzianym przez nich wydarzeniem.

–Dokąd teraz? – zapytał Mongoł.

Jim czuł, że nie ma ochoty wracać do karawanseraju.

–Właściwie – odparł – skoro już tu jestem, chciałbym obejrzeć sobie Palmyrę, póki mamy czas.

–Chcesz obejrzeć miasto? – wytrzeszczył oczy Baiju. – Przecież widzisz je.

Machnął ręką na ciągnące się rzędy sklepów.

–Nie, nie – odparł Jim. – Mówię o całym mieście.

–Skoro o tym mowa – rzekł Brian – to ja także mam na to ochotę. Szczególnie chciałbym zobaczyć oazę, z której kobiety noszą wodę na głowach. Ciekaw jestem, jak one to robią. Ponadto zawsze dobrze jest rozejrzeć się w nowym miejscu.

–Możliwe – zgodził się Baiju. – Ale oglądać miasto? Przecież wszystkie są takie same!

Jim wiedział, że nie ma sensu mówić Brianowi i Baiju o ruinach budowli będących pomnikiem rzymskich budowniczych i dawnej cywilizacji. Szlak karawan musiał być równie stary jak czas. Cokolwiek zrobią, będzie to lepsze od powrotu do karawanseraju, gdzie leżałby, patrząc w sufit, i myślał o uciekającym wygnanym trędowatym.

Wciąż widział – jak na stop-klatce – wytrzeszczone oczy i wpół otwarte usta umykającego nieszczęsnego kupca, Dziwne, lecz ten widok wcale nie poruszył

sklepikarza i Baiju. A prawdę mówiąc, nie wywołał też żadnej widocznej reakcji u Briana. Ten właśnie opowiadał Baiju, jak postępują w takich wypadkach w Europie.

– Nasi trędowaci muszą nosić dzwonki i szaty zakrywające ich od stóp do głów – mówił. – Trędowaty, idąc, porusza dzwonkiem, żeby inni ludzie mogli w porę zejść mu z drogi.

– Prościej go zabić – orzekł Baiju. – Strzałami, z daleka.

Doszli na koniec suku, a przynajmniej na jeden jego kraniec. W każdym razie wychodzili z labiryntu kramów.

– Jeśli już musicie się kręcić w tej stercie łąna, to lepiej pójdę z wami – ciągnął kwaśno Baiju. – Najwyraźniej wasze obyczaje różnią się od ich zwyczajów i nie mając pojęcia, co przystoi, a co nie, moglibyście zginąć, zamiast wrócić do karawanseraju. Tak więc chodźcie ze mną.

Przeprowadził ich przez miasto do oazy. Pomimo tego, co twierdził, spojrzenie Briana częściej przywierało do kobiet, niż do noszonych przez nie na głowach dzbanów z wodą.

– Jeśli chcesz popatrzeć na kobiety – rzekł Baiju, obserwując go przez jakiś czas – to mogę znaleźć miejsca, gdzie zobaczysz o wiele więcej niż tu.

– To byłoby pouczające, prawda, Jamesie? – spytał Brian, spoglądając na Jima nad głową Baiju, który jako najniższy z nich szedł w środku, co pozwalało wszystkim trzem prowadzić swobodną rozmowę.

Jim nie miał ochoty korzystać z propozycji Mongoła, ale ponieważ przede wszystkim chciał trzymać się z dala od karawanseraju, przystał na nią.

Baiju zaprowadził ich do lokalu, w którym podawano kawę, a jako niemuzułmanie mogli zamówić cienkie kwaśne wino, na które nawet Brian kręcił nosem, chociaż je wypił.

Na środek sali wyszły jedna po drugiej trzy tancerki. Były odziane w muślinowe szaty, które miały wyglądać kusocielsko, lecz w rzeczywistości odsłaniały jeszcze mniej niż u zakutanych od stóp do głów kobiet noszących wodę z oazy.

Spędzili tam prawie cztery godziny i w końcu Jim jakoś oswoił się z dręczącym go wspomnieniem trędowatego, chociaż miał wrażenie, iż ten widok będzie go prześladował do końca życia. Malujący się na twarzy nieszczęśnika strach nie był tylko lękiem przed tłumem. Jego przerażenie było wywołane tym, w co teraz uwierzył lub co wreszcie zaczął sobie uświadamiać. Chociaż był szczerze przekonany, iż nie choruje na trąd, czekała go przyszłość, w której będzie musiał żyć wśród prawdziwych trędowatych. A jako człowiek swoich czasów niewątpliwie głęboko wierzył, że niebawem zarazi się od nich tą chorobą.

Jim, Brian i Baiju w końcu wrócili do karawanseraju. Kiedy tam weszli, powitał ich jeden z pracowników, a może bywalców.

– Ktoś na was czeka – powiedział. – Nazywa się Ibn Tariq i siedzi w części jadalnej karawanseraju.

Jim wolałby pójść do swojego pokoju, lecz Baiju i Brian niezwłocznie ruszyli w kierunku jadalni, tak więc poszedł za nimi. Znaleźli tam Ibn Tariqę siedzącego ze skrzyżowanymi nogami na poduszkach w jednej z tych małych nisz. Na ustawionym

obok stolika ruszcie piekło się coś, co wyglądało na podpłomyk.

–Ach, moi przyjaciele! – zawołał na ich widok Ibn Tariq. – Podejdźcie. Usiądźcie przy mnie!

Szli w jego kierunku, a gdy w połowie drogi napotkali dym z rusztu, Jim stłumił kasznięcie, które – jak uznał – byłoby nieuprzejme.

–Dobrze się czujesz, milordzie? – szepnął mu do ucha cichy, zatroskany głos, gdyż kasznięcie zostało tylko częściowo stłumione,

–Świetnie, Hobie – mruknął Jim, – To przez ten dym,

–Nie jest najlepszy – rzekł Hob – ale nie ma czegoś takiego jak zły dym.

Może dla skrzata, pomyślał Jim, ale już dotarli do niszy Ibn Tariqa i wymieniali grzeczności. Nie miał czasu, by wyrazić tę myśl głośno.

–...Sklepiarz na suku, który miał uszyć dla mnie nakrycie głowy, przyniósł mi to niecałą godzinę temu – mówił Ibn Tariq. – Przekazał mi wiadomość, że jesteście tutaj, odwiedziliście jego sklep i wspomnieliście o mnie. Mówił także, że szukacie frankońskiego niewolnika. Tak się składa, że mam w Palmyrze znajomych, gdyż bywałem tu nieraz, więc może będę mógł wam pomóc w poszukiwaniach.

Rozdział 23

Jim popijał niewiarygodnie słodką i niewiarygodnie mocną kawę z maleńkiej filiżanki, którą postawił przed nim kelner. Parzył sobie język, ale nie zwracał na to uwagi. Potrzebował stymulatora, który rozjaśniłby mu myśli. Siedzieli w niszy przy stoliku Ibn Tariqa.

Już sam widok tego człowieka był dostatecznie szokujący. Świadomość, że szukał ich, a w dodatku starał się tu dotrzeć równie zawzięcie jak oni albo jeszcze bardziej, natychmiast obudziła podejrzenia Jima.

Propozycja Ibn Tariqa była podejrzana pod wieloma względami. Po pierwsze, wysunął ją zbyt szybko, jak na zwyczaje przyjęte w tej części świata. Obyczaj nakazywał kwadrans lub godzinę rozmowy o błahostkach przed przejściem do meritum sprawy. Ponadto propozycja była niezwykle bezpośrednia jak na kogoś takiego jak Ibn Tariq, który dotąd wykazywał niemal makiaweliczną przewrotność w rozmowie.

Spoglądał teraz na Jima z uśmiechem i niewinną miną człowieka uradowanego tym, że może przekazać dobre wieści bardzo lubianej osobie. To prawda, że jadąc przez kilka dni z karawaną, Ibn Tariq i Jim znaleźli wiele wspólnych tematów do rozmowy. Jednak nie zostali przyjaciółmi w prawdziwym znaczeniu tego słowa.

–Ach – powiedział wesoło Brian – ten handlarz jedwabiem.

–Tak, to był Metaab, kupiec jedwabny, z którym rozmawialiście – rzekł Ibn Tariq. – Na suku jest jeszcze kilku kupców jedwabnych. Ja jednak zawsze uważałem Metaaba za najrzetelniejszego.

–Obiecał nam pomóc – powiedział Jim. To były pierwsze słowa, jakie przyszły mu na myśl.

–To do niego podobne – przyznał Ibn Tariq. – On jednak będzie rozmawiał z innymi na suku, ulicach i w innych takich miejscach. Ja znam ważniejszych ludzi. A niektórzy z nich mogą rozpytać się w moim imieniu. Mam wrażenie, że ten frankoński niewolnik jest dla was bardzo ważny – rzekł Ibn Tariq. I w bezpośredni, niedbały sposób, w jaki traktowano w tych stronach takie sprawy, zapytał: – Zapewne dawny kochanek?

Jim, który właśnie upił kolejny, nieco większy łyk gorącej kawy, miał pewne trudności z jej przełknięciem.

–Nie – zdołał wykrztusić. – To tylko sąsiad, wobec którego mam zobowiązania.

–Ach – rzekł Ibn Tariq – na tym świecie za mało ceni się poczucie obowiązku. Wiele podróżowałem, mówiąc i zadając pytania, lecz rzadko znajdowałem przykłady tych cnót, jakie wymienia Koran...

Przerwał mu zgiełk przy wejściu do sali jadalnej. Wszyscy obejrzel się i zobaczyli pięciu mężczyzn w hełmach, z jataganami u pasa, trzymających w dłoniach broń o długim drzewcu, która wyglądała jak skrzyżowanie piki z halabardą. Przez moment Jim przypuszczał, że zacierają do którejś z sąsiednich nisz – ale nie, szli prosto do niego i jego towarzyszy.

Dotarli do niszy i stanęli przed nią. Nie wyglądali przyjaźnie. Wszyscy byli odziani w brązowo-białe szaty. Czterej nosili kaftany z utwardzonej skóry i także hełmy.

Piąty, który szedł na czele i zdawał się dowodzić oddziałkiem, nosił stalowy hełm i krótką kolczugę.

Miał pociągłą twarz o zimnych brązowych oczach, które patrzyły na nich nieprzyjaźnie.

–Wy trzej jesteście aresztowani na rozkaz deja! – rzekł, podchodząc. – Widzę, że macie noże. Oddajcie je. Już, rękojeściami naprzód.

–Ha! – powiedział Brian i położył dłoń na rękojeści noża, ale bynajmniej nie w sposób sugerujący, że zamierza oddać broń. Czterej strażnicy natychmiast wymierzili w niego groty długich pik.

–Brian! – rzekł ostrzegawczo Jim. Jednak Ibn Tariq już otworzył usta.

–Uspokójcie się, przyjaciele – powiedział. – Jestem pewny, że to jakaś pomyłka. Oficerze, czy mogę porozmawiać z tobą chwilę na osobności? Jestem Ibn Tariq i moje imię jest dobrze znane w tym mieście.

–Wybacz, że zakłócamy ci spokój przy posiłku, o Ibn Tariqu – rzekł oficer, kłaniając się dwornie. – Zapewniam cię, że nie ma żadnej pomyłki, ale, jeśli pozwolisz na słówko...?

Ibn Tariq wstał i obaj odeszli kilka kroków dalej. Czterej pozostali strażnicy stali z pikami w dłoniach, chociaż teraz przynajmniej nie mierzyli nimi w Jima, Briana czy Baiju.

Kilka następnych minut minęło w napiętym wyczekiwaniu. Brian groźnie spoglądał na czterech strażników. Zdjął dłoń z rękojeści i opuścił ją. Wydawało się, że w ten sposób stara się wyglądać mniej groźnie, ale Jim znał Briana i był mocno zaniepokojony.

Teoretycznie rycerze nie potrzebowali żadnej dodatkowej broni, ale Brian już dawno temu, na początku ich przyjaźni, wyjaśnił Jimowi, że w czternastym wieku nikt nie obywa się bez zapasowego, ukrytego sztyletu, jeśli go nań stać. Jim wiedział, że Brian ma przynajmniej jeden. W rękawie, tuż nad dłonią, którą Brian właśnie zdjął z rękojeści miecza, przyjaciel nosił krótki, lecz ciężki i doskonale wyważony, obosieczny nóż. Jeden ruch wystarczyłby, aby rękojeść znalazła się w dłoni Briana, a ostrze przeszło rękaw i wybrany cel. Nóż był dostatecznie ciężki, by przeciąć co najmniej jedno drewniane drzewce wymierzonych w rycerza pik.

–Sądzę, że powinniśmy dać szansę Ibn Tariqowi – powiedział Jim do Briana.

Ten spojrział na niego bez cienia sprzeciwu. Baiju także patrzył na niego, ale jakby ze wzgardą. Po niezwykle krótkiej jak na wschodnie zwyczaje rozmowie Ibn Tariq i oficer wrócili do stolika.

–Obawiam się, że musicie pójść z tym oficerem – rzekł Ibn Tariq. – Chociaż nadal jestem przekonany, że zaszła jakaś pomyłka. Postaram się, aby natychmiast ją naprawiono. Ten oficer wypełnia rozkazy wojskowego rządcy Palmyry, którego znam. Nalegam, żebyście poszli z nim spokojnie, bez oporu i pozostawili mi resztę.

Baiju wydał jeden z tych dźwięków, który mógł być śmiechem albo nie.

Jim pospiesznie wyjął nóż i podał go rękojeścią oficerowi, który wzgardliwie odsunął się i skinął na jednego ze swoich ludzi. Ten wziął broń, mierząc piką w pierś Jima. Idąc za przykładem przyjaciela, Brian niechętnie oddał nóż, ale żadnej innej

broni, jaką mógł mieć przy sobie. Całkiem możliwe, pomyślał Jim, że Brian ma przy sobie więcej sztyletów niż tylko ten jeden w rękawie.

Baiju wstał, pozwalając, by grot piki dotknął jego piersi, przebijając ubranie. Lewą ręką wyjął z pochwy krótki, wygięty miecz i uderzył rękojeścią w brzuch stojącego przed nim strażnika, który pospiesznie chwycił ją i cofnął się o krok.

–A teraz – rzekł oficer – idziemy.

Wyszli na ulicę, przyciągając spojrzenia tłumu, który towarzyszył im przez jakiś czas. Przeszli przez labirynt zaułków, aż dotarli do tak wąskiej uliczki, że oficer stracił cierpliwość do gapiów i kazał dwóm swoim ludziom zablokować przejście deptającym im po piętach ciekawskim.

W ten sposób za Jimem, Brianem i Baiju pozostał tylko on i jego dwaj strażnicy jako konwój więźniów. Szli dalej, wypełniając polecenia oficera, aby skręcić tu czy tam, aż dotarli do drzwi w murze, przy których stał inny strażnik.

Oficer wysunął się naprzód, ponieważ wyszli już z ciasnej uliczki. Na jego widok wartownik przy drzwiach pospiesznie je otworzył. Oficer bez słowa przeprowadził Jima i jego towarzyszy przez mały, zaśmiecony pokój, gdzie na brudnych poduszkach spoczywali trzej inni żołnierze uzbrojeni w szerokie, zakrzywione noże, dostatecznie długie, aby służyły jako miecze. Poprowadzono ich przez tak wąskie drzwi, że musieli przez nie przechodzić pojedynczo. Potem skierowali się w dół po ciemnych schodkach, a w końcu tunelem o kamiennych ścianach i glinianej podłodze. Przeszli jeszcze kawałek przy migotliwym blasku pochodni, aż korytarz poszerzył się, tworząc pomieszczenie poprzedzielane metalowymi prętami wydzielającymi cele. W pierwszych dwóch, które mijali, ujrzeli paru ledwie żywych, odzianych w łachmany osobników. Potem Jima i Briana wepchnięto razem do następnej pustej klatki, której drzwi zatrzaśnięto. Baiju pozostał na zewnątrz.

–Ty nie, Mongole – rzekł oficer. – Ciebie zabierzemy gdzie indziej.

On i trzej strażnicy, którzy przyszli za nimi z komnaty na górze, otoczyli małego Mongoła i odeszli, pozostawiając Jima i Briana w zamkniętej celi.

Jedyna pochodnia słabo oświetlała pomieszczenie, w którym znajdowały się cele. Przymocowana była do ściany tuż za pustą celą po lewej, prawie w zasięgu ręki Jima, co pozwalało im dość dobrze widzieć siebie nawzajem oraz najbliższe otoczenie.

–Jak myślisz, co z nim zrobią? – spytał Brian Jima. Ten potrząsnął głową.

–Nie rozumiem tego – rzekł.

–Może nie powinienem pytać – powiedział Brian – ale czy jest jakiś sposób, w jaki mógłbyś za pomocą twojej magii...

Nie dokończył,

–Oczywiście – odparł Jim – ale sprawy jeszcze nie stoją tak źle. Zawsze mogę użyć magii, jeśli zawiodą inne metody. Powinniśmy jednak oswoić się z faktem, że bywają takie sytuacje, kiedy magia na nic się nie przyda. – Rozejrzał się wokół. – Chciałbym wiedzieć coś więcej o tym miejscu – powiedział. – Czy to wygląda na więzienie?

–Nie bardzo – powątpiewał Brian. – Miejskie więzienia to zazwyczaj takie lochy jak ten, z którego uwolniłeś mnie z Giles'em w Breście, kiedy ostatnio byliśmy we

Francji. Tutaj jest nie tylko sucho, ale i czysto.

–Czysto? – powtórzył Jim, z niedowierzaniem rozglądając się wokół.

–No tak – ciągnął niemal wesoło Brian. – W takim miejscu więzi się kogoś ważnego. Jeśli się nie mylę, tam w kącie stoi nawet nocnik.

Jim postanowił nie dać się wciągnąć w dalszą dyskusję o luksusach ich kwatery.

–Zapewne masz rację – powiedział do Briana. – Chciałbym wiedzieć, jak wygląda reszta budynku, Nie chcę jednak wykorzystywać do tego magii. Zaczynam podejrzewać, że ktoś używa tu czarów, może po to, aby mieć nas na oku. – W zadumie popatrzył na pelgające światło pochodni i poczerniały od sadzy sufit nad nią. – Mimo wszystko mamy tu trochę dymu. A ten dym musi stąd uchodzić przez jakiś otwór wentylacyjny. Może Hob mógłby przelecieć tamtędy na smudze z pochodni, z kuchennego paleniska czy czegokolwiek, a potem wrócić i opowiedzieć nam, co widział. – Obejrzał się. – Hobbie? – powiedział. – Myślisz, że mógłbyś to zrobić?

Nie otrzymał żadnej odpowiedzi.

–Hobbie? – powtórzył, a kiedy nadal nie słyszał odpowiedzi, sięgnął ręką i pomacał sakwę, w której powinien siedzieć skrzat. Była pusta.

–Zniknął? – zapytał Brian, widząc minę Jima.

–Tak – Jim opuścił rękę. – Wiem, że był tam, kiedy poszliśmy porozmawiać z Ibn Tariqiem, ponieważ o mało nie zacząłem kasłać od dymu z paleniska, a wtedy mówił coś do mnie.

–Przecież nie opuściłby nas bez pozwolenia czy rozkazu? – rzekł Brian. – Jak to? Bez zezwolenia zostawiłby swego pana? Co z niego za skrzat?

–Myślę, że one wszystkie są takie same – odparł Jim. Poczul dreszcz strachu. – Sądzisz, że uznał to za niebezpieczną sytuację i stwierdził, że powinien wrócić do Anglii, by zawiadomić Angie i Geronde?

–Wrócił do Anglii? Powiedzieć Angeli i Geronde? – wytrzeszczył oczy Brian. – O czym ty mówisz?

–Tak uzgodniliśmy z Hobem, zanim opuściliśmy Anglię. Mówiłem ci o tym w zamku sir Mortimora, pamiętasz? Spodziewaliśmy się, że w pewnej sytuacji mogę nie zdążyć rozkazać mu, żeby wrócił i zaniósł Angie oraz Geronde wiadomość o tym, co się nam przytrafiło. W takim wypadku miał sam zdecydować, kiedy wrócić. Widocznie uznał nasze aresztowanie za taką sytuację i poleciał na dymie z rusztu, kiedy wyszliśmy. Nie widzieliśmy go, gdyż nie chciał, aby ktoś go zauważył. Ponadto, wychodząc, patrzyliśmy w kierunku drzwi, a wszyscy inni obserwowali, jak idziemy. W sąsiednich niszach nie było nikogo. Założę się, że właśnie tak uczynił!

–Jeżeli tak – powiedział Brian – i jeśli można to zrobić...

–Och, można na pewno, a przynajmniej skrzat może tego dokonać – rzekł Jim. – Mam wrażenie, że im większa odległość, tym szybciej potrafi ją przebyć. O ile wiem, był przekonany, iż może wrócić do domu z dowolnego miejsca w ciągu najwyżej kilku godzin.

Spojrzeli na siebie.

–Zawiadomi lady Angelę, że zostaliśmy rozbrojeni i uwięzieni przez żołnierzy? –

zapytał Brian.

Jim ponuro skinął głową.

–Przecież to ją tylko zdenerwuje tak samo jak Geronde, kiedy powie i jej!

–Właśnie o tym myślę – odparł Jim. – Chcę powiedzieć, że to mnie niepokoi.

Angie dowie się, że znaleźliśmy się w niebezpieczeństwie, a ona będzie tysiąc mil dalej, w Anglii, nic nie mogąc na to poradzić.

–Na pewno zechcą wyruszyć na pomoc – mruknął Brian. – Jestem pewny, że Geronde spróbuje.

–Angie też – rzekł Jim. – Na szczęście nie będą w stanie. Bo jak mogłyby się tu dostać?

–Jak możemy się tam dostać? – powiedziała Angie, chodząc tam i z powrotem po słonecznym pokoju Malencontri. Geronde przysiadła na skraju łóżka, a Hob na smużce dymu snującej się po komnacie. Na kominku płonął ogień, chociaż na zewnątrz był ciepły wiosenny dzień. Od murów zamku jeszcze przez miesiąc czy dwa miało ciągnąć chłodem.

–Zapewne mogłabym zdobyć pieniądze na podróż – powiedziała Geronde – ale ta potrwałaby kilka miesięcy.

–W tym rzecz – powiedziały Angela, nie zwalniając kroku. – Gdyby chodziło tylko o pieniądze, znalazłabym w zamku dość, nie licząc klejnotów, które mogłybyśmy zamienić na pieniądze w każdym większym mieście, gdybyśmy ich potrzebowały w podróży. Masz jednak rację, zajęłaby nam ona całe miesiące, a kto wie, co stałoby się z Jimem i Brianem, zanim dotarłybyśmy na miejsce. Nie tylko musimy się tam dostać, ale musimy to zrobić szybko.

Nagle zatrzymała się i obróciła na pięcie, żeby spojrzeć na Hoba.

–Milady? – zapytał skrzat, robiąc wielkie oczy.

–Hobie... Hobie Jeden de Malencontri – powiedziała Angie. – Jim opowiadał mi, jak zabrałeś go na przejażdżkę. Mógłbyś zabrać Geronde i mnie, tak samo jak zabrałeś Jima.

–Och, pani! Możemy brać na przejażdżkę tylko dzieci. Chyba wyłącznie dlatego, że jesteście panami tego zamku, mogę zabrać jedno z was. Nie mógłbym jednak wziąć nikogo innego, na przykład lady Geronde. Ponadto dym nie uniósłby dwóch dorosłych osób, nie licząc mnie. Jedna byłaby już dostatecznie dużym obciążeniem. Mógłbym zabrać dwoje dzieci, gdyby były naprawdę małe.

–Ba! – powiedziała Geronde.

–Cóż, on nic na to nie poradzi – powiedziała jej Angie. – Wiem, że zrobi, co będzie mógł. Prawda, Hobie?

–Och tak, pani.

–W porządku! – stwierdziła energicznie Angie. – Jeśli nie możemy zrobić tego tak, to spróbujemy inaczej. Mam pomysł, jak mogłybyśmy tego dokonać.

–Jaki pomysł, Angelo? – spytała Geronde.

–Powie ci na szczycie wieży, gdzie nikt nas nie usłyszy – odparła Angie. – Chodź, Geronde. Ty też, Hobie.

Wyprowadziła ich z komnaty i po kamiennych schodach na szczyt wieży będący

jednocześnie sufitem słonecznego pokoju. Stojący na warcie zbrojny wytrzeszczył oczy nie tyle na widok Angie i Geronde, ile siedzącego na smudze dymu Hoba. Pomimo to jako stały mieszkaniec zamku należącego do maga nie okazał strachu ani zdumienia.

–Możesz zejść, Haroldzie – powiedziała Angie. – Zawołam cię, kiedy będziesz nam potrzebny. A jeśli przez godzinę cię nie wezwę, wróc sam. Nie zwracaj uwagi, jeżeli nas tu nie zastaniesz.

–Nie zwracać uwagi, milady? – Stały mieszkaniec zamku zaczynał tracić panowanie nad sobą.

–Słyszałeś – powiedziała Angie. – Już cię tu nie ma!

Harold posłuchał. Kiedy odszedł, Angie z uśmiechem odwróciła się do przyjaciółki.

–I co? – zapytała Geronde.

–Geronde – rzekła Angie – pamiętasz, jak niedawno Jim i ja przylecieliśmy na twoją wieżę, a ty próbowałaś nas przegonić, ponieważ wzięłaś nas za dwa smoki, które szukały Malencontri i wylądowały tam przez pomyłkę?

–Pamiętam, Angelo.

–No cóż – triumfalnie oznajmiła Angie – zmienimy się w smoki i polecimy tam!

Rozdział 24

Geronde wytrzeszczyła oczy. Gdyby na jej miejscu znalazła się jakaś inna kobieta, opadłaby jej szczęka, lecz Geronde była za bardzo podobna do Briana i zbyt poważna, aby przypisywać jej takie głupie miny.

–Ty też potrafisz czarować, Angelo?

–Nigdy nie próbowałam – odparła równie poważnie Angie – ale tego dnia, gdy wylądowaliśmy na twojej wieży, Jim przemienił mnie w smoka. Jeśli raz byłam smoczycą, to mogę stać się nią ponownie. A skoro sama potrafię zmienić się w smoka, to powinnam umieć zrobić to z tobą.

–Tylko jak? – pytała Geronde.

–Jeszcze nie wiem – odparła Angie. – To bez znaczenia. Często widziałam, jak robił to Jim. Kiedy żyje się z mężczyzną tak długo jak ja, można go dobrze poznać, naprawdę dobrze. Cofnij się, a ja spróbuję.

Geronde cofnęła się kilka kroków.

Angie nie ruszyła się z miejsca. Zrobiła głęboki wdech. Wyciągnęła ręce wzdłuż boków, zacisnęła pięści i zamknęła oczy. Stała tak spięta.

Minęła chwila.

Geronde otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale zmieniła zdanie. Czekala.

Angie odetchnęła ze znużeniem i otworzyła oczy. Przez moment stała tak, robiąc głębokie wdechy i rozluźniając mięśnie.

–Mówię ci – powiedziała do Geronde – że można to zrobić! Jim po prostu wierzy w swoją magię. A jeśli wierzy dostatecznie mocno, jego życzenie spełnia się; tak mi się zdaje. Jeżeli uwierzę, że mogę to zrobić, to zrobię. Jeżeli on może, to ja też.

–Oczywiście, Angelo – przytaknęła Geronde.

Angie zrobiła kolejny głęboki wdech, zamknęła oczy i zacisnęła pięści. Geronde znów czekała.

–Jestem smokiem, jestem smokiem, jestem smokiem... – mamrotała Angie przez zaciśnięte zęby. Minęła kolejna chwila. Potem Angie sapnęła, ponownie otworzyła oczy i rozluźniła mięśnie,

–Mówię ci, że potrafię! – powiedziała gniewnie do przyjaciółki.

–Oczywiście, Angelo – powtórzyła Geronde.

–Najbardziej irytujące jest to – Angie zaczęła przechadzać się tam i z powrotem po wieży – że ja naprawdę wiem, jak on to robi. Jesteśmy sobie tak bliscy, że wyczuwam to. Gdybym tylko zdołała poczuć coś takiego... Cierpliwości, Geronde. Spróbuję jeszcze raz.

Spróbowała – bez powodzenia.

–Angelo – zaczęła Geronde – czy nie uważasz, że...

Angie znów miała zamknięte oczy i nie słuchała jej.

I nagle zmieniła się w smoka.

Geronde, odruchowo cofnęła się jeszcze o krok.

–Angelo... – powiedziała. – Angelo, jesteś tu?

Smok odwrócił osadzony na wdzięcznie wygiętej szyi łeb i spojrzał na nią. Pomimo smukłej sylwetki, był to bardzo duży smok.

–Geronde to ja – rzekł. – Widzisz? Mówiłam ci, że umiem. Teraz wystarczy, że przemienię ciebie.

–Och tak! – odparła z entuzjazmem Geronde. A potem dodała raczej z zaciekawieniem niż obawą: – Czy to bardzo boli?

–Wcale. Stój spokojnie, a ja się skupię i wyobrażę sobie, że jesteś smokiem. Nie wiem, jak tego dokonałam, ale na pewno mogę to powtórzyć. Tylko że z tobą może to potrwać nieco dłużej. Musimy zachować cierpliwość.

Smok zamknął oczy, zacisnął szponiaste łapy i zrobił głęboki wdech.

–Geronde jest smokiem, Geronde jest smokiem, Geronde jest smokiem... – zaintonował.

Angie próbowała przez dłuższą chwilę, ale nic się nie stało. Geronde czekała cierpliwie. Hob ze swojej smużki dymu spoglądał na nie z podziwem i uznaniem, chociaż obie kobiety już dawno zapomniały o jego obecności.

Po kilku próbach Angie zaczęła ciężko sapać i spojrzała na Geronde.

–Wiesz co – stwierdziła – może pomogłoby, gdybyś i ty zamknęła oczy i powtarzała sobie: „Jestem smokiem, jestem smokiem...”, kiedy próbuję cię w niego przemienić.

–Oczywiście, Angelo – odparła Geronde. – Czy mam też...

Huknęło, a kiedy rozwiął się dym, przed nimi stał Carolinus. Miał trzy metry wzrostu i brodę zjeżoną ze złości.

–Nic z tego!!! – rzekł.

Smoczyca oraz Geronde otwały oczy i sapnęły. Spojrzały na niego.

–Angie – powiedział – koniec z tym... no, prawie koniec. Jedno z was zupełnie wystarczy. Ten twój mąż biegający sobie po świecie, trwoniący magiczną energię na prawo i lewo, jakby była za darmo, robiący wszystko na opak i za każdym razem w jakiś cudowny sposób znajdujący prawidłowe rozwiązanie dzięki temu czemuś z innego świata, co przyniósł tu w swojej głowie... Dwoje to za dużo. Jestem starym człowiekiem. Angelo Eckert, dość tego!

–Muszę znaleźć Jima! – odparła smoczyca.

–Bardzo proszę, ale nie w ten sposób! – warknął Carolinus i nagle smok zniknął, a pojawiła się Angela.

–Jak śmiesz!? – wykrzyknęła,

–Ja tylko odebrałem ci to, do czego nie miałaś prawa! – rzekł Carolinus. – Angelo Eckert, nie zamienisz się w smoka, żeby szukać Jima, nie mówiąc już o przemienianiu innej kobiety i zabieraniu jej ze sobą. Wcale nie zmienisz się w smoka. Jeżeli Jim zechce przemienić cię w niego, nie mogę go powstrzymać. Ma do tego prawo. Sama jednak nie możesz tego robić. Nie możesz zmieniać się w smoka ani w nic innego. Kropka. Koniec. Nie tylko złamałaś każdą regułę w Encyclopedie Necromantick, ale zrobiłaś to jako nielicencjonowany czarodziej, bez nadzoru starszego maga i bez zezwolenia. Musisz wiedzieć, że przez chwilę zachwiałaś równowagę sił!

–Niech się chwieją – powiedziała Angie. Sama też jakby urosła o metr i mierzyła maga gniewnym spojrzaniem. – Zamierzam wydostać Jima z opałów i nie możesz

mnie powstrzymać. Jeżeli przez to, że nie pozwalasz mi zmienić się w smoka, nie zdołam ocalić go w porę, strzeż się, Carolinusie! Nie żartuję!

–Wielki Boże! – wykrztusił Carolinus, bo słowa Angie zabrzmiały bardzo przekonująco.

–Pamiętaj – dodała tym samym tonem.

–Angie – rzekł mag – to bez sensu. Czy nie wiesz, że nie możesz niczym zagrozić mistrzowi magii takiemu jak ja?

–Znajdę sposób! – obiecała złowieszczo Angie,

–Wielki Boże – powtórzył ze zdumieniem Carolinus. – Nie wiedziałem, że...

–No to już wiesz.

–Moja droga – ciągnął cierpliwie Carolinus – uwierz mi. Lubię ciebie, lubię Jima. Pomógłbym, gdybym mógł. Jeśli zdołasz go ocalić bez użycia magii, powitam to z radością. Jednak to, co próbowałaś teraz zrobić, jest wykluczone raz na zawsze. Przykro mi, Angie. To moje ostatnie słowo.

Co powiedziawszy, zniknął.

Angie powoli ochłonęła z gniewu. Spojrzała na Geronde, a ta na nią.

–Nie martw się, Angelo – stwierdziła po chwili Geronde. – Uratujemy Jamesa i Briana, Na pewno. Znajdziemy jakiś sposób.

–Jaki? – spytała głucho Angie.

Hob odchrząknął. Ten dźwięk był tak cichy, że gdyby na szczycie wieży nie panowała kompletna cisza, kobiety nie usłyszałyby go. Popatrzyły na skrzata.

–Ehm – rzekł Hob, powtórnie odchrząkując i kuląc się, gdy dwie pary oczu przeszły go spojrzeniami. – Mam pewien pomysł...

Angie odprężyła się.

–W porządku, Hobie – powiedziała ze znużeniem, lecz łagodnie. – Może powiesz nam o tym trochę później, dobrze? Mamy teraz tyle na głowie...

–Nie, nie! – wykrzyknął Hob. – Może mam sposób, w jaki mogłybyście na smudze dymu szybko dostać się tam, gdzie jest mój pan i lord Brian.

Wytrzeszczyły oczy.

–Przecież mówiłeś... – zaczęła Geronde.

–Och, wiem, co mówiłem – odparł Hob, – Powiedziałem, że nie mogę przenieść was obu jednocześnie. Mógłbym to jednak zrobić, z pewną niewielką pomocą, gdybym uzyskał zgodę...

–Zgodę? – spytała Angic. – Czyją zgodę?

–Och, nic pani, lady, ani lady Geronde – zapewnił Hob. – Lady Geronde, zamek Malvern ma swojego skrzata. Nie znam go zbyt dobrze. Spotkałem go kilkakrotnie, kiedy obaj lecieliśmy na pasmach dymu i nasze drogi skrzyżowały się. Jeśli ja mogę unieść lady Angelę, to może tamten skrzat zabierze ciebie, jeśli zechce.

–Jeśli zechce? – powtórzyła Geronde. W jej oczach pojawił się groźny błysk. – Chcesz powiedzieć, że mógłby odmówić?

–Och, proszę, milady – błagał Hob. – Proszę, nie próbuj go do tego zmusić. On nie jest taki jak ja. Jest bardzo nieśmiały i nie przywykł oddalać się od domu. Zupełnie inaczej niż ja. Pozwól, żebym z nim porozmawiał. Pójdę i zrobię to od razu, a

wy dwie mogłybyście pojechać do zamku Malvern konno? Przy odrobinie szczęścia spotkamy się na najwyższej wieży Malvern i może po prostu wszyscy stamtąd odlecimy.

–Hobie – powiedziała Angie – czy naprawdę sądzisz, że zdołasz go namówić?

–Nie chciałbym niczego obiecywać, milady – odparł Hob – ale zrobię, co będę mógł, i mam nadzieję, że zdołam. Jak powiedziałem, on jest nieśmiały, ale może uda mi się obudzić w nim odwagę, która kryje się w każdym z nas, skrzatów.

–Mam nadzieję – powiedziała złowrogo Geronde.

–Postaram się, milady – rzekł zaniepokojony skrzat, – Naprawdę, wierzcie mi!

–Wierzmy ci, Hobie – odparła Angie. – Musisz nas zrozumieć. Lady Geronde chce odzyskać sir Briana, tak samo jak ja chcę odzyskać twojego pana.

–Wiem – rzekł Hob. – Myślę, iż wszystko będzie dobrze. Spotkamy się na zamku.

Jego smuga dymu raźnie pomknęła w niebo i na wschód, nabierając szybkości.

Po kilku sekundach zniknął im z oczu.

–Czy oni nigdy nas nie nakarmią? Mamy tu tkwić do sądnego dnia? – pytał Brian.

– Jak myślisz?

Chodził tam i z powrotem po klatce. Jim znalazł w celi coś, co można było uznać za łóżko, tyle że małe, jak dla dziecka. Najpierw ostrożnie usiadł na nim, ale wytrzymało jego ciężar.

–Wiem, o czym myślisz, Brianie – rzekł. – Obiecuję, że w razie potrzeby użyję magii. Wolałbym jednak poczekać z tym, aż będzie to naprawdę niezbędne. Nie oszczędzałbym jej tak, gdyby nie było to rzeczywiście ważne, Brianie.

–Ha – rzekł z powątpiewaniem rycerz.

–Tak jest – ciągnął Jim. – Kiedy Carolinus powiedział mi, bym korzystał z niej jak najmniej, zrobił to w niezwykle sposób. Chyba nigdy nie widziałem, żeby mówił tak poważnie. Widziałem już wcześniej, jak wymachuje rękami i przemawia z emfazą, ale tym razem było inaczej. Usiłował mi coś powiedzieć, a cały kłopot z magią, jak zawsze powtarzał, polega na tym, iż nie zawsze może mi wszystko wyjaśnić. Muszę sam dochodzić do różnych rzeczy, a on może tylko wskazać mi kierunek poszukiwań. Chyba zaczynam rozumieć, dlaczego tak musi być. Dlatego, że jeśli ktoś ci coś mówi, nie wierzysz w to, dopóki nie przekonasz się na własnej skórze...

–Cii! – syknął Brian, przerywając mu, – Ktoś nadchodzi. Kimkolwiek jest, im mniej się o nas dowie, tym lepiej.

Obaj zamilkli. Do komnaty wszedł ten sam oficer, który ich tu przyprowadził. Tym razem towarzyszyło mu czterech schludniej odzianych strażników. Ich szaty były niebiesko-białe, a ponadto wszyscy mieli stalowe hełmy i kolczugi.

–Chodźcie! – rzekł oficer, otwierając drzwi. Z tonu jego głosu niczego nie dało się wyczytać. Nic nie wskazywało na to, by był uradowany albo znudzony swoimi obowiązkami. – Ci ludzie zaprowadzą was tam, gdzie jesteście oczekiwani.

Jim i Brian wyszli z celi. Czterej strażnicy otoczyli ich i ruszyli schodami w górę, przy czym oficer trzymał się z tyłu. Tym razem poszli tunelem, który niebawem doprowadził ich do szerszego, znacznie czystszy korytarza, a ten do następnego, z dywanami napodłodze i ścianami wyłożonymi marmurem.

W końcu dotarli do szerokich drzwi, które oficer wskazał im machnięciem ręki. Strażnicy rozstąpili się. Od chwili, gdy Jim i Brian zobaczyli ich, zbrojni nie odezwali się słowem.

Dwaj rycerze poszli dalej sami. Minęli krótki i ładny korytarz i znaleźli się w równie pięknym pokoju różniącym się od ostatnio mijanych tym, że w niektórych miejscach ściany zasłonięte były kotarami sugerującymi istnienie zamaskowanych przejść.

Baiju i Ibn Tariq siedzieli na poduszkach, a między nimi stała taca z jedzeniem, niemal dotykając ich kolan, oraz filiżanki z kawą na małych, lakierowanych spodeczkach z czarnego drewna.

–Jedzenie – mruknął pożądliwie Brian.

–Ach, moi przyjaciele! – zawołał na ich widok Ibn Tariq. – Czekaliśmy na was. Wejdźcie, posilcie się, a ja wyjaśnię, dlaczego zostaliście narażeni na takie niewygody.

Klasnął w dłonie. W ścianie za jego plecami dwa kamienne bloki cofnęły się i rozsunęły, wpuszczając czterech mężczyzn w takich samych, niebiesko-białych szatach, jakie mieli strażnicy, którzy przyprowadzili tu Jima i Briana. Zanim rycerze zdążyli podejść do Baiju i Ibn Tariq, już położono dla nich poduszki. Obok rozstawiono drewniane stoliczki i nalano kawy do filiżanek.

–Jak się czujesz? – zapytał Jim Baiju.

–Nigdy nie czułem się lepiej.

–Na szczęście – rzekł Ibn Tariq – zdołałem wszystko wyjaśnić, zanim naszego przyjaciela zabrano do nieco... – Urwał, obserwując Briana, który wrzucał do ust kanapeczki jak dzieciak kawałki ciasta. Klasnął w dłonie, a gdy czterej słudzy wyszli zza ściany i spojrzeli na niego, dwukrotnie machnął wskazującym palcem w kierunku tacy. Zniknęli w ukrytych drzwiach. – ...mniej przyjemnej kwatery – ciągnął Ibn Tariq. – Prawdę mówiąc, żadnego z was nie powinna spotkać tak niemiła przygoda. Cóż jednak można... – Urwał, gdyż słudzy wrócili, niosąc cztery tace. Poustawiali je tak, że jedna znalazła się w zasięgu rąk trzech siedzących mężczyzn, a pozostałe trzy niedaleko Briana. – ...na to poradzić? – kontynuował Ibn Tariq. – We wszystkich sprawach wagi państwowej zdarzają się komplikacje i pomyłki.

Jim zajął się na początek kawą. Ten czarny, płynny dynamit jak zwykle rozjaśnił mu myśli.

–Czy to siedziba wojskowego zarządcy miasta? – zapytał.

–Nie – odparł Ibn Tariq. – To dom Murada Ciężkokiesego, mojego dobrego znajomego.

–Rozumiem więc – powiedział Jim, biorąc z tacy kanapkę i patrząc, jak człowiek, który wyrósł jak spod ziemi, ponownie napełnia mu filiżankę kawą – że Murad Ciężkokiesy jest wojskowym komendantem miasta?

–Nie – zaprzeczył Ibn Tariq – nie jest. To jednak człowiek niezwykle majątny i mający wpływy w tym mieście. Wojskowy zarządca używa mu swych żołnierzy. Niestety, jak już mówiłem, ci głupcy źle zrozumieli otrzymane rozkazy i wzięli was za przestępców.

Pierwsza zjedzona kanapka zaostrzyła Jimowi apetyt. Miał ochotę rzucić się

najedzenie, lecz jadł dyskretnie, nie przerywając rozmowy. Nie było to łatwe, ale nie rezygnował.

–W porządku – rzekł między kęsami – czy możesz nam wyjaśnić, dlaczego nas tu przyprowadzono?

Ibn Tariq rozłożył ręce.

–Muszę wyrazić mój głęboki żal z tego powodu – rzekł. – Murad Ciężkokiesy chciał jedynie wyświadczyć mi przysługę, sprowadzając tu naszego przyjaciela Baiju, żebyśmy mogli porozmawiać, nie budząc niezdrowego zainteresowania. Aresztowanie Mongoła przez straż to nic niezwykłego w tym mieście. Przypadkiem, zanim wysłano żołnierzy, co może wyjaśniać, dlaczego źle zrozumieli rozkazy, odkryłem, iż jedna ze spraw, jakie chciałem z nim omówić, wiąże się z wami dwoma, choć nie jestem pewien, w jakim stopniu. – Badawczo spojrział na Baiju, jakby spodziewał się, że ten coś powie. Mongoł popatrzył na niego z kamienną twarzą i nie odezwał się. – Jak powszechnie wiadomo, Mongołowie zdobyli zamki asasynów w Persji, podczas gdy my w Egipcie, to mój ojczysty kraj, zajęliśmy wszystkie tamtejsze. Tymczasem ostatnio asasyni pod wodzą wielkiego mistrza Hasana ad-Dimriego odrodzili się w jego Białym Pałacu, do którego, jak sądzę, zabrano was, kiedy zostaliście porwani z karawany. Niedawno do sułtanatu Egiptu przybyli wysłańcy Hasana ad-Dimriego proponujący przyjaźń naszemu kalifowi... Czy mogę ci czymś służyć, przyjacielu?

Ostatnie słowa skierował do Briana,

–Winem lub wodą! – wykrztusił rycerz. – Dławię się tym cynamonem!

–Oczywiście – rzeki Ibn Tariq. Klasnął i po chwili Brian popijał obficie posypaną cynamonem kanapkę wodą z wysokiego dzbanka. – Jak już mówiłem – ciągnął Ibn Tariq – Hasan ad-Dimri słał posłów do naszego egipskiego kalifatu. Niebawem poznano powód tych prób nawiązania przyjaznych stosunków, Hasan otrzymał wieść, że Złota Orda prze na południe w kierunku Persji, zmierzając zapewne do Egiptu, ale zapowiadając też zniszczenie Hasana i gniazda jego asasynów. Mając przyjaciół wśród mameluków, podjąłem się porozmawiać z jednym lub kilkoma Mongołami, którzy pojawią się tutaj. Chcemy sprawdzić, czy nie da się tego załatwić inaczej. My z Egiptu wolelibyśmy sami zniszczyć Hasana ad-Dimriego i zamierzamy to zrobić. Tak więc nic ma potrzeby, aby Mongołowie fatygowali się tutaj. Wiele przemawia za takim rozwiązaniem: jesteśmy bliżej, mamy lepszą pozycję, a nasi mamelucy lepiej nadają się do tego zadania niż konni nomadowie. Mówię to, nie zamierzając urazić naszego przyjaciela Baiju. – Urwał i zerknął na Mongoła, który odpowiedział mu tym samym nieprzeniknionym spojrzeniem. – Właśnie mieliśmy sprowadzić Baiju tutaj, gdzie moglibyśmy spokojnie porozmawiać, gdy otrzymałem wiadomość, że ostatnio zdobył dzięki wam informację, która pozwoliłaby Mongołom z łatwością zająć Białą Pałac. Nie mam pojęcia, co to za informacja, ale kazałem żołnierzom sprawdzić, czy nie zechcielibyście przyłączyć się do naszej rozmowy. Jak wiecie, mój rozkaz sprowadzenia was z karawanseraju został całkowicie opacznie zrozumiany.

–Ha! – rzekł wyraźnie Brian. W końcu zdołał zaspokoić głód, a teraz korzystał z

miski z wodą i ręcznika podanego przez jednego ze sług. Nagle zastygł i Jim zauważył, że przyjaciel pochwycił spojrzenie Baiju i bacznie przypatruje się małemu wojownikowi. Jim podejrzewał, że Mongoł żałuje teraz, że nie zabił ich, zanim znaleźli się tutaj. Ich gospodarz mógł – i w razie potrzeby na pewno nie wahałby się – spróbować torturami wydrzeć im tajemnicę ich ucieczki z Białego Pałacu. Mongoł pozwolił im żyć, ponieważ zamierzał wykorzystać ich znajomość sekretnego przejścia do fortecy. Teraz żałował, że to zrobił.

Jim znów odwrócił się do Ibn Tariqa i zobaczył, że ten słucha innego sługi, który szeptał mu coś do ucha. W następnej chwili sługa zamilkł i wyszedł przez drzwi w murze, a na ustach Ibn Tariqa znowu pojawił się serdeczny uśmiech.

–Właśnie otrzymałem wiadomość – powiedział – że Murad Ciężkokiesy może się z wami spotkać. Uczynicie mi ten zaszczyt i pójdziecie ze mną?

Jim usłyszał niezbyt głośne szuranie nóg oraz szczeł metalu i oglądając się z Brianem i Baiju, zobaczył co najmniej tuzin żołnierzy odzianych w barwy domu, uzbrojonych w piki i miecze, wchodzących przez te same drzwi, którymi niedawno weszli dwaj rycerze.

–Może pójdziemy od razu – rzekł łagodnie Ibn Tariq.

Rozdział 25

Poprowadzono ich dość uprzejmie, lecz stanowczo; połowa zbrojnych szła z przodu, a połowa za nimi. Grupa zajmowała całą szerokość dość dużego korytarza.

Nie skręcili w żadne boczne przejście. Korytarz przywiódł ich do bardzo dużej i zupełnie pustej komnaty, nie licząc baldachimu, pod wysokim sklepieniem na drugim jej końcu, gdzie na poduszkach siedział bardzo gruby mężczyzna otoczony tacami, filiżankami i kielichami.

Kiedy podeszli bliżej, Jim stwierdził, że nieznajomy był nie tylko gruby, ale po prostu niewiarygodnie olbrzymi. Ponadto jego twarz niemal całkowicie ginęła pod zdumiewająco gęstą, kędzierzawą, białą brodą, zaczynającą się tuż pod oczami i okrywającą brodę, szyję i całą resztę obfitymi puklami, którymi można by wypchać materac. Jedyne dobrze widoczne było czerwone wnętrze jego ust, gdy brał kolejny kęs znikający w tym otworze.

Miał turban na głowie i szeroką, powiewną szatę z purpurowo-czerwonego jedwabiu, w której wydawał się jeszcze większy. Jim pomyślał, że zapewne czterech służących pomaga mu stanąć na nogi.

W tym momencie drgnął, słysząc nad uchem cichy, chrapliwy szept Briana.

–Czy to ten gość z ciężką kiesą? – mruknął Brian. – Wyczuwam w tym jakiś fałsz, Jamesie. Mam wrażenie, że już go gdzieś widziałem.

–Gdzie? – chciał zapytać Jim, ale znaleźli się już zbyt blisko potężnego właściciela pałacu, aby dalej prowadzić tę szeptaną rozmowę.

–Witajcie! – rzekł gromkim głosem wielkolud. – Raczcie usiąść.

Nadbiegli słudzy z poduszkami, tacami, stoliczkami. Jim i Brian dostali puchary i ku nie skrywanemu zadowoleniu Briana, napełniono je czerwonym płynem, który najwyraźniej był winem.

–O Muradzie Ciężkokiesy – zaczął Ibn Tariq – oto są ci, o których ci mówiłem: Mongoł Baiju, sir James i sir Brian, frankońscy szlachcice.

–Witam, serdecznie witam! – powiedział Murad. – Czy nie mylę się, moi goście, że nie znając prawd Allaha, uważacie za dozwolone spożywanie alkoholu?

Jim zauważył, że Baiju także dostał puchar. Co więcej, już pił z niego w sposób wskazujący na to, że opróżni go w kilka sekund. Ibn Tariq nic nie powiedział, tak więc Jim uznał, że gospodarz oczekuje odpowiedzi od niego lub Briana.

–Masz rację, Muradzie Ciężkokiesy – rzekł. – Dziękujemy za wino, które jest dobrze nam znanym trunkiem.

–Pragnę, aby moi goście otrzymali wszystko, co sprawia im przyjemność – odparł Murad. – Cenię moje jadlo oraz napitki i pragnę, aby inni także się nimi cieszyli. Jak nakazuje Allah, karmię głodnych, którzy zachodzą w moje progi, a miłym gościom podaję najlepsze potrawy.

–Wszyscy o tym wiedzą, o Muradzie Ciężkokiesy – powiedział Ibn Tariq, podczas gdy Jim usiłował jeszcze znaleźć jakąś uprzejmą odpowiedź.

–To dobrze – powiedział Murad. – O Frankowie, słyszałem, iż szukacie frankońskiego niewolnika, a mój przyjaciel Ibn Tariq pomaga wam w tym. Ja również zrobię, co będę mógł. Jak wygląda ten człowiek?

–Kiedy widziałem go ostatni raz przed kilku laty – odparł Brian – był wysokim mężczyzną, trochę wyższym ode mnie, lecz nieco niższym od sir Jamesa. Miał czarne, siwiejące włosy, cienki wąsiki spory haczykowany nos i spiczasto zakończoną brodę. Ma bliznę na prawym policzku i lekko cofniętą szczękę, ale twarz wyrazistą i męską.

–Każę wszcząć poszukiwania – obiecał Murad, – Mam powiązania i interesy z wieloma ludźmi, więc będą one bardzo intensywne. Miejmy nadzieję, że znajdziemy tego, kogo szukacie.

–Czyż drogi Allana nie są pełne cudów, Muradzie, mój przyjacielu? – spytał Ibn Tariq. – Oto emirowie egipskiego kalifatu potrzebują informacji, jakich mogą dostarczyć ci Frankowie, których Allah przywiódł prosto do ciebie. Masz najlepszą sposobność, by spełnić ich życzenia i znaleźć tego od dawna zaginionego Franka!

–Prawdę mówisz – rzekł Murad. Mały brązowy piesek pojawił się za jego plecami i usiadł obok poduszek, patrząc na Jima, – Żaden człowiek nie jest w stanie pojąć cudów Allaha.

–Niektórych jednak może się domyślać – powiedział Ibn Tariq. – Egipt jest opoką i siłą przewodnią potężnego imperium, co jest mu przeznaczone. Kalifat i jego liczni emirowie nie zawsze działają tak szybko, jak powinni. Może nadszedł czas następnego Salaha ad-Dina, niechaj Allah na zawsze trzyma go w swych objęciach, który był Kurdem jak ty, o Muradzie. Posiada on wiedzę oraz bezgraniczną odwagę i powiedzie nas ku nowemu imperium.

–Zaprawdę, błogosławione niechaj będzie imię Salaha ad-Dina – odparł Murad. – Zaiste, przyjemnie jest pomyśleć, iż znów mógłby pojawić się ktoś taki jak on, a w dodatku będący Kurdem. Teraz jednak musimy wybiec myślami w przyszłość.

Kiedy ci dwaj wygłaszali kwieciste zdania, Jim spoglądał na brązowego pieska, a ten na niego. Znalazł się w dość zabawnej sytuacji. Nic mógł powiedzieć do zwierzęcia: „Co tutaj robisz?“, chociaż był pewny, że ten pies to nie kto inny jak Kelb. Podobnie nie mógł rzec; „Kelb, mówiłem ci, żebyś nie pokazywał się, dopóki cię nie zawołam“. Prawdę mówiąc, miał wrażenie, że nie byłoby to mądre, nawet gdyby byli sami. W nieruchomych, żółtych ślepiach psa malowała się nieznośna arogancja.

Oczywiście, istniała pewna niewielka możliwość, że ten pies to nie Kelb. Wszystkie brązowe pieski wyglądają podobnie, szczególnie kiedy przechodzą dziwne koleje w życiu. Ponadto zwykle są chude, zaniedbane i mają krótką sierść.

Ale jeśli to był Kelb, to co łączyło go z Muradem? Rozważając tę kwestię, Jim ujrzał dosłownie nieskończony ciąg możliwych odpowiedzi. Na chwilę zaniechał prób wyjaśnienia tej sprawy. Nie było sensu zajmować się nią teraz. Ponownie skupił uwagę na Muradzie oraz Ibn Tariqu. Ci dwaj nadal obsypywali się komplementami.

–Gdyby Salah ad-Din znowu znalazł się wśród nas – mówił Murad – nie mógłby uczynić niczego lepszego, jak mianować cię swym wezyrem, Ibn Tariqu...

Jim nie słyszał końca tej kwiecistej przemowy, gdyż Brian kciukiem i wskazującym palcem chwycił go za łokieć i wbił mu palce w ciało, aby zwrócić jego uwagę.

Brian miał stalowy chwyt, więc trudno byłoby go zignorować. Jim zerknął kątem oka i zobaczył, że przyjaciel, chociaż przysunął się nieco bliżej, spogląda przed

siebie i udaje zainteresowanie rozmową Ibn Tariqą z Muradem. Tymczasem znalazł się tak blisko Jima, że zdołał doń szepnąć;

–Jamesie! Ten sługa, który właśnie wychodzi. Spójrz! Nie odwracając głowy, Jim szybko zerknął w bok w samą porę, by dostrzec wychodzącego z komnaty bardzo chudego, stosunkowo wysokiego, lecz zgarbionego mężczyznę o siwych włosach. Zanim zdążył zauważyć coś więcej, drzwi się zamknęły.

–Sir Geoffrey! Ojciec Geronde! – mruknął Brian. – Jamesie, jestem pewny, że to on!

Jim gorączkowo zbierał myśli.

–Musimy zaczekać, Brianie – mruknął. – Poczekaj, aż zjawi się ponownie.

–Nie pojawiał się tu przedtem! – ponaglał Brian. – Może nie przyjdzie ponownie!

Jim wiedział, że to aż nazbyt możliwe. Murad zdawał się mieć tyle sług, ile królowa pszczoł robotnic. Myślał intensywnie.

–Pozwól mi włączyć się do rozmowy – rzekł Brianowi i zdecydowanie skupił uwagę na Ibn Tariqu i Muradzie.

Ich rozmowa zeszła na sprawy sunnitów i szyitów będących – jak Jim słabo przypominał sobie z czasów swej dwudziestowiecznej edukacji – dwoma głównymi odłamami islamu. Faktycznie, jeśli dobrze pamiętał, sunnici byli ortodoksyjnym i chyba najliczniejszym odłamek, chociaż szyitów było wystarczająco wielu, aby się z nimi liczone. W tym momencie o sunnitach mówiono z aprobatą, a o szyitach – nie. Jim odniósł wrażenie, że zarówno Murad, jak Ibn Tariq należeli do sunnitów.

–...nadchodzą zmiany, o Muradzie – mówił Ibn Tariq. – Powiadam ci. Musimy być gotowi. Nie będzie dogodniejszej okazji niż ta.

Przerwał i Jim szybko wtrącił się do rozmowy, zanim Murad zdążył coś powiedzieć.

–Wybaczcie mi, o Muradzie Ciężkokiesy i Ibn Tariqu – rzekł – ale stało się coś niezwykłego. Mój przyjaciel, sir Brian, i ja właśnie widzieliśmy człowieka bardzo podobnego do tego, którego szukamy. Nosił strój twojego sługi, o Muradzie Ciężkokiesy, i zaledwie przed chwilą wyszedł przez te drzwi.

Wskazał na ścianę po prawej ręce Murada.

–Mój sługa? Jesteś pewien, Franku?

–Nie mam pewności – odparł Jim. – Sir Brian również jej nie ma. Czy mógłbyś wezwać go tu ponownie, abyśmy mogli mu się przyjrzeć?

–Zaiste, to czas cudów – mruczał Ibn Tariq, gładząc wypielęgnowane wąsy.

–Jak wyglądał ten człowiek? – zapytał Murad.

–Był w podeszłym wieku, starszy od pozostałych, którzy usługiwali nam, od kiedy tu przyszliśmy – odparł Brian. – Jest siwowłosy, trochę zgarbiony i chudszy, niż go pamiętam, lecz jeśli to nie sir Geoffrey, którego szukamy, to człowiek bardzo do niego podobny.

–W moim własnym domu! – rzekł Murad. Trzykrotnie klasnął w dłonie.

Drzwi, w których zniknął poszukiwany przez Jima i Briana mężczyzna, otworzyły się ponownie. Jednak tym razem wyszedł z nich wysoki starzec z rzadką białą brodą i długą laską, ozdobioną złotą gałką. Powitał ich, nisko kłaniając się przed Muradem.

–Czy jest coś, czego życzysz sobie Murad Ciężkokiesy? – spytał starzec.

–Tak – odparł Murad. – Niedawno był w tej komnacie sługa starszy od innych, zgarbiony i siwowłosy, który moim gościom wydał się znajomy, i chcieliby zobaczyć go znowu. Znajdź tego człowieka i przyślij go tutaj.

–Wola Murada Ciężkokiesego jest dla mnie rozkazem – odparł brodaty starzec. Wycofał się przez drzwi, które zamknęły się za nim.

–Dobrze go znaleźcie? – zapytał Ibn Tariq, spoglądając na Jima i Briana.

–Ja znałem go bardzo dobrze – odrzekł Brian – chociaż minęło już kilka lat i byłem wtedy młodszy.

–No cóż, zobaczymy – powiedział Murad.

Rzeczywiście, minęła zaledwie chwila, nim drzwi otworzyły się ponownie i do komnaty wszedł mężczyzna, którego niedawno widzieli, a za nim brodaty starzec z laską, który przyprowadził go do Murada. Chociaż mężczyzna stał bokiem do Jima, ten widział na jego twarzy znużenie i rezygnację. Nieznajomy nie podniósł oczu na Murada.

–Jak cię zwą? – zapytał gospodarz.

–Zwą mnie Niewiernym – odparł mężczyzna ochryłym, zmęczonym głosem.

–A więc jesteś niewolnikiem – rzekł Murad. – Tym lepiej. Spójrz na tych, którzy siedzą przede mną, aby dobrze widzieli twoją twarz.

Mężczyzna powoli odwrócił się, ale nie odrywał wzroku od podłogi.

–Podnieś głowę! – rzekł ostro brodaty starzec.

Niewolnik uniósł głowę.

Brian przywarł spojrzeniem do jego twarzy, a Jim, Ibn Tariq i Baiju patrzyli na nią z zainteresowaniem.

–Nigdy nie sądziłem, że człowiek może się tak zmienić – rzekł w końcu głuchym głosem Brian – ale to chyba on. Sir Geoffrey?

Mężczyzna odrobinę bardziej podniósł głowę, patrząc na Briana.

–Odpowiadaj – rozkazał Murad,

–Ja... – wyjąkał mężczyzna. – Ja kiedyś byłem... sir Geoffreyem de Chaney.

Brian zerwał się na równe nogi, zrobił trzy kroki naprzód i objął go.

–Sir Geoffreyu! – rzekł, całując go w oba policzki. – Nie poznajesz mnie? Jestem Brian, Brian Neville-Smythe. Pamiętasz, jak często bywałem w Malvern, praktycznie wychowując się razem z twoją córką Geronde?

–Geronde...

Tamten wyglądał jak ogłuszony. Nie odwzajemnił uścisku Briana. Jim poczuł dziwny niepokój. W tym, co się działo, nie mógł dopatrzeć się niczego złego. Prawdę mówiąc, było to zapewne najszcześniejsze z możliwych wydarzeń. Lecz ten szereg szczęśliwych zbiegów okoliczności: spotkanie Ibn Tariqa, który znał Murada, mającego przypadkiem wśród swych sług właśnie tego człowieka, poszukiwanego przez nich po całym Bliskim Wschodzie...

–Sir Geoffreyu, odezwij się do mnie! – rzekł Brian.

–Może to trochę zbyt wiele dla człowieka – rzekł Jim – który przez kilka lat nie widział swoich. Być może, gdybyśmy z Brianem mogli zostać z nim sam na sam...

–Przecież on całkiem postradał rozum – rzucił szorstko Baiju.

–Raczej oszołomiło go tak nieoczekiwane spotkanie z kimś, kto znał go dawno temu – powiedział Ibn Tariq. Zwrócił się do Murada: – Może propozycja sir Jamesa jest rozsądna. O Muradzie, czy w twojej wielkoduszności i ogromnej łaskawości zechcesz zezwolić, aby twój niewolnik pozostał sam na sam z dwoma gośćmi, niewiernymi?

–Niech tak będzie – rzekł Murad, niedbale machając ręką.

Spojrzał na brodatego starca z łaską i skinął palcem. Starzec podszedł do Briana.

– Chodźcie za mną – rzekł,

Niewolnik natychmiast usłuchał, Brian ruszył za nim, a Jim pospiesznie zerwał się na nogi i dołączył do nich.

Podeszli do ściany i znów otworzyły się ukryte drzwi, którymi wyszli do wąskiego, lecz pięknie ozdobionego korytarza, a potem do równie bogato umeblowanego pokoiku. Tam brodaty starzec stanął i cofnął się o krok.

–Pozostaniecie tu, aż wezwie was Murad Ciężkokiesy – oznajmił, odwrócił się na pięcie i odszedł.

Gdy ucichło echo jego kroków na kamiennej posadzce korytarza, którym właśnie przyszli, niewolnik powoli podniósł oczy i napotkał spojrzenie Briana.

–Czy to naprawdę ty, mały Brianie? – zapytał niepewnie. – Brianie, to ty, prawda? Nie jesteś zjawą?

–To ja, sir Geoffreyu – odparł Brian. – Pozwól... Wziął go za rękę i zaprowadził pod jedną ze ścian, gdzie leżała sterta poduszek.

–Usiądź, sir Geoffreyu – powiedział. Musiał prawie siłą posadzić go na poduszkach, na których stary wschodnim zwyczajem odruchowo skrzyżował nogi. Jim i Brian usiedli przy nim.

–Brianie – zapytał stary – czy pamiętasz, jak szukałeś skrzatów w jednym z naszych kominów i utknąłeś? Geronde przybiegła do mnie z wrzaskiem przekonana, że przytrafiło ci się coś okropnego. Sam musiałem włączyć do komina, żeby cię wyciągnąć.

–Dobrze to pamiętam – zachichotał Brian. – Tak samo jak lanie, jakie od ciebie dostałem za takie wygłupy,

–To były tylko dziecinne zabawy – rzekł sir Geoffrey. – Byłem wtedy zbyt porywczy... – Wyciągnął rękę i lekko pogłaskał Briana po policzku. – A teraz jesteś rycerzem poznanym bliznami!

–Czy pamiętasz – podchwycił Brian – to Boże Narodzenie, kiedy nikt nie oczekiwał twego powrotu, a ty przyjechałeś zaledwie dzień przed Wigilią. Miałem wtedy czternaście lat. Myśleliśmy z Geronde, że przez dwanaście dni będziemy sami, a ty wróciłeś.

Sir Geoffrey skinął głową.

–Albo ta Wielkanoc... – Brian oddał się wspomnieniom.

Jim stał z boku, zapomniany. Sir Geoffrey przytakiwał wszystkiemu, co mówił Brian, lecz Jim nie był pewien, czy rzeczywiście pamiętał to wszystko, czy też robił to tylko po to, aby podtrzymywać potok słów młodego rycerza. Miał zadowoloną minę.

Podczas gdy ci dwaj odnawiali znajomość, Jim nie miał nic do roboty. Może to i dobrze, pomyślał. Znalezienie sir Geoffreya nic położyło kresu ich kłopotom. W pewnym sensie jeszcze ich przysporzyło.

Murad mówił o Geoffreyu jako o niewolniku. To oznaczało, że był własnością Murada. Czy ten go uwolni? Zapewne. Tylko jak wielkiej zażąda teraz ceny, skoro przekonał się, że odnalezienie sir Geoffreya i zabranie go do ojczystej Anglii tak wiele znaczy dla Briana, a zapewne także dla Jima?

Jim niespokojnie krążył po komnacie, szukając punktu zaczepienia pozwalającego mu uporać się z kilkoma problemami, które pojawiły się niemal jednocześnie. Brian nadal miał większość złotych monet, które zdobył, zwyciężając w turnieju. Teraz były zaszyte w grubym kubraku, jaki nosił pod kolczugą. A ponieważ – jak to często bywało – kaftan był przyszyty do kolczugi, ciężar stalowej zbroi maskował wagę złota.

Według angielskich norm była to książęca fortuna. Tylko czy uznają ktoś taki jak Murad. Sądząc po tym pałacu, sługach i pokornym zachowaniu Ibn Tariqa, najwyraźniej był on prawdziwym miliarderem. Nawet zakładając, że te złote monety razem z pieniędzmi Jima wystarczą, by kupić wolność sir Geoffreya, wszyscy trzej nadal będą daleko od Europy i przyjaciół.

Zacznijmy od tego, jak zapłacą za podróż do domu? W jaki sposób wrócą z Palmyry do Trypolisu, gdzie Brian mógłby znaleźć jakichś przyjaciół lub znajomych, którzy pożyczyliby im pieniądze na powrót do ojczyzny? Z tego, co widział, w tych stronach niechętnie udzielano obcym kredytu. Skoro o tym mowa, przypomniał sobie zaraz, to obcym nigdzie nie chciano go udzielać.

Ponadto pozostawała jeszcze sprawa Ibn Tariqa i Baiju. Obecność ich obu w karawanie teraz w pewnym stopniu wyjaśniał fakt ich politycznych kontaktów i kwestia Mongołów Złotej Ordy zbliżającej się od północy ku Libanowi oraz reakcja mameluków i egipskiego kalifatu. Choć może te dwie ostatnie strony działały wspólnie i reprezentował je Ibn Tariq.

Bardzo możliwe, że zarówno Ibn Tariq jak i Baiju też zażądają swojej ceny za uwolnienie sir Geoffreya. Baiju nie dostarczył im wielbłądów i nie przyprowadził z fortecy asasynów do tego miasta z czystej dobroci serca.

Podobnie Ibn Tariq, nie był fontanną dobroczynności, chociaż raz po raz nazywał ich przyjaciółmi. Co więcej, miał o wiele za dobre powiązania, aż nazbyt często we właściwym miejscu i czasie, aby nie niepokoiło to Jima. Czy to możliwe, by Ibn Tariq wiedział już wcześniej, że szukają sir Geoffreya?

Jeżeli tak, to skąd? A gdyby tak było, czy zaaranżował ich spotkanie z ojcem Geronde, żeby zażądać ceny za pomoc w jego odszukaniu?

Całkiem możliwe, że Ibn Tariq, który sprawiał wrażenie zręcznego polityka i chyba jednej z najsprytniejszych osób, jakie Jim poznał w czternastym wieku, otrzymał z Cypru wiadomość o angielskim rycerzu szukającym Geoffreya. Tylko dlaczego miałoby to zainteresować Egipcjanina?

Gdyby jednak tak się stało, dowiedziawszy się tak wiele, Ibn Tariq mógł dołączyć do karawany i próbować wyciągnąć coś z Jima. Nie zdoławszy, mógł namówić

Hasana ad-Dimriego, by porwał obu rycerzy i uwięził ich w Białym Pałacu.

Tylko czy mógł przewidzieć, że stamtąd uciekną?

Baiju, według jego własnych słów, dowiedział się od Abu al-Qusayra, gdzie i kiedy ma czekać na Jima oraz Briana. To nasuwało pewne podejrzenia. A konkretnie, że Abu al-Qusayr z góry wiedział, że zostaną zabrani do Białego Pałacu i umkną stamtąd tunelem. Skoro jakoś dowiedział się tym – w końcu był przecież mistrzem magii – choć powtarzał, iż nie potrafi przepowiadać przyszłości, mógł namówić Baiju, żeby jakoś pomógł Jimowi. Tak postąpiłby Carolinus...

Jimowi zakręciło się w głowie. Na razie nie będę o tym rozmyślał, powiedział sobie, wrócę do tego później.

Wędrując po pokoju, Jim odruchowo przyglądał się otaczającym go murom. Oprócz szerokiego wyjścia, nie dostrzegł innych otworów. Nie było tu nawet okien, a jedynym źródłem światła były palące się pochodnie, które jednak rzucały silny blask jak na swe rozmiary i ledwie pełgające płomyki. Jim stwierdził, że wodzi dłonią po ścianie, odruchowo szukając jakiejś różnicy.

Widział, jak mur w pierwszej komnacie, w której spotkali Baiju oraz Ibn Tariqa, oraz mur za Muradem Ciężkokiesym rozsuwały się, odsłaniając przejścia dla służby. Całkiem możliwe, że takie drzwi znajdowały się i w tym pomieszczeniu. A jeśli tak...

Zastanawiał się nad tym, kiedy pod palcami poczuł niewielką pionową krawędź niemal niewidoczną na spojeniu dobrze dopasowanych bloków kamienia. Przystanął i powiódłszy po niej palcami, stwierdził, że biegnie nieprzerwanie od podłogi aż na wysokość jego głowy.

Teraz, wiedząc już, czego ma szukać, dostrzegł poziomą szczelinę odchodzącą w najwyższym punkcie w prawo i łączącą się z następną opadającą pionowo do podłogi. Zarys sekretnych drzwi maskowały prostokątne płyty polerowanego marmuru, którymi były wyłożone ściany wszystkich komnat, włącznie z tą, w której rozmawiali z Muradem i Ibn Tariqiem. Spojenia tych płyt pomagały ukryć zarówno poziome, jak i pionowe szczeliny, które wymacał Jim.

Szybko odkrył te drzwi. Natomiast ich otwarcie mogło okazać się znacznie trudniejszą sprawą. Jim próbował naciskać i popychać panel, jednocześnie przesuwając dłonią wzdłuż szczelin. Nie był pewien, która z płyt otworzyła zamek, ale nagle drzwi cofnęły się o kilka cali, a potem bezszelestnie odsunęły na bok. Bez namysłu wszedł w ciemność, by zaraz wyjść na światło dnia.

Spodziewał się znaleźć tylko kolejne tajemne przejście, ukryte między ścianą tej a następnej komnaty. Tymczasem znalazł się w sąsiednim pomieszczeniu, które najwyraźniej wychodziło na otwartą przestrzeń, zasłoniętą kilkoma rzędami muślinowych kotar. Podekscytowany podszedł do nich i spróbował rozchylić zasłony na tyle, aby przez nie zerknąć. Zagarniając naręczce cienkiej tkaniny, w końcu zdołał to zrobić. Ujrzał wewnętrzny dziedziniec z fontanną i rosnącymi wokół drzewami.

Drzewa nie były zbyt wysokie, lecz uginały się od pomarańczy i cytryn, częściowo dojrzałych i czekających na zerwanie. Dalej, ponad ich czubkami, Jim dostrzegł wysoki mur chroniący ogród i wydało mu się, że między pniami dostrzega zielone drzwi mogące prowadzić na wolność.

Zadowolenie z odkrycia nagle rozwiało się i przeszło w uczucie bliskie krańcowej rozpacz.

Nawet gdyby uciekli, jak mogli wykraść cennego niewolnika Muradowi Ciężkokiesemu i mieć nadzieję, że skryją się przed nim? Szczególnie w mieście, w którym Murad miał taką władzę i tylu ludzi, których mógł wysłać na poszukiwania. Niemal na pewno nic zdołaliby niepostrzeżenie opuścić Palmyry. A gdyby zostali zauważeni, Murad usłyszałby o tym natychmiast.

Jim usiłował otrząsnąć się z przygnębienia, gdy nagle dwie smugi dymu przeleciały przez oddzielające go od ogrodu zasłony, jakby ich tam wcale nie było; na jednej z tych smużek nadleciał Hob z Angie, a na drugiej Geronde z innym skrzatem.

Angie i Geronde zsunęły się na podłogę tuż przed Jimem. Oba skrzaty pozostały tam, gdzie siedziały.

–Jim! – zawołała Angie, obejmując go.

Ucałował ją mocno i serdecznie, a potem, przypomniawszy sobie i złapawszy oddech, rzucił przez ramię:

–Geronde, znaleźliśmy twojego ojca. Jest w sąsiednim pokoju.

–Znaleźliście go? – zrobiła wielkie oczy, a Angie nagle puściła Jima i cofnęła się o krok.

–Naprawdę, Jim? To cudownie! Chodźmy do niego natychmiast!

–Są pewne komplikacje... – zaczął Jim, lecz w tej samej chwili ujrzał Briana i sir Geoffreya wchodzących przez wciąż otwarte drzwi i badawczo spoglądających w kierunku, z którego dochodziły głosy. Brian podbiegł do Geronde.

–Spójrz, Geronde! – zawołał po chwili Brian, gdy złapał dech. – Oto sir...

Geronde zeszywniała i na jej twarzy pojawił się dziwny grymas. Przerwała Brianowi, zanim zdążył skończyć.

–To nie jest mój ojciec! – powiedziała.

Rozdział 26

–Geronde! – rzekł Brian. – Wiem, że bardzo się zmienił i postarzał, ale pamiętał, jak utknąłem w kominie zamku Malvern, kiedy szukałem tam skrzatów... Pierwszy o tym wspomniał, zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć o zamku i...

–Co z tego? – rzuciła Geronde, mierząc gniewnym spojrzeniem starego. – Może sobie pamiętać, co chce! To nie jest mój ojciec. Racz przyjąć to do wiadomości, Brianie! Chyba znam mojego ojca, prawda? Ten człowiek nie jest sir Geoffreyem de Chaney!

Brian bezradnie spojrział na Jima i Angie, którzy stali oszołomieni, wodząc wzrokiem od Geronde do mężczyzny.

–Moja słodka... – powiedział ten ostami, wyciągając do niej rękę. Geronde odskoczyła.

–Mój ojciec nigdy w życiu nie powiedział do mnie „moja słodka”! – warknęła. – Nie podchodź!

Nie wiadomo skąd wyjęła mały, lecz bezsprzecznie poręczny sztylet. Mężczyzna stanął, jakby ktoś szarpnął za koniec niewidzialnej smyczy.

–Brianie, dlaczego pokazujesz mi tego oszusta? – spytała Geronde, gwałtownie odwracając się do Briana i nadal trzymając w ręku sztylet.

–Geronde... – Brianowi zabrakło słów, więc tylko bezradnie spoglądał na Jima, Angie i człowieka, którego właśnie uznano za oszusta.

–Jeżeli ten mężczyzna jest oszustem, Geronde – rzekł Jim – to sytuacja jest bardziej skomplikowana, niż możesz sobie wyobrazić. Wszyscy musimy szybko coś wymyślić. Schowaj ten nóż, dobrze, Geronde? Chociaż jesteśmy w tarapatkach, nie sądzę, aby należało winić za nie tego człowieka.

Geronde niechętnie wsunęła sztylet w rozcięcie tuniki tuż poniżej pasa, którym ściągnęła się w tali. Jim zwrócił się do nieznanego.

–A więc? – zapytał. – Jesteś sir Geoffreyem czy nie?

–Jestem sir Geoffrey! – odparł pytany, a Geronde prychnęła. – Moje dziecko, po prostu... – Umilkł. Wbił wzrok w podłogę. – To na nic – rzekł w końcu. – Przez ostatnie dwanaście lat każdego dnia spodziewałem się śmierci. Teraz spotkam się z nią tak czy inaczej. To bez różnicy.

–Kto powiedział ci o sprawach, o jakich mógł wiedzieć tylko sir Geoffrey? – zapytał Jim.

–Sam Murad Ciężkokiesy – odparł mężczyzna. Nagle podniósł głowę i poważnie popatrzył mu w oczy, – Kiedyś byłem rycerzem. Sir Renelem de Oust. Niegdyś byłem rycerzem i mężczyzną. Jednak dwanaście lat niewoli uczyniło mnie nikim, zupełnie nikim.

–Rany boskie, Geronde! – powiedziała Angie do Geronde, która wciąż mierzyła sir Renela pogardliwym wzrokiem. – Zlituj się nad nim. To musiała być dla niego pierwsza i jedyna szansa ucieczki... – Odwróciła się do Jima. – Skąd ten jakiś-tam-Kiesy wiedział, co powiedzieć temu biedakowi? – zapytała. – Może trzyma tu gdzieś prawdziwego sir Geoffreya.

–Mogę na to odpowiedzieć – rzekł sir Renel tym samym głuchym głosem. –

Ostatnie trzy lata spędziłem tu jako niewolnik. Mogę dać wam słowo człowieka, jakim niegdyś byłem, że prócz mnie nie ma tu nikogo, kto byłby niegdyś szlachcicem i rycerzem.

Jim, który bez przekonania, a nawet bez cienia nadziei szukał rozwiązania problemów piętrzących się przed nimi od chwili aresztowania w karawanseraju, nagle wrzucił drugi bieg i zaczął myśleć nadzwyczaj jasno. Zawsze tak robił w kryzysowych sytuacjach. Jediną reakcją, z jaką mógł to porównać, był gwałtowny przyływ energii spowodowany przecuciem grożącego niebezpieczeństwa.

Pamiętał, że coś takiego zdarzyło mu się kiedyś podczas egzaminów końcowych z fizyki. Przesiedział pół egzaminu, nie mogąc rozwiązać żadnego z kolejnych zadań testowych. Czuł się tak, jakby stanął przed wysokim murem, w którym nie ma i nigdy nie będzie żadnych drzwi. Potem nagle przyszło przebudzenie i ściana zniknęła. Nagle cała wiedza, wszystkie wiadomości przyswojone w ciągu kilku miesięcy zajęć powróciły i gdy zaczął rozwiązywać test od nowa, wydawał się już dziecinnie łatwy. To samo zdarzyło się teraz.

–Hobie – powiedział.

–Tak, milordzie – odparł skrzat.

Jim spojrzał na niego. Oba skrzaty siedzące na swych pasemkach dymu unoszących się na środku pomieszczenia były niemal identyczne. Jedyna różnica polegała na tym, że Hob spoglądał wesoło i siedział dumnie na swojej smuźce, podczas gdy skrzat z zamku Malvern nie tylko był chudszy, ale skulił się w szarą kulkę, jakby w nadziei, że nikt go nie zauważy.

–Nie zechciałbyś przedstawić nas twojemu przyjacielowi? – zapytał Jim.

–To Hob z zaniku Malvern, milordzie.

Skrzat z zamku Malvern skulił się jeszcze bardziej.

–Rozumiem – rzekł Jim. – Czy ty, a może i Hob z Malvern, moglibyście udać się do ogrodu? Jest tam fontanna. Zobaczcie, czy nie znajdziecie czegoś, w czym przynieśliście mi wody. Wiecie, jak duży jest talerz na zupę?

–Och tak, milordzie. Chcesz, żeby przynieść ci wody w talerzu na zupę. Obawiam się, że w tym ogrodzie nie ma żadnych talerzy – powiedział Hob.

–Niekoniecznie w talerzu – sprostował Jim. – W czymkolwiek, co ma wielkość talerza.

–Och, a więc to łatwe – rzekł Hob.

Obrócił się w powietrzu, Hob z Malvern za nim i obaj przelecieli przez zasłony w kierunku ogrodu.

–Po co ci woda, Jim? – zapytała Angie. – Czyżbyście byli z Brianem spragnieni?

–Nie, nic... – zaczął Jim, Zanim jednak zdążył skończyć zdanie, Hob i jego kolega z zamku Malvern wrócili do pokoju. Skrzat przyniósł mu wodę w misce z gęstego dymu. Jim zrobił wielkie oczy, ale zaraz doszedł do siebie. – Postaw ją na podłodze, Hobie – polecił. W pomieszczeniu nie było żadnego mebla, na którym można by ją umieścić. Skrzat postawił naczynie na dywanie, a Jim przykucnął i spojrzał w wodę. – To do wróżenia – wyjaśnił wszystkim obecnym. – W Anglii używamy do tego szklanych kul albo luster. Tutaj używają do tego wody. Brian i ja widzieliśmy, jak

pewien mag w Trypolisie robił to w ten sposób. Jeżeli on może, to ja też.

Wróżąc – zużyje trochę magii, którą wciąż usiłował oszczędzać. Nie mógł jednak dokonać tego w żaden inny sposób.

Skupił się, wyobrażając sobie pokój, który niedawno opuścili z Brianem, a w którym powinni nadal przebywać Baiju, Ibn Tariq i Murad Ciężkokiesy z siedzącym obok Kelbem.

Na lśniącej powierzchni wody pojawił się obraz zupełnie pustej komnaty. Nie było w niej nikogo. Nawet Kelba.

–Nic nie widzę – narzekła Angie, z zainteresowaniem zerkając mu przez ramię.

–I nie zobaczysz – odparł z roztargnieniem Jim. – Musiałabyś użyć magii.

–No tak! – odparła. – Jak mogłam być taka głupia? Przecież ja nie potrafię czarować.

Odeszła i zerknęła przez zasłony, jakby chciała je przeniknąć spojrzeniem i zobaczyć skryty za nimi ogród.

–Co mówisz? – spytał Jim wciąż z roztargnieniem. Miał niejasne wrażenie, iż Angie właśnie powiedziała coś ważnego, ale nie mógł sobie przypomnieć co. Ponownie zajął się wróżeniem, usiłując przywołać obraz Ibn Tariqa i Baiju, gdziekolwiek byli.

Powoli pojawili się na tafli wody. Obaj siedzieli w pokoju niewiele różniącym się od tego, tylko trochę lepiej umeblowanym. Ibn Tariq mówił, Baiju słuchał, a obok siedział obserwujący ich Kelb.

–Dobrze – mruknął Jim i niezwłocznie zaczął przywoływać obraz Murada oraz jego obecnego miejsca pobytu, gdziekolwiek się znajdowało.

Nagle przypomniał sobie, że Kelb – gdyż teraz nabrał przekonania, iż tym brązowym pieskiem był Kelb – nie odrywał oczu od niego i Briana. To wspomnienie utwierdziło go w przekonaniu, że ta cała historia z Muradem oraz sir Renelem udającym sir Geoffreya była komedią odegraną na użytek jego i Briana. Sir Renel został im podsunięty jak znaczona karta podłożona przez szulera graczowi sądzącemu, że wybiera przypadkową.

W każdym razie teraz musiał odnaleźć Murada. Jim skupił się na lustrze wody. Stopniowo zaczęły pojawiać się w niej kontury postaci.

Obraz ustalił się. Jim ujrzał Murada leżącego na plecach na łóżku, które byłoby tylko ogromnym materacem położonym na podłodze, gdyby nie jego rozmiary i grubość, dzięki której Ciężkokiesy spoczywał pół metra nad ziemią.

–Hobie i Hobie z Malvem – rzekł Jim. – Chodźcie tu i zerknijcie w wodę. Chcę wam coś pokazać.

W końcu to, co powiedziała przed chwilą Angie, dotarło do niego razem z wrażeniem, że była z czegoś niezadowolona.

–Angie, jeśli chcesz zobaczyć, jak wszystko wygląda w wodzie, może zechciałabyś podejść tu i spojrzeć? Sprawię, że jeden z tych obrazów będzie widoczny dla wszystkich.

–Nie, dziękuję – odparła Angie, nie odwracając się od zasłon. Wciąż była wściekła na Carolinusa, Jima, Briana... a jeszcze bardziej na Geronde. Ta wiedziała, dlaczego

Angie się wścieka. Jako przyjaciółka mogła choć podejść do Angie i okazać odrobinę współczucia.

Potem zdała sobie sprawę z tego, że gdyby Geronde zrobiła to, ona ofuknęłaby ją, a Geronde, która nikomu nie zostawała dłużna, natychmiast zrewanżowałaby się... To wszystko było śmieszne. Angie nagle stwierdziła, że się uśmiecha i minął jej gniew.

Jim po prostu tego nie rozumie, powiedziała sobie. I nigdy nic zrozumie.

Odwróciła się, podeszła do niego i spojrzała mu przez ramię, zbliżając głowę do obu skrzatów.

–Co to? – spytała. – Och, kim jest ten brodaty wielkolud?

–Niejaki Murad Ciężkokiesy – odparł Jim. – Jest właścicielem tego pałacu. Hobbie, czy mógłbyś razem z Hobem z Malvern podejść do tego otworu w ścianie za moimi plecami? Tamtędy tu przyszedłem. Nie przyglądałem się, idąc, ale ściana jest dostatecznie gruba, aby mogło być za nią ukryte przejście. W tych ścianach wszędzie są tajemne korytarze. Czy moglibyście we dwóch przelecieć przez nie i znaleźć drogę do tego pokoju, który widzicie w wodzie?

Oba skrzaty spojrzały na obraz Murada.

–Czemu nic – powiedział Hob. – To jak zagłębienie do kominów, tylko prosto przed siebie, zamiast w górę i w dół.

–Sądysz, że znajdziecie go szybko? Jest teraz sam, a ja chciałbym porozmawiać z nim na osobności i najszybciej, jak się da. Jeżeli potraficie, znajdźcie takie przejście, żebym po drodze nie napotkał jego sług przypadkiem idących tym samym korytarzem.

–Nie muszą szukać – odezwał się sir Renel. – Wiem, gdzie on jest. W jednej ze swych prywatnych komnat. Uciał sobie godzinną drzemkę, co robi dość często. Mogę was tam zaprowadzić, a jeśli spotkamy kogoś, chyba potrafię uśpić podejrzenia.

Jim podniósł głowę.

–Briane – zapytał – jak myślisz? Gdybyśmy przez chwilę rozmawiali na osobności z Muradem, dowiedzielibyśmy się znacznie więcej, niż wiemy teraz. Co sądzisz o tym, by tam pójść i dowiedzieć się czegoś?

–Powiem, że to doskonały pomysł – odparł Brian – ale pójdę pierwszy, chociaż to de Oust będzie wskazywał drogę.

Machnął ręką i w jego dłoni błysnął dotychczas ukryty w rękawie nóż. Spojrzał na kobiety.

Geronde znów wyjęła poręczny sztylecik tak szybko jak jarmarczny magik. Angie zrobiła to wolniej, a jej nóż był mniejszy, ale i ona ukrywała go pod suknią. Jim sięgnął pod swe długie, wschodnie szaty do bardzo zachodnich i dwudziestowiecznych skarpet, które zrobiła dla niego Angie i wyciągnął nóż bardzo podobny do popularnych w Szkocji skean dhu. Broń o krótkim ostrzu, szerokim przy rękojeści, ale szybko zwężającym się w ostry jak igła szpic, doskonale leżała w ręku.

–Nie jesteśmy zbyt dobrze uzbrojeni – stwierdził sucho Brian. – Pomimo to, zakładając, iż ty, Angelo, i ty, Jamesie, nie zawahacie się użyć broni, którą macie,

powinniśmy w razie potrzeby poradzić sobie w ciemnym korytarzu z nie uzbrojoną służbą.

–Nie będziemy musieli – powiedział Jim. – A przynajmniej tak sądzę. Sir Renelu, prowadź.

–Niech cię niebiosa błogosławią, sir Jamesie, za to, że mówisz do mnie jak rycerz do rycerza – rzekł sir Renel. – Choćby dlatego pójdę z gołymi rękami na spotkanie naszego losu, aby zrobić coś godnego przed śmiercią. Musisz jednak pozwolić, abym szedł pierwszy, sir Brianie, gdyż tak będzie najszybciej. Ja znam drogę, a ty nie. Jeżeli jeszcze we mnie wątpisz, będziesz szedł za mną z nożem.

–Byłbym nieszczery, gdybym rzekł, iż nie mam żadnych wątpiwości – powiedział Brian. – Jeśli po drodze lub w najbliższej przyszłości te wątpiwości znikną, może dam ci do ręki jakiś oręż.

–To dopiero byłaby śmierć! Boże daj mi taką szansę! A teraz chodźmy już. Poprowadził ich do przejścia między komnatami, a kiedy w nie weszli, Jim zauważył, że wprawdzie ściana jest znacznie grubsza, niż sądził, ale wygląda na litą. Mimo to sir Renel przesunął się w prawo, pchnął lekko i w murze pojawił się otwór ukazujący mroczny tunel. Mogły nim iść obok siebie najwyżej dwie osoby, ale chyba najwygodniej było podążać gęsiego.

–Hobie. Hobie z Malvern! – rzucił przez ramię Jim, – Jesteście z nami? Wy, skrzaty, bardzo dobrze widzicie w ciemności, prawda?

–Tak, milordzie – odezwał się Hob za jego plecami. – Bardzo dobrze.

–Brianie – rzekł Jim. – Proponuję, by Hob i Hob z Malvern lecieli przodem na dymie i trzymali się pięć metrów przed nami, żeby nas ostrzec, gdyby ktoś nadchodził. Skrzaty mogą poruszać się po cichu i nikt nie zobaczy ich w ciemności. Nawet jeśli dotrzemy do korytarzy oświetlonych pochodniami, trudno będzie ich dostrzec.

–Niech tak będzie – zgodził się Brian.

Jim poczuł nad uchem podmuch powietrza towarzyszący przelotowi obu skrzatów. Poszli gęsiego ciemnym korytarzem, przy czym każdy trzymał rękę na ramieniu poprzednika. W ten sposób podążali znacznie szybciej, niż Jim oczekiwał, bowiem sir Renel prowadził ich pewnie, dobrze znając te sekretne przejścia.

Po chwili ujrzeni przed sobą światło i doszli do szerszego korytarza oświetlonego pozatykanymi w ścianach pochodniami. Ten również przebyli, nie napotykając nikogo, ale potem sir Renel wprowadził ich w istny labirynt przejść i zakamarków jasno oświetlonych i zupełnie pustych. Gdy minęli kolejny zakręt, Hob przyleciał do Jima.

–Jakiś człowiek! – szepnął mu do ucha.

–Brianie... – zaczął Jim, ale zanim zdążył szeptem przeznaczonym tylko dla uszu Briana powiedzieć to, co zamierzał, człowiek już do nich doszedł i o mało nie wpadł na sir Renela.

–Niewierny! – powiedział. – Co tu robisz z tymi...?

–Nie pytaj! – odparł sir Renel głośno i stanowczo. – I zapomnij o tym!

Zdumiony sługa spoglądał na niego przez chwilę, a potem pospiesznie prześlizgnął się obok nich zwrócony twarzą do ściany.

–Musimy się spieszyć – usłyszeli głos idącego na przedzie sir Renela. – Przez chwilę będzie milczał, gdyż byłem tu sługą sług i nie odzywałem się do nikogo. Pomyśli, że wypełniam polecenie, skoro mówiłem tak zuchwale. Lecz wcześniej czy później powie o tym komuś, a wieści w pałacu szybko się rozchodzą i wkrótce dotrą do samego Murada.

Sir Renel przyspieszył kroku. Jim żwawo szedł za Brianem. Na szczęście było tu jasno przynajmniej na tyle, że nie wpadali na siebie. Przechodząc pod pełgającymi pochodniami, Jim widział od czasu do czasu prowadzącego ich rycerza. Pod jedną z nich sir Renel przystanął i podniósł rękę. Znow usłyszeli jego głos.

–Tutaj skręcimy w prawo – oznajmił. – Będzie jaśniej, ale za ścianami po obu stronach są ludzie. Dlatego nie hałasujcie. Jesteśmy już blisko komnaty, w której widzieliście Murada.

Skręcił. Poszli za nim. Po chwili pokonał ostatni zakręt i stanął przed pozornie litą ścianą. Ta otwarła się pod jego dotknięciem, wpuszczając ich do pokoju, w którym na zbyt wielkim łożu spał Murad.

Kiedy wszyscy znaleźli się w środku, drzwi samoczynnie zamknęły się za ich plecami. Sir Renel odwrócił się i spojrzał na Briana, a ten na Jima, który rozglądał się wokół.

Teraz, kiedy już byli w środku, spostrzegł umieszczone w przeciwległej ścianie drzwi wiodące do komnaty z zasłonami i rozchodzącą się w niej wonią ogrodu.

–Musimy go obudzić – stwierdził Jim, patrząc na Murada.

Podszedł do łoża, wyciągnął rękę i chwycił szerokie ramię śpiącego. Ku jego zdziwieniu palce nie napotkały oporu, i pochwyliły powietrze. Przesunął dłoń bliżej szyi Murada i pod ubraniem namacał coś twardszego, bardziej przypominającego ramię. Dopiero zerknąwszy na brodę, zauważył, że w porównaniu z resztą ciała szyja śpiącego jest stosunkowo cienka. Mocno chwycił Murada za ramię i potrząsnął nim.

Murad natychmiast otworzył oczy.

–Co...? Kto...?

Usiadł zdumiewająco szybko jak na kogoś jego postury, po czym obrzucił ich przeciągłym spojrzeniem, które zatrzymało się na Geronde.

–Geronde! – wykrzyknął, jakby nie było tam nikogo oprócz niej. Odszukał wzrokiem sir Renela. – Dlaczego ją tu przyprowadziłeś!? – zawołał.

–Ponieważ przypomniałem sobie, kim kiedyś byłem.

–Niech cię diabli! – zaklął fałszywy Murad, prawdziwy sir Geoffrey czy ktokolwiek to był. – Mogło się udać, gdybyś odegrał swoją rolę!

Zeskoczył z łoża i wstał, groźnie spoglądając na sir Renela.

–Mów, co chcesz. Rób, co chcesz – odparł sir Renel, spokojnie napotykając jego spojrzenie. – Owszem, dawno temu zapomniałem, kim byłem. Jednak przypomniałem sobie, prowadząc ich do ciebie. Niechaj będzie, co ma być.

Odwrócił się obojętnie. Prawdziwy sir Geoffrey przez chwilę mierzył go gniewnym wzrokiem, a potem popatrzył na Geronde.

–Córko... – wykrztusił.

Geronde cofnęła się. Twarz znow miała zimną i groźną.

–Jedno jest pewne, masz głos i oczy mego ojca. Ale jeśli jestem twoją córką, to tylko przez kaprys losu! – stwierdziła ponuro. – Ty, który masz za złe temu szlachcicowi, że nas tu przyprowadził, czy przyjrzałeś się sobie? Paskudny, niegodziwy grubas. A więc zdobyłeś w końcu bogactwa, o jakich marzyłeś, stałeś się muzułmaninem i niewątpliwie żyjesz tu szczęśliwie, korzystając z haremu i innych pogańskich uciech!

–Posłuchaj, Geronde... – zaczął Murad.

–Nic zamierzam tego słuchać, sir! – powiedziała Geronde, cofając się, gdy zrobił krok w jej kierunku. – Potrzebne mi tylko twoje nędzne cielsko w Anglii, ubrane, jak przystało angielskiemu szlachcicowi i chrześcijaninowi. A przynajmniej udające na tyle, aby zezwolić mi na poślubienie sir Briana Neville'a-Smythe'a, który tu stoi. Zrobisz to, a jeśli o mnie chodzi, możesz potem sobie wracać do swoich muzułmanów i kobiet z haremu!

Rozdział 27

–Ty nic nie rozumiesz! – powtarzał Murad-Geofrey. – Zaczekaj!

Włożył palce w rozcięcia swojej szaty i gmerał tam. Na ich oczach zdawał się pękać na dwie części. Potem wyjął ręce z rękawów tuniki. Jego ciało rozchyliło się i szczupły, siwowłosy, gładko ogolony mężczyzna, bardzo podobny do sir Renela, wyszedł z ciała Murada, pozostawiając je stojące na podłodze, jakby szata była zrobiona z czegoś twardego i sztywnego, a nie z tkaniny.

– To prawda, że w Palmyrze uważają mnie za muzułmanina – powiedział do Geronde – ale harem... nic nie rozumiesz. Tylu rzeczy nie mogę ci wyjaśnić. Jestem jednak twoim ojcem, Geronde. Zawsze nim byłem. I zawsze cię kochałem...

–Ha! – powiedziała Geronde.

–Przecież... – zaczął.

–Nigdy mnie nie kochałeś! – wypaliła gniewnie Geronde. – Nawet nie wiedziałeś, że istnieję, dopóki nie byłem dostatecznie duża, aby w wieku jedenastu lat objąć obowiązki kasztelanki Malvern. Jedenastu lat, sir rycerzu, mój ojcze! Złożyłeś na moje barki obowiązki, które byłyby ciężkim brzemieniem nawet dla dorosłej i doświadczonej kobiety. Ja jednak wypełniałam je. A ty wracałeś do domu, kiedy chciałeś, i wyjeżdżałeś, kiedy ci się podobało. Nawet nie zauważałeś, że zamek jest zadbane i solidnie broniony, ziemi urodzajne, a dzierżawcy lojalni. Ja tego dokonałam. A ty nawet tego nie dostrzegłeś!

–Chciałem zrobić coś dla ciebie – rzeki sir Geoffrey. – Przez całe życie miałem nadzieję, że zrobię coś dla ciebie i twojej matki, lecz ona umarła zbyt szybko. Ty byłaś młoda i silna, więc nie traciłem nadziei i próbowałem. Potrzebowaliśmy pieniędzy...

–Ty ich potrzebowałeś! – powiedziała Geronde. – Były ci potrzebne na tysiące kosztownych zachcianek. Na podróżowanie wszędzie, dokąd chciałeś, na przeróżne przedsięwzięcia, które miały przynieść ci fortunę. No cóż, zdobyłeś tę fortunę najwidoczniej dawno temu. Czy wróciłeś z nią do domu? Nie! Jak więc możesz stać tu i twierdzić, że robiłeś coś dla mnie?

–Nie rozumiesz! – rzekł z rozpaczą sir Geoffrey. Spojrzał na Jima i Briana. Jim poczuł, że budzi się w nim współczucie, choć trudno mu było uwierzyć w dobre chęci tego człowieka. Jednocześnie zauważył, że Brian ma równie groźną minę jak Geronde, a twarz Angie ma oskarżycielski wyraz. – Nie jestem naprawdę muzułmaninem. Nadal jestem chrześcijaninem!

–Zatem udowodnij to! – warknęła Geronde. – Znajdź jakiegoś księdza w tym zakazanym mieście! Wypowiadaj się. Przyznaj, że jesteś moim ojcem, i udziel nam zezwolenia na ślub, a potem zaczekaj, aż nas zaślubi. Później z radością zostawimy cię twoim grzechom.

–W Palmyrze nie ma księdza – rzekł sir Geoffrey.

–A więc zaczekamy, aż zjawi się tu jakiś z karawaną, podążając dokądś z misją lub w innych świętych obowiązkach! Wtedy wypowiadasz się, dasz nam zezwolenie i zejdziesz z oczu! Znów będziesz mógł być tym, kim jesteś.

–Nawet gdyby zjawił się tu jakiś ksiądz – powiedział sir Geoffrey – i tak nie

mógłbym tego zrobić. Nie mogę powiedzieć dlaczego. Po prostu uwierz mi. Nie mogę tego zrobić tak samo, jak nie mogę wrócić z tobą do domu. A wierz mi, bardzo tęsknię za zamkiem Malvern.

Geronde zaśmiała się szyderczo.

–Tak, pewnie. Tylko nie chcesz nam w niczym pomóc! Przykro mi, ojcze, ale nie przyjmuję do wiadomości, że nie możesz nic dla nas zrobić! – Wskazała na swój prawy policzek. – Widzisz tę bliznę? – zapytała. – Noszę ją, ponieważ nie było cię tam, żeby mnie bronić. Ponieważ nie było cię i nie mogłeś dowodzić obroną zamku. Malvern praktycznie wpadł w obce ręce, a ja zostałam pojmana przez człowieka, który obiecał kaleczyć mnie powoli dzień po dniu, dopóki nie zgodzę się go poślubić. Potem przy pomocy tych, których przekupił na królewskim dworze, doprowadziłby do uznania cię za zmarłego w Ziemi Świętej, a mnie za jego żonę i zagarnąłby Malvern. Nie poddałam się. Ocalałam Malvern, myśląc, że kiedyś tam wrócisz. Zrobiłam to dla ciebie, ojcze. A ty nic dla mnie nie chcesz zrobić!

Sir Geoffrey zamknął oczy. Bruzdy na jego twarzy pogłębiły się i nagle jakby przybyło mu dwadzieścia lat.

–Nie mogę – rzekł, – I nie mogę powiedzieć ci dlaczego. Myśl o mnie, co chcesz. Jednak to, co teraz robię, jest dla ciebie o wiele lepsze niż to, czego chcesz. Musisz mi uwierzyć.

–Nigdy w to nie uwierzę – powiedziała Geronde i odwróciła się do niego plecami.

Angie podeszła do niej i zamierzała położyć jej rękę na ramieniu, lecz Geronde wyczuła to.

–Nie dotykaj mnie teraz, Angelo – powiedziała, nie odwracając głowy. – Mogłabym cię zranić. Lepiej trzymaj się ode mnie z daleka.

Stały obok siebie w milczeniu zwrócone plecami do pozostałych.

Sir Geoffrey zaczerpnął tchu, cofnął się i zaczął z powrotem wkładać powłokę Murada stojącą na podłodze przy łożu.

–Chwileczkę, sir Geoffreju – powiedział Jim. – Znasz mnie?

–Nie – odparł obojętnie sir Geoffrey.

–Jestem sir James Eckert, twój obecny sąsiad z Malencontri.

Sir Geoffrey zaniechał prób ukrycia się w swoim przebraniu i spojrzał na Jima.

–Malencontri?

–Tak. Odebrałem je temu samemu nikczemnemu rycerzowi, który naznaczył twarz twojej córki. Jestem bliskim przyjacielem sir Briana i Geronde tak samo jak lady Angela, moja żona, która teraz stoi obok Geronde. Proponuję, żebyś zczekał chwilę i rozważył, czy w żaden sposób nie możesz zwyciężyć tego, co cię tutaj wiąże. W Anglii jestem znany jako Smoczy Rycerz, ponieważ mogę przybierać postać smoka. W rzeczy samej, jestem magiem i terminuję u Carolinusa, którego powinieneś znać równie dobrze jak ja.

–Magiem? – wytrzeszczył oczy rycerz.

–Zgadza się – odparł Jim. – Rzadko używam magii, lecz znając ją, czasami mogę zobaczyć więcej niż ci, którzy nie są magami. Może gdybyś powiedział nam więcej o tym, co cię tu trzyma, zdołalibyśmy coś zrobić, nawet jeśli uważałeś to zawsze za

niemożliwe. I mógłbym cię uwolnić.

Sir Geoffrey patrzył na niego jeszcze przez chwilę, a potem potrząsnął głową i uśmiechnął się smutno.

– Nawet mag nie zdoła mi pomóc.

– Niewiele masz odwagi jak na rycerza – rzeki ponuro Brian.

– To nie jest kwestia odwagi, Brianie – powiedział mu sir Geoffrey. – Są rzeczy, z którymi nie można walczyć. Nie możesz walczyć ze sztormem ani mrozem w zimie, który i tak zabije cię do rana, jeśli wieczorem zabłądzisz w lesie. Żaden człowiek, żaden rycerz czy czarodziej tego nie zmieni.

– Nie – powiedział Jim – ale może to sprawić otwarty umysł. – Po raz pierwszy sam zaczął się niecierpliwić. – Na przykład – ciągnął – otwarty umysł mógłby podpowiedzieć ci, jak wybudować szałas, żeby przeżyć noc w tym lesie. Mógłby także pokazać ci, gdzie przeczekać sztorm albo jak zejść mu z drogi, gdybyś był już na morzu. Twój rozum nie widzi wyjścia z tej sytuacji, co wcale nie oznacza, że ktoś inny: ja, sir Brian, Geronde lub moja żona albo my wszyscy razem, nie znajdzie rozwiązania, na jakie nigdy byś nie wpadł. Pomyśl. Czy zaszkodziłoby ci, gdybyś powiedział nam, co cię tu trzyma?

– Ogromnie by zaszkodziło – rzekł sir Geoffrey. – To jedyna cena, jakiej nie mogę zapłacić.

Jeszcze raz błagalnie spojrział w kierunku Geronde, a Jim, podążając za jego wzrokiem, zobaczył Geronde i Angie zmierzające w kierunku drzwi do sąsiedniej komnaty. W następnej chwili minęły je i zniknęły.

Sir Geoffrey spojrział na pozostałych i podszedł do nich. W jego oczach pojawił się dziwny błysk. Ściszył głos i powiedział:

– Renelu, ty też przejdź do tamtego pokoju. To, co powiem, jest przeznaczone tylko dla uszu sir Briana i sir Jamesa.

– Znow jestem mężczyzną, a nie niewolnikiem – rzekł sir Renel. – Nie słucham niczych rozkazów, nie tylko twoich. Nie mam już nadziei, że odzyskam wolność, ale chcę umrzeć, jak przystało mężczyźnie. Zostanę.

– A więc ryzykujesz tym samym, co ci dwaj – rzekł sir Geoffrey. – Wolałbym rozmawiać tylko z nimi. Jeżeli nie jako Murad, lecz jako rycerz i stary towarzysz poproszę cię, żebyś wyszedł, wyświadczysz mi tę uprzejmość?

– To prawda – powiedział sir Renel do Briana i Jima. – Niegdyś byliśmy towarzyszami. Razem wyruszyliśmy na ostatnią krucjatę, by brnąć po kolana w złocie i klejnotach pogan. W tamtych czasach byliśmy tak podobni, że ludzie brali nas za bliźniaków, chociaż spotkaliśmy się przypadkiem i nie byliśmy krewniakami. Jednak nasze drogi rozeszły się. A kiedy ujrzał mnie następnym razem, byłem na targu niewolników w Palmyrze, On stał się Muradem o białej brodzie i ciężkiej kiesie. Nie mam pojęcia, jak tego dokonał, ale uchronił mnie przed znacznie gorszym losem. Wykupił mnie i trzyma w pałacu. – Przerwał i spojrział na sir Geoffreya. – Muszę ci za to podziękować – rzekł. – Chociaż myślę, że miałeś po temu jakieś, tobie tylko znane, powody. – Znow odwrócił się do Jima i Briana. – Faworyzował mnie, kiedy nie widzieli tego inni niewolnicy, aż w końcu zaproponował, bym pojechał do Anglii zamiast

niego, podał się za Geoffreya de Chaney i władał zamkiem Malvern. Miał mi pomóc w ucieczce. Istotnie, taki mieliśmy plan. A potem nagle z jakiegoś powodu, którego nie mógł mi wyjawić, pojawiły się trudności i musieliśmy zrezygnować z tych zamiarów. Mijały miesiące i wciąż miałem nadzieję. W końcu pojawiliście się wy. Teraz wiecie tyle samo, ile ja. Nie mam pojęcia, jak został Muradem. Wiem już, dzięki jakiej magii wygląda jak Murad. Jak widzicie, nawet broda jest sztuczna. Moglibyśmy natychmiast zamienić się miejscami, a gdyby poszedł sekretnymi korytarzami, inni słudzy wzięliby go za mnie. Wiedząc o tym wszystkim, dlaczego miałbym teraz wychodzić?

–Nie sędzę, że powinieneś – stwierdził Jim. Popatrzył na rycerza. – A co ty myślisz, sir Geoffreyu?

Sir Geoffrey bezradnie rozłożył ręce.

–Może to nie uczyni wielkiej różnicy – rzeki. – A więc zostań, Renelu.

–Zostanę. A w razie potrzeby w miarę pozostałych mi sił będę walczył za ciebie i twoją sprawę. Przysięgam.

–Ja przysięgam zrewanżować ci się tym samym – obiecał sir Geoffrey. – Renelu, jesteś przyjacielem, na jakiego nie zasługuję.

–Obaj nie zasługujemy na wiele – odparł Renel z krzywym uśmiechem. – Dość tego. Posłuchajmy, co masz do powiedzenia.

–A więc dobrze – rzekł sir Geoffrey, jeszcze bardziej ściszej głoś, tak że Jim, Brian i Renel musieli przysunąć się do niego. Jim dostrzegł kątem oka, iż oba skrzaty na pasmach dymu również podleciały bliżej. Spojrzał na nie. – Nie – powiedział.

–Błagam o wybaczenie, panie – powiedział Hob i obie smużki szybko odleciały. – Czy mamy opuścić komnatę?

–Nie. Trzymajcie się tylko z daleka, żebyśmy mogli spokojnie porozmawiać nie słyszani przez was.

Dwaj naturalni cofnęli się jeszcze dalej pod przeciwległą ścianę. Jim ponownie odwrócił się do sir Geoffreya i pozostałych.

–Rzucono na mnie klątwę – rzekł sir Geoffrey cicho i spokojnie. – Spadnie na mnie, jeśli przestanę spełniać życzenia mojego pana, a jest nim Hasan ad-Dimri, wielki mistrz asasynów. Czasami, idąc korytarzami mojego domu, wychodzę nie w Palmyrze, lecz w Białym Pałacu w górach, gdzie rządzi Hasan. Nie wiem, jak to możliwe, ale niewątpliwie z powodu czarów. Wtedy wiem, że wezwał mnie z jakiegoś powodu. Znam drogę tak dobrze jak mój własny dom. Idę tam, gdzie na mnie czeka. A kiedy go znajduję, on mówi mi, czego żąda, ja natomiast wykonuję jego polecenia.

–Dlaczego? – zapytał bezceremonialnie Brian. – Jeśli nie ma na ciebie nic oprócz klątwy, mógłby posłużyć się nią tylko raz...

–Nie. Ta klątwa ciążyła na nim, a ja zgodziłem się wziąć ją na siebie, w zamian za...

Szerokim gestem wskazał na komnatę.

–Jak...? – zaczął Brian.

–Pozwól mi skończyć. Hasan zjawia się tutaj, kiedy chce. Słudzy widzą go, ale nie wiedzą, kim jest. Bierze, co chce, i robi, co chce. Harem należy do niego, nie do

mnie. Od kiedy tu zamieszkałem, nie zbliżyłem się do kobiety, wolnej czy niewolnicy. To część klątwy, jaką przeniósł na mnie Hasan. Mogę wchodzić do komnat, gdzie są nieprzebrane bogactwa, sterty srebrnych i złotych monet oraz innych kosztowności. Nie mogę jednak ich dotknąć tak samo jak tych kobiet. Należą do Hasana.

–Jak to się stało, że znalazłeś się w jego mocy? – zapytał Brian.

–Wyglądam jak Murad – odparł sir Geoffrey – ponieważ kiedyś nauczyłem się robić takie przebranie od pewnego Włocha, który wyrabiał maski, kostiumy i inne takie rzeczy na festiwalu.

Był bardzo zręcznym rzemieślnikiem. Szybko się uczyłem. A kiedy opuściłem go, umiałem już dość, by uchodzić za kilka różnych osób. Kiedy nadeszły dla mnie ciężkie chwile – to było wtedy, gdy rozstaliśmy się po bitwie w górach, Renelu... – Na moment obrócił się do przyjaciela, a potem znów skupił uwagę na Jimie i Brianie. – Na jakiś czas wróciłem do Anglii, a potem bywałem w różnych miejscach. Nie ma potrzeby teraz o tym mówić. Potem przybyłem tutaj i stwierdziłem, że mimo zbroi i oręża grozi mi niebezpieczeństwo. Musiałem przecież spać, tak więc było tylko kwestią czasu, kiedy obudzę się obrabowany i z poderżniętym gardłem... – Urwał, rozejrzał się wokół i jeszcze trochę ściszył głos. – Musiałem udawać muzułmanina. W dodatku takiego, którego inni muzułmanie nie tylko zaakceptują, ale uznają za dobrego partnera w interesach, a nie potencjalną ofiarę. Po ostatniej bitwie została mi część łupów – trochę srebra i drogich kamieni. W pierwszym dogodnym miejscu kupiłem to, czego potrzebowałem, i ruszyłem na pustynię. Tam samotny i bezpieczny wykonałem ten strój Kurda, który jeszcze udoskonaliłem. Jak widzieliście, nadał mi wygląd Murada. Resztę pieniędzy wykorzystałem do udawania bogatego lecz skąpego kurdyjskiego kupca. Podążyłem do Trypolisu, gdzie miałem nadzieję zastać choć jednego z przyjaciół, od którego mógłbym pożyczyć pieniądze potrzebne mi na powrót do Anglii, Zanim jednak tam dotarłem, moja karawana została napadnięta przez asasynów Hasana, a mnie wraz z innymi zaprowadzono do Białego Pałacu.

Zamilkł.

–I co potem? – zapytał Jim.

–Potem Hasan zaproponował mi wszystko to, co tu widzicie: bogactwa, o których wam mówiłem, harem, władzę, pozycję. Ale musiałem przejąć jego klątwę. Byłem w jego mocy. Mógł ze mną zrobić, co chciał, i myślę, że prawdopodobnie zabiłby mnie, gdybym się nie zgodził. Ponadto naiwnie sądziłem, że znajdę jakiś sposób, aby uwolnić się od klątwy. Myliłem się,

–Co to za klątwa? – zapytał Brian. – Co się dzieje, kiedy zacznie działać?

–Tego nie mogę wam wyjawić. Powiem wam tylko, że żaden rozsądny człowiek nie narażałby się na nią, nie mówiąc o jej rzucaniu. Nawet gdybym teraz umknął Hasanowi, jego przekleństwo ścigałoby mnie na sam koniec świata, aby spaść na mnie i moich potomków, aż do siódmego pokolenia.

–Hmm – mruknął Jim. – Skąd człowiek miałby moc rzucania takiej klątwy? A skoro o tym mowa, gdzie jest Kelb?

–Kelb?

–Dżinn – odparł Jim. – Nie mów mi, że nic o nim nie wiesz. Niedawno, kiedy

wszyscy rozmawialiśmy w tamtej wielkiej komnacie, przyszedł i siadł przy tobie.

–Ten brązowy pies to džinn? – zdumiał się sir Geoffrey. – Myślałem, że to zwyczajny pies, który ma mnie czasem pilnować. Podejrzywałem, iż to posłaniec, szpieg czy inny sługa Hasana. Jednak nie sądziłem, że to džinn.

–To bardzo interesujące – mruknął Jim.

–Mogę spytać dlaczego? – nalegał sir Geoffrey.

–Ponieważ džinn należy do naturalnych – odparł Jim. – A naturalni nie mają mocy rzucania takich klątw.

Sir Geoffrey zrobił wielkie oczy.

–Powiedz mi coś – ciągnął Jim. – Czy znasz w tym domu miejsce, z którego mógłbyś natychmiast przenieść się do Białego Pałacu? Mógłbyś mnie tam zabrać? Geoffrey zawahał się.

–Właściwie mógłbym – powiedział w końcu. – Są dwa takie miejsca, z których korzystam na przemian, gdy chcę się przenieść do warowni Hasana. Chcesz powiedzieć, że zamierzasz się udać do Białego Pałacu?

–Tak.

Jego słowom odpowiedziało głucho milczenie. Pozostali ze zdumieniem spoglądali na Jima.

–Jamesie – rzekł wreszcie Brian. – Czy to rozsądne? Nawet nie jesteśmy uzbrojeni. Gdybyśmy odzyskali nasze miecze...

–Nie sądzę, aby miały tam być potrzebne miecze czy jakaś inna broń – rzekł Jim – i zamierzam tam ruszyć z sir Geoffreyem.

–Co, chcesz beze mnie włożyć głowę w paszczę lwa, Jamesie! – wykrzyknął Brian. – Nigdy!

–Cóż – zawahał się Jim – jeśli udasz się tam ze mną, podejmiesz niepotrzebne ryzyko. W dodatku będziesz musiał mi całkowicie zaufać. Nie będę w stanie wyjaśnić ci, co i dlaczego robię.

–Oczywiście. Nie potrzebuję wyjaśnień – stwierdził Brian i dodał z żalem; – ale przydałby mi się miecz.

–Po drodze znajdzie się miecz dla każdego z was – obiecał sir Geoffrey.

–Świetnie – powiedział Jim. – Zaczekajcie chwilkę. – Zostawił ich i przeszedł do sąsiedniego pokoju. – Angelo – rzekł. – Brian, sir Geoffrey i ja zamierzamy opuścić was na krótko. Chcemy coś sprawdzić.

–O nie, nie ma mowy – sprzeciwiła się Angie. – Jeśli wyruszasz dokądś, ja idę z tobą.

–Ja też – dodała Geronde.

–Będzie nas zbyt wielu – protestował Jim. Dwuosobowa wyprawa z sir Geoffreyem nagle zaczęła się zmieniać w ekspedycję. – Gdybyście poszły z nami, naszą największą troską byłoby wasze bezpieczeństwo. A ja i tak nie chcę was tam zabierać.

–W razie czego skrzaty pomogą nam uciec – powiedziała Angie. – Nie ma o czym mówić, Jim!

Wskazała na coś za jego plecami. Jim odwrócił się i ujrzał dwie zaciekawione

buie skrzatów unoszących się na smugach dymu za jego plecami. Widocznie przyleciały za nim. Jim zmiękł.

–Skrzaty – rzekł. – Ruszamy do fortecy asasynów.

–Rozumiecie? – zapytała Angie.

–Nie – rzekł Hob z Malvern. Było to pierwsze słowo, jakie Jim usłyszał z jego ust.

–Wyjaśnię ci to po drodze – obiecał Hob z zamku Jima i Angie. – Spodoba ci się.

Pyszna zabawa.

Hob z Malvern przełknął ślinę i skinął głową. Jim poddał się. Zdarzało się to często, ale nie zamierzał tracić energii na walkę z nieuniknionym.

–No to chodźcie – powiedział, wracając do sąsiedniej komnaty. Czekał tam na niego sir Renel.

–Sir Jamesie – rzekł – chyba nie zamierzałeś zostawić mnie tutaj?

Jim westchnął w duchu.

–Chyba nie.

–To cała karawana – mruknął Brian.

–Jestem pewna – powiedziała Geronde – że ty również nie myślałeś zostawić mnie tutaj?

–Nie. Jasne, że nie – zmarszczył brwi Brian. – Istna karawana... – wymamrotał pod nosem, ale tak cicho, że najbliższemu stojącemu Jim był zapewne jedynym, który to usłyszał.

Mniej więcej po kwadransie wszyscy – włącznie z kobietami – uzbrojeni w miecze znów szli mrocznymi wąskimi korytarzami. Idący przodem sir Geoffrey oznajmił, że są już niedaleko celu.

–Szkoda, że nie mam mojego oszczepu – powiedziała z żalem Geronde. Oszczep był jej ulubioną bronią – lekką, poręczną i bardzo skuteczną.

–Nie ma tu oszczepów – odparł jej ojciec.

Zapadła cisza i po chwili doszli do jednego ze ślepych zaułków, jakie Jim przywykł napotykać w tych sekretnych przejściach. Korytarz kończył się gładką ścianą.

–Oczywiście możesz otworzyć te drzwi? – zapytał Geoffreya.

Ten skinął głową, nacisnął ukrytą dźwignię i kamienny blok odsunął się w bok. Dalej była nieprzenikniona ciemność.

–Za mną – polecił sir Geoffrey, wchodząc w nią i natychmiast znikając im z oczu. Jim i Brian poszli w jego ślady, a za nimi reszta grupy.

Jakby weszli w jezioro atramentu. Nawet otaczające ich powietrze było wilgotne, ciężkie i lepkie,

–Nie bójcie się – usłyszeli głos sir Geoffreya – tylko idźcie naprzód.

Usłuchali go i nagle znaleźli się w komnacie o połowę mniejszej od sypialni Murada, lecz pozbawionej mebli. Miała kamienną podłogę, sufit i ściany. Oświetlał ją tylko słaby blask zachodzącego słońca wpadający przez wąskie okienko w jednej ze ścian.

Jim odwrócił się i sprawdził, czy wszyscy dotarli do celu. Nikogo nie brakowało. Angie, Geronde oraz dwa skrzaty na smugach dymu. Brian stał obok, sir Renel tuż za nim, a przed nimi sir Geoffrey.

W pomieszczeniu nie było drzwi ani śladu jakiegokolwiek przejścia. Oprócz wąskiego okienka ściany były zupełnie gładkie.

–Jak się stąd wydostaniemy? – zapytał Brian.

Jim już odwracał się do starego rycerza, żeby zadać mu to samo pytanie, lecz sir Geoffrey wskazał na jedną ze ścian. Podeszedł tam i między dwoma blokami kamienia odkrył otwór zasłonięty przez lekko wystający kamień, który skrywał go przed spojrzeniem z boku.

–Popatrz – zachęcił sir Geoffrey.

Jim spojrział.

Z wysokości mniej więcej pięciu metrów nad podłogą zobaczył rozległą komnatę z kopułowym sklepieniem, którą pamiętał z poprzedniej wizyty w Białym Pałacu Hasana. Okna w kopule wypełniało teraz zaróżowione zachodzącym słońcem niebo. Wewnątrz paliły się pochodnie. Najjaśniej świeciła ta na prawo od Jima, gdzie Hasan ad-Dimri rozmawiał teraz z Ibn Tariqiem. Na podłodze u stóp Hasana siedział Baiju ze związanymi rękami i nogami. Obok niego przysiadł brązowy piesek, jakby był trzecim uczestnikiem rozmowy.

Kiedy Abu al-Qusayr, mag z Trypolisu, przybył do Hasana, by bezskutecznie wstawić się za Jimem i Brianem, powiedział Jimowi, że coś wspiera Hasana – jakaś moc, której Jim, jako mag niskiej rangi, może nie wyczuwać. Wówczas Jim nie czuł tej siły, lecz teraz tak.

Z komnaty na dole emanował chłód jak ze środka wodnego wiru. Czuł, jak napiera na niego niczym wielka, otwarta dłoń. Ponadto, co jeszcze dziwniejsze, niemal mógł zwęszyć jego obcą i kwaśną woń. Jim jednocześnie zdał sobie sprawę, że to jasno oświetlone pomieszczenie na dole wypełniają, przynajmniej na pozór, liczne cienie nie tylko czające się w kątach, ale przelatujące tu i tam w powietrzu. Niektóre były ciemniejsze od innych, lecz wszystkie stawały się niewidzialne, gdy próbował na którymś skupić wzrok.

Cokolwiek miało to oznaczać, nie było żadnych wątpliwości, kto jest centralnym punktem tego wiru. Nie był nim Hasan. lecz Ibn Tariq.

Brązowy pies uniósł łeb i spojrział w kierunku Jima. Ten miał wrażenie, że psi pysk znalazł się tuż przed jego nosem.

–Jesteśmy obserwowani – usłyszał głos psa.

Rozdział 28

–Witajcie, drodzy goście – rzekł łagodnie Ibn Tariq.

Nagle wszyscy znaleźli się w komnacie, do której zaglądał Jim. Stali przed czwórką siedzących tam osób, lecz w pewnej odległości od nich.

Jim natychmiast dotkliwie jasno zdał sobie sprawę z sytuacji. Nawet nie mierząc, wiedział, że stojąc na przedzie, znajduje się dokładnie trzy długości ciała od Ibn Tariqa, który był najbliżej. Wiedział, że Ibn Tariq, pies i Hasan ad-Dimri tworzyli wierzchołki idealnie równobocznego trójkąta, w środku którego siedział Baiju. A otaczająca ich kula miała więc średnicę równą dwóm długościom jego ciała.

Ta nie istniejąca kula byłaby ciężką, choć niewidzialną, głowicą potężnego młota, którego trzonek sięgał do połowy odległości dzielącej ją od Jima. Wyobraził sobie, że ten młot unosi się w górę, jakby poruszany niewidzialną ręką sięgającą z ciemności, obraca się i spada na niego i jego przyjaciół, miażdżąc ich wszystkich. Młot trzymany był przez któregoś z tamtych, a może przez wszystkich trzech siedzących i tworzących wierzchołki trójkąta.

Jeszcze nigdy nie spotkał się z tak potężną siłą. Taką mocą dysponowali tylko mistrzowie magii. Nie była aż tak wielka jak ta, której stawiał czoło w bitwie pod wieżą Loathly, uwalniając Angie. Jednak wtedy wspierał go Carolinus. Teraz mógł liczyć tylko na siebie. Centrum tej siły nadal był Ibn Tariq, lecz może pozostali dwaj, Hasan i pies Kelb, jeszcze nie ujawnili swoich możliwości. Miał niemiłe wrażenie, iż mogą być silniejsi, niż się wydawało.

Zaraz jednak zrozumiał, że najgroźniejszym przeciwnikiem nie będzie Hasan. Ten nie mógł być magiem, skoro przewodził asasynom. Ich działania były sprzeczne z regułami magii. Ponadto gdyby Hasan miał magiczne umiejętności, Abu al-Qusayr nie próbowałby go przekonywać. Tak więc pozostawało mu tylko dwóch przeciwników. Ibn Tariq wydawał się silniejszy. On także mógł nie być magiem, a tylko emanować agresją. A to pozostawiało tylko jedną możliwość.

–Jesteś czarnoksiężnikiem – powiedział do Ibn Tariqa.

Ten uśmiechnął się.

–W dodatku silniejszym, niż oczekiwałeś – rzekł. – Czyż nie? Sądziłeś, że Julio Eccoti, doradca francuskiego króla Jana sprzymierzony z węzami morskimi, które pokonałeś, był najpotężniejszym z nas, którzy studiujemy i wykorzystujemy całą Księgę zaklęć. Tymczasem Julio nauczył się z niej niewiele, a potem ruszył w świat, aby się wzbogacić. Ja zostałem i nigdy nie przestałem uczyć się mej sztuki u mistrzów. Już teraz moja moc jest większa od twojej.

Nagle Jim uświadomił sobie coś. Co powinien był zauważyć wcześniej. Przez okna w kopule było widać szybko ciemniejące niebo. Wieczór nie powinien zapadać tak szybko. Tak więc znaleźli się w innym wymiarze czasu. Mroczniejące niebo uwidoczniło cienie, które raczej wyczuwał, niż widział z pokoju na górze. Teraz gromadziły się i gęstniały w komnacie. Otaczały Jima i jego przyjaciół.

Uświadomił sobie, że i one miały własne kąty i wielkości. Każdy cień miał inne rozmiary i kształty. Wszystkie zaś zbliżały się do niego i jego towarzyszy powoli, ale coraz bardziej.

Nie było czasu do stracenia. W tym momencie zrozumiał, dlaczego Carolinus ostrzegał go, żeby zachował swoją magiczną energię na wypadek, gdy będzie mu naprawdę potrzebna.

Teoretycznie miał nieograniczone konto siły. W praktyce musiały istnieć jakieś ograniczenia. W przeciwnym razie mógłby wyczerpać zapasy, wykorzystał całą magiczną energię i nie pozostawił nic dla innych magów. Tymczasem teraz potrzebował jej jak najwięcej, gdyż czuł, że stanął przeciwko mocy silniejszej niż ta, którą dysponował. Poczuł ulgę na myśl o tym, że nie zmarnował jej więcej.

Teraz sięgnął po tę, którą mógł wziąć. Zaczął się wspinać po stromym, skalistym zboczu na szary wierzchołek na tle krwawo-czerwonego słońca. Daleko i wysoko szczyt góry ciemniał na tle nieba. Jim wiedział, że laskę, po którą przyszedł, znajdzie tylko tam. Brakowało mu sił. Odległość była zbyt wielka, aby pokonać ją w tym krótkim czasie, na jaki odważył się opuścić komnatę Białego Pałacu. Lecz nagle ujrzał Carolinusa stojącego na wielkim głazie nad ścieżką i spoglądającego na Jima.

–Zdążysz – rzekł Carolinus – lecz oszczędzaj siły, aby dotrzeć na sam szczyt, inaczej nie pokonasz tego, czemu stawiałeś czoło.

Stał tak jeszcze chwilę, spoglądając na Jima.

Potem zniknął. Wietrzyk szeptał i świstał pośród głazów i mniejszych skał po obu stronach wąskiej ścieżki na skalistym zboczu, którym szedł Jim. Nic tutaj nie rosło. Widział tylko skały. Wiaterek świszczął i wzdychał wśród kamieni. Głaskał jego twarz i chłodził ciało pod odzieniem, gdy Jim głęboko wciągał go w płuca. Głęboko, gdyż powietrze było rozrzedzone i zimne. Pochylony, aby utrzymać równowagę na stromym stoku, ruszył ścieżką wijącą się wśród turni.

Oprócz szeptów wiatru usłyszał jeszcze jakiś dźwięk. Wcześniej nie zdawał sobie sprawy z tego, jak głucha otaczała go cisza. Teraz jednak słyszał chrzęst kamyków i zgrzyt twardej skały pod podeszwami butów. Z zadowoleniem pomyślał o tamtej nocy w obozowisku, zanim porwali go asasyni. Poszedł spać w butach, aby nie zmarzły mu nogi – gdyż pustynne powietrze nad ranem było równie chłodne jak górskie. Odgłos kroków i świszczące oddechy wydawały się niezwykle głośnie w otaczającej go ciszy. Nie słyszał stukotu osypujących się kamieni, żaden samotny jastrząb nie pisał wysoko na niebie.

Jim wspinał się. Jeśli to nie ścieżka, mówił sobie, to koryto jednego z tych wyschniętych strumieni, które kiedyś spływały z góry. Dobrze, że tu było, bo po bokach nie widział niczego prócz stert dużych i małych głazów, po których musiałby się wtedy piąć w górę. Ścieżka jednak biegła coraz bardziej stromo i poruszanie się po niej nie było łatwe. Chłód stawał się bardziej dotkliwy. Jim walczył z nim, zagrzewając się wolą zdobycia wierzchołka.

Szedł tak przez jakiś czas. Coraz bardziej się pochylał, w miarę jak ścieżka odchylała się od poziomu. Zaczęły go boleć mięśnie ud. Kręty szlak zwęzał się stopniowo, aż Jim wyciągniętymi rękami mógł dotknąć skał po obu jego stronach.

Gołoborze skończyło się nagle, tak jak las kończy się równą linią na skraju łąki.

Ścieżka zwężyła się jeszcze bardziej i zniknęła. Jim skręcił, minął ostatnią grupę głazów i wyszedł na otwartą przestrzeń pokrytą płatem szarego, gładkiego lodu bez

śladu śniegu. Lodowiec spływał jak rzeka po zboczu.

Za nim Jim dostrzegł jakieś ciemne kontury. Uznał, że to następne skały. Zapewne z powodu suchego powietrza z trudem łapał oddech i widział wszystko jak przez mgłę, tak więc nie mógł dobrze im się przyjrzeć. I tak musiał przejść po tej gładkiej i śliskiej jak świeżo zamiecione lodowisko powierzchni. Tafla przypominała odnogę lodowca, ale była przezroczysta jak szkło i podobna do rzeki lodu. Dopiero pomyślawszy o niej jako o rzece, spojrzął na drugi brzeg.

Ten krótki postój pozwolił mu złapać oddech. Zasnuwająca oczy mgielka rozwiązała się. Po drugiej stronie dostrzegł coś w rodzaju wolnej od lodu przestrzeni, po której mógłby dotrzeć na szczyt. Najpierw jednak musiał przejść na drugi brzeg lodowej rzeki.

Sięgnął po nóż, który Brian nauczył go nosić i który ostatnio trzymał w rękę, kiedy wszyscy szli za sir Renelem sekretnymi przejściami w pałacu Murada. Pochyliwszy się nad taflą lodu, zaczął wycinać w niej uchwyty dla rąk i stopnie dla nóg.

Powoli, krok za krokiem, przeszedł przez lodową rzekę. Miał rację. Po drugiej stronie nie omywała wszystkich skał, pozostawiając płyty wolnej przestrzeni, co tylko sporadycznie wymagało wycinania stopni w lodzie. Pomagając sobie nożem, wspinał się tamtędy, aż na koniec rzędu głazów, do przewężenia rzeki.

Zajęty wyszukiwaniem drogi przestał patrzeć przed siebie. Nóż w dłoni przypomniał mu Briana, Geronde, a najbardziej Angie – jak również oba skrzaty, sir Geoffreya i sir Renela. Myśl o nich wywołała miłe ciepło przeciwdziałające chładowi, od którego drętwiały mu kończyny. Wspominając ich, miał wrażenie, że już prawie dotarł do laski. Dlatego zaskoczył go widok na końcu lodowca i rzędu skał, między którymi szedł wzdłuż brzegu. Niewiele brakowało, a zrobiłby o jeden krok za dużo.

Przed nim rozpościerało się piarżysko – warstwa żwiru i kamyków, które kiedyś spadły jako lawina na lodowiec. Tworzyły suchy chodnik biegnący na szczyt. Jim po raz pierwszy zobaczył, jak niewiele drogi pozostało mu do szczytu. Wznosił się najwyżej trzydzieści metrów nad nim.

Widząc, że jest już blisko, Jim przyspieszył kroku. W następnej chwili wszedł na lód i ruszył w górę. Zrobił dwa kroki, a potem pośliznął się i upadł, bowiem podłoże równie dobrze mogłoby być pokryte warstwą szklanych kulek. Żwir i kamyki osuwały się i toczyły pod nogami. Mógł posuwać się tylko na czworakach.

Jednak ten piarg nie sięgał daleko. Jim czołgał się, nie patrząc przed siebie, aż zatrzymała go skalna ściana. Leżał, czując pod sobą twarde kamyki i ciężko dysząc, gdy jego płuca z trudem przetłaczały rzadkie powietrze, aby dostarczyć dość tlenu i uspokoić gwałtowne kołatanie serca. Dotarł do ciemnego konturu, który widział z dołu. Urwisko przypominało mur otaczający wierzchołek.

Serce stopniowo się uspokoiło, a Jim przestał dyszeć i ochłonął. Popatrzył na szczyt. Czerwień zachodzącego słońca zniknęła już z nieba nad głową, które szybko ciemniało w nadchodzącym zmroku. Pomimo to pobliski wierzchołek ostro rysował się na jego tle. Skalna ściana nie była idealnie pionowa. Lekko się nachylała. Miała też szczeliny i występy. Można było się po niej wspiąć.

Jim jeszcze przez chwilę odpoczywał, a potem ruszył w górę.

Kiedy zaczął wspinaczkę, był przekonany, że zdoła to zrobić, lecz w połowie drogi stracił pewność siebie. Mięśnie ramion miały obolałe i drżące, a jego ciało zdawało się ważyć kilkakrotnie więcej, niż powinno.

Znieruchomiał, wątpiąc, czy zdoła wspiąć się wyżej. Był przekonany, że spadnie, jeśli spróbuje zawrócić.

Potem poczuł nienawiść do swojego ciała. Powiedział sobie, że ono jest tylko zwierzęciem, które ma robić to, co każe umysł. Znow zaczął powoli się wspinać, nie myśląc już o końcu wysiłku, jakby miał trwać wiecznie. Po jakimś czasie, którego nie był w stanie określić, prawą ręką chwycił krawędź urwiska. Koniec wspinaczki.

Resztkami sił wspiął się na niewielką skalną płytę, lekko nachyloną, ale prawie płaską w porównaniu z urwiskiem. Leżał tam, znow próbując dostarczyć ciału trochę tlenu. To dziwne, ale te przystanki były znacznie gorsze od wędrówki. Po raz pierwszy zdał sobie sprawę z jej kosztów.

Bolały go ręce i nogi. Bolały go kolana. Spojrzał na nie i zobaczył, że wystają z nogawek podartych spodni. Z butów pozostały właściwie tylko pierścienie cholewek wokół kostek. Tak samo jak dłonie nogi miał przemarznięte od kontaktu z lodem i zimną skałą, lecz teraz poczuł w nich ból i zobaczył, że są pocięte i poranione. Nawet nie próbował oglądać swoich stóp.

Był jednak bardzo blisko szczytu. Spojrzał na skalną turnię i po raz pierwszy opuściła go odwaga. Ostatni dzielący go od niej odcinek był rumowiskiem wielkich i mniejszych kamieni. Nie było tam żadnej ścieżki, tylko ostre lub zaokrąglone głazy tworzące pole pełne szczelin, w które mógł wpaść jak w szczęki potrzasku. Gdy zobaczył, że jest tak blisko, a zarazem tak daleko od celu, łzy nabiegły mu do oczu.

Chciał pomyśleć o Angie i pozostałych, ale byli za daleko i nie zdołał. Nabrał dziwnej pewności, że jeśli spróbuje przejść po tych głazach, spadnie między nie i utknie na zawsze albo poślizgnie się i nadzieje na jedną z tych ostrych jak groty skał.

Uświadomił sobie, że Carolinus znow stanął przy nim, Jim obrócił się na lewy bok i spojrzał na czerwoną, szatę, białą brodę, starą twarz oraz wyblakłe niebieskie oczy patrzącego nań maga.

–Dlaczego? – wychrypiał.

Chciał zapytać, dlaczego to musi być takie trudne.

–Dlatego – odparł Carolinus, jakby Jim wypowiedział myśl głośno – że laskę tworzy twój wysiłek włożony w jej zdobycie. Jeśli teraz się poddasz, i tak dotrzesz na szczyt i weźmiesz ją. Może jednak nie mieć takiej mocy, jakiej potrzebujesz. Już dawno mogłeś przystanąć i wziąć to, co zdołałeś zyskać. Lecz moc laski jest miarą siły twojej woli i siły twego ducha, które będą musiały stawić czoło temu, z czym zamierzasz walczyć.

Nagle Jim odniósł wrażenie, że wiedział o tym od zawsze, tylko nie ujął tego słowami. Wiedział nie tylko od początku wspinaczki, ale od chwili, gdy znaleźli się z Angie w tym czternastowiecznym świecie, do którego nie należeli, w którym byli obcym ciałem jak piasek w trybach maszyny.

Zawsze wiedzieli z Angie, że muszą znaleźć sobie miejsce w tym obcym świecie.

Postanowili w nim zostać, chociaż mogli go opuścić. Teraz jest za późno, żeby zmieniać zdanie. Nawet nie myśląc o tym, ruszył naprzód po rumowisku głazów dzielących go od wierzchołka.

Tego ostatniego, męczącego i potwornie trudnego odcinka właściwie nie widział i nie zapamiętał. Jednak po jakimś czasie, którego nie potrafił określić, pozostającym poza wszystkim: poza siłą, poza odwagą, poza namiętnością, poza uczuciem do tych, którzy otoczeni przez cienie pozostali w komnacie Hasana – dotarł do końca skał i prawie stoczył się na otwartą przestrzeń, A laska tam była, stojąc prosto w ostatnich promieniach zachodzącego słońca, które w tej samej chwili skryło się za horyzontem.

Wyciągnął rękę, chwycił ją... i znalazł się w komnacie o kopułowym sklepieniu.

Wrócił niemal w tej samej chwili, w której ją opuścił. Wszyscy pozostali w tych samych pozycjach, a w uszach wciąż słyszał echo słów Ibn Tariq: „Już teraz moja moc jest większa od twojej”.

Tylko cienie zdążyły podejść bliżej. Jim uniósł laskę i cofnęły się... niedaleko, ale cofnęły. Spojrzał na siebie. Ubranie i buty miał całe, dłonie gładkie. Angie patrzyła na niego badawczo, lecz prócz niej nikt nie zdradzał, że zauważył jego nieobecność.

–Twój kijek nie może mi zagrozić – rzekł Ibn Tariq.

Jim zaryzykował spojrzenie. Jego laska nie była tak długa ani tak gruba jak ta, jaką miał Carolinus pierwszego dnia, gdy razem zaatakowali wieżę Loathly, aby uwolnić Angie. Wtedy laska Carolinusa powstrzymała Ciemne Moce, podczas gdy on, Brian i Dafydd ap Hywel walczyli z ich stworami i pokonali je.

Ta, którą trzymał, nie dorównywała mocą lasce Carolinusa, ale była prosta i twarda. Trzymał ją w prawej dłoni jak talizman. Dolnym końcem opierała się o podłogę komnaty, a więc poprzez szereg wsporników dotykała samej ziemi, kumulując siłę planety.

–Powiadam – powtórzył Ibn Tariq – że ta laska nie może mi zagrozić. Jesteśmy muzułmanami. Twoja chrześcijańska magia nic mi nie zrobi, jak dobrze wiesz. Odłóż ją. Będziesz mniej cierpiał.

–Nie wszyscy jesteście muzułmanami – powiedział Jim. Dopiero teraz zauważył, że Baiju, siedząc z kolanami przyciśniętymi do piersi, przeguby ma przywiązane do kostek nóg. – Baiju – rzekł – jeśli tego chcesz, stań przy nas. – Mówiąc te słowa, wyobraził sobie ich efekt, Z górnego końca laski trysnęła błyskawica, przepalając więzy Baiju, i mały Mongoł znalazł się za plecami Jima. Baiju cicho sapnął i to wszystko. – Tyle, jeśli chodzi o magię – rzekł Jim. – Przebyłem długą i ciężką drogę po to, co teraz trzymam w ręku. Masz rację, nie mogę cię nią zaatakować. Jestem tu jednak nie po to, by atakować, lecz by bronić tych, którzy tego potrzebują. Nawet ciebie; obronię i ciebie, jeśli o to poprosisz. Musisz jednak wyrzec się twego nielicencjonowanego czarnoksięstwa.

Ibn Tariq przeszył go spojrzeniem jak zagnany w kąt jastrząb.

–Czyż jestem terminatorem mej sztuki – rzekł – abym potrzebował pomocy kogoś takiego jak ty?

Jim nie odpowiedział.

Teraz, kiedy trzymał w dłoni laskę, był pełen dobrej woli i zrozumienia, a myśli miał jasne i czyste.

–Z początku – rzekł – zamierzałeś tylko uniemożliwić Brianowi i mnie odnalezienie sir Geoffreya i zabranie go do Anglii. Potem przypadkowo dowiedziałeś się, zapewne od Abu al-Qusayra, przed którym skrzętnie skrywałeś twoje czarnoksiężskie umiejętności, że nasz sukces oznaczałby kres wszystkich twoich planów...

Ibn Tariq gniewnie błysnął oczami.

–Nie kryję się przed żadnym magiem! – rzekł.

–Gdyby to była prawda, byłbyś głupcem – stwierdził Jim – a nie jesteś. Tak więc dowiedziałeś się o mnie, że jestem jednym z magów niższej rangi, którego powinienesz bez trudu pokonać. Kiedy w trakcie podróży z karawaną nic zdołałeś wciągnąć mnie w rozmowę o czarach, żeby ocenić moje możliwości, kazałeś asasynom porwać mnie i Briana, żeby zmusić mnie do ucieczki i ujawnienia ich, prawda?

Ibn Tariq tylko się...uśmiechnął.

–Tymczasem my uciekliśmy, nie używając żadnej istotnej magii, poznając natomiast sekretne przejście, przez które Mongołowie Złotej Ordy z łatwością mogliby wejść do Białego Pałacu i zająć go. Tak więc staliśmy się prawdziwym zagrożeniem. Tylko dlaczego my, a nawet Baiju, który spotkał nas przy wyjściu, mielibyśmy mówić o tym Złotej Ordzie?

–On należy do ordy – rzekł Hasan za plecami Ibn Tariqa.

–Ya barid! – warknął na niego Ibn Tariq. – Głupcze!

Hasan i pies skulili się. Ibn Tariq znów odwrócił się do Jima, lecz len zdążył już spojrzeć w oczy Baiju.

–Czy to prawda? – zapytał. Baiju nie umknął spojrzeniem.

–Nie – rzekł. – Jak już ci mówiłem, jestem z Il’Khanatu, pierwszej ordy, która podbiła Persję. Sądziłem, że ty jako mag zrozumiesz to.

–Wtedy nie zrozumiałem – odparł Jim – ale teraz pojmuję. Pozwalając im sądzić, że należysz do ordy, miałeś nadzieję dowiedzieć się, jakie są wobec niej plany egipskich mameluków.

Baiju nie kiwnął głową ani nie przytaknął, ale uśmiechnął się krzywo.

–Zatem – ciągnął Jim – nigdy nie byłeś ich szpiegiem. Jednak, znalazłszy sekretne przejście, stałeś się zagrożeniem dla Ibn Tariqa, który chciał, by Biały Pałac przetrwał.

Znów zwrócił się do Ibn Tariqa, który już ochłonął i rozłożył ręce.

–Ja? Można powiedzieć, iż żywię przyjazne uczucia do Hasana ad-Dimriego, ale dlaczego miałbym przejmować się Białym Pałacem czy atakiem Mongołów? A ponadto cóż jeden czarownik może działać przeciw armii?

–Jeden czarownik może niewiele – odparł Jim – ale czarownik sprzymierzony z armią mameluków zamierzających stawić opór Mongołom to zupełnie coś innego.

–Nie mam żadnych powiązań z mamelukami – powiedział Ibn Tariq. – Choć, oczywiście, mam wśród nich przyjaciół.

–Sądzę, że jednak masz – powiedział Jim. – Tam, skąd przybyłem, nazwano by cię

politykiem. Kiedy zobaczyłem cię tu po raz pierwszy, zastanawiałem się, dlaczego w naszej obecności wspominałeś o nowym przywódcy, który uczyniłby z Egiptu imperium. Przywódcy takim jak Salah ad-Din, który był Kurdem tak jak Murad. Dlaczego mówiłeś tak do Murada, skoro obaj dobrze wiedzieliście, iż w rzeczywistości nie jest on Muradem, tylko sir Geoffreyem? Rzecz jasna, robiliście to ze względu na mnie. Aby uwiarygodnić postać Murada w oczach sir Briana i moich, tak byśmy nawet nie podejrzewali, iż to sir Geoffrey, To był twój pomysł, prawda? Ty podsunąłeś nam sir Renela?

–A kiedy zacząłeś snuć te bezpodstawne rojenia?

–Jak już mówiłem, kiedy zobaczyłem cię przez szczelinę w ścianie tej komnaty nad nami, która łączy się z pałacem Murada. Skoro wiedziałeś, że Muradem jest sir Geoffrey, po co miałbyś tak do niego mówić, jeśli jedynymi słuchaczami był Brian, Baiju oraz ja?

–Tak więc sądzisz, że uważam się za drugiego Salah ad-Dina, który poniesie egipski ogień i miecz przez cały świat jak Aleksander. A potem zaczniesz płakać, że nie ma już czego podbijać?

–Nic podobnego – odrzekł Jim. – Myślę, że interesuje cię coś znacznie łatwiejszego i praktyczniejszego. Ożywiłeś warownie asasynów i wzmocniłeś ich, wspomagając ich magią. Zapewne zamierzasz namówić innych, mniej wprawnych czarnoksiężników, by działali w innych fortecach. Ty byłbyś władcą tych czeladników, wielkim mistrzem czarów kryjącym się za plecami asasynów.

–Chyba śnisz – powiedział Ibn Tariq.

–Nie sądzę – odparł Jim. – To ty śniłeś o imperium. Tymczasem dopiero zacząłeś je budować tutaj, w Białym Pałacu. Uzyskałeś władzę nad tą warownią asasynów, proponując Hasanowi sławę i potęgę, gdy był jeszcze sufim. Obiecałeś, że pomożesz mu zdobyć władzę. Mogłeś to zrobić bez trudu, używając czarów, aby wyrzucić wrażenie na mieszkających tu asasynach.

–To tylko domysły.

–Jestem tego pewien – rzekł Jim. – Hasan był dobrym człowiekiem, a ty go zmieniłeś. Biały Pałac od tej pory urósł w siłę, lecz twoje prywatne imperium jeszcze nie było w stanie odeprzeć ataku Mongołów. Dlatego Baiju, Brian i ja nie mogliśmy ująć z życiem, a nad Hasanem musiała wisieć klątwa.

–Tkasz szatę kłamstwa z fałszywych przesłanek – rzekł zimno Ibn Tariq. – Jak wiesz, Hasanowi ad-Dimriemu nie grozi żadna klątwa. Wisi ona nad sir Geoffreyem.

–Owszem – powiedział Jim, – Jednak jako czarownik nic nie wiesz o niektórych aspektach klątw, inaczej nie chciałbyś mieć z nimi do czynienia. Klątwy są jak zakaźna choroba. Niszczą tego, kogo dotkną. Dostrzegłeś te objawy u Hasana zbyt późno, aby mu pomóc. Osłabiłeś jego wiarę, namawiając go, aby przewodził asasynom. W ten sposób zaczął się zmieniać i stopniowo tracić całą swoją siłę. Bez niej byłby dla ciebie bezużyteczny. Dlatego postarałeś się przenieść tę klątwę na sir Geoffreya, a bogactwa i luksusy, jakie mu obiecałeś, znalazły się zaledwie o krok od Białego Pałacu przeniesione za pomocą magii do domu Murada Cieżkokiesego w Palmyrze.

–Sir Geofrey jest chrześcijaninem – powiedział Ibn Tariq. – Jak ja, muzułmański czarnoksiężnik, mógłbym zdjąć z kogoś klątwę i przenieść ją na niego?

–Nie ty – odparł Jim. – Czarnoksiężnik nie może tego zrobić, albowiem w ogóle nie może na nikogo rzucić klątwy. A muzułmańska magia nie działa na chrześcijan, a chrześcijańska na muzułmanów, bo wszystkich ich chroni świętość ich własnej wiary. Nie mógł też tego zrobić Kelb. Tylko czy Kelb to naprawdę Kelb?

–Nie! – Głos odbił się echem od ścian i sklepienia. Tam, gdzie stał Kelb, buchnął kłęb dymu, z którego dobiegł głos: – Jestem Sakhr al-Jinni! Kelb zawsze był i jest najnędniejszym z moich niewolników. Przybrałem jego postać, żeby obserwować was na Cyprze. Salomon, syn Dawida, zamknął mnie w butelce i cisnął do morza. Teraz jednak jestem wolny. Nie widzicie tu mizernego demona czy czarownika, ale Sakhra al-Jinniego, dżinna nad dżinnami!

Dym zrzędł, a przed nimi stała odrażająco brzydka postać w turbanie, o nierówno rozmieszczonych oczach i krzywym uśmiechu, którą Jim i Hob widzieli na Cyprze, gdy Jim kazał Kelbowi przybrać postać dżinna.

–Zawsze byłeś chępliwym pyszałkiem! – rzucił Ibn Tariq w nagłym przypiływie złości. – Widocznie czas, jaki spędziłeś w butelce, niczego cię nie nauczył! Ze wszystkich tu obecnych jesteś najslabszy, nie najsilniejszy. A teraz, skoro chciałeś być psem, bądź nim i nikim innym przez dziewięćdziesiąt dziewięć pokoleń!

Nagle w miejscu dżinna pojawił się brzydki, brązowy piesek, który zaskomlał i zniknął.

–Dość gadania, Jamesie – rzekł Brian. – Mamy miecze. Ruszajmy na tego piekielnego poganina i jego... jego dżinny! Muzułmanin czy naturalny, poczuje chrześcijańskie ostrze. Inaczej nie byłoby krucjat!

–I naszych problemów! – przerwała mu Geronde. – Cicho, Brianie!

–To, co sugerujesz, to także kłamstwo – rzekł Jim do Ibn Tariqa. – Żaden dżinn – nawet Sakhr al-Jinni – nie może rzucić klątwy na nikogo, muzułmanina czy chrześcijanina. Poza tym, którego wy, muzułmanie, zwiecie szejtanem, potrafią to tylko nieliczne istoty. A jedynymi, którymi może się posłużyć czarnoksiężnik, są mieszkańcy Królestwa Diabłów i Demonów.

–Tak sądzisz?

–Ja to wiem. Tylko diabły i demony są stworami zrodzonymi z nienawiści i powołanymi na świat jako próba dla ludzkich dzieci. Jednak te stwory są zamknięte w ich własnym królestwie. Wtrącają się w ludzkie sprawy tylko po to, aby gnębić ludzkość albo naruszać równowagę między Historią a Przypadkiem, co stałoby się, gdybyś wskrzesił asasynów i wspomógł ich magią. Dżinn nie mógłby ich wezwać. Czarnoksiężnik tak! – Spojrzał na kłęb dymu, który prawie się już rozwiął, a potem na Ibn Tariqa. – My, magowie – ciągnął – także potrafimy wzywać diabły i demony, lecz zabraniają nam tego nasze prawa. Czarnoksiężnicy nie przestrzegają żadnych praw. To ty, Ibn Tariqu, wezwałeś demona, żeby rzucił klątwę na Hasana. Teraz jest wolny i nie możesz go powstrzymać. Powiedz mi, na moce wszystkich królestw, jakiego demona wezwałeś?

Twarz Ibn Tariqa zmieniła wyraz. Nie tyle pobladła, ile zastygła jak na

trójwymiarowym zdjęciu.

Zimny dreszcz jak prąd przeszył Jima i sprawił, że spojrzał wokół. Rozmowa trwała zbyt długo. Ibn Tariq odwrócił jego uwagę od cieni, które znacznie się zbliżyły. Jim się mylił. Nie były kontrolowane przez Ibn Tariq, lecz przez demona. Były już blisko, zaledwie na wyciągnięcie ręki od ludzi stojących za plecami Jima. Na ten widok poczuł najpierw odrazę, a potem gniew, że Ibn Tariq śmiał wyzwolić coś, co posiadało taką moc. Złość pozwoliła mu zebrać myśli.

Uderzył całą mocą laski, której koniec trysnął błyskawicami. spychając cienie w tył. Nie tak daleko jak przedtem, lecz wystarczająco, by mógł znów odwrócić od nich uwagę na chwilę potrzebną mu na sięgnięcie pamięcią do Encyclopedie Necromantick będącej w jakiś magiczny sposób częścią jego jaźni.

Gdzieś tam było to, czego potrzebował. Nadal trzymając cienie w szachu, odnalazł w pamięci rozdział zatytułowany Dyjabły Daemony, ominął wytłuszczony akapit zabraniający wszystkim magom zadawać się z takimi, powiódł wzrokiem po coraz mniejszej czcionce, aż znalazł to, czego szukał. Tak, był pewien wyjątek. Szczególna sytuacja, kiedy było to dozwolone.

Znów skupił uwagę na cieniach. Ponownie zaczęły napierać, ale znowu odepchnął je, aż znalazły się w bezpiecznej odległości od niego i jego przyjaciół.

Dopiero wtedy przemówił:

–Demonie, który zostałeś wezwany i zagubiony w czasie między Historią a Przypadkiem. Przez moc i prawa Królestwa, do którego należę, wzywam cię, byś wyjawiał twe imię i pokazał się. Już!

Przez chwilę w komnacie brakowało powietrza. Jakby wyssał je jakiś olbrzym wielki jak sama ziemia. Następnie Jim usłyszał przenikliwy, lecz bezgłośny szept – i wiedział, że ten dźwięk rozległ się także w głowach wszystkich obecnych.

–Jestem – oznajmił. – Ja, Aryman, demon nad demonami.

Ściany wokół nich i sufit powoli zniknęły i stały się przejrzyste jak mgła. Jim, jego towarzysze, Ibn Tariq i Hasan ad-Dimri stali wysoko nad powierzchnią ziemi.

Wydawało się, że znajdują się tak wysoko, iż mogą patrzeć poza horyzont. Ich spojrzenia biegły w dal, aż niebo wokół i krajobraz w dole zlały się w ciemną mgłę. Teraz pod nimi rozpościerał się szalony wir nie tylko przestrzeni, lecz i czasu.

W pewnym jego miejscu, daleko poza zasięgiem ludzkich oczu, w jasnych promieniach słońca toczyła się bitwa. Dwa wieki wcześniej, pod 'Ayn Jalut, przywódca egipskich mameluków zwyciężał Mongołów – Baybars był pierwszym, który ich pobił i spróbował wyprzeć chrześcijan z Libanu. Bliżej i prawie pod nimi pustynna burza niszczyła zbiory i zasypywała piaskiem chaty. Gdzieś w tym rozległym krajobrazie teraźniejszość i przeszłość stapały się ze sobą.

–Odpowiedz mi, Arymanie – rzekł głośno Jim. – Czy Ibn Tariq jest twoim panem? Szepczący Aryman zaśmiał się bezgłośnie w ich głowach.

–Któż wzywa demona i jest jego panem? – szepnął. – Wezwany demon sam staje się panem. Ja władam wszystkim, a Ibn Tariq należy do mnie. Spójrz na niego.

Jim popatrzył przez otchłań, dzielącą go teraz od Ibn Tariq, który zupełnie znieruchomiał, jakby stał się woskową figurą z niezmiennym wyrazem twarzy.

–Teraz patrz, co jeszcze uczyniłem.

Jim spojrział i może o tydzień marszu na północ zobaczył mongolskie oddziały zmierzające w kierunku gór, gdzie wznosił się Biały Pałac.

–A także na południe i na wschód.

Jim popatrzył. Mamelucy znajdowali się niecałe trzy dni drogi od warowni, czyli znacznie bliżej niż Mongołowie.

–Mongołowie sądzą, iż mają tylko zniszczyć kolejne gniazdo asasynów, jakich wiele już rozbili w przeszłości – rzekł w ich głowach Szepczący – lecz tym razem zastaną fortecę obsadzoną i przygotowaną do obrony, a na pozycjach wokół Białego Pałacu otoczy ich armia mameluków. Mongołowie zostaną wycięci w pień, gdyż Baiju nie zdoła im powiedzieć tego, co wie. Wy także nic im nie powiecie. Wojna między mamelukami i Mongołami ogarnie cały świat. – Zaśmiał się cicho. – Murad Ciężkokiesy znów podejmie swą pracę. Hasan ad-Dimri nadal będzie władał jako kukielka Ibn Tariqa, który jest moim sługą. Ciebie i pozostałych nie będzie.

–Nie – rzekł Jim. – Na pewno nie.

Gdy Aryman mówił, on już ułożył sobie w myślach plan działania.

Odwrócił się do towarzyszy.

–Jeśli teraz mi pomożecie – rzekł, patrząc na nich – przy odrobinie szczęścia możemy wygrać. Świat może zwyciężyć i to będzie kres Arymana.

Rozdział 29

Jim obserwował zwrócone ku niemu twarze. Oblicze Briana wyrażało radość, Angie i skrzatów zaufanie, a mina Geronde była wiernym odbiciem wojowniczego nastroju Briana. Podobną ochotę do walki z wrogiem widział u sir Geoffreya i sir Briana. Baiju uśmiechał się.

–Jeśli zwycięży, zginiemy – oznajmił Jim. – Jeżeli będziemy się trzymać razem, możemy wepchnąć go tam, skąd przybył i jego władza tutaj się skończy. Będziecie jednak musieli dać z siebie więcej niż kiedykolwiek przedtem. Kiedy złączymy dłonie, musimy trzymać je, aż będzie po wszystkim. Nie wolno wam puścić w imię tego, za co gotowi jesteście umrzeć, co jest ważniejsze od życia. – Odczekał moment, sprawdzając, czy wszyscy go zrozumieli, a potem mówił dalej: – Jeśli w obronie wszystkiego, co dla nas ważne, razem stworzymy ludzki łańcuch, Aryman nie zdoła go przerwać. Wspólnymi siłami wepchniemy go tam, skąd przyszedł.

–Jest was za mało – rzekł Szepczący. Jim zignorował go. – Kto pod takim warunkiem chce złączyć ze mną dłonie? – zapytał.

Angie uśmiechnęła się i wsunęła dłoń w wolną dłoń Jima. Drugą chwyciła rękę Briana, Geronde już trzymała go z drugiej strony. Hob Jeden de Malencontri wyciągnął rączkę i dumnie włożył ją w dłoń Geronde. Hob z Malvern złapał go za drugą.

–Chcę być dzielny jak ty – powiedział do Hoba z Malencontri.

–Będiesz – zapewnił go skrzat.

Sir Geoffrey próbował podać rękę Geronde, lecz ta odsunęła się. Nie zwracając na niego uwagi, spojrzała na sir Renela.

–Sir Renelu? – powiedziała wyraźnie i twardo. – Czy masz za co umierać?

–Tak – odparł rycerz. – Mój honor, który postradałem i odzyskałem.

Podszedł i chwycił wolną rękę Hoba z Malvern, a drugą wyciągnął do sir Geoffreya, który ją przyjął. Obaj uśmiechnęli się jak starzy przyjaciele spotykający się po długim niewidzeniu. Ludzki łańcuch był kompletny.

–Dobrze – powiedział Jim. – A teraz stańcie w półkolu...

Urwał. Ibn Tariq podszedł do nich i chwycił jedyną wolną dłoń – sir Geoffreya.

–Byłbym wolny – wyjaśnił, spoglądając na Jima.

–Przyda nam się twoja siła – powiedział Jim. A wtedy Hasan ad-Dimri podszedł i złapał drugą rękę Ibn Tariqa,

–Byłbym taki jak przed laty – powiedział.

–A więc trzymajcie się – polecił Jim. – Jeśli ktoś przerwie łańcuch, ten straci swą moc. A teraz ustawcie się półkolem i przepędźmy go.

–Nie zdołacie – rzekł Szepczący.

Jim nie zwrócił na to uwagi.

–Arymanie! – zawołał. – Na laskę, którą trzymam, i prawa obowiązujące w twoim królestwie, wzywam cię: pokaż się!

Odpowiedział mu przeciągły i monotony syk, złowrogi, ogłuszający i oszołamiający świst w ich głowach. Tymczasem przed nimi – choć nie byli w stanie orzec, czy na horyzoncie, czy tuż obok – pojawiło się coś jakby czarne słońce.

Tak jak w słońce, nie sposób było na nie patrzeć. Paliło, zdawało się lśnić i migotać, gdy ktoś skierował nań oczy. Jakby coraz to nowy czarny dysk szybko nakładał się na drugi i stapał z nim odrobinę bliżej niż przedtem. Ciągnął od niego silny, choć niezauważalny, lodowaty wiatr, który mroził wolę, a nie ciało.

Ten podmuch nie mógł zepchnąć ich do tyłu ani nawet zbić z nóg. Mimo to był jak wielka dłoń popychająca każdego z osobna. Usiłował odepchnąć ich, nawet nie dotykając, jedynie tą potworną, wciąż ponawianą groźbą, by nie zbliżali się do tego czarnego słońca.

–Trzymajcie się. Idziemy! – rzekł Jim.

Zrobił kilka kroków naprzód, a pozostali poszli z nim. Czuli napierającą na nich siłę nie tylko na twarzach, ciałach i kończynach, lecz w sobie – do szpiku kości.

Szli jednak naprzód, a każdy ich krok był jak pięciomilowy skok po powierzchni czasoprzestrzeni na dole. Już po pierwszych krokach czarne słońce stało się większe i bliższe. Napór wzrósł. Ścisnął ich i próbował wyssać z nich życie. Zwolnili.

–Idźcie! – zagrzewał się Jim. – Nie zatrzymujcie się!

Niewidzialna siła szarpała ich złączone dłonie, osłabiając wolę. Coraz trudniej przychodziło im trzymać się za ręce. Teraz jednak każdy z nich miał nie wypowiedzianą świadomość, że nie ma odwrotu. Gdyby przystanęli lub cofnęli się, ciemność natarłaby i pochłonęła ich.

Jim wysunął się trochę do przodu na swoim końcu łańcucha i dzierżąc przed sobą laskę, zaryzykował spojrzenie na twarze towarzyszy. Na razie trzymali się.

Brian jak zawsze był całkowicie pochłonięty walką. Krzepko, lecz delikatnie i pewnie trzymał ręce Angie i Geronde. Na twarzy Angie malował się spokój, a Geronde emanowała wolą walki. Oba skrzaty miały poważne miny, a ich małe okrągłe twarzyczki nie zdradzały żadnych uczuć.

U sir Renela oraz sir Geoffreya dostrzegł, podobnie jak u Briana, bitewne uniesienie, ale z domieszką czegoś jeszcze – niemal niecierpliwości. Jakby właśnie uwolnili się z kajdan, do których tak przywykli, że prawie zapomnieli o ich istnieniu. Orla twarz Ibn Tariqą nie zdradzała jakichkolwiek emocji, ale też ani cienia słabości.

Tylko postawa i mina idącego na końcu Hasana ad-Dimriego mogły budzić niepokój. Jego ciało zdawało się kurczyć, jakby zapadało się w siebie. Twarz miał bladą i skrzywioną jak u człowieka dręczonego zwątpieniem, które niczym morskie fale podmywało filary jego odwagi, grożąc zatopieniem.

Jak do tej pory Hasan jako jedyny zdradzał oznaki słabości. Jim ponownie spojrzał na skrzaty. Wydawało się, że to te dwa maleńkie stworzonka przyzwyczajone uciekać i chować się przed wszystkim będą najslabszymi ogniwami łańcucha. Lecz to były zmagania woli, a nie mięśni i ścięgien.

Jim wiedział, że Angie, Brian i Geronde będą walczyć do końca. Sir Geoffrey i sir Renel zapewne tak samo. Zapewne Ibn Tariq również miał na to dość odwagi. Nie było łatwo zostać tak potężnym czarnoksiężnikiem jak on. Oczywiście, dręczyło go teraz wspomnienie błędu, jaki popełnił, wzywając Arymana. Nie zdawał sobie sprawy z tego, iż po wypełnieniu rozkazu demon będzie wolny i niezależny. Wiedziałby o tym, gdyby nie zajmował się czarami, lecz magią.

Świadomość tego faktu musiała teraz rzucać cień wątpliwości na wszystko, czego uczył się przez całe życie. Mimo to była w nim siła. Tylko Hasan wyglądał tak, jakby miał zawieść. A jednak i on musiał być silny, kiedy był sufim, zanim dał się zwieść roztaczanym przez Ibn Tariqą mirażom bogactwa i władzy.

Było ich dostatecznie wielu, by spróbować przegnać tak potężnego demona jak Aryman. Po ich stronie była nie tylko wiara, ale i świadomość, że to ich świat, nie jego. Decydującym czynnikiem był czas. Im dłużej potrwają zmagania, tym większe niebezpieczeństwo pęknięcia najslabszego ogniwa. Czas był wszystkim.

–Szybciej!

To słowo samo wyleciało z jego ust. Pozostali usłyszeli i spróbowali. Nie mogli przyspieszyć wielomilowych kroków po rozpościerającej się w dole przestrzeni, ale mogli je wydłużyć. Im bardziej się zbliżali, tym bardziej Aryman stawał się monstrualnie wielki. Już przesłaniał ćwierć nieba i zdawał się nie tylko spoglądać na nich, ale też górować nad nimi i przytłaczać ich.

W bitewnym uniesieniu ogarnęło ich jakby zbiorowe szaleństwo. Zapomnieli o rozsądku, logicznym rozumowaniu. Pamiętali tylko o stojącym przed nimi Arymanie, o uścisku dłoni sąsiadów, a także mieli poczucie przynależności do zgodnie walczącego oddziału i wolę wykonania czekającego ich zadania. Zjednoczywszy wysiłki, przesiali myśleć o sobie jako o jednostkach.

Teraz podeszli już bardzo blisko Arymana. Może od początku nie byli daleko od niego, a może naprawdę pokonywali tak ogromne odległości, lecz teraz dzielił ich już niewielki dystans. Nagle idący na końcu szeregu Hasan ad-Dimri potknął się i prawie upadł. Zaraz odzyskał równowagę, gdyż Ibn Tariq mocno ścisnął jego rękę i przez moment dosłownie przytrzymał go w powietrzu.

–Taka jest wola Boga – rzekł Ibn Tariq, patrząc w oczy Hasanowi.

Ten wyprostował się, znów pewnie stając na nogach.

–Tak! – rzekł i oczy mu rozbłysły. – Tego chce Bóg! I zdecydowanie ruszył naprzód.

–On się cofa, milordzie! – zawołał nagle Hob z Malencontri cienkim, triumfalnym głosem.

Jim spojrział ze zdumieniem. Skrzat mówił prawdę. Nocne niebo nad nimi zmieniło się w ciemnoniebieski aksamit. Lecz w tych ciemnościach było już widać światła gwiazd. Jedna po drugiej pojawiały się, w miarę jak Aryman cofał się przed Jimem i jego towarzyszami. Hob spostrzegł to pierwszy i miał rację.

–Tak! – zawołał Jim do reszty. – Słuchajcie! Idący środkiem niech zwolnią. My na końcach pójdziemy dalej, tworząc półkole, żeby nie zdołał się wymknąć, kiedy przyciśniemy go do granic królestwa, do którego należy. Nie pozwólcie mu ujsć. Damy mu tylko jedną szansę: wycofać się tam, skąd przybył!

Jim wydłużył krok. Hasan na drugim końcu brnął naprzód wspomagany przez Ibn Tariqą, który go podtrzymywał. Oba skrzaty, Geronde i Brian zostali odrobinę z tyłu. Półkolem napierali na Arymana. W końcu znaleźli się tak blisko niego, że zdawał się stać nie dalej jak o dwa kroki, a jego czarny blask raził oczy.

Teraz zobaczyli, że nie miał żadnego kształtu. Z daleka wydawał się kulą, lecz

teraz jawił się pod wieloma postaciami nieustannie stapiającymi się ze sobą. Wciąż jednak żył, był silny i groźny. Czuli, jak uderza w nich jego wściekłość. Geronde także zachwiała się, lecz tylko na moment. Złapała równowagę bez pomocy Briana i żywo ruszyła naprzód, tworząc niewielką wypukłość w szeregu.

Znaleźli się tak blisko, że dosięgnęły ich także wściekłe ryki demona. Słyszeli je jako przeraźliwy, rozdzierający uszy skowyt, niezwykle podobny do odgłosu dobiegającego z otwartych drzwiczek pieca, w którym szaleje ogień. Aryman cofał się coraz wolniej.

–Jest tuż przy krawędzi – rzekł Jim, dzięki swej lasce wyczuwając bliskość granicy w sposób, jakiego nie potrafiłby wyjaśnić, lecz nie pozostawiający wątpliwości. – Trzymajcie się mocno i ruszajmy naprzód – dodał. – Zamierzam puścić twoją dłoń, Angie, i przejść na środek półokręgu. Spróbuję zepchnąć go laską.

Zrobił to, a Angie ścisnęła jego dłoń, zanim ją puściła. Lekki uścisk poparła uśmiechem. Odpowiedział uśmiechem i z trudem przesunął się w zgęstniałym powietrzu, aż stanął na środku półkola stworzonego przez towarzyszy. Wtedy wyciągnął przed siebie rękę, w której trzymał laskę.

–Wracaj, Arymanie! – krzyknął. – Na siłę tej laski, na prawa wszystkich królestw: wróć, wróć, wróć na swoje miejsce!

Skowyt, czy jakkolwiek nazwać ten dźwięk, narastał, aż zmienił się w przeraźliwy wrzask bólu. Potem nagle ucichł. Zapadła cisza. Spojrzeli po sobie.

–Już po wszystkim – rzekł ze znużeniem Jim. – Przepędziliśmy go i już nie wróci, chyba że znów ktoś go wezwie. Oby nigdy to się nie stało!

Byli zbyt wyczerpani, aby mu przytaknąć. Otworzyli dłonie i rozprostowali obolałe, zdrętwiałe palce. Patrzyli na siebie, ze zdumieniem widząc ludzi, jakimi zawsze byli, zwyczajnych, choć zwycięskich śmiertelników.

–Jestem wolny! – powiedział nagle sir Geoffrey zdumionym głosem. – Zniknęła, klątwa zniknęła. Już jej nie czuję.

–Wszystko, co demon uczynił dla Ibn Tariqa czy na własną rękę, zostanie teraz wymazane z historii. Spójrzcie w dół! – powiedział Jim.

Ustuchali.

W odległym czasie i przestrzeni Baybars prawie wygrał bitwę z Mongołami. Jednak zmieniło się niemal wszystko poza tym. Zniszczona i przysypana piaskiem wioska pozostała nietknięta. Nie było żadnej pustynnej burzy. Wieśniacy chodzili po ulicach.

–Patrzcie na północ – rzekł Jim.

Zwrócili oczy w tym kierunku. Nie dostrzegli mongolskiej armii zmierzającej ku górom i Białemu Pałacowi.

–Atak Złotej Ordy sprowokował demon, kiedy wyrwał się spod kontroli Ibn Tariqa. Chciał po prostu zobaczyć jak ludzie zabijają się i kaleczą wzajemnie – wyjaśnił Jim.

Zerknął na czarnoksiężnika, lecz Ibn Tariq tylko się uśmiechnął, nie otwierając ust.

–Mameluków też tam nie będzie. Ich wyprawa tak jak klątwa odeszła w niebyt. Aryman przegrał. Gdyby dokonał tego, co zamierzał, wywołał wojnę, zmieniłby

historię na zawsze. Ponieważ powstrzymaliśmy go w porę, wszystkie jego knowania spełżyły na niczym. – Spojrzał na Ibn Tariq. – Od tej chwili – powiedział czarnoksiężnikowi – nasze drogi i twoje oraz Hasana ad-Dimriego rozchodzą się.

–Tak się stanie – odparł Ibn Tariq.

Niemalże w tej samej chwili on i Hasan zniknęli. Jim odwrócił się do pozostałych. Zmęczone twarze pojaśniały.

–A teraz – oświadczył – sądzę, że mogę zużyć trochę magii, aby niezwłocznie przenieść nas wszystkich z powrotem do Anglii. Tylko dokąd? Do zamku Malencontri czy zamku Smythe...

–Och, błagam, milordzie! – pisnął Hob z Malvern. – Do Malvern! Błagam! Mówiąc to, nie patrzył na Jima, tylko na sir Geoffreya.

–Tak – ucięła szorstko Geronde. – Lepiej do Malvern. Nie spocznię, póki nie zostanę należycie zaślubiona. – Rzuciła kosę spojrzenie ojcu. – Zamieszkać jednak w innej części zamku – dodała. – Ty możesz zająć swoją dawną kwaterę.

–Geronde... – zaczął sir Geoffrey. Potem głos zamarł mu w gardle, a wyciągnięta do córki ręka bezwładnie opadła wzdłuż boku.

Jim pospiesznie wyobraził sobie ich wszystkich w wielkiej sali Malvern przy honorowym stole – i tam też się znaleźli.

Rozdział 30

–Ach! – rzekł Brian i oczy zabłyśły mu na widok stołu. – Służba, do mojej pani! Hej!

Nie odpowiedziano mu natychmiast. Dopiero po chwili młody człowiek stojący dość nisko w kuchennej hierarchii ostrożnie zajrzał do sali. Wytrzeszczył oczy na widok przybyłych.

–Jadło i wino dla moich gości! – warknęła odruchowo Geronde. – Chyżo, człowieku!

Sługa stał jak słup, gapiąc się na sir Geoffreya.

–Tak, tak! – powiedziała niecierpliwie Geronde. – To wasz pan, znów wrócił do domu. A teraz przynieś to, co kazałam. Już!

Sługa odwrócił się i wybiegł z komnaty, znikając im z oczu.

Stali, niepewnie spoglądając po sobie i wokół. Wielka sala w Malvern była prawie tak duża jak jej odpowiedniczka w Malencontri, lecz po tych wszystkich budynkach, w jakich ostatnio przebywali, wydała im się ciemna, pusta i nędznie umeblowana.

Honorowy stół na podium miał rozkładany blat podparty kozłami. Dwa pozostałe stoły ustawione prostopadle do niego na podłodze składały się z kozłów i składanych blatów, które teraz stały pod ścianami. Przez szczeliny nielicznych okien wpadało słabe światło wiosennego popołudnia. Oba skrzaty pozbawione swych smużek dymu i stojące na podłodze wyglądały jak dwa chude króliczki. Z nadzieją zerknęły na zimny i pusty kominek wielkiej sali. Oczywiście, pod nieobecność pani zamku nie palono na nim. W komnacie było chłodno.

–Och! – powiedziała nagle Geronde, jakby budząc się ze snu. – Proszę, siadajcie, pani i panowie!

Wszyscy weszli na podium i usiedli do stołu na wyściełanych krzesłach nie bez powodu przypominających zwykle beczki, przecięte tak, by powstało siedzenie z oparciem. Środkowe miejsce uprzejmie pozostawiono dla gospodarza, lecz sir Geoffrey szybko usiadł na końcu stołu, więc po chwili wahania zajęła je Geronde.

Ledwie zdążyli usiąść przed powrotem nie jednego, lecz czterech służących, którzy rozłożyli obrus i przed każdym postawili cynowy puchar oraz talerz, kładąc obok dużą łyżkę. Inni słudzy zaczęli układać drwa na kominku.

Brian i Jim odruchowo sięgnęli po noże, lecz sir Geoffrey i sir Renel mieli zmieszane miny.

–Sztuńce dla pana i lorda Renela – warknęła Geronde.

Jeden ze służących pobiegł w kierunku kuchni.

–Czekaj! – rzekł Brian do tego, który właśnie napełnił mu puchar. Rycerz duszkiem osuszył kielich i ponownie podsunął go słudze, który natychmiast dolał wina.

–Sir Brianie! – powiedziała surowo Geronde.

–Niech to licho, Geronde! – rzekł Brian. – Jestem spragniony. Po tym wszystkim, przez co przeszliśmy, żałujesz mi szybkiego pierwszego kielicha? Masz moją obietnicę, że następne będę sączył grzecznie i powoli.

–Panowie – rzekła Geronde do sir Geoffreya i sir Renela. – Nie certujcie się,

blagam. Pijcie!

Obaj z wahaniem chwycili pełne puchary, których nie mieli w rękach od lat, więc trzymali je niezwykle ostrożnie i niemal z nabożeństwem unieśli je do ust. Geronde dała przykład, pijąc ze swojego kubka.

Angie, co z zadowoleniem zauważył Jim, też pociągnęła łyk. Zachęcony tym przykładem Jim wychylił swój kielich prawie tak szybko jak Brian. Smak wina pozwolił mu pozbyć się uczucia zagubienia. Pociągnął równie tęgi łyk jak Brian i zakrztusił się. Nikt nie rozcieńczał tu wina, chociaż na stole stały karafki z wodą. Natychmiast dolano mu do pełna, chociaż jeszcze nie opróżnił kielicha,

Angie uśmiechnęła się do niego. On uśmiechnął się do niej.

–Och! – powiedziała, odstawiając puchar. – Skrzaty! Odwróciła się. Wszyscy pozostali także spojrzeli. Hob z Malencontri i Hob z Malvern stali obok siebie na podłodze mali i zapomniani.

–W gotowalni na pewno już pali się na kominku, malcy – powiedziała łagodnie Geronde. – Zaprowadź tam naszego gościa, Hobie z Malvern!

Twarzyczki obu skrzatów rozpromieniły się. Hob z Malvern wziął za rękę Hoba Jima i Angie.

–Chodź ze mną! – powiedział i razem pobiegli do gotowalni.

–Dopilnuj, żeby nikt nie przeszkadzał tym maluchom! – powiedziała surowo Angie do najbliższego stojącego sługi. – Mają dostać wszystko, co zechcą.

–Tak, milady! – odparł i poszedł za skrzatami do gotowalni.

Siedzący za stołem z zadowoleniem wzięli się do jedzenia, które im podano, bowiem nikt z nich ostatnio nie jadł. Milsza od jedzenia była jednak ulga, jaką dopiero teraz poczuli. Stopniowo nawet sir Geoffrey i sir Renel odprężyli się na tyle, aby wziąć udział w towarzyskiej rozmowie, jaką niegdyś zwykli prowadzić.

Rozmawiali tylko ze sobą. Na drugim końcu stołu Brian z każdym kęsem i łykiem odzyskiwał zwykłą pogodę ducha, wesoło gawędząc z Jimem, Angie i Geronde. Mimo to nawet w jego zachowaniu Jim zauważył skrywane napięcie.

Niechęć Geronde do ojca nie osłabła, z czego pozostali doskonale zdawali sobie sprawę. Mąciło to radosny nastrój, chociaż wszyscy udawali, że tak nie jest. A wymogi dobrego wychowania nakazywały Geronde zwracać się do ojca – jeśli to robiła – z takim samym szacunkiem, jaki okazywałaby mu, gdyby nigdy nie opuszczał ojczyzny. Jakby zawsze był panem zamku.

Sir Geoffrey traktował ją w ten sam sposób. Mimo to wszyscy doskonale wiedzieli, że z radością oddałby całą tę kurtuazję za jedno słowo Geronde, które świadczyłoby, iż jej złość przygasła i być może kiedyś wybaczy mu to wszystko, o co go obwiniła.

Nie ma nic gorszego, pomyślał Jim, od ugrzecznionego obiadu, podczas którego wszyscy starannie unikają poruszania tematu, o którym cały czas myślą. Stwierdził, że te niezdrowe stosunki między ojcem a córką martwią go tak bardzo, jak brak ognia na kominku smucił skrzaty, zanim Geronde posłała je do gotowalni.

Byłoby to radosne, uroczyste spotkanie – rozmyślał – gdyby nie skrywane wzajemne żale ojca i córki. Były jak duch towarzyszący im przy stole. Zmuszały

wszystkich do przestrzegania etykiety nie pasującej do tak radosnej chwili. Jim poczuł gniew z powodu tego, że ani Angie, ani Brian, a nawet sama Geronde nigdy nie wspomnieli mu o urazie, jaką żywiła do ojca. Może oni też nie wiedzieli. Ale trudno było uwierzyć, że osoby tak jej bliskie jak Angie czy Brian nie miały o tym pojęcia. Jim widział, że wszystkim udziela się przygnębienie. Gdy zaspokoiili pierwszy głód i stracili zainteresowanie jedzeniem i piciem, stopniowo rozmowy na obu końcach stołu zaczęły się rwać.

–Na pewno jesteście strudzeni! – powiedziała Geronde do Jima i Angie. – Zechcecie zostać na noc... – zerknęła w kierunku drugiego końca stołu – za pozwoleniem mego ojca, oczywiście?

–Och. Istotnie, istotnie, bardzo proszę, milordzie, milady – powiedział pospiesznie sir Geoffrey, – Ledwie miałem czas porozmawiać z wami i podziękować. Naprawdę byłoby mi miło, gdybyście zostali, a jestem pewien, że Geronde byłaby zachwycona.

Angie rzuciła Jimowi znaczące spojrzenie. Zgodnie z obowiązującymi zasadami to on miał oznajmić, czy zostaną, czy nie. Angie dała wyraźny znak, że jej zdaniem nie powinni się tu kręcić. Jim domyślał się, iż Angie wyczuła, że Geronde chciała jak najszybciej pozbyć się gości, by przestać odgrywać rolę gospodyni i zostać sam na sam z ojcem – rzecz jasna, kiedy oddali się służba.

–Kusisz nas, Geronde – odparł Jim. – Wiesz przecież, że po tak długiej nieobecności w Malencontri musimy tam zaraz wracać. Człowiek tęskni za własnym domem. Ponadto, jak wiesz, chociaż nasza służba jest dobrze wyszkolona, nie może równać się z twoją, a pozostawiliśmy ją samą sobie. Na pewno coś jest nie tak. Nie mam pojęcia co, ale to nieuniknione. Zawsze coś się dzieje, kiedy opuszczamy z Angie zamek. Rozumiesz?

–Oczywiście, doskonale znam te kłopoty ze służbą – powiedziała Geronde. – Tak więc, choć niechętnie, nie będę nalegać, abyście zostali. – Odwróciła się i spojrzała na sir Renela. – Sir – powiedziała. – Jesteś tu mile widziany jako gość do czasu, aż zechcesz nas opuścić...

–Obawiam się, Geronde – wtrąciła pospiesznie Angie – że mamy z Jimem nadzieję ugościć sir Renela u nas. Szczególnie miło byłoby nam, gdyby zabrał się z nami teraz. A kiedy trochę odpocznie, może mógłby odwiedzić ciebie i sir Geoffreya. Ponadto czułabyś się zobowiązana bawić go, a wiem, jak bardzo będziesz zajęta przygotowaniami do ślubu.

Jeśli sir Renel był niegdyś nieczuły na nastroje i emocje innych, zmienił się w ciągu wieloletniej niewoli.

–Zaiste, milady – rzekł do Geronde, ze zdumiewającą łatwością i wyraźną ulgą powracając do zwyczajów z dawnych lat – z przyjemnością zostałbym u ciebie i sir Geoffreya, lecz pragnę także odwiedzić sir Jamesa i jego uroczą małżonkę. Bardzo mnie interesuje ten, który, jak rzekł mi sir Geoffrey, zasłynął pod imieniem Smoczego Rycerza. Ponadto, jak wspomniała lady Angela, będę dla ciebie ciężarem w chwili, gdy masz tak wiele innych obowiązków.

–Niestety – powiedziała Geronde – nie mogę zaprzeczyć, iż ciążą na mnie pewne obowiązki... – tu zerknęła w kierunku sir Geoffreya – i rzeczywiście mam wiele do

zrobienia. Z radością zobaczą cię tutaj, gdy stanę się panią mojego czasu i będę mogła w pełni cieszyć się twoim towarzystwem. Zapewne wydam ci się kiepską gospodynią, lecz może lady Angela ma rację i najlepiej będzie, jeśli wrócisz z nią i sir Jamesem do Malencontri.

Po kilku jeszcze podobnych uprzejmościach, które nikogo nie zwiody (Jim wielokrotnie wysłuchiwał podobnych, wychodząc z nudnych dwudziestowiecznych przyjęć), ustalono, że sir Renel nie uważa Geronde za kiepską gospodynię, a ona nie uznaje sir Renela za niewdzięcznego gościa, gardzącego gościnnością Malvem i wolącego towarzystwo Jima oraz Angie, Sir Renel miał udać się z nimi do Malencontri. W trakcie tej rozmowy Jim czuł się coraz gorzej.

Nie mógł pozbyć się wrażenia, że coś jest nie tak z tym odjazdem we troje (we czwórkę, licząc ich Hoba, oczywiście, choć ten mógł już być w Malencontri, wróciwszy tam na smudze dymu z Malvern). Stanowczo nie powinien pozostawiać tu samego i zdesperowanego sir Geoffreya z Geronde zagniewaną na niego tak, jak tylko ona potrafiła.

Nie mógł tego zrobić. Już wstali od stołu gotowi ruszyć w swoją stronę.

–Czekajcie! – powiedział Jim.

Przemówił bez zastanowienia, lecz poniósł go gniew skierowany głównie na Geronde, ale także na sir Geoffreya i pozostałych włącznie z nim samym.

Odpowiedziały mu zmieszane spojrzenia. Rozbił szklaną kurtynę towarzyskiej pogawędki, którą pokrywali niezręczną sytuacją, a w tym okresie obyczaj nakazywał wyzwać go za tę zniewagę albo zignorować to, co powiedział. Ignorowanie byłoby raczej trudne. Z drugiej strony Brian był jego najlepszym przyjacielem, Geronde tylko załagodziłaby sytuację, gdyby coś powiedziała. Sir Geoffrey zawdzięczał mu natomiast wyzwolenie z czegoś w rodzaju niewoli, zaś sir Renel rzeczywiście odzyskał dzięki Jimowi wolność.

Jim zdawał sobie sprawę z tego wszystkiego, a także z tego, że Angie przysunęła się do niego, a on nie ma pojęcia, jak wyjść z impasu, który sam stworzył. Nie miało to jednak znaczenia. Dał się ponieść emocjom i wypalił, nie zastanawiając się nad doborem słów.

–To wszystko nie tak! – powiedział. – Sir Geoffreyu, powiedz córce dlaczego, chociaż miałaś pałac, w którym cię widziała, a także nieprzebrane skarby, nie mogłaś do niej wrócić ani zabrać ich ze sobą.

Sir Geoffrey zwrócił ku niemu poblądłą twarz i nie odpowiedział.

–Powiedz jej, człowieku! – zachęcał Jim. – Mów albo ja to zrobię!

Sir Geoffrey obrócił się do Geronde opornie jak drewniana lalka.

–Nie mogłem – rzekł do niej. – Wisiała nade mną klątwa.

–Nie mogłaś? – spytała Geronde, kładąc nacisk na drugie słowo. Jej wargi nie skrzywiły się pogardliwie, ale niewiele brakowało.

–Nie śmiałem – wypalił prosto z mostu sir Geoffrey.

–Nie śmiałaś, panie ojczyste?

–Opowiedz jej wszystko – nalegał Jim. – O klątwie rzuconej na Hasana ad-Dimnego i przeniesionej na ciebie, co ty przyjąłeś. Wyjaśnij jej dlaczego.

–Hasan zaproponował mi pałac i wszystkie jego bogactwa, które widziałas w Palmyrze, Geronde – rzekł sir Geoffrey. – To miała być moja zapłata za przyjęcie klątwy. Sądziłem, iż w ten sposób zdobędę wszystko, czego pragnąłem. Tymczasem on śmiał się, kiedy wyraziłem zgodę.

–A dlaczego się śmiał? – naciskał Jim.

Sir Geoffrey nadal patrzył tylko na Geronde.

–Śmiał się, lecz ja wtedy na to nie zważałem – rzekł stary rycerz. – Śmiał się, ponieważ – jak mi potem wyjawiał – gdybym kiedykolwiek spróbował uciec, klątwa podążyłaby za mną. Co więcej, rozciągnęłaby swe działanie.

Sir Geoffrey ponownie zamilkł.

–Powiedz jej wszystko – zachęcał łagodnie Jim.

Rycerz spuścił wzrok, unikając spojrzenia córki.

–Powiedział, że gdybym uciekł, klątwa będzie mnie ścigać. Miała spaść nie tylko na mnie, ale i na moich potomków do siódmego pokolenia. Dlatego się śmiał. „Pomyśl o twoich synach i synach ich synów – mówił mi – którzy będą cierpieć aż do siódmego pokolenia!” – Sir Geoffrey westchnął ciężko i mówił dalej, nie podnosząc oczu. – Domyślałem się czegoś takiego po tym, co wcześniej mówił, chociaż dopiero wtedy wyjawiał mi to bez ogródek. Byłem jednak przekonany, że znajdę jakiś sposób, by uniknąć klątwy i uciec z częścią bogactw do Anglii. Wątpiłem, by klątwa rzucona na muzułmanina mogła działać na chrześcijanina. Myliłem się, lecz kiedy przekonałem się jak bardzo, nie miałem już odwrotu. Nie byłem w stanie uniknąć klątwy i nie chciałem ściągać jej na ciebie.

Spojrzał na Geronde.

–Tak więc – podsumowała zjadliwie – jak sam powiedziałaś, nie odważyłaś się.

–Powiedz jej, jaka to była klątwa – poradził Jim. – Geronde, widziałas Arymana. Był rzeczywisty. To, co czekałoby sir Geoffreya, gdyby wrócił do domu, też było najzupełniej realne.

–Nie obawiam się klątw! – odparła Geronde, dumnie unosząc głowę. – Nawet jeśli boi się ich mój ojciec.

–Wyjaśnij jej, co to za klątwa – rzekł Jim. – Może zmieni zdanie.

Rycerz zwrócił ku niemu bladą i ściągniętą twarz.

–Przecież nie mogę... – urwał,

–Powiedz – nalegał Jim. – Czy nie widzisz, że musisz to powiedzieć, żeby Geronde zrozumiała?

Sir Geoffrey zaczerpnął tchu i wyprostował się. Spojrzał na Geronde.

–Nie mogłem ściągnąć jej na ciebie, córko – powiedział ochryplym głosem. – Tym przekleństwem był trąd.

–Trąd!

Brian i sir Renel powiedzieli to jednocześnie. Geronde nie odezwała się, lecz krew odpłynęła jej z twarzy.

W Anglii, jak Brian mówił Baiju, trędowatych nie wypędzano na pustynię ciosami kijów i pałek, lecz i tu bezwzględnie usuwano ich poza nawias społeczeństwa, pozbawiając domów i rodzin. Wędrowali więc, żebrząc i podzwaniając dzwonkiem, by

wszyscy schodzili im z drogi. W średniowiecznej Anglii obawiano się tej straszliwej choroby nie mniej niż na Bliskim Wschodzie.

–Oto dlaczego nie mógł wrócić, Geronde – powiedział łagodnie Jim.

Przez chwilę patrzyła na niego. Wydała zduszony okrzyk i znów spojrzała na ojca. Potem zerwała się, zbiegła z podium i wypadła przez drzwi wiodące na schody wieży, w której mieściła się jej komnata. Pozostawiła za sobą głuchą ciszę.

Po dłuższej chwili w komnacie rozległ się czysty głos Angie:

–Sir Geoffreyu – powiedziała. – Sądzę, iż nieporozumienia między tobą a twoją córką powoli pójdą w niepamięć. Potrwa to jakiś czas i będziesz musiał dowieść, że stałeś się innym człowiekiem.

Przez chwilę przy stole panowało milczenie.

–Niechaj dzieje się Jego wola – rzekł sir Geoffrey.

Rozdział 31

Lecieli skrzydło w skrzydło, unosząc się na szerokiej rzece powietrza; zmierzali do Malencontri.

–Jesteś pewny, że sir Renel naprawdę chciał pozostać w Malvern?

Jim kiwnął głową, a potem zdał sobie sprawę ze śmieszności takiego gestu w smoczym wcieleniu.

–Tak – rzekł. – Jest tu obcy, a od chwili, gdy mówiliśmy o zabraniu go z nami, sytuacja bardzo się zmieniła. W końcu on zna tutaj tylko sir Geoffreya i kiedyś najwyraźniej byli dobrymi przyjaciółmi. Będzie mu lepiej w Malvern, szczególnie jeśli sytuacja tam poprawi się.

–Miejmy nadzieję. Nie, nie powinnam tak mówić – dodała Angie, gdy zaczęli krążyć z następnym wznoszącym się prądem. – Wszystko będzie dobrze. Jestem tego pewna.

–Ja też – dodał z przekonaniem Jim. Był szczęśliwy i wiedział, że Angie również. Radował się z powrotu do Malencontri. Cieszył się, że będą tam sami – nie licząc oczywiście małego Roberta i załogi zamku. Lecz ich obecność była nierozdzielnie związana z domem. Czuł się tak, jakby wraz z Angie widzieli już tę chwilę, gdy Geronde pogodzi się z ojcem.

Skręcało go na wspomnienie szoku, jakim było dla niej odkrycie, że ojciec potrafiłby się pogodzić z trądem, ale bał się, że może ją zarazić. Zwłaszcza po tym, jak źle myślała o nim przez te wszystkie lata. W każdym razie teraz rozumiała go lepiej. Jim i Angie nigdy tak nie cierpieli, a teraz świat wydawał im się niezwykle przyjemnym miejscem, w smoczycy ciałach nie czuli chłodu, razem dawali się unosić powietrznym prądom i Jim miał wrażenie, że słońce zaczęło świecić jaśniej.

Niebo nad nimi było prawie bezchmurne. W dole zimowe chłody przetrwały jeszcze w liściach nadal zwiniętych w ciasne pąki – zbyt twarde, aby zazielenić gałęzie drzew. A jeszcze niżej czarne plamy ziemi przezierały przez matowy dywan namokniętego listowia, odsłonięty przez topniejący śnieg umykającej zimy. Mimo to cały świat zdawał się niecierpliwie przyzywać lato. Głośno śpiewały ptaki. W powietrzu unosił się zapach wczesnej wiosny. Jim z przyjemnością wciągał je w smocze nozdrza.

Cieszył się, że sir Renel postanowił jednak pozostać w zamku Malvern, chociaż dopiero po długotrwałych namowach dał się przekonać, że nikogo w ten sposób nie obrazi, a Geronde z przyjemnością zawtórowałaby tym zapewnieniom, gdyby była wśród nich.

Tak więc nie mając powodu jechać konno, co musieliby zrobić w towarzystwie sir Renela, Jim i Angie postanowili przybrać postać smoków i polecieć. Pozostali pomachali im na pożegnanie z zamkowej wieży.

–Naprawdę z przyjemnością wrócę do domu – powiedział Jim do Angie.

–Ja także – odparła. – Mam nadzieję, że z Robertem wszystko w porządku.

–Na pewno – rzekł i w chwilę później oboje wylądowali na szczycie wieży. Na ich widok stojący tam wartownik wydał dźwięk bardziej przypominający owację niż rytualny okrzyk przerażenia, lecz zanim zmienili się w ludzi, jego twarz znowu

przybrała kamienny wyraz.

–No cóż, wróciliśmy, Haroldzie – powiedział do niego Jim.

–Tak, milordzie – rzekł strażnik, ani na jotę nie zmieniając wyrazu twarzy.

–Straszny formalista – mruknął Jim do Angie, uśmiechając się, kiedy odwrócili się plecami do strażnika i zaczęli schodzić do słonecznej komnaty. Nikt nie pełnił warty pod jej drzwiami, a w środku palił się na kominku bardzo słabutki ogień wystarczający, by przesuszyć rzeczy, jak mawiała służba głęboko przekonana, że ubrania wiszące przez noc w nieopalanym pomieszczeniu do rana będą wilgotne i spleśniałe.

Prawdę mówiąc, miała trochę racji, gdyż w wielu zamkach niemal przez cały rok panowała wilgoć. Jim stał, z przyjemnością rozglądając się wokół. Jakież to miłe miejsce, mówił sobie w duchu,

–Pójdę zobaczyć Roberta – oznajmiła Angie i zniknęła za drzwiami osobnego pokoju, specjalnie przygotowanego dla dziecka. – Wróciła minutę później. – Właśnie zasnął, kruszyna – powiedziała.

Wyrwany z miłej kontemplacji otoczenia Jim odruchowo ruszył w kierunku kominka, zamierzając podłożyć do ognia kilka leżących obok drew. Angie powstrzymała go w samą porę.

–Ach tak – powiedział i nagle przypomniał sobie, że zaraz nadejdzie służba, żeby się tym zająć. Rzeczywiście, właśnie usłyszał, jak wartownik na wieży krzyczy do kogoś stojącego na dziedzińcu.

Niewątpliwie przekazał wiadomość, że pan i pani zamku wrócili z podróży. Słudzy byliby niepokieszeni, gdyby Jim własnoręcznie musiał podłożyć drwa do ognia. Istotnie. Kiedy zastukano do drzwi, zdążył zdjąć tylko kolczugę, której praktycznie nie ściągał przez kilka ostatnich tygodni, i usiąść w wygodnym, zrobionym na specjalne zamówienie fotelu, a Angie zrzuciła z siebie podróżną opończę i przysiadła obok.

Nie czekając na odpowiedź, służba otworzyła drzwi i weszła. Jedna ze służących podłożyła do ognia, druga zaczęła ustawiać i odkurzać wszystko, a trzecia wniosła tacę z winem i ciasteczkami.

–Postaw ją na stole, Beth – powiedział Jim. Wciąż był zbyt objedzony po obiedzie w Malvern, aby mieć ochotę na cokolwiek, i podejrzewał, że Angie również. Zraniłby jednak uczucia służącej, gdyby odesłał jedzenie i picie.

–Tak, milordzie – odparła Beth, dwudziestoparoletnia kobieta z zaciśniętymi teraz wargami. Powiedziała to, nie patrząc na niego.

Pozostałe zrobiły swoje i wszystkie wyszły, cofając się do drzwi i mówiąc równie formalnie jak wcześniej wartownik: „Za pozwoleniem, milordzie!” oraz „Błagam o wybaczenie, łaskawa pani!”

Kiedy drzwi zamknęły się za nimi, Jim spojrzał na Angie.

–Czy zauważyłaś coś? – zapytał. – Wydaje mi się, że oni zachowują się jakoś dziwnie. Z początku myślałem, że są nadmiernie ugrzecznieni. Jest w tym jednak coś więcej.

–Racja – przytaknęła. – Nie wtem tylko co.

–Jeśli w taki właśnie sposób nas witają – rzekł Jim – to wolałbym, żeby już przestali. Chyba nie uważasz, że rozgniewała ich nasza nieobecność?

–Nie wiem, dlaczego mieliby... – Przerwało jej pukanie do drzwi.

–Kto tam? – zapytał Jim.

–Błagam o wybaczenie, milordzie. – Usłyszał donośny męski głos. – Jest tu John Steward. Chciałby porozmawiać, za pozwoleniem waszej lordowskiej mości.

–Przyślijcie go! – polecił Jim. Zerknął na Angie. – Cokolwiek się tu dzieje, zapewne powie nam o tym John.

Drzwi otworzyły się i wszedł John Steward. Odziedziczyli go, tak samo jak kowala i prawie całą służbę, kiedy przejęli Malencontri. Był wysokim, kanciastym, poważnym mężczyzną po czterdziestce.

Jako zarządca przetrwał trzech kolejnych właścicieli zamku i szczyił się posiadaniem prawie wszystkich zębów, oprócz dwóch przednich. Rzadko się uśmiechał, może chcąc ukryć szczerbę, a może uważając, że wymaga tego zachowanie niekwestowanego autorytetu. Czarne włosy, jeszcze bez śladu siwizny, miał gładko zaczesane do tyłu i nawet pod dachem zawsze nosił kapelusz w kształcie bochenka chleba i odziedziczoną po poprzednim właścicielu szatę, która niegdyś była ciemnoniebieska. Był dostatecznie grubokościsty i barczysty, by zostać żołnierzem, a nie rządcą. Oczywiście, objąwszy obecne stanowisko, spoglądał z góry na wszystkich zbrojnych poniżej giermka,

–Mam nadzieję, że nie przeszkadzam, milordzie, milady – rzekł, kiedy wszedł, i zamknął drzwi. Stał dobre dwa metry od nich, sztywno wyprostowany, marszcząc brwi jak nauczyciel patrzący na niesfornych uczniów.

–Wcale nie, Johnie – rzekł serdecznie Jim. – Miło nam wrócić do domu i zobaczyć was wszystkich. Jak stoją sprawy? Na szczęście wasza pani nie opuściła was na długo, więc nie sędzę, aby było wiele do opowiadania.

John Steward spoglądał na niego przez chwilę z kamiennym wyrazem twarzy.

–Tak, milordzie – rzekł beznamiętnie. – Jeśli wasza lordowska mość tak sobie życzy.

–Życzę sobie? A co mają do tego moje życzenia?

–Jestem zawsze do usług, milordzie – powiedział John Steward tym samym tonem. Jim z niepokojem pomyślał, że niezwykle wydarzenia, w które był zamieszany z Angie i pozostałymi, mogły wyrzucić jakieś uboczne działanie na załogę zamku.

–Czy coś się zmieniło tutaj, w zamku? – zapytał.

–Nie powiedziałbym, milordzie – oznajmił John.

Jego słowa jeszcze pogłębiły dręczące Jima podejrzenia, że stało się coś niedobrego. Obudziło je dziwne zachowanie witającego ich na wieży wartownika. Jimowi szybko minęła euforia wywołana powrotem do domu. Znał Johna na tyle dobrze, aby z tonu jego głosu wywnioskować, że ta odpowiedź skrywa jakieś niedopowiedzenie.

–Dość tych głupstw, Johnie! – powiedział. – Zachowujecie się dziwnie. Chcę wiedzieć dlaczego. Na przykład, jak długo, waszym zdaniem, nie było lady Angeli?

–Skoro pytasz, milordzie – odparł John Steward – minęło dziesięć dni,

–Dziesięć dni! – Jim ze zdumieniem spojrział na zarządcę, ale zaraz wziął się w garść. – Naprawdę? No cóż, to dla mnie niespodzianka. Zapewne stało się tak w wyniku tego, co robiliśmy. W każdym razie nie powinniście się dziwić, jeśli nie ma nas przez jakiś czas. Zawsze wracamy. Skoro nie było nas dziesięć dni, to może masz o czym opowiadać. Co się wydarzyło podczas naszej nieobecności?

John patrzył na niego przez chwilę jak lekarz rozważający, czy pacjent jest dostatecznie silny, aby powiedzieć mu złą wiadomość.

–No cóż, milordzie – odparł ostrożnie. – Panna Gwynneth Plyseth, która, jak wasza lordowska mość wie, sprawuje pieczę nad kuchnią, wylała wielki dzban najlepszego francuskiego wina waszej lordowskiej mości.

To nie była wstrząsająca wiadomość. Wino, o którym mówił John, było zarezerwowane dla najlepszych gości i podawane tylko przy specjalnych okazjach. Strata dużego dzbana, czyli około dwóch litrów, z pewnością była pożalowania godnym faktem, ale nie mogła doprowadzić do furii Jima czy Angie, o czym John doskonale wiedział. Za tym wszystkim kryło się coś innego. – Co jeszcze? – zapytał Jim.

–Niewątpliwie zawiniła, milordzie – ciągnął nieubłaganie John – ale miała powody. Mag Carolinus pojawił się niespodziewanie tuż obok niej.

–Carolinus? – zapytał Jim, siadając na fotelu, – Carolinus był tutaj w czasie naszej nieobecności?

–Tak, milordzie – odrzekł niechętnie John.

–Po co tu przybył?

–Przybył, milordzie, ponieważ kowal miał przydepniętą stopę.

–Stopę? – powtórzył Jim.

–Przydepniętą? – zdziwiła się Angie.

–Zapewne przez konia – mruknął Jim. – Mimo to jestem zaskoczony, że Carolinus pojawił się z tak błahego powodu.

–To nie był koń, milordzie. Zrobił to diabeł,

–Diabeł!? – wykrzyknęli zgodnie Angie i Jim.

–Diabeł z morza, milordzie. Nie było cię trzy tygodnie, kiedy tutaj przyszedł. Wiesz, o kim mówię, milordzie. Widziano go tu wcześniej. To olbrzymi diabeł.

–Mówisz o Rrrnlfie!

–Tak, milordzie. Chciał się z tobą spotkać, ale porozmawiałem z nim i powiedziałem mu, że cię nie ma. Potem chciał mówić z lady Angelą, więc musiałem zawiadomić go, że jej także tu nie ma. Wtedy siadł na dziedzińcu, żeby czekać na wasz powrót, tak samo jak wtedy, przed atakiem węży, pamiętasz, milordzie. Stajenni mieli straszny kłopot z wyprowadzaniem koni, bo spał w takiej pozycji, że zostało niewiele miejsca, a wierzchowce bardzo się płoszyły, kiedy przeprowadzano je koło niego.

–Z pewnością – mruknął Jim. – No nic, wróciłem, ale nie widzę go tutaj.

–Już odszedł, milordzie – odparł John. – Błagam o wybaczenie, jeśli przekroczyłem moje obowiązki. Byłem zdesperowany, więc wysłałem posłańca do chaty maga Carolinusa z pytaniem, co robić. Mag przybył tu razem z gońcem. Obaj

przenieśli się tu za pomocą magii i nagle pojawili się na dziedzińcu. Diabeł wciąż spał, ale Carolinus polecił mi oraz wszystkim innym wejść do kasztelu. Chciał sam porozmawiać z diabłem. Zrobił to i zniknął. Diabeł wciąż tu był, więc poszedłem sprawdzić, co zaszło. A on rzekł, że szukał ciebie na Cyprze i nie znalazł, a potem przybył tu i też cię nie zastał, ale wróci później, żeby z tobą pomówić.

–Aha – rzekł Jim, znów siadając na fotelu. – A więc wszystko w porządku. To wyjaśnia wizytę Carolinusa. Czy mag mówił ci coś o mnie albo czymkolwiek?

–Nie, milordzie.

–Och, przy okazji, Johnie... – zaczął Jim, ale zmienił zdanie. – Nie, po namyśle sądzę, że wszystko jest w porządku. Dziękuję ci. Możesz odejść.

–Tak, milordzie.

John Steward skłonił się i wyszedł. Był jedyną osobą w zamku, która potrafiła złożyć należyty ukłon, chociaż Theoluf, były zbrojny, który został giermkim Jima, robił w tym spore postępy. Jim podejrzewał, że ćwiczy w tajemnicy.

–Chciałem zapytać go wprost, dlaczego nasi ludzie tak się zachowują – rzekł Jim, patrząc na Angie. – Nic by to jednak nie dało. Nigdy by nam nie powiedział, cokolwiek jest tego przyczyną. Musimy czekać, aż wszystko samo się wyjaśni. – Popatrzył na płomień na kominku. – Chociaż nie ma to większego znaczenia... – mruknął do nich cicho.

–Wiele przeszedłeś – powiedziała Angie, podchodząc do kominka i po drodze całując go w policzek. Wzięła pogrzebacz i przegarnęła żar. Poleciały iskry i płomień buchnął raźniej. Odłożyła pogrzebacz i wróciła na fotel. Jim wciąż spoglądał w płomień.

–Powiedz mi – poprosiła po chwili Angie – gdzie byłeś, zanim wróciłeś z laską?

–Byłem? – Jim drgnął jak wyrwany ze snu. – Laską?

–Kiedyś wspominałeś mi, że Carolinus opowiadał ci, jaką długą drogę musiał przebyć po swoją laskę, kiedy pomagał ci uwolnić mnie z wieży Loathly – ciągnęła Angie tym samym niewinnym tonem. – Ty też musiałeś zawędrować daleko,

–Dlaczego sądzisz, że musiałem dokądś iść? Czy zniknąłem?

–Nie. Jednak czułam, że odszedłeś. Nie było cię tam. Dla ciebie trwało to dłużej niż moment, prawda? Co zrobiłeś, żeby zdobyć laskę?

–Zdobyłem szczyt – odparł Jim. – Musiałem... – Spojrzał na nią, bardzo chcąc jej o tym opowiedzieć, ale nie potrafił. – Nie sądzę, żebym teraz potrafił o tym mówić – stwierdził w końcu. – Daj mi trochę czasu. Może potem będę mógł myśleć o tym inaczej, wtedy ci wyjaśnię.

–Ale mam rację, prawda? Ty także musiałeś przejść długą drogę tak jak Carolinus?

Jim skinął głową.

Jeszcze przez jakiś czas siedzieli w milczeniu, a ogień trzaskał, sypiąc chmury iskier.

–Wszystko to jest częścią całości – stwierdził Jim, znów wpatrując się w ogień. – Tak samo jak to dziwne zachowanie naszej służby. Wiesz równie dobrze jak ja, że nie postępowaliby tak z żadnym panem i panią zamku urodzonymi i wychowanymi w

czternastym wieku. Możemy ubierać się w stroje z tych czasów, zachowywać się i mówić tak jak oni, ale jesteśmy inni i ci, którzy żyją w pobliżu nas, wyczuwają to. – Tym razem z ponurą miną popatrzył na Angie. – Postanowiliśmy tu zostać, ponieważ spodobało nam się tu – rzekł do niej. – Pamiętasz? Nie chcieliśmy niczego zmieniać. Tymczasem ja właśnie to robię. Nigdy nie zamierzałem zostać magiem. Jestem nim, czy tego chcę, czy nie, i wykorzystuję ich magię. Używam ją w dwudziestowieczny sposób, stosując sztuczki przeniesione z dwudziestego wieku. Również ludziom mieszkającym z nami w zamku udzielają się nasze nowoczesne poglądy. – Urwał, ale Angie nie odezwała się. Pomyślał, że na to, co jej powiedział, nie zdołała znaleźć żadnej odpowiedzi. – Nic nie możemy na to poradzić – ciągnął – i oni też nie. Jestem jak ziarnko piasku w trybach dobrze nasmarowanej maszyny, która zaczyna inaczej pracować w wyniku mojej obecności. Sądzę, że wiem, co teraz niepokoi ludzi w zamku. Mają nam za złe to, że ich opuściliśmy,

–Och, nie sądzę – zaprzeczyła Angie.

–To albo coś jeszcze gorszego. Nasza obecność ma dla nich wiele zalet. Mogą szcycić się posiadaniem pana, który jest magiem. Ponadto jesteśmy najłagodniejszymi władcami, jakich miał jakikolwiek czternastowieczny zamek. Mogą okręcić nas wokół palca i robią to cały czas. Teraz dają nam do zrozumienia, że nie powinniśmy opuszczać zamku, nie mówiąc im o tym i nie pytając o zgodę.

–Jim... – zaczęła Angie.

–Nie – przerwał jej. – Mam rację. Nauczyliśmy ich tego, wprowadzając w zamku ogrzewanie podłogowe i inne zmiany, z których byłem lak dumny. Wszystko to jest zapewne wbrew ich przekonaniom. Mieli rację. Ich świat powinien pozostać taki, jakim go uczynili. Wydaje mi się, że oni w duchu nienawidzą nas. Może nie przyznają się do tego nawet sami przed sobą, ale tak jest, a teraz dało to o sobie znać. Zaczekaj, a przekonasz się, czy nie to jest powodem takiego dziwnego zachowania.

Zamilkł, a Angie spoglądała na niego przez długą chwilę.

–Naprawdę zdobycie tej laski nie przyszło ci lekko – powiedziała w końcu. –

Myślę, że...

Ktoś zapukał do drzwi.

–Do licha, kto tam? – spytał Jim.

–Wejść! – zawołała Angie.

Ponownie wszedł John Steward, delikatnie i starannie zamykając za sobą drzwi.

–Milordzie – oznajmił urzędowym tonem. – Jest tu panna Plyseth z kuchni, która chce błagać o litość i wybaczenie za rozlanie wina.

–Twój pan chce ją zobaczyć – powiedziała Angie, zanim Jim zdążył odpowiedzieć.

–Bardzo dobrze, milady – rzekł John, wychodząc i zamykając drzwi. Po krótkiej przerwie otworzył je znowu i wprowadził zapłakaną i załamującą ręce Gwynneth Plyseth. Ta podeszła prosto do Jima i zaczęła osuwać się na kolana.

–Wstań! – rzucił szorstko Jim.

Gwynneth Plyseth z trudem złapała równowagę i pozostała w pozycji stojącej.

–Milordzie – zaczęła wyrzucać z siebie potok słów – to wszystko moja wina i bardzo przepraszam. Pokornie przyjmę każdą karę, jaką wymierzy mi wasza

lordowska mość. Służyłam ci wiernie przez tyle lat, czyż mogę więc błagać o litość i wybaczenie?

Musiała długo ćwiczyć tę przemowę, ale Jim nie był w nastroju, żeby to docenić.

–W porządku, panno Plyseth – rzucił szorstko. – To wszystko. Nie będziemy już o tym mówić. Możesz odejść.

–Chwileczkę! – wtrąciła Angie. Zaledwie miesiąc wcześniej wydzielono w komnacie pokój dla Roberta, a pozostałą część sali podzielono na dwa mniejsze pomieszczenia. Miejsca było dużo, gdyż słoneczny pokój zajmował całe jedno piętro wieży, więc teraz był tu salonik i sypialnia z oddzielnym kominkiem. Angie wskazała na drzwi sypialni. – Idź tam i zaczekaj na mnie, Gwynneth. Przyjdę do ciebie za chwilę. Johnie, możesz już odejść.

–Tak, milady.

Zarządca wycofał się z ukłonem.

Angie znów wstała z fotela.

–Dowiem się dla ciebie, dlaczego służba tak się zachowuje – powiedziała Jimowi.

– Dobrze rozumiemy się z Gwynneth. Myślimy podobnie. Znajdę odpowiedź. Czekaj cierpliwie.

Weszła do sypialni i zamknęła za sobą drzwi. Jim nie ruszał się z miejsca. Po chwili wstał, nalał sobie trochę wina, znowu usiadł i zaczął je popijać. Ścianę między komnatami zrobiono z takich samych bloków kamienia jak resztę zamku. Ściśle mówiąc, wzięto je z dolnych kondygnacji. Były idealnie dźwiękoszczelne, ale przez drzwi, które były ze zwykłego drewna, słyszał głosy Angie i Gwynneth, chociaż nie mógł rozróżnić poszczególnych słów.

To bez znaczenia, powiedział sobie. Nie nadawał się na czternastowiecznego rycerza i maga. Powinien to wiedzieć od początku.

Właściwie nie słuchał tego, co mówiono w sąsiednim pokoju, bo i tak nie zmieniało to sytuacji. Siedział, patrząc w ogień i snując ponure myśli.

Po jakimś czasie głośny szloch wyrwał go z zadumy. Niemal na pewno szlochała Gwynneth. Angie nie łkała w ten sposób nawet w tych rzadkich chwilach, kiedy w ogóle płakała.

–Jedna wielka zagadka – wymamrotał do siebie, sącząc wino i patrząc w ogień. – Bawię się w pana na zamku. Nie nadaję się na takiego i każdy o tym wie. A najgorzej, że czuję się tu jak w domu i nie chcę być nigdzie indziej.

Czuł się pusty. Nie miał pojęcia, czy pozostało mu dość magii, aby przenieść się z Angie z powrotem w dwudziesty wiek. Zużył jej tyle, aby zdobyć łaskę, że wątpił w to. W tym momencie umysł nie podsuwał mu innego wyjścia niż teleportacja z powrotem do dwudziestego wieku, w którym mógł wyrządzić szkody jedynie jako zwyczajny, nie dysponujący magicznymi umiejętnościami człowiek.

Nagle drzwi otworzyły się i wyszła z nich Angie, a za nią Gwynneth. Twarz tej ostatniej była jeszcze mokra od łez, ale uśmiechnięta.

–Tak dobrze, że pan i pani wrócili! – powiedziała do niego, dygnęła i pospiesznie, opuściła komnatę. Jim wytrzeszczył oczy na Angie, która nie usiadła, tylko stała nad nim.

–Co się tam stało? – zapytał.

–Dowiedziałam się, o co chodzi – odparła Angie. – Tak jak sądziłam, nie potrafiła przede mną udawać. Jim, nasi ludzie nie mają nam za złe tego, że nas nie było. Nigdy nie rościli sobie do tego prawa. Jim... oni nas kochają! Uważają jedynie, że postąpiliby zuchwale, okazując to. Są uszczęśliwieni, że bezpiecznie wróciliśmy do domu. Pamiętaj, że w tych czasach, kiedy ludzie wyjeżdżają, nie zawsze widzi się ich ponownie.

–Przecież – zaczął Jim – zachowywali się tak...

–Udają, że nasz powrót to nic ważnego, a naprawdę mają ochotę uczcić ten fakt. Jim, powinniśmy dać im jakiś pretekst do świętowania!

Jim spojrział na nią ze zdumieniem. Z trudem pojmował wszystko, co mu powiedziała. Zaczął od pierwszego niewiarygodnego stwierdzenia.

–Kochają nas? Za co?

–Czy to ważne? – odparła Angie. – Kochają nas i już. My także ich kochamy. Tak jak ten zamek. A on kocha nas. Pewnie martwiłeś się tym od wielu miesięcy, prawda?

–Skoro o tym mowa... – zaczął Jim i zamilkł. – Chyba zaczęło się to wtedy, kiedy stwierdziłem, że Brian, Dafydd, Giles i wszyscy nasi przyjaciele przypisują mi zbyt wielkie zasługi... Sam nie wiem. Stopniowo nabrałem przekonania, że wszyscy tak chętnie przestają z nami, ponieważ mają błędne wyobrażenie o... nie wiem o czym. Czasem to było denerwujące. Angie, ty wiesz, kim jestem. Jestem i zawsze byłem tylko sobą.

Podeszła do niego, usiadła mu na kolanach, objęła go i pocałowała.

–Jimie Eckert – powiedziała poważnie, patrząc mu w oczy – nikim innym nie musisz być!

Usłyszeli pukanie do drzwi.

–O nie! – mruknął Jim. Angie zerwała się na równe nogi.

–Wejść! – warknęła.

W drzwiach ponownie stanął John Steward. Jim dostrzegł, iż w jego zachowaniu zaszła ledwie zauważalna zmiana. Znowu był dawnym sobą, a nie poważnym i wyniosłym zarządcą, jakim jawił się przed chwilą.

–Błagam o wybaczenie, milordzie i milady – rzekł przepraszająco – ale diabeł wrócił. Czeką teraz na dziedzińcu i chce mówić z panem. I jest z nim jakiś brzydki mały człowieczek.

Jim popatrzył na Angie. Ona na niego.

–Powiedz mu, że zaraz zejdę – polecił Jim.

–Tak, milordzie – odparł John i wyszedł.

Jim i Angie znów wymienili spojrzenia. Jim powoli odprężył się. Westchnął i potrząsnął głową. Angie szeroko uśmiechnęła się do niego, a po chwili i on, mimo woli, zaczął uśmiechać się do niej. Potem oboje wybuchnęli śmiechem.

–Może lepiej zajmij się tym swoim diabłem, zanim znowu postanowi uciąć sobie drzemkę – powiedziała, ocierając oczy.

Westchnął głęboko, ale wesoło, i wstał z fotela.

–No cóż... – rzekł i ruszył do drzwi.

**This file was created with BookDesigner program
bookdesigner@the-ebook.org
2010-10-29**

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/